

BARTŁOMIEJ FITAS



POTĘPIONA





BARTŁOMIEJ FITAS

POTĘPIONA

Copyright © Wydawnictwo Dom Horroru, 2019

Dom Horroru  
Gorlicka 66/26  
51-314 Wrocław

Copyright © Bartłomiej Fitas, Potępiona, 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Redakcja i korekta: Paweł Rosłon

Projekt okładki: Dawid Boldys, Shred Perspectives Works  
Skład: Sandra Gatt Osińska

Wydanie I

ISBN: 978-83-954678-3-7

[www.domhorroru.pl](http://www.domhorroru.pl)  
[facebook.com/domhorroru](https://facebook.com/domhorroru)  
[instagram.com/domhorroru](https://instagram.com/domhorroru)

*Dla Oli.*

## WSTĘP

Pierwsza noc września zapowiadała rychłe nadejście chłodnej i mokrej jesieni. Kropił nieprzyjemny zimny deszcz, a do tego wiał mocny wiatr. Targane nim gałęzie drzew przywodziły na myśl artretycznie powykrzywiane palce, które usilnie próbują coś pochwycić. Mimo wszystko warunki na drodze były całkiem niezłe.

Michał prowadził wysłużonego opla corsę, nie przekraczając dozwolonej prędkości i nie odrywając wzroku od drogi. Jechali właśnie przez las. Na siedzeniu obok spała jego żona. Jej oddech był głęboki i spokojny. Z tyłu natomiast, przypięty do fotelika spał ich dwuletni syn, Kacper.

Wakacje były udane. Pogoda nad Bałtykiem dopisała, a atrakcji nie brakowało im przez cały dwutygodniowy pobyt. Aż żał było im wracać do Krakowa, który niedługo stanie się przytłaczający i ponury, a przesycone spalinami powietrze będzie można ciąć nożem.

Westchnął i zerknął na zegarek. Dochodziła godzina druga. Czekало go do przejechania jeszcze około trzystu kilometrów. Uwielbiał jeździć, zwłaszcza nocą. Wtedy przynajmniej miał pustą drogę i nie musiał narzekać na korki, rowerzystów, pieszych oraz wszystkich kierowców, którzy prawo jazdy wygrali w Lay'sach.

Spojrzał czule w górne lusterko, obserwując Kacpra. Często przyłapywał się na rozmyślaniu o tym, kim w przyszłości będzie jego jedyne dziecko. Istniały setki możliwości. On skończył jako przedstawiciel handlowy. Może nie brzmiało to zbyt imponująco, lecz nigdy nie narzekał na swoją pracę. Mimo wszystko, jak to każdy rodzic, chciał, aby jego dziecko osiągnęło znacznie więcej. Lekarz? Prawnik? A może światowej klasy piłkarz?

Zbliżał się do ostrego zakrętu. Zmniejszył prędkość i gładko się w niego wślizgnął. Dalej droga była prosta. Pozwolił sobie przyspieszyć do dziewięćdziesiątki. Byli tutaj sami, a aplikacja, która zawsze ostrzegała go przed fotoradarami, w tym momencie milczała.

Jechał tak przez około pół godziny. Gdy pokonał las, odetchnął z ulgą. Zawsze bał się, że nagle wyskoczy mu przed maskę sarna albo dzik.

W oddali zobaczył światła nadjeżdżającego z naprzeciwka samochodu. Podejrzał, że to prawdopodobnie autobus lub jakiś dostawczak. Od kilku godzin były to jedyne pojazdy, jakie spotykał.

Po jego plecach przeszły nieprzyjemne ciarki. Pomimo tego, że światła były jeszcze bardzo daleko, Michał poczuł niepokój. Po pierwsze, pojazd zbliżał się zdecydowanie zbyt szybko. Po drugie, co jakiś czas światła gwałtownie uciekały w lewą lub prawą stronę drogi. Michał kilkakrotnie zamrugał. Pod powiekami czuł nieprzyjemne pieczenie.

Coś mi się przywidziało – pomyślał.

Ponownie wbił wzrok w zbliżające się światła. Powoli zaczął pojawiać się zarys maski. Facet musiał pruć minimum sto czterdzieści na godzinę.

Nagle światłami znowu zaczęło zarzucać. Michał zwolnił. Dystans między nim a nadjeżdżającym z naprzeciwka samochodem wynosił już zaledwie kilkadziesiąt metrów. Przez ułamek sekundy dało się dostrzec logo BMW.

Wydawało się, że BMW najzwyczajniej minie Michała. Już sekundy dzieliły go od wypuszczenia powietrza, które nieświadomie zatrzymał w płucach.

Nagle pędzący z naprzeciwka samochód zmienił pas ruchu. Teraz pędził prosto na Michała. Mężczyzna poczuł ostry ból w podbrzuszu, a na jego jasnych spodniach wykwitła ciemna

plama. Paralizujący strach na sekundę zabrał mu zdolność do reakcji.

Ostre światło sprawiło, że jego mózg zawył z bólu. Gwałtownie skręcił kierownicę, ale było już za późno.

Ciszę nocy rozerwał potężny huk. Na asfalt posypały się tysiące drobnych odłamków szkła, które w mroku nocy lśniły niczym diamenty. Zgrzyt rozrywanego metalu omal nie rozsadził głowy Michała. Samochodem potężnie zarzuciło, a tył uniósł się do góry. Fragmenty roztrzaskanej przedniej szyby wbiły się głęboko w twarz i przerażone oczy mężczyzny.

Jego żona miała więcej szczęścia, jakkolwiek źle by to nie zabrzmiało. W momencie zderzenia jej śpiące ciało zostało szarpnięte z taką siłą, że kark trzasnął jak sucha gałąź. Stało się to tak szybko, że kobieta nawet nie zdążyła się obudzić.

Oba pojazdy połączyły się w zwartą kupę dymiącego złomu. Przez kilkadziesiąt minut Michał balansował na krawędzi życia, czując jak grunt pod jego nogami osuwa się bezpowrotnie. Z licznych ran na jego ciele nieprzerwanie płynęła krew, wypłukując z niego resztki życia.

Pierwszy samochód pojawił się w tym miejscu dopiero dwie godziny później. Z dymiącego opla słyhać było już tylko słaby płacz dziecka.



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### NOWY DOM

Kacper miał teraz dwanaście lat. Siedział na huśtawce w nowym „domu”, pogrążony w myślach.

Po wypadku nie było osoby, która zaopiekowałaby się dwuletnim Kacprem. Jego rodzice nie mieli rodzeństwa, dziadkowie ze strony ojca poumierali na długo przed wypadkiem, a ze strony matki żyła tylko babcia, która od wielu lat przebywała w domu spokojnej starości, załatwiając swoje potrzeby w pieluchy o największym dostępnym rozmiarze i nie pamiętając nawet swojego imienia. Z tego powodu chłopiec musiał trafić do domu dziecka.

Nie pamiętał, jak to jest żyć razem z rodzicami. W domu dziecka miał mnóstwo braci i sióstr, z którymi dzielił całe swoje życie. Każde z nich trafiło tu z różnych przyczyn. Często zdarzały się przypadki, w których dziecko było zabierane z rąk rodziców-oprawców. Inni trafili tu, ponieważ byli niechciani. Brak odpowiedzialności ze strony młodych rodziców niszczył życie tych dzieci na samym starcie. Te negatywne doświadczenia łączyły chłopców i dziewczęta w silną rodzinę.

Wszyscy wychowawcy starali się stwarzać dzieciom jak najbardziej rodzinną atmosferę, jednakże ta co jakiś czas była zaburzana przez adopcje. Każda z nich była dla Kacpra ogromną stratą. Sam już dawno przestał się łudzić, że ktoś będzie chciał go adoptować. Zazwyczaj dorośli nie chcieli dzieci w jego wieku. Z jednej strony było to smutne, z drugiej jednak, wcale nie płakał z tego powodu. Dla niego prawdziwą rodziną była ta, jaką miał tu, w domu dziecka.

Adopcja była dla nich jak śmierć kogoś bliskiego. Widząc wsiadające do samochodu „nowych rodziców” dziecko, wszyscy wiedzieli, że już więcej go nie zobaczą. Takie osoby dostawały nowe życie, z którego słusznie czerpały pełnymi garściami.

Zawsze padały słowa typu „będę was odwiedzał/odwiedzała”, „kiedyś się spotkamy” lub „wyślę wam list”.

Wszystkie te obietnice były tylko pustymi słowami.

Przez ostatnie kilka lat dom dziecka, którego wychowankiem był Kacper, borykał się z ogromnymi problemami finansowymi. To, że placówka miała światło i ciepłą wodę, było tylko i wyłącznie zasługą władz Krakowa, które dokładały wszelkich starań, aby nie dopuścić do jej zamknięcia.

Niestety kilka miesięcy temu zapadła decyzja o zamknięciu domu dziecka. Długi były zbyt wysokie, aby placówka mogła sobie z nimi poradzić. Wszelkie akcje charytatywne i dobroczynne organizacje nie były w stanie nadążyć ze zbieraniem pieniędzy na pokrycie kosztów, które narastały z każdym dniem.

To była ciężka chwila dla wszystkich. Dla wychowawców strata pracy nie była zmartwieniem wobec tego, że musieli rozstać się z dziećmi, które od lat taktowali jak swoje. Pracę zawsze można znaleźć – jak nie tu to tam. Co innego opuszczać dzieci, które były na nich zdane.

Nikt nie ucierpiał na tym tak bardzo, jak podopieczni domu dziecka. Oznaczało to rozdzielenie rodziny. Zostali wyrwani ze swojego miejsca na Ziemi niczym spróchniały ząb i rzucony w nieznane.

Kacper miał na tyle szczęścia, że oprócz niego w nowym domu miała znaleźć się jeszcze trójka jego rodzeństwa.

## ROZDZIAŁ DRUGI

# DOM DZIECKA SIÓSTR BOŻEGO MIŁOSIERDZIA

Kacper lekko rozbijał huśtawkę. Zardzewiałe łańcuchy wydały przeciągły skowyt. Twarz chłopca owiał chłodny wiatr, rozwiewając czarną grzywkę. Jak na swój wiek, chłopiec był dość wysoki, a jego niebieskie oczy osadzone na bladej twarzy wydawały się zbyt duże.

Była połowa listopada – miesiąca, w którym życie zwalniało przed zimową hibernacją. Dom Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia znajdował się na skraju lasu, w jednej z niewielkich miejscowości pod Krakowem. Miejsce to na pierwszy rzut oka wydawało się piękne, lecz Kacper z jakiegoś powodu od początku go nie lubił. I nie chodziło tu o to, że nie ma z nim jego całego rodzeństwa. To miejsce miało w sobie coś złego.

Kropla chłodnego jesiennego deszczu spadła na nos chłopca. Starł ją niedbale i mocniej rozbijał huśtawkę. Łańcuchy zaskowyczały jeszcze żałośniej, jakby błagały go o litość. Kacper, czując się jakby ktoś go obserwował, odwrócił głowę i zerknął na budynek. W żadnym z okien nie widział nikogo, kto mógłby interesować się tym, co robi.

Nie podobało mu się to miejsce. Był tu zaledwie od kilku godzin, a już zdążył nabrać złych przeczuc, choć jeszcze nie wiedział, co mogło być ich źródłem.

– Oczy – powiedział sam do siebie.

Zaczął się nad tym zastanawiać. Tak... oczy wszystkich sióstr były takie same. Zimne i bez cienia dobroci. Z tych oczu nic się nie dało wyczytać. Były jak dwa nieoszlifowane kamienie. Patrzyły na wszystkich twardo, szorstko i z góry.

Niepokój, jaki odczuwał Kacper, wiązał się również z dziećmi, które tu mieszkały. Wydawały się one kryć w sobie jakąś wielką tajemnicę, której panicznie się boją.

Kolejna kropla deszczu spadła na jego nos. Chwilę później uderzył go w twarz powiew lodowatego wiatru. Czuć w nim było zbliżającą się zimę. Gdzieś na drzewach wisały pojedyncze liście, apatycznie bujając się w rytm narzucony przez wiatr.

Kacper pogрузił się w myślach. Słyszał tylko sporadyczne uderzenia kropel deszczu w poliestrowy kaptur i żalosne zawodzenie huśtawki.

Siostra Ezechiela. Ona pierwsza przychodziła mu na myśl. Wystarczyło jedno spotkanie, aby Kacper dowiedział się i zarazem utwierdził, że ta kobieta jest straszna. Jej wodniste niebieskie oczy wydawały się przenikać jak promienie Rentgena. Wiedział, że przed nią nie da się niczego ukryć.

– Kacper!

Chłopiec podskoczył jak oparzony. Wszystkie jego myśli trysnęły niczym mydlana bańka. Tego głosu nie mógłby pomylić z innym nawet po tym, jak słyszał go zaledwie raz. Głos należał do siostry Ezechieli.

Gwałtownie zahamował zawodzącą huśtawkę. Spod jego butów trysnął piach i drobne kamyczki. Poczł nieprzyjemny ból w podbrzuszu. Strach.

Powoli wstał i odwrócił się w stronę budynku. Siostra Ezechiela stała w progu drzwi, wyraźnie czekając aż przyjdzie. Chłopcowi wydało się, że przykrywający niebo kokon chmur nagle pociemniał. Spróbował przełknąć ślinę, ale wtedy poczuł, że ma gardło wyschnięte na wiór.

– Na co czekasz? Rusz się, bo zaraz zmokniesz.

Siostra Ezechiela – kobieta dobrze po siedemdziesiątce – uśmiechnęła się, choć nie było w tym uśmiechu ani cienia radości. Przypominał bardziej mordę strzygi, która dopadła kolejną zabłąkaną ofiarę i pławi się w myślach o rozerwaniu miękkiego brzucha i dobraniu się do gorących trzewi. Wybrakowane gnijące uzębienie zakonnicy jeszcze bardziej

dopełniało tego przerażającego efektu. Chłopiec poczuł nieprzyjemne ciarki, które przebiegły mu wzdłuż całego kręgosłupa.

Na nogach jak z waty zrobił jeden niepewny krok w stronę ponurego sierocińca. Przyjrzał się budynkowi. W wielu miejscach brakowało tynku, a gołe cegły wyglądały jak kości wychodzące z gnijącego ciała. Szyby w wielu miejscach były popękane, a w szarej dachówce znajdowały się liczne prześwity. Chłopiec był niemal pewien, że ten budynek żyje, na swój straszny sposób.

– Kacper!

Głos siostry Ezechieli wywołał kolejny dreszcz. Chłopiec wiedział, że nie może dłużej zwlekać. Musiał wejść do środka. Zebrał się w sobie i ruszył w kierunku ponurego budynku.

– Już idę, proszę siostry – powiedział. Starał się mówić tak, aby w jego głosie nie było słycać strachu. W rzeczywistości brzmiał jak niewinne „cześć kochanie” faceta, któremu inna kobieta robi laskę, podczas gdy jego żona wraca wcześniej do domu.

Wydawało mu się, że idzie całą wieczność. Każdy krok odczuwał tak, jakby zagrzebywał się w coraz gęstszej brei. Twardy grunt pojawił się dopiero wtedy, gdy stanął przed siostrą Ezechielą.

Kobieta obrzuciła go surowym wzrokiem. Była bardzo wysoka, a przy tym przeraźliwie chuda. Jej kości policzkowe były uwydatnione do tego stopnia, że zdawało się, iż zaraz przebiją naciągniętą do granic wytrzymałości pergaminową skórę. Spojrzenie, którym obdarzyła Kacpra, również mu się nie podobało. Do tej pory wychowawcy patrzyli na niego jak na swoje dziecko, nie jak na prywatną własność, z którą mogą zrobić co chcą i kiedy chcą.

– Wchodź – odezwała się siostra Ezechiela. Nawet nie siliła się na stwarzanie pozorów dobrej matki. Jej głos był ostry jak

kawałki potłuczonego szkła.

Kacper z niechęcią przestąpił próg. Parkiet głośno jęknął, sprawiając, że na całym ciele chłopca pojawiła się nieprzyjemna gęsia skórka. Drzwi zamknęły się za nim z głuchym trzaskiem. Był w Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia.

## ROZDZIAŁ TRZECI

# MAKABRYCZNE ODKRYCIE

Dwudziesty lutego był wyjątkowo pogodnym jak na tę porę roku dniem. Panował lekki przymrozek, dzięki któremu piękna zimowa aura utrzymywała się w najlepsze. Świeciło słońce, co sprawiało, że świeży śnieg aż raził w oczy.

Po załatwieniu spraw związanych z domem dziecka, w którym od siedmiu lat sprawował urząd dyrektora, wsiadł do swojej starej toyoty i wybrał się do Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia. Po drodze słuchał starego dobrego Iron Maiden. Uwielbiał, jak Bruce Dickinson nie szczędzi gardła w tak kultowych kawałkach, jak „The Number of the Beast”, który właśnie leciał.

W drodze rozmyślał również o tym, jaki prezent sprawić swojej żonie. Okazja była wyjątkowa, gdyż mieli obchodzić ćwierć wieku udanego małżeństwa, które przyniosło dwa dojrzałe owoce. Starszy syn, Adam, miał niedługo skończyć prawo i zostać mecenasem. Młodsza córka, Marysia, w tym roku rozpoczęła studia medyczne, na których całkiem nieźle sobie radziła. Aż robiło się ciepło na sercu dzięki świadomości, że ma się tak dobre dzieci. Fakt ten motywował go również do intensywnej pracy nad domem dziecka. Chciał, aby jego podopieczni, pomimo trudnego startu, również coś osiągnęli w życiu.

Zjechał z głównej drogi i dalej ruszył starym wysłużonym asfaltem, który chyba pamiętał czasy Mojżesza. W oddali, po jego lewej stronie, majaczyły górskie szczyty. Była to już ostatnia prosta. Później miał gorzko pożałować tego, że na nią wjechał.

Zatrzymał się przed Domem Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia. Nim zdążył wysiąść z samochodu, jego uwagę przykuł pewien niepokojący szczegół. Na podwórku nie

dostrzegł ani jednego dziecka. Biorąc pod uwagę to, jaka dziś była pogoda, wydawało się to wręcz niepokojące.

Wzruszył ramionami i wysiadł z samochodu. Jego twarz przyjemnie ogrzały ciepłe promienie słońca. Zrobił głęboki wdech, rozkoszując się czystym powietrzem, którego przez całą zimę brakowało miastu.

Ruszył w stronę drzwi wejściowych. Po drodze jego uwagę przykuła jeszcze jedna rzecz: w śniegu nie było żadnych śladów, ani świeżych, ani tych wcześniejszych, które nieznaczoną wklęsłością odznaczałyby się w białym puchu.

*Czyżby siostry nie wypuszczały swoich dzieci na dwór?* – zastanowił się.

Po raz kolejny wzruszył ramionami. Wszedł po skrzypiących stopniach i sięgnął do dzwonka. Nacisnął raz i czekał. Spodziewał się, że otworzy mu siostra Ezechiela, tak jak było zazwyczaj.

Minęło dobrych kilka minut. Zerknął na zegarek, nie rejestrując nawet, która jest godzina. Nadchodzące ciężkie chmury skryły słońce, sprawiając, że ten piękny dzień właśnie się skończył. Już do końca miesiąca miało być szaro i ponuro, a on nigdy nie miał zobaczyć słońca. Poczłł nieprzyjemne ciarki.

Po raz kolejny sięgnął do dzwonka. Czekał, lecz nadal nikt nie otwierał. Teraz niepokój przerodził się w strach, który kłującą kulą zagnieżdził się w jego podbrzuszu. To niemożliwe, żeby żadna z dwudziestu sióstr nie usłyszała dzwonka. A nawet jakby jakimś cudem to się stało, to są jeszcze dzieci, które też mają uszy.

Mężczyzna zszedł ze schodków i podszedł do okna. Rękawem kurtki próbował zetrzeć szron, lecz na niewiele się to zdało. Mimo tego zajrzał do środka. Wewnątrz było zupełnie ciemno.

Teraz strach przerodził się w panikę. Mężczyzna na drżących nogach z powrotem wszedł na schodki. Coś



podpowiadało mu, że powinien wrócić do samochodu, wcisnąć gaz do dechy i uciekać nie oglądając się za siebie. Zamiast tego ponownie wyciągnął dłoń i tym razem dzwonił przez dobre pół minuty. Podświadomie wiedział jednak, że i tak nikt mu nie otworzy.

Rozejrzał się dookoła. Liczył na to, że jego spojrzenie napotka idącą w jego stronę siostrę Ezechiełę, która obdarzy go swoim niezbyt ładnym uśmiechem. Gdyby to się stało, chyba wyściskałby ją z ulgi i radości. Jednak ani siostry Ezechieli, ani żadnej innej, tam nie było.

Zaczął prószyć drobny śnieg, który wieczorem miał zamienić się w utrudniającą pracę policji zamieć.

To był odruch. Nim zdążył zdać sobie sprawę z tego, co robi, jego dłoń sięgnęła do klamki i nacisnęła ją. Drzwi były otwarte, więc popchnął je lekko. Ciężkie dębowe skrzydło otworzyło się na oścież, jakby ciągnięte z drugiej strony niewidzialną ręką.

– O cholera. – Mężczyzna odwrócił się na pięcie i potężną strugą zwrócił swoją ulubioną jajecznicę na szynce i cebuli. Smród, który uderzył go w twarz, był nie do zniesienia. Mdląca woń gnijącego mięsa i fekaliów sprawiła, że zaczęło mu się kręcić w głowie.

Opatuliwszy szczelnie usta i nos szalikiem, wkroczył do środka. Dookoła było zupełnie ciemno. Był tu jednak wielokrotnie, więc wiedział, gdzie znajduje się najbliższy włącznik światła.

Idąc po omacku nastąpił na coś, co pod jego ciężkim zimowym butem pękło z ohydny płaszczyzną. Nie zwrócił jednak na to większej uwagi. Panika i niedowierzanie, jakie w tamtej chwili odczuwał, wzięły górę nad bodźcami zewnętrznymi.

Wreszcie dotarł do włącznika i zapalił światło. To, co zobaczył, sprawiło, że w jego gardle zamarł krzyk. Dookoła leżały kawałki mięsa i strzępy habitów. Do tego wszędzie była

zakrzepnięta krew; pokrywała dosłownie wszystko – podłogę, ściany, okna, a nawet sufit.

Tutaj smród był o wiele silniejszy. Mężczyzna przełknął ostrożnie ślinę, czując, że jego żołądek ponownie chce katapultować częściowo strawione resztki śniadania.

Zamknął oczy licząc, że to zwykłe przywidzenie. W końcu był dobrze po pięćdziesiątce. Niektórych już w tym wieku potrafiła dopaść demencja.

Otwierając oczy, liczył na to, że tym razem zobaczy normalne wnętrze Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia. Niestety, nic nie uległo zmianie.

Jego wzrok padł na zniekształconą twarz, która uśmiechała się do niego z podłogi. Głowa była odcięta równo jak od katowskiej gilotyny. Resztki włosów wydawały się być wtopione w pomarszczoną skórę. Pęknięcia w policzkach odsłaniały kości i zęby. Ich kolor przypominał palce długoletniego palacza, a puste oczodoły wyglądały jak studnie bez dna.

– O kurwa! – zaklął. Treść jego żołądka podskoczyła jeszcze wyżej, znajdując wreszcie ujście. Paskudnie ciepłe resztki wymiocin, spłynęły mu pod kurtką, nieprzyjemnie drażniąc szyję i klatkę piersiową.

Nagle coś przykuło jego uwagę. Był to fragment ręki. Dłoń o szponiastych, powyginanych pod dziwnymi kątami palcach, wydawała mu się bardzo znajoma. Dopiero gdy zobaczył stary srebrny sygnet z błękitnym kamieniem, zdał sobie sprawę z tego, że ręka należała do siostry Ezechieli.

Coś przeleciało mu tuż przed oczami. Mężczyzna ocknął się i rozejrzał. Wokół okrytej kiczowatym kloszem żarówki krążyła samotna ćma. Zapragnął stąd uciec. Jego nogi z początku nie chciały słuchać głowy. Stał jak wrośnięty, nie mogąc wykonać ani jednego kroku. Poczul lekki ból w klatce piersiowej, który był pierwszym sygnałem zbliżającego się zawału.

Wreszcie ruszył z miejsca. Wydawało mu się, że droga na zewnątrz trwa całą wieczność. Przypominało to sen, w którym gnany panicznym strachem człowiek próbuje przed czymś uciec. Pomimo wypruwania sobie żył, porusza się, jakby brodził po kolana w smole. Rozpaczliwe ruchy sprawiają tylko, że zapada się coraz głębiej, podczas gdy zagrożenie już mu dyszy w kark.

W tym miejscu na ogół sen się kończy. Człowiek budzi się i wystarczy kilka głębokich wdechów, by przyszło błogosławione uczucie zrozumienia, że to był tylko wytwór wyobraźni.

Mężczyzna wybiegł z Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia. Na schodach stracił równowagę. Jego otępiały mózg zareagował zbyt późno. Nie zdążył wyciągnąć przed siebie rąk. Wyrznął na pokryty warstwą świeżego puchu lód, rozcinając sobie paskudnie twarz i wybijając dwie górne jedyunki. Był teraz przeciwieństwem kreskówkowego królika Bugsa.

Wstał i otrzepał ręce. Nawet nie zorientował się, że z ust płynie mu krew. Drżącą dłonią wyciągnął z kieszeni telefon i zadzwonił na policję. Po tym, zataczając się jak schlany najpodlejszym piwem z taniej speluny, udał się do swojego samochodu. Zwalił się na fotel kierowcy i stracił przytomność.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

# NIEWYJAŚNIONA SPRAWA

W zadymionym pomieszczeniu siedziało dwóch mężczyzn. Jeden z nich, przedwcześnie łysiejący trzydziestolatek, zgasił w popielniczce papierosa, po czym wyjął z paczki kolejnego. Przez chwilę obracał go między palcami, jakby zastanawiając się, czy po tym jego płuca zamienią się w to, co przedstawiała ilustracja na paczce. W końcu wsadził papierosa w kącik ust i odpalił staromodną benzynową zapalniczką.

Drugi mężczyzna był znacznie starszy. Na jego włosach gdzieś było widać blade odcienie dawnego koloru. Poza tym były niemal całkowicie siwe. Wiek emerytalny osiągnął już rok temu, ale ani myślał odchodzić z tej roboty. Dostałby świra siedząc codziennie w domu i nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Praca detektywa przypominała nałóg. Z jednej strony miało się jej dość i chciało się rzucić raz na zawsze, z drugiej jednak nie sposób było ot tak z niej zrezygnować.

Rozpiął górny guzik niebieskiej koszuli. Skinął na paczkę.

– Nie miałeś przypadkiem rzucać? – zapytał młodszy detektyw imieniem Robert.

– Miałem, ale ta praca robi z ludzi alkoholików i nikotynistów na całe życie – odparł.

Robert w odpowiedzi podsunął mu paczkę.

– Ministerstwo sprawiedliwości stawia coraz większy nacisk – oznajmił Krzysztof. Jego głos był suchy i nieprzyjemny.

– Wiem... – Robert zaciągnął się i wolno wypuścił dym. Gęsta chmura poleciała w kierunku pojedynczej ledówki, która mdłym blaskiem oświetlała całe pomieszczenie. – Ale co ja im mam, kurwa, powiedzieć? Że przyleciało UFO, zabrało wszystkie dzieci, a zakonnice dla zabawy zamieniło w mielonkę?

– Uspokój się. – Krzysztof sam miał ochotę wybuchnąć. On również był zirytowany faktem, że minął już miesiąc, a sprawa nadal tkwi w martwym punkcie.

– Media szaleją. Wytykają nam niekompetencję i to, że nie interesujemy się sprawą – wymieniał Robert. – A my od miesiąca nie jesteśmy w stanie powiedzieć, co się tam stało. Przejrzeliśmy każde pierdolone ziarenko piasku w całym lesie i, kurwa, nic! Żadnych odcisków butów, stóp, rąk, niczego! Dzieci po prostu się ulotniły. Ja to wiem, ty to wiesz, cały wydział, który zajmuje się tą sprawą, też to wie.

– Taaa... – Krzysztof strząsnął popiół do przepełnionej popielniczki. – Ale taki stan utrzyma się dopóki czegoś nie znajdziemy.

– Krzysiek... – W tonie młodszego detektywa słyszeć było politowanie. – Powiedz mi, czego jeszcze nie próbowaliśmy, a zaraz zorganizuję ludzi i pojedziemy tam po raz Bóg wie który. Tylko rzuć pomysł, bo moje już się wyczerpały.

– Moje chyba też... – westchnął starszy detektyw. – Mieliśmy śmigłowce, psy tropiące, wszystkie techniki, których nie było jeszcze dziesięć lat temu. Teraz trzeba czekać chyba na cud.

– Zakładając, że do tego momentu nie odsuną nas od śledztwa. – Robert zgasił niedopałek i odruchowo wyciągnął rękę w kierunku paczki.

– Nie sądzę. Do tej pory nie było sprawy, która by nas przerosła. Jesteśmy w tym najlepsi.

Po tych słowach zapadło ciężkie milczenie. Robert zaczął przypominać sobie całą sprawę. Po raz kolejny szukał czegoś, co mogłoby mu umknąć.

Do makabrycznego odkrycia doszło równo miesiąc temu, 20 lutego 2017 roku. Czas, w którym miała miejsce sama zbrodnia, nadal pozostawał tajemnicą. Z ekspertyz wynikało, że fragmenty ciał sióstr były w różnym stadium rozkładu. Do tego wyglądały tak, jakby ktoś przy użyciu ogromnej siły rozerwał

ciała, a następnie chaotycznie rozrzucił ich kawałki po całym budynku.

Przypomniiał sobie moment, w którym weszli do budynku. Przeszedł go dreszcz, a zawartość żołądka – chińszczyzna na wynos – podskoczyła jak ryba wyjęta z wody.

Miejsce wyglądało jak rzeźnia, w której zwierzęta ubijane są w najbardziej niehumanitarny sposób. Wszędzie znajdowała się zaschnięta krew i trudne do zidentyfikowania kawałki ciał.

Jako pierwsza na miejscu pojawiła się policja, wezwana przez dyrektora jednego z krakowskich domów dziecka. Mężczyzna, zaniepokojony faktem, iż od dwóch tygodni nie może skontaktować się z jedną z sióstr, pojechał tam, aby sprawdzić, co się stało.

Krzysztof zgasił ostatniego papierosa z paczki. W głowie czuł pulsujący ból, z którego prawdopodobnie za kilka godzin zrodzi się potężna migrena.

– Chyba jednak mam jeszcze jeden pomysł – oznajmił zmęczonym głosem.

– Jaki? – Robert drgnął jak wyrwany z lekkiej drzemki.

– Zwołaj ludzi. Ja za ten czas muszę wykonać telefon.

– Ale o co...

– Nie zadawaj pytań, bo jak ci powiem, to za diabła się na to nie zgodzisz – wpadł mu w słowo Krzysztof, po czym wybiegł z pokoju, zostawiając swojego kolegę w kłębach papierosowego dymu.

## ROZDZIAŁ PIĄTY NAUCZKA

Kacper rozejrzał się ukradkiem. Staroświecka sala w niczym nie przypominała tej, w której dotąd jadł; była szara i ponura. Sufit był bardzo wysoki, co sprawiało, że człowiek czuł się mały i bezbronny. Ściany pokrywała popękana farba, która wydawała się ledwo na nich trzymać. Obrazy przedstawiające wizerunki świętych wisiały praktycznie jeden na drugim.

Chłopiec spojrział w surowe oblicze Świętego Piotra, które piorunowało go wzrokiem ze starej drewnianej ramy. W sali panowała grobowa cisza – to było nietypowe, biorąc pod uwagę fakt, że znajdowało się tutaj przynajmniej czterdzieścioro dzieci. Do tej pory jadalnia kojarzyła mu się nie tylko z napełnianiem brzucha pysznościami, ale również z wesołym gwarem.

Na środku ponurej sali znajdowały się dwa długie stoły wykonane z litego drewna. Przy jednym siedziały dziewczynki, przy drugim chłopcy. Był jeszcze jeden, nieco mniejszy stół, usytuowany pod ścianą, przy którym siedziały siostry. Nad tym stołem wisiał olbrzymi drewniany krzyż z przybitą do niego równie wielką sylwetką Jezusa Chrystusa. Jego umęczona twarz okazywała niewyobrażalne cierpienie, które wydawało się przechodzić na każdego, kto tylko na nią spojrział.

Kacper zaczął się wiercić na niewygodnym krześle, lecz szybko przestał, widząc karcące spojrzenie Świętego Piotra. Ten wizerunek mu jakoś nie odpowiadał. Wydawał się przesiąknięty złem. Nie taki obraz świętego zapadł w pamięci chłopca.

Stół zastawiono talerzami, sztucami i kubkami, przy czym każda sztuka wydawała się pochodzić z zupełnie innego kompletu. Różniły ich nie tylko kolory, lecz również kształty oraz rozmiary.

Chłopiec spojrzał na swój talerz. Leżały na nim trzy kromki czerstwiejącego chleba. Obok nich znajdowała się niewielka kosteczka masła oraz kilka plasterków żółtego sera. Całość zwieńczał blady pomidor.

– Drogie dzieci! Podziękujmy Panu Bogu za te dary. – Głos siostry Ezechieli brutalnie rozdarł niczym niezmaconą ciszę.

Przez całą salę przebiegł szmer odsuwanych krzeseł. Wszyscy wstali. Zdziwiony Kacper, idąc za ich przykładem, również wstał.

– Panie Boże – odezwał się chór dziecięcych głosów – dziękujemy ci za ten chleb i wodę, którymi nas obdarzyłeś. Jednocześnie przepraszamy za naszą marność, brak pokory i chciwość, zarówno w czynie, w myśli, jak i w słowie. Obiecujemy poprawę z całego serca i całej duszy naszej. Amen.

Kacper stał, słuchając. Nie znał tych słów podziękowania, ponieważ nigdy dotąd nie miał styczności z takim zwyczajem. Czytał kiedyś w jakiejś książce rozdział, który to opisywał, lecz te słowa nie były takie suche i pełne... sam nie wiedział czego. Słuchając ich, czuł narastający niepokój.

– Usiądźcie – nakazała siostra Ezechiela. – Dzieci, które od dzisiaj należą do naszego domu, mają obowiązek do rana nauczyć się modlitwy. Poproście rówieśników, aby po kolacji powtórzyli wam słowa. Nie chcę jutro widzieć ani jednej milczącej osoby. Zrozumiano?

– Tak, siostrze Ezechielu – odezwał się ponownie dziecięcy chór.

– Doskonale. Tymczasem jedzmy. Smacznego.

Dopiero po tych słowach dzieci zaczęły siadać na miejscach. Kacper spojrzał na swój talerz. Jeszcze kilka chwil temu jego żołądek domagał się jedzenia, lecz w trakcie modlitwy apetyt uleciał gdzieś bezpowrotnie.

– Lepiej jedz, bo jak siostra Ezechiela zobaczy, że nie chcesz jeść, to się wkurzy.



Kacper spojrzał w prawo. Słowa wypowiedział chłopiec, który na pierwszy rzut oka wydawał się starszy od niego o jakieś trzy lata. Miał krzywo przycięte, kruczoczarne włosy, wystające przednie zęby i szarozielone oczy. Całą jego twarz pokrywały częściowo rozdrapane pryszcze.

– Dlaczego miałaby...

– Ciiii. – Chłopiec przyłożył palec wskazujący do ust. – Dowiesz się szybciej niż myślisz – szepnął jeszcze, po czym zabrał się za pałaszowanie swojej kanapki. Skinął porozumiewawczo głową, żeby i Kacper zaczął jeść.

– No dobra – odburknął chłopiec, po czym wziął w lewą dłoń nóż i przekroił pomidora. Ze środka z ohydny cmoknięciem wypłynął sok i zielonkawe pestki. Nie przepadał za pomidorami, ale nie wydawało mu się, żeby chłopiec siedzący obok kłamał. Wyraz jego oczu mówił sam za siebie.

W ich kierunku szła jedna z młodszych sióstr. To akurat nie zdziwiło Kacpra. Do tej pory w jadalni zawsze był ktoś, kto czuwał nad dziećmi. Miało to swój powód. Pamiętał Igora, z którym mieszkał w poprzednim domu. Pewnego dnia dyżurująca pani uratowała mu życie. Igor zakrztusił się pestką z moreli, którą podrzucał i próbował złapać w zęby. Kilka razy udało mu się to zrobić, za co został nagrodzony gromkimi oklaskami i okrzykami zachwytu. W pewnym momencie pestka minęła zęby, które nie zdążyły jej złapać, po czym wleciała prosto do gardła. Gdyby nie było nikogo dyżurującego, Igor z pewnością by się udusił. Od tego momentu nigdy nie tknął moreli ani innych owoców, które miały duże pestki. Kacper podejrzewał, że do dziś ma ten uraz.

Zaczął smarować kromkę cienką warstwą masła. Ta niewielka kostka, która leżała na jego talerzu, mogła starczyć może na półtorej kromki, ale na pewno nie na trzy.

– Złą ręką trzymasz nóż.

Kacper podskoczył jak oparzony. Głos, który rozległ się tuż przy jego uchu sprawił, że jego serce zabiło szalonym rytmem. Powoli podniósł głowę i zwrócił ją w kierunku siostry, która dyżurowała.

– S-słucham?

– Powinieneś używać prawej ręki, tak jak robi to każdy – odpowiedziała siostra, po czym niespodziewanie wyrwała mu sztuciec i siłą wsadziła do prawej dłoni, która w jego przypadku była zupełnie nieporadna. – Spróbuj teraz. Tak będzie ci o wiele wygodniej.

– Ale...

– Żadnych „ale”, tylko masz się nauczyć jeść jak normalny człowiek! – Oczy kobiety, jak dwa ciężkie gązdy, zdawały się przygniatać chłopca, nie dając mu innej możliwości.

Drżącą ręką nabrał ostrożnie masła i zaczął smarować chleb. Szło mu okropnie. Większość masła rozsmarował sobie po palcach lewej dłoni. W dodatku czuł na karku nieprzyjemnie ciepły oddech siostry.

W pewnej chwili nóż wysliznął mu się i z głośnym brzękiem upadł na twardą posadzkę. Rzadkie szepty nagle umilkły, a ich miejsce zastąpiła głucha cisza. Kacper czuł na sobie spojrzenia wszystkich dzieci.

– I co zrobiłeś? – zapytała siostra surowym tonem. Jej czoło przecięła pojedyncza głęboka bruzda.

– P-p-p...

– Co się stało? – Siostra Ezechiela pojawiła się tak nagle, jakby tu nie przyszła, lecz zmaterializowała się znikąd.

– On jest mańkutom – powiedziała młodsza siostra. – Chciałam go nauczyć posługiwania się prawą ręką, ale, jak widać, opornie mu to idzie.

– Kacper, spójrz na mnie.

Chłopiec, drżąc na całym ciele, podniósł powoli głowę i spojrzał na surowe oblicze siostry Ezechieli.

– Jesteś leworęczny?

Skinął głową.

– Słucham? Nie słyszę odpowiedzi.

– T-t-tak. – Ledwo zdołał wykrztusić to słowo.

– I nie potrafisz posługiwać się nożem w prawej dłoni?

– T-t-tak – powtórzył.

Czuł na sobie ukradkowe spojrzenia dzieci, co wcale nie dodawało mu otuchy, lecz napawało jeszcze większym niepokojem.

– Rozumiem... – Głos siostry Ezechieli był szorstki jak papier ścierny. – Wiesz, co zrobiłeś źle? – zapytała po chwili.

– U-upuściłem n-nóż – odparł chłopiec. Czuł coraz silniejszy strach. Bał się siostry, która zwróciła mu uwagę, bał się siostry Ezechieli, bał się tego miejsca i wszystkich dzieci, które tu mieszkały. Miał ochotę wstać i wybiec, lecz jego nogi stały się ciężkimi kłodami, którymi za nic nie potrafił poruszyć.

– To też – przyznała siostra Ezechiela. – Ale to nie wszystko. Jest jeszcze coś i myślę, że ta rzecz jest gorsza niż brudny nóż. Wiesz, o co mi chodzi?

Chłopiec gorączkowo myślał. Gdyby jego mózg był mechanizmem przypominającym zegar, tryby znajdujące się w nim rozgrzane byłyby teraz do czerwoności. Nie miał pojęcia, czym mógł zawinić.

– Nie wiem – odparł.

– A powinieneś, prawda?

– T-t-tak...

– Wiedza kosztuje – oznajmiła siostra Ezechiela, po czym sięgnęła szponiastą dłonią do jego talerza. Jej palce były powyginane pod dziwnymi kątami, co świadczyło o artretyzmie. Pomimo tego z nadzwyczajną zwinnością zabrała jedną kromkę i plasterek sera. – Może teraz się dowiesz? Co zrobiłeś źle poza upuszczeniem noża? – Uniosła pytająco brew.

Chłopiec był w głębokim szoku. Siostra zabrała mu jedną kanapkę z i tak marnej kolacji, a do tego oczekiwała odpowiedzi na pytanie, którego nie rozumiał. Jedyne, co uważał za złe, to upuszczenie noża. Wcześniej zamienił kilka słów z chłopcem, który siedzi obok. Może o to chodziło? Postanowił zaryzykować.

– Rozmawiałem przy stole.

– O, rozmawiałeś przy stole! – W oczach siostry Ezechieli pojawił się wyraz mściwej satysfakcji. Po raz kolejny szponiasta dłoń wystrzeliła w kierunku jego talerza. Kolejna kanapka i plasterek sera zniknęły z jego dzisiejszego posiłku. – Nie wiem jak was tam wychowali. – W jej głosie wyraźnie słychać było pogardę. To go bardzo uderzyło, lecz wiedział, że dla własnego dobra nie może nic powiedzieć.

Przez chwilę panowała cisza. Kacper patrzył na czubki swoich butów. Czuł w oczach nieprzyjemne pieczenie łez, które chciały wydostać się na zewnątrz, lecz on uparcie nie pozwalał im na to.

– Wstań, smarkaczu. – W tonie głosu siostry Ezechieli było teraz słychać czystą nienawiść. Słyszac go, Kacper był pewien, że zakonnica życzy mu wszystkiego najgorszego.

Jego nogi zareagowały szybciej niż zdążył pomyśleć. Nim się zorientował już stał.

– Spójrz na mnie.

Spojrzał. Twarz siostry przypominała trupią czaszkę. Jej skóra wydawała się być napięta do granic wytrzymałości, a zapadnięte oczy brutalnie wwiercały się w niego.

– Powiem ci, co zrobiłeś źle – powiedziała tonem pełnym stoickiego spokoju, który zupełnie nie pasował do sytuacji – ale to też będzie kosztowało. – Zabrała z talerza chłopca ostatnią kromkę chleba i ostatni plasterk sera. – A teraz czas na lekcję, więc słuchaj mnie uważnie, bo bardzo nie lubię się powtarzać. – Przerwała, patrząc na niego wyczekująco.

Chłopiec kiwnął głową na znak, że słucha.

– Nie będę tolerowała takich zachowań w moim domu! – Jej krzyk rozszedł się echem po całej sali. Ktoś cicho jęknął, z innej strony dał się słyszeć pojedynczy szloch. – W moim domu wszyscy jedzą i piszą prawą ręką! Rozumiesz?! Nie będę tolerowała takich dziwaków jak ty! Jeżeli ci się to nie podoba, to wynocha do lasu!

Krzyki siostry Ezechieli wydawały się wwiercać w głąb jego zmęczonego i przerażonego umysłu. Wypełniały go po brzegi, siejąc jednocześnie spustoszenie. Próbował się jakoś uspokoić, ale z marnym skutkiem.

Wreszcie łzy, które tak długo w sobie dusił, spłynęły po jego policzkach. Widział twarz siostry Ezechieli jak przez mgłę, lecz jej wyrazu nie dało się pomylić z niczym innym. Satysfakcja. Kobieta cieszyła się, widząc, że upodliła i wystraszyła niewinne dziecko. Uwielbiała ten widok. Był dla niej tak kojący, że z surowej starczej twarzy nagle ubyło przynajmniej piętnastu lat.

– Zaraz pójdziesz do swojego pokoju i przemyślisz dzisiejszą naukę – oznajmiła zakonnica – ale najpierw zjesz kolację. – Skinęła w stronę jego talerza, na którym pomidor smętnie leżał w kałuży swoich wnętrzności.

Kacper pokiwał głową. Tylko na tyle było go stać. Nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Łzy płynęły z jego oczu nieprzerwanym strumieniem, zostawiając na policzkach mokre szlaki.

– Chciałabym jeszcze coś od ciebie usłyszeć – oznajmiła siostra Ezechiela i spojrzała na niego wyczekująco.

– P-p-przepraszam. – Chłopiec drżał jak w febrze.

– Słucham? Mówisz strasznie niewyraźnie, a ja już nie mam takiego słuchu jak kiedyś. – Na twarzy starszej kobiety widać było dziką radość. Usłyszała, co Kacper powiedział, lecz pokusa zadania jeszcze jednego kopniaka była dla niej zbyt silna.

– Przepraszam – powtórzył, tym razem bez zajknięcia, co przysporzyło mu wiele wysiłku.

– Dobrze. – Wyraz dzikiej satysfakcji zniknął z twarzy kobiety. – A teraz zjedz, co masz do zjedzenia, i idź spać. – Rozejrzała się po sali. – A wy na co się gapicie? Już zjedliście, czy też macie za dużo?

Przez salę przebiegł szmer. Wszystkie nosy niemal wbiły się w talerze. Dał się słyszeć odgłos pospiesznego przeżuwania, jakby dzieci obawiały się, że ich niewielkie porcje również ulegną zmniejszeniu.

Siostra Ezechiela odeszła. Dyżurująca natomiast, jak gdyby nigdy nic, kontynuowała obchód.

– Pssst.

Kacper odwrócił się. Po raz kolejny spojrzał w twarz przyszczatego kolegi.

– Wyciągnij pod stołem rękę – szepnął chłopak.

– Po co?

– Nie zadawaj pytań. – Oczy chłopca miały nagłą wyraz.

Kacper, nie mówiąc nic więcej, wyciągnął pod stołem dłoń. Poczuł, jak chłopiec kładzie na niej coś lekkiego.

– Nie patrz, co to jest, tylko schowaj od razu do kieszeni.

– Jasne.

– Jestem Przemek.

– A ja Kacper.

Przez resztę kolacji nie odezwali się już do siebie ani słowem. W którymś momencie Kacper ukradkiem spojrzał na talerz Przemka. Zanim przyszła tu siostra dyżurująca, a później ta siostra Ezechiela, na jego talerzu znajdowały się dwie kanapki. Teraz była jedna. Kacper zrozumiał, co przed chwilą schował do kieszeni. To była jedna z kanapek Przemka. Poczuł nieopisaną wdzięczność dla nowego kolegi. Chciał mu podziękować, ale na sali panowała teraz grobowa cisza, której lepiej było nie zakłócać.

Spojrzał w stronę stołu sióstr. Ezechiela, która siedziała na najwyższym krześle na samym środku, jadła właśnie spory

kawał kiełbasy.

*Piątkowy post* – pomyślał z zażenowaniem, po czym rozejrzał się w celu upewnienia, czy przypadkiem nie wypowiedział tych słów na głos.

Pomidora zjadł tylko dlatego, że był nieziemsko głodny. Po „interwencji” siostry Ezechieli czuł się tak zmęczony, że zjadłby konia z kopytami. Przełknął pomidora i czekał, aż będą mogli opuścić jadalnię.

Pół godziny później siedział w swoim łóżku, zawzięcie pałaszując kanapkę, którą dostał od Przemka.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

### DECYZJE I ICH KONSEKWENCJE

Robert niemalże wbiegł do gabinetu i z hukiem zatrzasnął drzwi. Wściekłość, która malowała się na jego twarzy, sprawiła, że rysy stały się jeszcze ostrzejsze niż zazwyczaj.

Krzysztof oderwał oczy od monitora.

– Co jest? – zapytał.

– Jeszcze, kurwa, pytasz?! – Robert z furią zaczął grzebać w kieszeni. Po chwili wyciągnął z niej niedbale złożoną kartkę i rzucił na biurko. – Czytaj.

Krzysztof spojrział na kolegę, po czym rozłożył kartkę i zaczął czytać:

*21 marca 2017*

*Wczoraj nasi reporterzy uzyskali zaskakujące informacje dotyczące głośnej sprawy, związanej z Domem Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia. Od przeszło miesiąca policja i Ogólnopolskie Biuro Detektywistyczne nie są w stanie rozwiązać zagadkowej zbrodni, która miała tam miejsce. Gwoli ścisłości, chodzi o bestialskie morderstwo dwudziestu sióstr oraz tajemnicze zaginięcie czterdzieścioro dzieci w przedziale wiekowym od dziesiątego do siedemnastego roku życia.*

*Przez cały miesiąc trwa dochodzenie, które nie przynosi żadnych skutków. Czyżby nasze służby nie chciały rozwikłać tej sprawy? A może potrzebna jest pomoc bardziej kompetentnych organów ścigania? Tego jeszcze nie jesteśmy pewni, lecz wszystko wskazuje na to, że nieprędko doczekamy się rozwiązania tej sprawy.*

*Jak informowaliśmy Państwa w poprzednich artykułach, Ogólnopolskie Biuro Detektywistyczne używało już psów*



*tropiących, dronów oraz zdjęć w podczerwieni. Niestety, to wszystko nie przyniosło najmniejszych rezultatów.*

Krzysztof oderwał wzrok od tekstu.

– Przecież nie napisali tu...

– Czytaj dalej.

Starszy detektyw skinął głową, po czym wrócił do tekstu. Jego oczy szybko biegły od lewej do prawej, pochłaniając kolejne litery, zdania, a w końcu całe wyrazy. Z każdym kolejnym akapitem robiły się coraz większe.

*Wczoraj, tj. 20 marca 2017 roku, zdecydowano o podjęciu współpracy z Edwardem Morawskim, znanym w całym kraju jasnowidzem. Wydaje się to śmieszne i świadczy o desperacji, w jakiej znalazły się nasze „godne zaufania” służby.*

*Czy faktycznie już brak im pomysłów i metod poszukiwawczych, aby prosić o pomoc wróżbitę, który rzekomo dwadzieścia lat temu pomógł w odnalezieniu gwałciciela 12-letniej Oliwii...*

Krzysztof odłożył kartkę i potarł palcami kąciki oczu.

– I co? – zapytał Robert, nie kryjąc złości.

– To, czego mogliśmy się spodziewać. Pytanie tylko, skąd, do ciężkiej cholery, mogli się dowiedzieć. Dołożyłem wszelkich starań, żeby to nie wyszło poza naszych ludzi.

– To coś słabo się starałeś. Teraz dopiero się zaczniesz. Już pewnie połowa tego kraju ma nas za ostatnich kretynów. – Robert niedbale wygrzebał z paczki papierosa. Szybko go odpalił i zaciągnął się głęboko dymem. Poczował jak jego buzujące nerwy zaczynają stopniowo opadać.

Wypalił papierosa i schował spalonego do połowy filtra w kieszeń marynarki.

– Wiesz, że nie wygrzebiemy się z tego gówna do końca zawodowej kariery. – To było bardziej stwierdzenie niż pytanie. – Ty możesz skończyć ją w każdej chwili, nawet teraz. Ze mną będzie trochę gorzej.

– A co innego mogliśmy zrobić? – zapytał Krzysztof obronnym tonem. – Czekać aż sprawa sama się rozwiąże? Zawsze uważałem, że lepsze są absurdalne sposoby niż całkowita bierność.

Robert nie odpowiedział. Po części jego kolega miał rację, lecz ciężko było mu to przyznać z racji tego, że zostali wyśmiani przez media. A jak wiadomo, za mediami idzie naszprycowane opinią dziennikarzy naiwne społeczeństwo.

– Popatrz na to z innej strony – odezwał się Krzysztof, przerywając ciężkie milczenie. Wyciągnął z kieszeni starą, zdobną w fikuśne wzory papierośnicę, którą miał jeszcze po ojcu. Wyciągnął papierosa i zaczął obracać nim z palcach.

– Hm?

– On coś widział – powiedział Krzysztof. – Pamiętasz jego minę?

– A skąd wiesz, że nie udawał? Tacy ludzie mają to wypracowane lepiej niż przedstawiciele handlowi. – Robert odpalił kolejnego papierosa.

– Przyznałbym ci rację, ale kto normalny udaje do tego stopnia, że trzeba go wyprowadzać z budynku z mokrą plamą na dupie?

– A czułeś jak ciągnie od niego winem? Może zlał się, bo tego dnia przegiął z chlaniem? To alkoholik, a ty wziąłeś go do pomocy! Dobrze, że dziennikarze tego nie zauważyli, bo wpadlibyśmy w jeszcze gorsze gówno.

Zapadło milczenie. Robert zastanawiał się nad całym zajściem z poprzedniego dnia. Ta sprawa nie dała mu zasnąć praktycznie przez całą noc. Wyraz twarzy tego jasnowidza przywodził na myśl osobę, której cudem udało się uciec spod

noża. Jeżeli udawał, to musiał być w tym niekwestionowanym mistrzem.

– Nic nam nie powiedział – rzekł po chwili. – Kiwał tylko głową jak kukła.

– Owszem, wczoraj się nie dało nic z niego wydusić. – Krzysztof wypuścił nosem kłęb gęstego dymu. – Nie oznacza to jednak, że dziś albo jutro będzie tak samo. Możemy spróbować przesłuchania na przykład jutro. Damy mu dziś odpocząć, ale jutro będziemy go wypytywać aż do momentu, w którym nie zacznie gadać. Nawet jakby to miało trwać i całą noc.

– Dobra. – Robert wstał i zrobił krok w kierunku drzwi. – Możemy tak zrobić, ale teraz idę zająć się bardziej... przyziemnymi sprawami. – Na ostatnie dwa słowa położył szczególny nacisk.

– Jasne, leć. – Krzysztof zgasił niedopałek.

Gdy jego kolega zamknął drzwi, spojrzął w na leżący wydruk z informacyjnego portalu *krakowskie-info.pl*.

– Szmatławiec – rzucił mężczyzna, po czym zgniół kartkę i wrzucił ją do przepełnionego kosza.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

### KARA

Edward nalał sobie kolejną lampkę wina. Czerwone wytrawne, jego ulubione. Do tego średnio wysmażony stek, który konsystencją przypominał gumę, a smakiem... też coś, co zaczyna się na literę „g”, ale z całą pewnością smakuje gorzej niż guma.

Zamówił to w słabej i taniej restauracji, która znajduje się w miarę blisko i dowozi jedzenie do domu. Nie miał ochoty wychodzić do ludzi. Dobrze, że miał w domu spory zapas wina. Co prawda, musiał go stale uzupełniać, ale tak się składało, że wczoraj po powrocie do domu nie miał ochoty na alkohol. Nie pamiętał, kiedy ostatnio miał taki dzień. Chyba ze trzy lata temu, kiedy struł się i wylądował w szpitalu.

Obracał w dłoni lampkę trunku, przyglądając mu się niewidzącym wzrokiem. Przez cały czas miał w głowie myśli, których chciał się pozbyć. Pragnął zresetować swój mózg do zera, ale nawet alkohol mu nie pomógł. Cały czas widział te makabryczne sceny. To coś, co tam było.

Drgnął gwałtownie rozlewając na koszulę trochę wina.

– Niech to szlag – warknął, po czym sięgnął po chusteczkę. Może i był alkoholikiem, ale zawsze dbał o czystość. Jego mieszkanie zawsze było nienagannie posprzątane, ubiór schludny, a on sam nigdy nie wychodził z domu będąc skrajnie narżnięty. Zdradzały go jedynie zaczerwieniona twarz oraz woń alkoholu w oddechu. Wydawało mu się jednak, że to na tyle błahe, iż nikt nie jest w stanie tego zauważyć.

Jednym łykiem opróżnił całą zawartość lampki. Przez chwilę smakował wino, niczym koneser, który nie pije po to, żeby ledwo kontaktując skończyć z głową w kiblu, jak to zazwyczaj było w jego przypadku.

Nalał sobie kolejną lampkę, po czym sięgnął do kieszeni. Wyciągnął z niej nienapoczętą paczkę chesterfieldów. Rzucił palenie prawie dziesięć lat temu. Prawie cała dekada bez smaku papierosa, gryzącego dymu i kaszlu. Jego płuca z pewnością były mu za to wdzięczne, lecz tego wieczora o tym nie myślał. Zdecydowanym szarpnięciem zdjął folię z opakowania i gwałtownie je otworzył. Przy tej czynności rozerwał paczkę i papierosy posypały się na podłogę.

– Kurwa mać – zaklął, po czym schylił się i pozbierał je, co do jednego. Przez chwilę przyglądał im się niczym geolog, któremu udało znaleźć się wyjątkowo ciekawą skałę.

Zauważył, że usilnie próbuje skupić uwagę na czymkolwiek, lecz słabo mu to wychodziło. Cały czas oczami wyobraźni widział to, co wydarzyło się w Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia. Krew, trupy, wrzaski pełne nieopisanego cierpienia. Odgłosy przypominające darcie materiału i mokre plaśnięcia. Rozpaczliwe wzywanie Boga, który zapomniał o tych kobietach.

Przez ciało Edwarda przeszedł nieprzyjemny dreszcz. Ponownie sięgnął do kieszeni. Wyjął z niej tanią zapalniczkę. Bez chwili wahania odpalił papierosa. Pierwsze zaciągnięcie wcale nie przyniosło mu ulgi, której się spodziewał. Jego płuca wyraziły ostry sprzeciw. Rozkaszłał się zupełnie tak, jak na początku liceum, kiedy rozpoczęła się jego przygoda z nałogami. Świat zawirował, omal nie doprowadzając go do wymiotów.

Po chwili kaszel ustał. Mężczyzna wziął ostrożny łyk wina. To przyniosło mu ulgę. Spojrzał na żarzącą się końcówkę papierosa.

*Może za dwie albo trzy lampki lepiej mi będzie szło* – pomyślał, nie zdając sobie sprawy z tego, że wypowiedział to na głos.

Nie mając w zasięgu wzroku żadnej popielniczki, postanowił zrobić użytek ze swojej niedoszłej kolacji. Wbił koniuszek papierosa w gumowate mięso. Rozległ się syk, a w górę uleciała strużka przesiąkniętego zapachem spalenizny dymu.

Wtedy rozległ się dzwonek telefonu. To wyrwało mężczyznę z zamyślenia i na moment przywróciło do rzeczywistego świata. Spojrzał na telefon, który głośno manifestował swoją obecność. Postanowił to zignorować, zakładając, że później oddzwoni na ten numer. Po chwili telefon zamilkł.

Edward odetchnął i wychylił kolejną lampkę wina. Wtedy telefon rozdzwonił się po raz kolejny. Mężczyzna warknął z niezadowoleniem. Wstał i chwiejnym krokiem podszedł do urządzenia. Chciał je wyłączyć w cholerę i mieć spokój, lecz gdy spojrział na numer przychodzący, z zastanowieniem zmarszczył czoło. Rząd cyfr nie mówił mu niczego, a miał dobrą pamięć jeżeli chodzi o nazwiska i numery telefonów. Gdyby kiedykolwiek rozmawiał z osobą, która tak usilnie próbuje się do niego dodzwonić, z pewnością by ją zapamiętał.

Odebrał połączenie.

– Edward Morawski, słucham?

– Witam, panie Edwardzie. Mówi detektyw...

– Pan Krzysztof? – wszedł w słowo swojemu rozmówcy.

– Tak, zgadza się – potwierdził detektyw. Jego głos wydawał się być nieco zdziwiony.

– W czym mogę panu pomóc? – Z całych sił starał się brzmieć naturalnie.

– Dzwonię w związku z dochodzeniem. Razem z moim partnerem zauważyliśmy, że wizyta w Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia, jakby to ująć... – Krótka pauza świadczyła o tym, że detektyw zastanawia się nad doborem właściwych słów. – ...wstrząsnęła panem – dokończył po chwili.

Edward przez chwilę milczał. Wstrząsnęła... To było bardzo dobre określenie, choć i tak nie odzwierciedlało tego, co mężczyzna czuł wtedy i czuje nadal. Po raz kolejny przed jego oczami pojawiły się drastyczne wspomnienia.

„Boże zbaw nas!”

„Przepraszam, że zgrzeszyłam!”

„CHRYSTE!!!”

„Pater Noster...”

– Halo, jest pan tam?

Mężczyzna podskoczył jak oparzony, niemal nie upuszczając telefonu.

– T-tak. Przepraszam, zamyśliłem się.

– Rozumiem. – W głosie detektywa po raz kolejny wyraźnie dało się słyszeć zaskoczenie.

– Jak się domyślam, chciałby mi pan zadać kilka pytań odnośnie tego zajścia.

– Dokładnie. – Rozmówca odetchnął, jakby od dłuższego czasu wstrzymywał powietrze. – Rozumie pan, że to bardzo ważna sprawa i interesuje nas każda, nawet najdrobniejsza poszlaka.

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę – odparł Edward.

W jednej chwili poczuł, że jego gardło wyschło na wiór. Zapragnął wziąć duży łyk wina, który przyniosłby mu ulgę. Podszedł do stolika, na którym stała butelka, chwycił za szyjkę i wziął nie jeden, lecz trzy potężne łyki. Poczuł przyjemne ciepło, które, rozlewając się po całym jego ciele, pozwoliło mu odzyskać spokój.

– Moglibyśmy umówić się na przykład jutro, ewentualnie pojutrze? – zapytał detektyw.

– Oczywiście. Ale nie wcześniej niż o dwunastej – odparł Edward. Nie chciał spotkania z samego rana, gdyż musiał mieć trochę czasu na wyleczenie kaca, który każdego dnia

bombardował jego głowę paskudnym bólem, a żołądek gwałtownymi torsjami.

– Nie ma problemu. Odpowiada panu, powiedzmy... – W słuchawce na moment zapadła cisza przerywana szelestem przekładanych papierów. – Hmm... o czternastej?

– Może być czternasta.

– Świetnie. W takim razie widzimy się jutro.

– Oczywiście.

Z ulgą odłożył telefon. Przez chwilę stał, tępo wpatrując się w ścianę. Jego oczy były zupełnie pozbawione wyrazu. Twarz, do tej pory czerwona od ilości wypitego alkoholu, była teraz trupioblada. O parapet zastukały pierwsze krople deszczu, który miał nieustannie padać przez najbliższe kilka dni. To wyrwało go z otumanienia.

Powolnym krokiem wrócił na kanapę. Usiadł na niej ciężko, na co sprężyny odpowiedziały bolesnym jękiem. Spojrzał na butelkę, którą przez cały czas trzymał w dłoni. Wprawnym okiem alkoholika ocenił, że został na dnie jeden spory łyk. Nie było sensu wylewać tego do lampki. Opróżnił butelkę i natychmiast udał się do szafki po następną. Do tej pory upijanie się szło mu całkiem dobrze, lecz po tym telefonie wszystko szlag trafił. Nie czuł już przyjemnego działania wina. Musiał zacząć od nowa.

Korkociąg wkręcał się z cichym skrzypieniem w porowatą fakturę korka. Ten moment zazwyczaj wprawiał go w chorą euforię. Do ust zawsze napływała mu ślina, a zmysł węchu wyostrzał się w oczekiwaniu na kwaskowy zapach świeżego wina. Tym razem tak nie było. Otworzył wino jak przeciętny facet wieczorne piwo przed jakimś gównianym programem w telewizji. Wrócił na kanapę i od razu nalał sobie pełną lampkę. Upił łyk smakując cierpki trunek. Na strach, który odczuwał, opadła lekka mgiełka spokoju. Sięgnął po kolejnego papierosa.



Tym razem kaszlał tylko przez chwilę, a zawroty głowy nie były tak uciążliwe jak poprzednio.

Pałac i popijając wino, zastanawiał się nad rozmową. Spodziewał się telefonu od detektywów. Wiedział, że nie mogliby go zostawić w spokoju po tym wszystkim. Mieli świadomość tego, że nie udawał. Teraz będą ciągnąć go za język. ONA jednak zabroniła mu mówić. Zagroziła, że skończy tak samo jak siostry, gdy piśnie choć słowo o tym co widział. A widział dużo. Zdecydowanie za dużo.

– Może by tak wcisnąć im jakiś kit? – zastanowił się na głos.

Zaciągnął się głęboko i powoli wypuścił siny dym. Jego głowa, w której zazwyczaj zawsze pojawiała się jakieś wyjście z trudnej sytuacji, teraz była zupełnie pusta, jeśli nie liczyć słabego szumu alkoholu. Dlaczego w ogóle zgodził się na to spotkanie? Mógł się przecież jakoś wykręcić. Teraz nie było odwrotu. Wiedział, że jeżeli jutro nie stawi się w ich biurze, to sami tu po niego przyjadą, a gdyby go nie zastali, to będą za nim węszyć aż do momentu, w którym go znajdą. A znajdą szybciej, niż uda mu się zorganizować jakąś kryjówkę.

Upił kolejny łyk wina. Opcja związana z opowiedzeniem nieprawdziwej wersji wydarzeń była cholernie złym pomysłem. Wiedział o tym od momentu, w którym tylko ta myśl zaświtała w jego skołowanej głowie. Opowiedzenie prawdy jednak też nie było zbyt dobrym wyjściem. Robiąc to, z pewnością skończy przykuty do łóżka w przytulnym pokoju bez klamek, każdy posiłek jedząc plastikową łyżką.

Edward strząsnął do talerza popiół. W jego palcach został sam filtr. Przyozdobił nim niejadalny stek, po czym od razu odpalił kolejnego papierosa. Opróżnił lampkę wina, lecz nie nalał sobie kolejnej. Zamiast tego chwycił butelkę i pociągnął dwa solidne łyki.

– Nie ma co się rozdrabniać – powiedział sam do siebie i zaśmiał się nerwowo.

Z drugiej strony niewykluczona jest opcja, że wszystko, co widział, to tylko wybryk jego podatnej na czynniki zewnętrzne wyobraźni. Może te krwawe sceny, krzyki i strach, jaki odczuwał, to tylko iluzja. Może od tego alkoholu zaczyna mu się lasować mózg?

– To by miało sens – rzucił w stronę opróżnionej do połowy butelki. – Co o tym myślisz, kochanie? Może wreszcie zaczynam dostawać pierdolca?

Butelka nie odpowiedziała. To świadczyło tylko o tym, że jeszcze jest względnie zdrowy umysłowo. Mimo wszystko nie oznaczało tego, że w tamtej chwili mógł być niepoczytalny. Owszem, potrafił znaleźć zaginionego człowieka na drugim końcu Polski lub na podstawie szczoteczki do zębów określić, czy żona jego klienta robi nadgodziny pod biurkiem szefa, ale nigdy nie zdarzyło mu się zobaczyć tego, co w Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia.

Kolejny łyk, a raczej haust wina, utwierdził go w tym, że ma rację. Poniosła go fantazja, ponieważ po raz pierwszy pojawił się na miejscu, w którym dokonano tak okropnej zbrodni. Jego zmysły spletały mu figła, a poza tym w momencie, kiedy przywieziono go do Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia był zdrowo nawalony, choć całkiem nieźle wyszło mu udawanie względnie trzeźwego. Przynajmniej tak mu się wydawało.

Pstryknął niedopałkiem w stronę talerza. Pet wbił się w kupkę ziemniaków.

– Mógłbym być cholernym snajperem! – zaśmiał się sam do siebie. Teraz wreszcie zaczął odczuwać spokój, a tym samym to, na co czekał od rana: działanie wina. Wreszcie poczuł to znajome wirowanie świata. Słyszał nieustanny szum alkoholu, który przywodził mu na myśl morskie fale rozbijające się o brzeg, na którym pod osłoną nocy jakaś młoda para dogłębnie okazuje sobie uczucia. Uśmiechnął się pod nosem.

Po raz kolejny pociągnął z butelki solidnego łyka i odpalił następnego papierosa. Ten smakował już tak jak powinien. Dym już nie gryzł go tak po gardle, a płuca nie chciały z krzykiem wyskoczyć z klatki piersiowej. Wreszcie osiągnął całkowity spokój, a jego myśli obrały właściwy, racjonalny tor, którym powinny były podążać od samego początku. No cóż. Lepiej późno niż wcale.

– No, maleńka... – odezwał się głosem zadowolonego z życia człowieka, patrząc czule na butelkę wina, które w takiej ilości doprowadzało jego wątrobę do rozpacz. – Już wiem, co jutro powiedzieć. – Przyssał się do szyjki i łapczywie opróżnił resztę trunku.

Czknął, otarł usta wierzchem dłoni i wstał po kolejną butelkę. Jego krok był nieco chwiejny, ale jeszcze nie na tyle, żeby potrzebował ściany, aby przedostać się z punktu A do punktu B. Mógł spokojnie wypić jeszcze jedną flaszkę, zanim standardowo uda się to toalety, gdzie z głową w muszli zmówi litanię zbuntowanego żołądka.

Tym razem korek nie chciał dać za wygraną. Wychodził powoli, milimetr po milimetrze, niczym zepsuty ząb, który pomimo fatalnego stanu, nadal jest wyjątkowo mocno zakorzeniony. Wreszcie z potężnym hukiem opuścił szyjkę. Kilka kropel alkoholu spadło na jego dłoń. Od razu je zlizął. Był w stanie zdzierzyć naprawdę dużo, ale nie marnowania alkoholu.

Po opróżnieniu jednej czwartej zawartości butelki i wypaleniu dwóch papierosów pod rząd, Edward wrócił do przerwanych rozmyślań. W jego głowie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, natychmiast pojawił się gotowy scenariusz. Rano weźmie prysznic i wypije mocną kawę. Gdy już pozbędzie się kaca, to pojedzie do biura detektywów. Tam przyzna się, że wypił za dużo i poniosła go wyobraźnia. Jeżeli mimo tego będą chcieli wiedzieć, co ujrzał, to opowie im

wszystko ze szczegółami. W końcu to tylko pijackie zwidy, więc czego się bać. Może im powiedziec nawet o NIEJ. Nie zabiją go za to. Jedyne, co będą mogli zrobić, to opieprzyć go za marnowanie czasu i polecić dobrego psychiatrę, do którego i tak nie pójdzie. Po tym wszystkim uda się do restauracji, w której zamówił dzisiejszą kolację. Wydrze się na pierwszego napotkanego pracownika lokalu za to, że wciskają mu gówno na talerzu, gdzie z tego wszystkiego tylko ziemniaki nadają się do zjedzenia. Po tym zadowolony z siebie pójdzie do pobliskiego kebaba. Tam zamówi danie obiadowe na wynos, wróci do domowego zacisza, otworzy pierwszą tego dnia butelkę wina i w miłej atmosferze zje. Później będzie chlał do momentu, w którym zapomni jak się nazywa. Uśmiechnął się zadowolony ze swojej błyskotliwości. To będzie dobry dzień.

Nagle jego myśli zostały przerwane. Poczul na dłoni delikatne mrowienie. Spojrzał na nią. W jego gardle zaczęła pojawiać się krzyk, lecz nie wydobył się na zewnątrz.

Na jego dłoni siedziała spora ćma. Jej skrzydełka upstrzone były różnymi odcieniami brązu, które układały się w nieregularne wzory. Na swój sposób były piękne i paskudne zarazem. Szare, włochate ciało zostawiało za sobą lekką, srebrzystą warstewkę pyłku, którego normalnie nawet by nie dostrzegł. Ćma spokojnie spacerowała sobie wzdłuż jego dłoni, wyraźnie niczym się nie przejmując.

Spojrzał w panice na okna. Wszystkie były zamknięte, a poza tym, nawet gdyby były pootwierane na oścież, to o tej porze roku owadów nie ma.

W pewnym momencie żarówki oświetlające salon zaczęły migotać. Najpierw był to pojedynczy błysk. Po chwili światło znów na moment zgasło. I jeszcze raz. W końcu rozbłyski stały się regularne, jakby jakieś dziecko bawiło się włącznikiem światła.

Mógłby zrzucić winę na wypalającą się żarówkę, gdyby nie to, że w salonie włączonych było kilka. W ułamku sekundy, kiedy w pokoju było jasno, zdołał spojrzeć na dłoń. Cma gdzieś zniknęła. Mężczyzna nawet tego nie poczuł. Próbował odnaleźć ją wzrokiem, lecz migotanie światła doprowadziło go do mdłości. Z jego ust trysnęła struga wina. Czuł w gardle paskudny, kwaśny posmak.

Migotanie światła ustało. Mężczyzna drżał na całym ciele jak przy ataku delirium. Jego serce tłukło jak szalone. W salonie panowała nienaturalna cisza. Zupełnie jak cisza przed...

Nagle żarówki, jedna po drugiej, zaczęły pękać. Towarzyszył temu huk podobny do wybuchających petard. Na podłogę posypała się kaskada drobnych okruchów szkła. Krzyk, który dotąd nie mógł wydostać się z gardła Edwarda, teraz wreszcie znalazł ujście. W całym mieszkaniu zapanowała ciemność. Zazwyczaj słychać było uliczny ruch za oknem, lecz teraz wszystko jakby ustało. Czerń nocy zdawała się gęstnieć i, niczym czarna dziura, pochłaniać resztki światła. Po chwili pochłonęła również jego. Wlewała się do wnętrza ciała przez usta, uszy, nos i oczy. Czuł, że jest nabrzmiały jak balon, który zaraz wybuchnie.

Mężczyzna zrobił chwiejny krok do tyłu. Jego wiotkie nogi trafiły na stolik, przez co wyrznął jak długi, boleśnie objając miednicę. Butelka wina, która stała na meblu, z głuchym łupnięciem spadła na dywan. We wszechogarniającej ciemności słychać było odgłos towarzyszący wypływaniu trunku. To było największe marnotrawstwo alkoholu, przy jakim miał okazję być, lecz w tym momencie o tym nie myślał. Jego uwagę przykuł niewielki punkcik światła, który znikąd pojawił się na drugim końcu salonu.

Nagle przez całe jego ciało przeszedł silny dreszcz. Mężczyzna zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo mu zimno. Gdyby w pokoju było choć trochę światła, to z pewnością

dostrzegłby delikatny obłoczek pary wydobywającej się z jego ust przy każdym wydechu.

Czuł się, jakby był zupełnie nagi. Nagi do tego stopnia, że nawet jego własna skóra nie stanowiła żadnej bariery ochronnej.

Wrócił wzrokiem do tajemniczego punktu. Teraz był nieco większy i stale rósł. Wkrótce osiągnął wielkość pięści, spodka, dużego talerza, aż wreszcie zalał cały pokój niezdrową poświatą, której ciężko było przypisać barwę. Przypominała połączenie żółtego, brązowego i zielonego koloru, przy czym był i zarazem nie był to żaden z nich.

Na jego ramię ciężko opadła koścista dłoń. Edward chciał wrzasnąć, lecz z jego gardła wydostało się tylko nieartykułowane chrząknięcie, które sam ledwo usłyszał. Palce wbiły się w miękki fragment jego ciała tuż pod obojczykiem. Jego głowę zbombardował ogromny ból. Strach, jaki odczuwał, był nie do opisania. Do jego nosa doleciał smród przywodzący na myśl rozmokłą ziemię.

Chciał odwrócić głowę, ale twarde jak kamień mięśnie szyi nie pozwoliły mu na to. Przed jego oczami pojawiły się przerażające obrazy, które widział w Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia. Tym razem jednak były tak wyraźne i szczegółowe, że czuł się, jakby był jedną z tych nieszczęsnych kobiet.

– Popełniłeś ogromny błąd, pomimo tego, że cię ostrzegałam. – Głos dobiegał z wnętrza jego głowy. Był pozbawiony jakiegokolwiek barwy, dlatego nawet nie dało się określić, czy należy do mężczyzny, czy też do kobiety.

– Ja n... n... nie... – Edward nie był w stanie sklecić żadnego sensownego zdania.

– Musisz ponieść karę, ale sam ją sobie wymierzysz.

Wszystko nagle ustało. Mdłe światło znikło. Znów siedział na kanapie z butelką wina, która nadal stała na stoliku. Nie

ubyła z niej ani jedna kropla. Wszystko było na swoim miejscu. Plama rzygowin, jaką przyozdobił dywan również gdzieś zniknęła. Znów miał światło, a w głowie jeszcze większy spokój niż wcześniej. Spojrzał na dłoń, na której nadal siedziała ćma. Gdyby przez cały ten czas w pomieszczeniu znajdował się obserwator, zobaczyłby tylko pijanego faceta, który intensywnie wpatruje się w siedzącą mu na dłoni ćmę i próbuje coś wymamrotać.

Owad rozpostarł skrzydełka i odleciał, zostawiając po sobie trochę brązowego puchu. Edward był zupełnie wyłączony. Jego umysł nie wytwarzał żadnych myśli. W oczach osadzonych w kamiennej twarzy nie było najmniejszego wyrazu.

Wstał, odpalił papierosa, wziął butelkę wina i poszedł do łazienki. Na widok wanny uśmiechnął się. Zatkał odpływ zdezelowanym korkiem, który pozwalał najwyżej na dwudziestominutową kąpiel, zanim ubyła cała woda. Otworzył kurek z gorącą wodą, po czym wrócił do salonu. Zabrał garść papierosów i wrócił do łazienki. Zamknął drzwi i przekręcił zamek.

Spojrzał w lustro. Jego odbicie było groteskowe. Twarz przecinało kilka zmarszczek spowodowanych przez szeroki uśmiech. Oczy jednak mówiły zupełnie coś innego. Były ciemne, puste i tajemnicze. Woda z jednostajnym szumem wypełniła już połowę wanny.

Poczuł nagły przebłysk świadomości. W jego głowie pojawił się nieopisany strach. Strach tak wielki, że śmierć była jedyną drogą ucieczki.

Wchodząc do wody, na powrót zanurzył się w otchłani nieświadomości. Wziął stojącą na pralce butelkę wina i opróżnił prawie połowę. Poczuł niesamowite parcie na pęcherz, lecz woda była tak kojąca, że nie miał zamiaru z niej wychodzić.

– Zrobimy siusiu do wody. Tak jak rybki robią w morzu. – Jego głos był nienaturalnie wysoki, jakby nawdychał się helu.

Patrzył na powiększającą się w wodzie plamę uryny. Z jego oczu pociekły łzy. Nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że śmieje się jak szalony.

– Muszę uzupełnić niedobory płynów, no nie? – po raz kolejny usłyszał piskliwy głosik. Chwycił butelkę i wypił duszkiem wszystko, co w niej zostało. Beknął głośno, co również niezmiernie go rozbawiło. Przestał się śmiać dopiero w momencie, w którym zabrakło mu tchu. Spojrzał na pustą butelkę i rzucił ją na podłogę, gdzie roztrzaskała się w drobny mak.

Odpalił papierosa i chwycił maszynkę. Niezdarnie zaczął łamać plastikowe elementy w celu wyjęcia ostrzy. Przez cały czas nucił pod nosem totalnie nieskładną melodię, której nigdy wcześniej nie słyszał i której nikt poza nim i ścianami łazienki miał nie usłyszeć.

Udało mu się wydobyć ostrze. Rozciął przy tym palec, ale nie zwrócił na to uwagi. Strzelił niedopałkiem trafiając prosto do muszli.

– Mógłbym być cholernym snajperem! – krzyknął, nie zdając sobie sprawy z tego, że powtórzył słowo w słowo zdanie sprzed jakiejś godziny.

Odpalił kolejnego papierosa, po czym zabrał się do roboty. Zręcznym ruchem godnym chirurga wykonał na przegubie precyzyjne cięcie. Skóra rozstąpiła się na boki. Krew popłynęła nieprzerwanym strumieniem. Obok tego nacięcia wykonał kolejne i jeszcze jedno.

– Ale jaja – powiedział sam do siebie. – Kurwa, chyba krew mi leci, ale do wesela się zagoi.

Przełożył żyłkę do lewej ręki, która przypominała teraz rozplątany filet. Chwył był bardzo słaby ze względu na jakieś ścięgno, które napatoczyło się po drodze, lecz wystarczył, aby w miarę pewnie utrzymać ostrze.



Zabrał się za drugą rękę. Wykonał takie same nacięcia, po czym wyrzucił żyletkę i położył się wygodnie. W kąciu jego ust tkwił papieros, z którego leniwie unosił się dym.

Było mu błogo. Leżąc w czerwonej od własnej krwi wodzie, czuł się wreszcie wolny. Już nic go nie interesowało. Zapomniał o rozmowie, którą miał nazajutrz odbyć w biurze detektywistycznym. Zapomniał o tym, co widział w Domu Sióstr Bożego Miłosierdzia i o tym, do czego przed chwilą doszło w jego domowym zaciszu.

Poczuł się słaby. Ciemność niosła ze sobą spokój. Była kojąca i bezpieczna. Zbliżała się coraz większymi i pewniejszymi krokami. Zaczęła go pochłaniać, zabierając resztki szaleństwa, które zdążyło wyprzeć świadomość.

Nagle ocknął się. Spostrzegł, że siedzi w wannie, próbując podciąć sobie żyły. Z jednego rozcięcia obficie płynęła krew. Cała woda w wannie stała się różowa. Był w trakcie wykonywania kolejnego nacięcia. Widok ten sprawił, że mężczyzna całkowicie wytrzeźwiał.

– Co ty kurwa robisz?! – krzyknął sam do siebie, po czym wyrzucił żyletkę i wyskoczył z wanny. Rozciął stopę o odłamek szkła z rozbitej butelki, lecz w tym momencie tego nie poczuł. Skupił się na tym, aby jak najszybciej powstrzymać upływ krwi z podciętych żył.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

### ŚNIADANIE

To była zdecydowanie najcięższa noc w jego krótkim życiu. Bardzo chciał zasnąć, ale wydarzenia sprzed kilku godzin skutecznie mu to uniemożliwiały. Gdy tylko zamknął oczy pojawiała się twarz siostry Ezechieli i jej szponiasta dłoń, która z szybkością pocisku zabierała mu kolejne kanapki. Nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Został pozbawiony kolacji tylko dlatego, że jest leworęczny. To było tak irracjonalne, że gdyby ktoś mu o tym powiedział jeszcze tydzień wcześniej, to chłopiec nie dałby temu wiary. W jego poprzednim domu było kilkoro leworęcznych dzieci i nikt nigdy nie zmuszał ich do posługiwania się prawą ręką.

Kacper po raz setny przekręcił się na bok. Szukał wygodnej pozycji, która ułatwiłaby mu zaśnięcie, lecz nie było takiej. Skrzypiący materac łóżka wydawał się być twardy, jakby zamiast gąbki wypełniał go żwir, a kołdra w dotyku przypominała papier ścierny. Przez okno wpadał srebrzysty blask księżyca w pełni. Z przewodów wentylacyjnych dobiegał jednostajny szum wiatru. W innym miejscu byłby on kojący i z pewnością ukołysałby chłopca do snu, lecz w Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia odgłos ten wywoływał strach.

Pokój, w którym od tej pory miał mieszkać, był dość duży. Poza Kacprem mieszkało tu jeszcze dwóch chłopców. Każdy miał swoje biurko, niewielką szafkę oraz łóżko. Na ścianie znajdowało się kilka półek, lecz te świeciły pustkami. Leżało tam tylko Pismo Święte i jakaś książeczka z bajkami na dobranoc, którą pokrywała gruba warstwa kurzu.

Współlokatorzy Kacpra spali. Ich spokojne oddechy tylko go drażniły. Nie mógł zrozumieć jak można spać spokojnie w tak strasznym miejscu. Jeszcze kilka godzin temu wszyscy trzęśli się

ze strachu, a teraz tak po prostu śpią! To było dla niego absurdalne.

Chłopcu nagle przypomniała się rymowanka, którą kiedyś opowiedziała mu jedna z opiekunek. Przypomniał sobie jej miły spokojny głos i łagodny uśmiech, po czym zaczął w myślach recytować:

„Pierwsza kózka, hop do wózka! Druga kózka nie trafiła, trzecia o nią zawadziła i się rogiem w wózek wbiła...”

Fragment ten wywołał u Kacpra uśmiech. Poczuł jak nerwy ustępują, a na ich miejsce opada zasłona zmęczenia. Zasnął głębokim snem, który przyniósł mu oczekiwany spokój.

Nazajutrz obudził go dzwonek. Odgłos ten łudząco przypominał szkolny dzwonek na przerwę, dlatego w chwili sennego zamroczenia Kacper pomyślał, że zasnął na lekcji. Dopiero, gdy ostatnie strzępy sennej mgły opadły, uświadomił sobie, że jest w łóżku. Chwilę później pojawił się ból głowy i ogromna senność. Musiał spać bardzo krótko, ponieważ czuł się, jakby przez całą noc nie zmrużył oka.

– Lepiej wstawaj – powiedział jeden z chłopców cienkim głosikiem.

Kacper spojrzał na niego przekrwionymi oczami. Chłopiec na pierwszy rzut oka wydawał się młodszy od niego, ale różnica ta nie wynosiła więcej niż dwa lata. Miał okrągłą twarz, a rzadkie włosy mysiego koloru przycięte były jak od garnka, poza grzywką, która była postrzępiona. Był niski i drobny.

– Nie mogę jeszcze poleżeć? – odparł Kacper, po czym przeciągle ziewnął.

– Jeżeli w pół godziny wyrobisz się z codzienną higieną i zejdziesz na śniadanie punktualnie jak w zegarku, to nie ma problemu – odpowiedział drugi chłopiec, który właśnie gramolił się ze swojego łóżka. Ten mógł mieć piętnaście lat. Był przeraźliwie chudy i bardzo wysoki. Zbadał Kacpra przenikliwym spojrzeniem zielonych oczu.

– Takie są zasady w tym miejscu – dodał po chwili. – Jak nie pojawisz się na śniadaniu, to twoja strata. Najwyżej będziesz głodny do obiadu. Ezechiela się wścieknie, ale nie aż tak jak na to, gdy nie zobaczy cię na porannej modlitwie.

– Co? – Kacper już zupełnie się rozbudził. Co prawda czuł w głowie nieprzyjemne łupanie, a pod powiekami bolesne pieczenie, ale ciekawość wyparła resztki senności.

– To co słyszałeś – powiedział młodszy.

– Wy tłumaczcie mi to po kolei. – Kacper znowu ziewnął. – Jak nie zejdę na śniadanie o czasie to nikt mi go nie da, tak?

– Tak. Przepadnie.

– A ta modlitwa?

– Modlitwa jest zaraz po śniadaniu – rzekł starszy chłopiec. – Gdy wszyscy zjedzą, idziemy do kaplicy i tam przez godzinę modlimy się. Wszyscy muszą klęczeć. Nikt nie może stać ani siedzieć. Ezechiela wszystko widzi... – Zamilkł na moment. – No i tak wygląda każdy poranek.

Kacper nie odpowiedział. To go zupełnie zaskoczyło. Do tej pory modlił się raz w tygodniu, w niedzielę. Wydało mu się to przesadą, ale biorąc pod uwagę, że to Dom Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia, można było przypuszczać, że modlitwy będą częstsze.

– Wstawaj chłopie, mamy mało czasu – odezwał się starszy, przerywając ciszę. – Jestem Adrian, a to jest...

– Umiem mówić, baranie! – wpadł mu w słowo młodszy z chłopców. Nie było to jednak złośliwe, ponieważ mówiąc to uśmiechał się. – Nazywam się Krystian.

– Jestem Kacper. – Chłopiec wygramolił się z łóżka. Teraz pojawił się jeszcze ból pleców, jakby przez całą noc leżał przygnieciony ciężkim głazem.

– No to jak wymieniliśmy uprzejmości to spadajmy na dół – oznajmił Adrian siląc się na dziarski ton.

– A mogę jeszcze...

– Powiemy ci jak tu jest i czego masz unikać, ale nie teraz – wpadł mu w słowo Krystian. – Serio, nie mamy już czasu.

– Jasne.

Chłopcy udali się do łazienki, by wziąć szybki prysznic i przebrać się w czyste ubrania. Po tych czynnościach zeszli na śniadanie. Kacper rozglądał się po drodze, kawałek po kawałku poznając nowe miejsce. Wczoraj był zbyt zdenerwowany, żeby zwracać uwagę na to, co jest dookoła.

Weszli do jadalni.

– Siądziesz z nami? – zaproponował Adrian.

– Jasne. – Kacper chciał się uśmiechnąć, ale w tym momencie kątem oka zobaczył siostrę Ezechiełę. To zmyło z jego twarzy zaczątki uśmiechu.

Udał się na sztywnych nogach za nowo poznanymi kolegami. Czuł, że jest obserwowany i wiedział, przez kogo. Gdyby się teraz odwrócił (na co nie miał odwagi), to jego spojrzenie napotkałoby kamienne oczy siostry Ezechieli.

Znaleźli trzy wolne miejsca. Ku uldze Kacpra, był tu także chłopiec, który poprzedniego wieczora uratował go przed spaniem na głodnego.

– Cześć.

– Hej. – Chłopiec uśmiechnął się. Na jego twarzy od wczoraj zdążyło pojawić się kilka nowych krost, a jeszcze więcej zamieniło się w rozdrapane rany.

Chciał już rozpocząć rozmowę, gdy zobaczył, jak siostra Ezechiela wstaje. Na sali zapadła cisza.

– Myślę, że są już wszyscy. Kto nie zdążył, ten gapa. – Pozornie wesoły śmiech zakonnicy przypominał ujadanie bezdomnego psa. Nie było w nim ani cienia radości. Miał w sobie coś drapieżnego i wyraźnie biła z niego ponura satysfakcja. – Podziękujmy Panu za ten posiłek.

Kacpra przeszedł dreszcz przerażenia. Przez wczorajsze wydarzenia zupełnie zapomniał o nauczaniu się modlitwy.

Spojrzał po sali wzrokiem pełnym strachu. Zauważył, że nie jest sam. Kuba, Basia i Mikołaj – dzieci, z którymi mieszkał w poprzednim domu, również mieli podobne miny.

– Tsst.

Chłopiec odwrócił się w kierunku, z którego dobiegł odgłos. Napotkał spojrzenie Adriana. Lekko skinął głową w kierunku talerza Kacpra. Ten spojrzał na naczynie i zobaczył niewielką poszarpaną karteczkę, na której widniały słowa modlitwy napisane starannymi, kształtnymi literami. Kacper spojrzał z wdzięcznością na kolegę. Adrian mrugnął do niego.

Wszyscy wstali.

– Panie Boże – zaczął dziecięcy chór. Kacper starał się zapamiętywać słowa na przód tak, aby siostra Ezechiela nie zwróciła uwagi na to, że modli się do talerza, a nie do ogromnego krzyża. – Dziękujemy ci za ten chleb i wodę, którymi nas obdarzyłeś. Jednocześnie przepraszamy za naszą marność, brak pokory i chciwość, zarówno w czynie, w myśli, jak i w słowie. Obiecujemy poprawę z całego serca i całej duszy naszej. Amen.

Przez chwilę stali w ciszy. Siostra Ezechiela rozglądała się badawczo, w szczególności zwracając uwagę na nowych podopiecznych. Jej spojrzenie nie ominęło także Kacpra, jednak było krótkie. Widziała, że chłopiec modli się z innymi, więc założyła, że nauczył się słów. Jej wzrok na dłużej spoczął na twarzach Basi, Kuby i Mikołaja.

– Życzę wszystkim smacznego – powiedziała wreszcie.

Rozległ się odgłos odsuwanych krzeseł. Kacper odetchnął z ulgą. Już bał się, że zakonnica nakryje Kubę, Basię i Mikołaja na tym, że nie znają modlitwy.

– POZA KILKOMA OSOBAMI! – krzyknęła siostra Ezechiela. Wszyscy zamarli w półprzysiadzie. Wyglądało to tak, jakby za rzuceniem jakiegoś czarodziejskiego zaklęcia dzieci zamieniły się w posągi.

Siostra Ezechiela ruszyła wolnym krokiem wzdłuż stołu chłopców.

– Schowaj to – syknął do Kacpra Przemek, który zauważył, że Adrian podłożył mu kartkę z modlitwą. Chłopiec dyskretnym ruchem zgarnął ze swojego talerza karteczkę i schował do kieszeni.

Gdy siostra Ezechiela minęła go, odetchnął z ulgą. Śledził ją kątem oka. Stało się to, czego się obawiał. Starsza kobieta zatrzymała się przed Kubą i Mikołajem.

– Wynocha – powiedziała szorstkim tonem.

– Ale... – odezwał się Mikołaj.

– Żadnych „ale”, smarkacze! Nie znacie modlitwy! Jezus Chrystus oddał życie za to, żeby wam było tu dobrze! Cierpiał ogromne katusze przybity do krzyża po to, żebyście żyli wolni, mogli jeść i pić, a wy nie jesteście w stanie nauczyć się kilku słów, aby mu za to podziękować! Brak wychowania! Brak szacunku! WYNOCHA!!! – Krzyki kobiety odbijały się echem od ścian.

Twarze obu chłopców przybrały niezdrowy zielonkawy odcień. Bez słowa udali się w stronę drzwi. Siostra Ezechiela wodziła za nimi oszalałym wzrokiem. Sapała przy tym jak chory na wściekliznę pies. Zamknęła na moment oczy, po czym gwałtownie odwróciła się w stronę stołu dziewcząt.

– O nie – szepnął Kacper. Wiedział, że teraz padnie na Basię.

Siostra Ezechiela niemal podbiegła do drobnej czarnowłosej dziewczynki. Bez słowa złapała ją za ucho i podniosła z pólśiedzącej pozycji. Basia wydała z siebie przepełniony bólem pisk.

– NIKT NIE BĘDZIE OBRAŻAŁ PANA BOGA W TYM DOMU!!!  
– wrzeszczała siostra Ezechiela, ciągnąc za sobą dziewczynkę.

Gdy doprowadziła płaczącą Basię do wyjścia, wypchnęła ją z sali i z hukiem zatrzęsnęła drzwi. Przez chwilę stała zwrócona

do dzieci plecami w niczym niezmaconej ciszy. Jej ramiona wykonywały szybkie ruchy w górę i w dół, w górę i w dół.

Po chwili odwróciła się, a na jej twarzy wyraz złości ustąpił miejsca pozbawionemu radości uśmiechowi.

– Usiądźcie i jedzcie w imię Jezusa Chrystusa. Smacznego.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY WSPARCIE

Kacper opadł ciężko na swoje krzesło. Po raz kolejny siostra Ezechiela przeszła samą siebie. Teraz siedziała spokojnie i jak gdyby nigdy nic jadła śniadanie, żartując sobie z innymi siostrami. Chłopiec stale obserwował ją kątem oka.

– To chore – szepnął pod nosem.

– Ano... – mruknął Krystian. – Ale tak już tu jest. Musisz się do tego przyzwyczaić.

– Chyba nie mam wyjścia. – Kacper spojrzał na swoje kanapki. Były dokładnie trzy. Dzisiejszego dnia na zestaw składały się taki sam jak wczoraj, niewielki, blade pomidor, łyżka twarożku i trzy plasterki mielonki, która ani nie wyglądała, ani nie pachniała zbyt atrakcyjnie.

W głowie chłopca zaświtała pewna myśl. Dzieci, które miały dziś być bez śniadania było dokładnie troje. Tyle też miał kanapek. Postanowił przemycić je i w ten sposób pocieszyć swoich rówieśników. Miał zamiar również przepisać im słowa modlitwy na osobnych karteczkach.

– Nie jesz? – zagadał Adrian. Trzymał w ręku kanapkę, lecz po jego twarzy widać było, że ma na nią taką samą ochotę, jak i Kacper.

– Mam zamiar dać kanapki Basi, Mikołajowi i Kubie. Znajdę ich i poczęstuję, tak jak zrobił to wczoraj ze mną Przemek. – Spojrzał w stronę siedzącego obok przyszczatego chłopaka.

– Pomysł byłby całkiem niezły, ale nie radzę ci tego teraz robić – odparł Adrian.

– Niby dlaczego? – oburzył się Kacper.

– A dlatego, że jesteś dziś na oku, nawet jak tego nie widzisz. Co chwilę któraś na ciebie zerka. Zapewniam cię, że jak weźmiesz teraz nóż w lewą dłoń i zaczniesz robić pierwszą

kanapkę, to nawet nie zdążysz jej dobrze posmarować, jak pojawi się tutaj Ezechiela i wylądujesz za drzwiami.

Kacper spojrzał w stronę stołu sióstr. Od razu dostrzegł, że jest obserwowany przez tę samą, która wczoraj odkryła, że jest leworęczny.

– Masz rację – przyznał.

– No właśnie. – Adrian ugryzł kanapkę i zaczął ją powoli przeżuwać. – Podobnie będzie, jeżeli zaraz nie zaczniesz jeść. Od razu domyślą się, że coś kombinujesz. Może wtedy nie zjawi się tutaj sama Ezechiela, ale twój talerz i tak straci swoją zawartość.

Kacper przez chwilę milczał. Z jednej strony zdawał sobie sprawę z tego, że może po raz kolejny mieć kłopoty. Z drugiej jednak bardzo chciał pomóc swojemu rodzeństwu z poprzedniego domu dziecka. Sięgnął po nóż.

– Ej... – jęknął Krystian.

– Co?

– Ręka.

– Faktycznie – Kacper szybko przełożył nóż z lewej ręki do prawej. – Będzie ciężko...

– Nie masz wyjścia.

– Tja.

Chłopcy nie odzywali się do siebie przez pewien czas. Żaden z nich nie miał apetytu i wszyscy jedli na siłę. Krystian, Przemek i Adrian zdążyli już zjeść po całej kanapce, gdy Kacprowi udało się zrobić pierwszą. Niezmiernie się przy tym natrudził, ale wiedział, że z czasem będzie szło mu to o wiele lepiej.

– Mam pewien plan – odezwał się Adrian przerywając ciszę, jaka panowała między czwórką chłopców.

– Hmm? – Kacper wziął właśnie pierwszy kęs kanapki. Dopiero teraz jego żołądek dał znać o tym, że wczoraj nie dostał tyle jedzenia, ile potrzebował.

– Pomożemy twoim przyjaciołom.

– Jak?

– Każdy z nas, poza Przemkiem, zrobi po jednej kanapce. Będą akurat trzy, więc starczy dla wszystkich. I tak, jak widzisz, z naszym apetytem tego ranka jest dość ciężko.

– Jesteście w stanie to dla nich zrobić? – zapytał Kacper. Jego oczy rozszerzyły się z przejęcia.

– Ja tak, a ty, młody? – Adrian spojrzał pytająco na Krystiana.

– Nie nazywaj mnie tak, pierdzie!

– Przestaną do ciebie mówić per „młody”, jak ty skończysz z tym „pierdem” – odparł spokojnie Adrian, choć w kącikach jego ust igrał słaby skurcz uśmiechu.

– Jasne, że pomogę – powiedział Krystian, po czym od razu zaczął robić kanapkę. – Na co czekacie? Do roboty.

W ten sposób Kacper wraz z nowo poznanymi chłopcami zaczęli przygotowywać niewielkie śniadanie dla niesprawiedliwie ukaranych rówieśników. Gdy kanapki były gotowe, zawinęli je w leżące obok talerzy serwetki i dyskretnie schowali w kieszeniach. Później, jak gdyby nigdy nic, zrobili sobie po ostatniej kanapce. Ta, jedzona ze świadomością, że robią coś dobrego dla innych, smakowała o wiele lepiej.

Po śniadaniu udali się do kaplicy na poranne nabożeństwo. Po mszy mieli mieć wolny czas aż do obiadu. Wtedy też chcieli odnaleźć Basię, Kubę oraz Mikołaja.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

### MIESZKANIE MORAWSKIEGO

Tani zegarek na baterię, który wisiał w tym pomieszczeniu odkąd postawiono budynek, wskazywał godzinę 14:30. Palce Krzysztofa uderzały o blat biurka, wybijając jednostajny galop. Robert wstał, by opróżnić przepełnioną popielniczkę. Gdy tylko wrócił na miejsce, wytrząsnął z paczki kolejnego papierosa.

– Myślisz, że zapomniał? – zapytał.

– Nie sędzę – odparł Krzysztof. Bębnienie palców o biurko ustało.

– Może się zachlał?

– Niewykluczone, choć z drugiej strony sprawiał wrażenie człowieka, który będzie trzeźwy, jak wymagają tego okoliczności. Podejrzewam, że jeszcze nie do końca wyleczył kaca.

Robert zaciągnął się głęboko. W zamyśleniu przyglądał się rozżarzonej końcówce papierosa. Miał złe przeczucia, lecz nie był w stanie określić, skąd mogły się wziąć.

– Do której dajemy mu czas? – zapytał, przerywając tym samym panującą w pomieszczeniu ciszę.

Krzysztof spojrział na zegarek. Wydawało mu się, że od ostatniego razu, kiedy to robił minęło przynajmniej dziesięć minut. W rzeczywistości jednak wskazówka przesunęła się nieznacznie, wskazując 14:32.

– Do równej piętnastej – odparł wiedząc, że to będzie bardzo długie pół godziny.

Robert, z dymiącym papierosem w kąciku ust, spojrział na stos papierów, piętrzący się na biurku. Wziął jeden plik dokumentów i dla zabicia czasu zaczął go studiować. Po chwili uśmiechnął się.

– Nie uwierzysz – parsknął, omal nie wypluwając na spodnie papierosa.

– W co? – zapytał Krzysztof.

– ŻonKill się wreszcie przyznał.

– To ten facet, który przyłapał żonę na zdradzie, pobił jej kochanka, a co było później, wyleciało mu z głowy?

– Dokładnie. Facet twierdził, że po tym wszystkim poszedł do knajpy, ale jego alibi nie pokrywało się z tym, co mówili jego kumple od kielicha. Wreszcie dotarło do niego, że dłuższe zgrywanie kretyna nie ma sensu.

– Gdyby każda sprawa dała się tak łatwo rozwiązać... – westchnął Krzysztof. Bez pytania poczęstował się papierosem od młodszego kolegi, po czym spojrzął na zegarek. Była 14:35. – Żeby jeszcze ten cholerny czas trochę szybciej leciał.

Siedzieli tak przez kolejne dwadzieścia minut. Robert w tym czasie nadrabiał zaległości w papierologii, a Krzysztof z zainteresowaniem obserwował sufit.

Gdy wreszcie leniwa wskazówka dotoczyła się do godziny 14:55, obaj mężczyźni wstali jak na komendę.

– Jedziemy.

Tego dnia pogoda była wyjątkowo paskudna. Kraków leżał pod ciężką osłoną chmur i jeszcze cięższą smogu, a do tego nieustannie siąpił zimny deszcz. Mgła utrudniała widoczność, co w połączeniu ze śliskimi drogami spowodowało kilka stłuczek, przez które dojazd na miejsce zajął im ponad godzinę.

Gdy wreszcie stanęli przed drzwiami do mieszkania Edwarda Morawskiego, szarówka zdążyła zamienić się już w całkowity mrok.

Krzysztof bez słowa nacisnął dzwonek. Stali przez kilka sekund uważnie nasłuchując. Z wnętrza mieszkania nie dobiegały jednak żadne odgłosy. Poparzyli po sobie. Krzysztof wzruszył ramionami, po czym ponownie użył dzwonka. Tym razem jego palec zatrzymał się na nim nieco dłużej.

Znowu odpowiedziała im cisza.

– Coś mi się tu nie podoba – odezwał się Robert zachrypniętym szeptem.

– Mi też i to jak jasna cholera. – Po tych słowach dzwonił przez około pół minuty. Gdy i to nie skłoniło lokatora do otworzenia drzwi, mężczyzna zrobił krok w tył.

– Co robimy? – zapytał Robert.

– Nie możemy tak po prostu wyważyć drzwi, bo nie mamy nakazu, a on nie jest o nic podejrzany.

– No nie...

– Chyba że... – Krzysztof chwycił klamkę i nacisnął ją lekko. Drzwi były otwarte. Spojrzał porozumiewawczo na kolegę, po czym wyciągnął broń. – Idę pierwszy.

Mężczyzna końcem lufy pchnął drzwi. Te ustąpiły bez najmniejszego oporu, ukazując im wnętrze, w którym panował półmrok. Z okna drzwi do łazienki sączyło się mdłe żółte światło. Stanęli przed nimi uważnie nasłuchując. W mieszkaniu panowała niczym niezmacona cisza.

Spojrzeli po sobie, Robert chwycił klamkę i pociągnął drzwi. Widok, jaki zastali w łazience wprowadził ich w osłupienie. Na dnie wanny zalegała bladoczerwona ciecz, a jej ściany pokrywał osad o zbliżonej barwie. Pod wanną natomiast piętrzył się stos martwych ciem.

– Krew – oznajmił Robert robiąc krok w kierunku wanny. Uważnie ominął potłuczoną butelkę i żyłtkę.

– Ale nie wiemy czy należy do Morawskiego – odparł Krzysztof. – Co w ogóle robią tutaj te cholerne ćmy? Skąd ich aż tyle, i to o tej porze roku?

– Nie mam bladego pojęcia.

– Jeżeli było to samobójstwo, to gdzieś musi być ciało.

Powoli wyszli z łazienki. Najpierw skierowali się do salonu. Przez chwilę stali w progu próbując dojrzeć coś w ciemności. W końcu Krzysztof zapalił światło.

Wnętrze było dość schludnie urządzone. Meble może nie należały do zbyt szykownych, ale przynajmniej stanowiły jeden komplet. Na stoliku leżał nietknięty obiad, z którego wystawały niedopałki papierosów, lecz nie było czuć zapachu dymu, który musiał już dawno wylecieć przez nieznacznie uchylone okno. Poza tym w salonie walało się trochę pustych butelek po winie.

Detektywi przeszli do sypialni. Tam sprawy miały się zupełnie inaczej. Duże podwójne łóżko, które zajmowało większość pokoju, było przywalone stosem ciem. Niektóre z nich konwulsyjnie poruszały skrzydłami, jakby po raz ostatni chciały się wzbić w powietrze.

– Co do ch... – zaczął Krzysztof.

– Spójrz na to – wpadł mu w słowo Robert wskazując ścianę. Znajdowały się na niej liczne napisy wykonane czerwoną cieczą, która mogła być krwią. Większości wyrazów nie dało się odczytać. Ktoś, kto to pisał, musiał bardzo się spieszyć. W oczy rzucało się jednak pojedyncze słowo, które było nadzwyczaj wyraźne.

– „Błąd” – odczytał Krzysztof. – O co tu, do cholery, chodzi?

– Nie wiem, ale to najwyższy czas, żeby zadzwonić po techników. Nie ruszymy niczego do ich przyjazdu.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

### KACPER

Z dołu dobiegło głośne trzaśnięcie. Ojciec wrócił do domu. Sądząc po tym, z jakim impetem „zamknął” drzwi, chłopiec wyczuł, że mogą być poważne kłopoty. Ten schemat był mu dobrze znany.

– Gdzie jest kolacja?! – Niski głos ojca był jak suchy trzask pioruna na pustkowiu.

Rozległy się pospieszne kroki, do których zaraz dołączył głos matki chłopca.

– Wszystko jest ciepłe.

Zapanowała nieprzyjemna cisza. Słyszać było tylko krzątanie.

– O, kurczak. – Surowy męski głos nieco zelżał.

– Twój ulubiony, kochanie. – W tonie matki chłopca słyszać było niepokój.

Odgłos odkładanego talerza.

– Smacznego.

– Dziękuję.

Przez dłuższy czas słyszać było tylko szcęknięcie sztućców.

– Jakieś słabe jest to mięso – odezwał się ojciec.

Leżący w swoim łóżku piętro wyżej chłopiec, drgnął.

*Zaczyna się* – pomyślał z przerażeniem.

– Przyprawiam tak, jak lubisz, kochanie – odparła matka chłopca. – Przyprawa do gyrosa, papryka, zioła... – W jej głosie pojawił się wyraźny strach

– To jest chujowe!

Uszu chłopca dobiegł ostry trzask tłuczonego szkła.

– Ale... – Słowa kobiety zostały przerwane nieprzyjemnym trzaskiem, po którym rozległ się szloch.

– Ile razy mam ci powtarzać, żebyś się trochę postarała, co? – Męski głos był niezwykle suchy i nieprzyjemny; jego słuchanie



sprawiało niemal fizyczny ból.

Nastąpił kolejny trzask, po którym szloch przybrał na sile.

– Zamknij ryj, suko, bo obudzisz gówniarza. A wtedy on też dostanie. Z tego, co widziałem w jego zeszycie, to ostatnio też się nie stara. Dostał tróję z wypracowania. Z wypracowania, kurwa. Co z niego wyrośnie, skoro nawet nie umie pisać? Jak go pilnujesz, co?

Po tych słowach zapanowała krótka cisza. Uszu chłopca dobiegło kilka niezrozumiałych słów matki.

– Zamknij się! – ryknął jego ojciec. Charakterystyczne skrzywienie wskazało na to, że szuka czegoś w lodówce. – Gdzie jest wódka?

– Wypiłeś wczoraj wszystko, co było.

– To było, kurwa, kupić!

Nastąpiło kilka trzasków, towarzyszących uderzeniom z otwartej dłoni w twarz.

– To ja pójde do sklepu...

– Nigdzie nie pójdziesz. Musimy porozmawiać. I to poważnie, bo nie starasz się.

Chłopiec leżał w łóżku, zlany zimnym potem. Trzął się na całym ciele, a jego oczy wypełniły piekące łzy. Takie wieczory trafiały się średnio raz w tygodniu. Za każdym razem chciał jakoś pomóc matce, ale wiedział, że jest bezsilny. Mógł tylko leżeć i czekać aż minie burza.

– Widziałaś siebie w lustrze?

– Tak... – odparła kobieta.

– I jak się z tym czujesz?

– Ale o co...

Trzask.

– Kiedyś byłaś ładniejsza – powiedział mężczyzna. – Teraz muszę chodzić na kurwy. Przynajmniej jak na nie patrzę, to nie chce mi się rzygać.

Rozległ się głośny płacz. Chłopiec również płakał. On jednak robił to cicho, zaciskając zęby na poduszce i trzęsąc się na całym ciele. W takich chwilach nienawidził swojego ojca do tego stopnia, że gdyby tylko nadarzyła się taka sposobność, zrobiłby mu coś złego.

Nagle jego uwagę przykuło ciche skrobanie. Rękawem piżamy otarł łzy i rozejrzał się po pokoju. Wiedział, że to na pewno nie jest potwór z szafy. W takie rzeczy już dawno przestał wierzyć.

Skrob, skrob.

Chłopiec wyteżył wzrok. W tej chwili przestał zwracać uwagę na to, co mówi jego ojciec.

Skrob, skrob.

*Może to mysz?*

Skrob...

Podążył wzrokiem w kierunku miejsca, z którego dobiegał ów odgłos. Na szybie od zewnętrznej strony coś siedziało. Z zainteresowaniem podszedł do okna i uważnie przyjrzał się przybyszowi. To była ćma

Starając się zrobić to jak najciszej, chłopiec uchylił okno. Owad wleciał do pokoju i usiadł na wyłączonej lampce nocnej. W blasku księżycy, który sączył się przez gałęzie rosnącego przed domem kasztana, udało mu się dostrzec wzory pokrywające skrzydełka ćmy.

– KURWO!

To odtrąciło uwagę chłopca od ćmy. Teraz znowu słyszał nieludzkie wycie swojej matki. W jej głosie wyraźnie było słycać ból. Po jego policzku spłynęła pojedyncza łza, zapowiadając większy potok, który właśnie zaczął się zbierać.

– Nie lepiej to przerwać?

Podskoczył jak oparzony. Odwrócił się w stronę, z której dobiegł głos. Na jego łóżku siedział jakiś chłopiec. Ubrany był w nijaką bluzę z poszarpanymi rękawami i pobrudzone błotem

spodnie. Towarzyszył mu dziwny zapach, który ciężko było zidentyfikować. Można było o nim powiedzieć tylko to, że jest nieprzyjemny.

*Tak czuć z grobu* – pomyślał, choć nie wiedział skąd w jego głowie pojawiło się właśnie takie skojarzenie. Nigdy nie miał okazji poznać prawdziwego zapachu grobu, lecz wielokrotnie czytał o tym w różnych książkach. A ten zapach niemal idealnie pasował do wszystkich opisów, co jeszcze silniej utwierdziło go w przekonaniu, że ma rację odnośnie jego pochodzenia.

– Skąd się tu wzięłeś? – zapytał.

– Wpuściłeś mnie. – Gość spojrział na niego przenikliwie. Jego oczy były nienaturalnie duże i w jakimś sensie wydawały się martwe, przez co przybysz zdawał się patrzeć, ale nie widzieć.

– Ale ja nikogo nie wpuszczałem.

– Ależ owszem. – Nietypowy gość skinął na lampkę, na której wcześniej siedziała ćma. Owad zniknął.

– Ale jak to?

– To nieistotne – odparł przybysz z uśmiechem. Brakowało mu kilku zębów. – Jak się nazywasz?

– Mateusz. A ty?

– Jestem Kacper.

– Dziwnie pachniesz – rzekł Mateusz, zanim zdążył ugryźć się w język.

Z dołu dobiegł jakiś rumor, jednak chłopiec w ogóle się tym nie przejął. W tym Kacprze było coś, co go uspokajało. Mogło się teraz stać wszystko, a on wiedział, że jest bezpieczny.

– Faktycznie. – Kacper ponownie się uśmiechnął. – Nie miałem czasu, żeby się umyć.

– Pomógłbym ci, ale sam słyszysz... – Mateusz skinął głową w stronę drzwi.

– Właśnie z tego powodu tu jestem – odparł Kacper.

– W sensie?

– Nie jestem zwykłym chłopcem i nie przyszedłem tu przypadkowo.

– Zauważyłem, że nie jesteś zwykły... Raczej nikt nie potrafi zamienić się w ćmę. – Mateusza dziwiło to, że w ogóle nie boi się przybysza. Co prawda czuł się przy nim bezpieczny, ale w chłopcu kryło się coś jeszcze.

– To prawda. Mam pewien talent.

W pokoju zapadła cisza. Słysząc było tylko dobiegające z dołu wrzaski ojca i krzyki bitej matki Mateusza.

– Twój ojciec wpadł w szal – oznajmił Kacper jak gdyby nigdy nic.

– Nie pierwszy raz, ale ten jest zdecydowanie najgorszy. Boję się o moją mamę... – Chciał coś jeszcze dodać, ale jego głos załamał się. Mateusz skrył twarz w dłoniach i zaszlochał.

– Nie płacz – powiedział Kacper pocieszającym tonem. – Mogę ci pomóc.

– Jak? Nie damy mu rady nawet we dwóch! On jest szalony!  
– odparł Mateusz przez łzy.

Kacper przez chwilę nie odpowiadał. Jego puste oczy wydawały się być skupione na jakimś odległym, tylko jemu znanym punkcie.

– Zaraz dowiesz się, jaki on jest słaby – powiedział w końcu.  
– Jednak najpierw musisz mi pomóc.

– Jeżeli dasz radę go jakoś uspokoić, to zrobię dla ciebie wszystko, co tylko mogę.

– Owszem, zrobisz.

Mateusz poczuł, że wstaje. Był to odruch niezależny od jego woli. Nagle przed jego oczami wyrosła twarz Kacpra. Nawet nie zorientował się, kiedy ten do niego podszedł.

Spojrzał w jego oczy, ale te gdzieś zniknęły. W ich miejscu ziały teraz puste, nieskończenie głębokie dziury. Mateusza przeszył niewypowiedziany strach. Chciał odwrócić się i wybiec

z pokoju, choć zdawał sobie sprawę z tego, że wtedy dopadnie go rozwścieczony ojciec.

Niezależnie od zamiarów, chłopiec nie mógł zrobić ani kroku. Nie był w stanie ruszyć palcem czy chociażby mrugnąć. Był całkowicie sparaliżowany.

Wytrzeszczonymi z przerażenia oczami obserwował zmiany, jakie zachodzą w Kacprze. Jego twarz zaczęła pękać. Skóra odpadała całymi płatami, ukazując czarne mięso, które wydzielalo najgorszy smród, jaki miał okazję kiedykolwiek poczuć. Jego usta zaczęły się otwierać, ukazując poczerwiałe gardło. Jak na komendę, z zepsutych dziąseł wyleciały wszystkie zęby. Kilka z nich uderzyło Mateusza prosto w twarz.

Z oblicza Kacpra zeszła już cała skóra. Teraz kawałek po kawałku zaczęły odpadać zgniłe mięśnie. Język wypadł z nienaturalnie szeroko otwartych ust i z nieprzyjemnym plaśnięciem uderzył o podłogę. W pustych oczodołach pojawił się żółtawy blask.

W tej chwili z rozwartych szczęk Kacpra wyleciały ćmy. Były ich dziesiątki, setki, tysiące. Mateusz czuł jak owady zaczynają obsiadać całe jego ciało, czemu towarzyszył ogromny ból, który zaraz zaczął być wypierany przez dziwną siłę.

Mateusz poczuł jak na jego umysł opadają obrzydliwie lepkie macki. W jego głowie zaczęły krzyczeć tysiące głosów. Pojawiały się także przerażające obrazy, które nakładały się na siebie tworząc, bezkształtne, lecz na swój sposób piękne mozaiki.

Nagle jakaś niewidzialna siła rozwarła jego usta. Niezliczona ilość ciem nieprzerwaną strugą wleciała prosto do jego gardła. Część z nich odbijała się od ust i zębów, padając w hołdzie śmierci u jego stóp. Ćmy, jak szare pociski, wypełniały wszystkie jamy w jego ciele.

Z każdym kolejnym owadem czuł się coraz lepiej. Uczucia takie jak strach, smutek, żal i radość, opuściły go na zawsze,

czyniąc o wiele silniejszym.

W jednej chwili wszystko się skończyło. Chłopiec rozejrzał się po pokoju nieprzytomnym spojrzeniem. Kacper gdzieś zniknął, lecz to go akurat najmniej interesowało. Spojrzał na swoje bose stopy i wtedy dostrzegł kilka martwych ciem. Jednym zamaszystym kopnięciem zmiotł je pod łóżko, gdzie dołączyły do zapomnianego resoraka, pokrytego pajęczyną szmacianego misia i wyrwanej strony z jakiegoś świńskiego pisma, które znalazł kiedyś w skrzynce z narzędziami ojca.

– I co kwiczysz jak świnia?!

Jego nadnaturalnie wyostrzony zmysł słuchu wyłapał głos mężczyzny, który znęcał się nad swoją żoną. To już nie był jego ojciec, tak samo jak ta nieszczęsna kobieta nie była jego matką. On miał teraz inną rodzinę, do której będzie mógł wrócić, gdy wypełni bardzo ważne zadanie.

– Już idę do ciebie, tatusiu – powiedział zniekształconym głosem. – Zaraz ty będziesz kwiczał jak świnia... albo raczej jak cały chlew.

Mateusz zaśmiał się pod nosem rozbawiony tym, co właśnie powiedział, po czym pewnym ruchem otworzył drzwi i zbiegł na dół przeskakując po trzy schodki na raz.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

# PONURA RZECZYWISTOŚĆ

Siedzieli w siedmioro na podwórku. Tego dnia niebo znów pokrywały gęste tumany stalowoszarych chmur. Dzień może nie byłby aż tak zimny, gdyby nie to, że wiał lodowaty wiatr, który z wprawą złodzieja wdzierał się pod kołnierze i szaliki dzieci, kradnąc ciepło i kęsając je w kark i szyję. Pomimo tego, na podwórzu czuli się znacznie lepiej. Tutaj przynajmniej, zamiast kilkunastu sióstr, były tylko dwie, które w dodatku stały na tyle daleko, że nie mogły usłyszeć, o czym rozmawiają dzieci.

Basia, Kuba i Mikołaj właśnie skończyli jeść kanapki, które przyjęli z wdzięcznością od Kacpra, Krystiana i Adriana.

– Dlaczego tutaj tak jest? – zapytała Basia. Była drobną dziewczynką z upiętymi w dwa kucyki czarnymi włosami oraz dużymi zielonymi oczami, które teraz były zaczerwienione od płaczu. Ucho, za które szarpała ją siostra Ezechiela, było spuchnięte, a jego kolor przypominał świeżo przekrojonego buraka.

– Sami nie wiemy – odpowiedział Przemek. – Odkąd pamiętam to Ezechiela jest... pokręcona. – Po tych słowach szybko się rozejrzał, jakby spodziewał się, że zza pobliskiego drzewa zaraz wyjdzie obgadywana kobieta.

– Ale dlaczego żadna z nich nie reaguje? – zapytał Mikołaj. Na jego twarzy, która zazwyczaj miała figlarny wyraz, teraz widać było tylko strach i niedowierzanie.

– Jeszcze pytasz?! – prychnął z pogardą Adrian – Ezechiela ma swoje lata. Z tego, co wiemy, sama wyznaczy swoją następczynię. Wszystkie starają się być takie jak ona, a często bywają jeszcze gorsze, po to tylko, żeby zaimponować tej starej prukwie i w przyszłości przejąć po niej wszystkie obowiązki.

– To straszne – oznajmił Kacper.

– Ano straszne, ale tak tu jest. Przyszło nam żyć w tym miejscu i jeżeli nie chcecie dostać świra, to musicie zaakceptować ten dom taki, jaki jest. Na pewno go nie zmienicie. Możecie najwyżej robić wszystko, żeby żadna z sióstr nie miała co do was żadnych zastrzeżeń.

– Ale jak? – zapytał Kuba. Był to chłopiec, u którego wzrost wzwyż uległ zatrzymaniu na rzecz wzrostu wszerz. Na jego okrągłej twarzy zaczęły pojawiać się pierwsze kielki przyszłego zarostu.

– Co do tego, to nie ma dobrej metody – powiedział Krystian. – Każdy co jakiś czas musi oberwać, chociażby dla zasady.

Adrian i Przemek potwierdzili to skinieniem głów.

– Jak chcecie do końca swojego dzieciństwa być pominięci przez agresję ze strony Ezechieli, to jedynym sposobem jest ucieczka z tego miejsca – oznajmił Adrian.

Po tych słowach nastąpiło milczenie. Mocny powiew lodowatego wiatru sprawił, że każde z nich zadrzało.

– Jak wy sobie tutaj radzicie? – zapytał w końcu Kacper.

– Tak samo jak wy – odparł Przemek. – Wczoraj na śniadaniu, zaraz przed tym, jak was tu przywieziono, oberwałem po głowie. – Chłopiec odgarnął z przyczątego czoła włosy, pokazując paskudne zgrubienie w miejscu, na które spadła dłoń siostry Ezechieli.

– Fuj... – skrzywiła się Basia. – Za co to było?

– Za nic, za co powinienem dostać – odpowiedział Przemek.

– Po prostu w trakcie modlitwy zakreśliło mnie w nosie. Myślałem, że dam radę wytrzymać, ale to było silniejsze ode mnie. No i niestety... zanim dotarliśmy do „amen”, kichnąłem na całą salę. – Chłopiec zaśmiał się, jakby to było wyjątkowo zabawne. – Nawet nie wiem, kiedy pojawiła się ta jędzka. Reszty nie pamiętam, bo zrobiło mi się ciemno przed oczami. Gdy zaczęło do mnie docierać, co się dookoła dzieje, pozostali byli



już w połowie śniadania, więc nie zdążyłem nawet wszystkiego zjeść. Prawie do kolacji bolała mnie głowa.

– To straszne – pisnęła Basia cieniutkim głosem.

– No cóż... – westchnął Przemek.

Ponownie zapadło milczenie. Kacper mrużąc oczy przed kolejnym powiewem wiatru, spojrzał w stronę dwóch dyżurujących sióstr. Jedna z nich, zauważywszy to, szybko odwróciła głowę w stronę koleżanki i zaczęła z nią o czymś rozmawiać.

– Cały czas się na nas gapią – powiedział bardziej do siebie niż do pozostałych.

– Do tego też musisz się przyzwyczaić – odparł Krystian. – Z czasem przestaniesz na to zwracać uwagę. Z drugiej strony muszą mieć na nas oko, gdy jesteśmy na zewnątrz. Pamiętacie Adasia?

– Tja... – mruknęli Przemek z Adrianem.

– Kogo? – zaciekawiał się Mikołaj.

– Adaś był chłopcem, który kiedyś tu mieszkał – zaczął Krystian. – Nie ma go z nami już od jakichś dwóch lat, ale pamiętam to wszystko, jakby to było wczoraj, choć byłem wtedy jeszcze młodszy niż teraz. – Ton głosu i wyraz twarzy chłopca przywodziły na myśl dziadka, który opowiada swojemu wątpliwie zainteresowanemu wnukowi o „starych dobrych czasach”.

– Coś mu się stało? – zapytał Kuba.

– To było gdzieś na początku lata – kontynuował Krystian ignorując pytanie. – Bawiliśmy się tam. – Skinął głową w stronę samotnie rosnącego drzewa.

Kacper spojrzał w tamtą stronę. Drzewo w lecie musiało wyglądać jak zielona kulka. Miało grube, rozłożyste gałęzie, które wraz z długością stawały się coraz cieńsze i bardziej porozwidlane. Całość przypominała w tej chwili żywe

rusztowanie. Chłopiec zauważył, że najniższa gałąź została kiedyś ucięta.

– Lubiliśmy wlaźć na to drzewo, ale tylko jak siostry nie widziały – ciągnął Krystian. – Zawsze nam powtarzały, żeby tego nie robić, bo to niebezpieczne. No, ale widzicie, jak tu jest. Siostry nie są dla nas żadnym autorytetem, więc gdy tylko żadnej nie było w pobliżu, zaczynaliśmy na nie wchodzić. Wlaźł Adrian, Przemek i kilku chłopców, którzy już dorośli i opuścili ten dom. – Krystian przerwał, tępo wpatrując się w drzewo.

– I... – zachęcił go Mikołaj.

Krystian drgnął i spojrzał nieprzytomnym wzrokiem na swoich słuchaczy.

– Ja stałem na czatach, bo byłem najmłodszy. Nie miałem nawet jak wleźć na najniższą gałąź, bo byłem jeszcze zbyt niski. Ostatni miał wejść Adaś. Wtedy pojawiły się siostry. Gwizdnąłem dwa razy, bo na taki sygnał się umówiliśmy. Adaś spanikował i runął z tej gałęzi na wystający korzeń. Złamał kręgosłup i już nigdy nie stanął na nogi.

Po tych słowach zapadło ponure milczenie. Twarze Basi, Kacpra, Mikołaja i Kuby wyrażały współczucie. Na twarzach pozostałych malował się smutek, wywołany wspomnieniem kolegi.

Kacper zauważył, że Mikołaj chce o coś zapytać, lecz zdążył obrzucić go ostrzegawczym spojrzeniem. Chłopiec zamknął usta, nim zdążył wydobyć z nich jakikolwiek dźwięk. Kacper czuł, że powinni dać Krystianowi samodzielnie podjąć przerwany wątek.

Czekali jeszcze przez kilka minut. W tym czasie wiatr zdążył przybrać na sile, zrzucając z drzew resztki liści, które melancholijnie spłynęły na spotkanie z wilgotną i chłodną ziemią.

– Po tym wszystkim dwie siostry, które pełniły wtedy dyżur zniknęły na jakiś czas. – Głos Krystiana przerwał ciszę. –

Podejrzewamy, że przez te wszystkie dni były tutaj. Ezechiela ukarała je w jakiś okrutny sposób, ale nie wiemy w jaki i nie chcemy tego wiedzieć. Adaś w tym czasie leżał w szpitalu, po czym trafił do domu dziecka dla niepełnosprawnych. Siostra Ezechiela natomiast wzięła ogromną ręczną piłę i samodzielnie ścięła najniższą gałąź, tak, aby żadne z nas nie mogło już więcej wejść na drzewo.

– Pamiętacie Marcina? – zagadnął Przemek. – Kilkakrotnie wspominał, że słyszał w nocy krzyki kobiet. Później doszliśmy do tego, że mieszkał nad salą, do której nigdy nie mieliśmy wstępu.

– Ezechiela dała nam wtedy spokój i nie robiła awantur o wszystko – dodał Adrian. – To kolejny dowód na to, że musiała się pastwić nad tymi siostrami. Nie gnębiła nas, skoro miała inne ofiary, na których mogła wyżywać się do woli.

– Tak – potwierdził Krystian, po czym ponownie zapadło krótkie milczenie.

– A co było z wami? Zostaliście jakoś ukarani za łożenie po tym drzewie? – zapytała Basia.

– Nie – odparł Przemek. – Nie mam pojęcia jakim cudem nam się upiekło.

– To strasznie dziwne.

– Dziwne, ale tak było. Ezechiela z jednej strony dba o nas, ale z drugiej jest wrzodem, który zastrasza nas samą swoją obecnością – powiedział Przemek. – Ale o tym już niestety mieliście okazję się przekonać.

Słowa chłopca zostały poniesione wiatrem gdzieś w stronę lasu. Po wierzchołkach sosen było widać, że tam wyżej wieje znacznie mocniej. Chmury zasnuwające niebo zdawały się stawać coraz gęstsze i ciemniejsze. Zanosilo się na kilkudniowe opady deszczu.

– Mam dla was jeszcze jedną przestrozę i radzę jej posłuchać – powiedział Adrian nie odrywając wzroku od

brudnoszarego nieba.

– Jaką?

– Nigdy, ale to NIGDY nie łamcie zakazów narzuconych przez siostrę Ezechię. Nie wiem, jak to się dzieje, ale ona wie, kiedy ktoś zrobił coś, czego wyraźnie zabroniła. Wtedy wzywa do swojego gabinetu. Lepiej, żeby żadne z was nie miało wątpliwej przyjemności zostawania z siostrą Ezechią sam na sam.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

### ZAGINIONY

W momencie, kiedy opętany szaleństwem Mateusz zabijał swoich rodziców, kilkanaście kilometrów dalej, w domu zaginionego w niewyjaśnionych okolicznościach Edwarda Morawskiego, trwały intensywne prace.

Krzysztof i Robert patrzyli na uwijających się dookoła techników. Zbierano dowody, robiono setki zdjęć i spisywano notatki. Przejrzano zawartości wszystkich szuflad i szaf, ale nie udało się znaleźć niczego, co mogłoby w jakikolwiek sposób wytłumaczyć, do czego tu doszło.

Po ciele Morawskiego nie było ani śladu. Nic nie wskazywało również na to, że mężczyzna opuścił mieszkanie. Po przeglądnięciu nagrań z monitoringu potwierdzono, że od wczoraj nawet nie wystawił nosa z za drzwi.

Do dwójki detektywów podszedł szef ich biura. Był to mężczyzna w średnim wieku, którego pokaźny brzuch wyrażał zamiłowanie do piwa i tłustego jedzenia.

– Może zejdziemy na dół? Strasznie tu duszno, a poza tym jesteśmy tu potrzebni jak gówno na podszwie. Nie przeszkadzajmy chłopcom w robocie.

– Jasne – odparł Krzysztof, który osobiście tylko czekał aż nadarzy się sposobność wyjścia z tego mieszkania.

Wyszli przed blok. Robert, wzięwszy głęboki wdech nocnego, przesyconego smrodem spalin powietrza, poczuł ogromną ulgę. W tym momencie krakowski smog był o wiele lepszy od kolejnych minut w mieszkaniu Morawskiego.

– Co o tym sądzicie? – zagadnął szef biura, odpalając papierosa.

– To co ty – odparł Krzysztof. – Paranoja, niedorzeczność i sam nie wiem, co jeszcze. Z jednej strony połamana maszynka, leżące na dnie wanny ostrze i wszystkie ślady krwi świadczą o

tym, że facet popełnił samobójstwo. Z drugiej zaś nigdzie nie ma ciała, od wczoraj nie wyszedł z domu, z okna też raczej nie wyskoczył.

– Mnie zastanawia jedna rzecz – oznajmił Robert.

Mężczyźni spojrzeli na niego pytająco.

– Ćmy. – Robert odpalił papierosa. – Nie chodzi już tu o ich ilość, bo tego nie jesteśmy w stanie wytłumaczyć. Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby trafił się ktoś na tyle dziwny, aby trzymać w domu tysiące ciem. Pamiętacie jak wyglądał Dom Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia kiedy przyjechaliśmy tam po raz pierwszy?

– Jasne. Tego widoku nie da się zapomnieć – odparł szef biura, po czym strzelił petem, który zniknął gdzieś w zgniłozielonym trawniku.

– Tam też były ćmy... – powiedział Krzysztof.

– Otóż to.

– Mamy dwa miejsca, w których doszło do niewyjaśnionych wydarzeń – podsumował Robert. – W jednym i drugim ktoś ginie bez śladu. W domu dziecka jest to kilkadziesiąt dzieci, tutaj jeden mężczyzna. I wreszcie... i tu, i tam są martwe ćmy. – Rzucił w stronę rozmówców pytające spojrzenie, jakby oczekiwał od któregoś z nich błyskotliwego rozwiązania zagadki

– Nie mam pojęcia, o co tu chodzi – rzekł szef biura.

– Ja tak samo – dołączył się Krzysztof.

Stali przez chwilę, w milczeniu patrząc na przejeżdżające samochody i ekipę speców, którzy po raz setny naprawiali uszkodzoną szynę tramwajową.

– Musimy... – Słowa Roberta przerwał telefon, który rozdzwonił się w jego kieszeni. Spojrzał na połączenie przychodzące i zmarszczył czoło. – Przepraszam, muszę odebrać.

– Jasne.

Młody detektyw odszedł kilka kroków dalej i odebrał połączenie.

– Słucham?

– Dzień dobry, rozmawiam z detektywem Robertem Jędrusem? – odezwał się głos w telefonie. Po jego tonie detektyw od razu rozpoznał, że nie będą to dobre wieści.

– Tak, przy telefonie – odparł, żałując, że nie ma teraz w ustach papierosa.

– Mówi nadkomisarz Mirosław Adamczyk.

– W jakiej sprawie pan dzwoni? – zapytał Robert.

Po drugiej stronie zapadło krótkie milczenie, które wystarczyło Robertowi, by domyślić się, że chodzi o śmierć kogoś z rodziny. Lata pracy detektywa wykształtowały w nim intuicję, która zazwyczaj okazywała się nieomylna.

– Przykro mi, że muszę pana o tym informować – odezwał się nadkomisarz. – Pańska siostra i jej mąż zostali zamordowani kilka godzin temu. Jeden z sąsiadów zawiadomił policję po usłyszeniu wrzasków z ich domu.

Robert zaniemówił. W jednej chwili jego nogi zrobiły się jak z waty. Zachwiał się, lecz udało mu się utrzymać równowagę.

– Co z dzieckiem? – wykrztusił.

– Żyje i nic mu się nie stało. Jest teraz w szpitalu pod opieką dziecięcego psychologa.

– Przyjadę najszybciej jak mogę – oznajmił, po czym rozłączył się, nie słuchając kolejnych słów nadkomisarza.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

### RYSUNEK

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Kacper zdążył się już przyzwyczaić do nowego domu i jeśli nie liczyć siostry Ezechieli i kilku innych, było tu całkiem fajnie.

Dzieci okazały się zupełnie inne, niż początkowo przypuszczał. Nie brakowało im tematów do rozmów, a gdy sytuacja stawała się poważna – na przykład ktoś stracił kolację, bo zrobił coś źle – pomagali sobie.

Tak oto zbliżał się drugi miesiąc pobytu Kacpra w Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia. Przez cały ten czas udawało mu się unikać gniewu sióstr, z czego był bardzo zadowolony. Niestety Basia miała mniej szczęścia. Praktycznie co dwa dni siostra Ezechiela szukała pretekstu, żeby przy posiłku zmniejszyć porcję dziewczynki. Jeżeli takowego nie była w stanie znaleźć, wymyślała coś, dzięki czemu osiągała zamierzony efekt. Wtedy Kacper z mściwą satysfakcją oddawał Basi swoją kanapkę.

Był ostatni dzień zajęć przed przerwą świąteczną. Wszyscy oczekiwali z niecierpliwością, aż siostra Agnieszka, która prowadziła lekcję języka polskiego, powie im, że mogą opuścić klasę.

Lekcja dłużyła się niemiłosiernie. Przerabiali epoki w literaturze, czyli coś, co Kacpra w ogóle nie interesowało. Wolał matematykę niż ten cały romantyzm i roztkliwianie się nad miękkimi jak plastelina „mężczyznami”. Miał dość słuchania o tym, jak to tragiczni bohaterowie wzdychają do kobiet, które ich nie chcą. Wcale go nie dziwiło, że większość z nich kończyła, zamiast przez ukochaną dziewczynę, całowana przez tłuste larwy w zaciszu swojego grobu.

Chłopiec, słuchając jednym uchem, zaczął bazgrać po ostatniej stronie zeszytu. Rysowanie szło mu całkiem nieźle.



Nigdy nie musiał się tego uczyć. Po prostu widział w głowie jakiś obraz i przelewał go na kartkę.

Spod jego ołówka zaczęła wyłaniać się karykatura siostry Ezechieli. Jajowata głowa, oczy jak u kameleona, a do tego duży, garbaty nos, zwieńczony nabrzmałym pryszczem, który bezczelnie sterczał grożąc wybuchem.

Skończywszy rysunek, spojrzął na niego sceptycznie. Był zabawny, ale jeszcze czegoś mu brakowało.

W jego głowie pojawiła się pewna myśl. Rozejrzał się po klasie. Większość dzieci gryzmoliła w swoich zeszytach każde słowo, jakie wypowiadała siostra Agnieszka. Pozostali patrzyli na tablicę jak zahipnotyzowali, a ich głowy niebezpiecznie zbliżały się do blatów ławek.

Siostra Agnieszka w ogóle nie zwracała na nich uwagi, wyraźnie zafascynowana tym, co mówi.

Wrócił do rysowania. Przed karykaturą powstało stare drewniane biurko z rodzaju tych, które ważą tonę i mają niezliczone ilości szuflad zamykanych na klucz. Na biurku stała ogromna taca pełna kanapek, które w zamyśle chłopca, siostra Ezechiela po zabranii „niegrzecznym dzieciom” chomikowała w swoim gabinecie.

Po raz kolejny spojrzął na swój rysunek. Tak... teraz był o wiele lepszy. Widząc go, musiał nieźle się wysilić, żeby nie parsknąć śmiechem. Z oddali dobiegało go głędzenie siostry-polonistki-nudziary. Zerknąwszy w lewo, Kacper zobaczył śpiącego Przemka. Chłopiec oddychał miarowym tempem, do tego miał otwarte usta, z których spływała strużka śliny, tworząc na ławce stale rosnącą kałużę.

*Przydałby się podpis.*

Ta myśl ponownie odciągnęła Kacpra od tego, co się działo na lekcji. Obok ośmieszonej sylwetki siostry Ezechieli, płynnym ruchem narysował poszarpaną chmurkę.

Teraz zastanawiał się, co tu napisać. Tak go to pochłonęło, że w ogóle nie zauważył, iż siostra Agnieszka przestała mówić. Ponadto, przez intensywne wpatrywanie się w kartkę, nie zorientował się, że siostra idzie w jego kierunku.

– Może dokończysz cytat?

Kacper podskoczył jak oparzony. Walnął kolanami w spód ławki, przez co podskoczyły również wszystkie przedmioty, które na niej leżały. Zeszyt upadł na podłogę otwarty na stronie z obrazkiem.

– A cóż to takiego? – zapytała siostra Agnieszka, po czym schyliła się i podniosła zeszyt.

Kacper poczuł w żołądku lodowatą kulę strachu. Wiedział, że wpadł w poważne kłopoty. Rysunek był zbyt dokładny i na pierwszy rzut oka widać było kogo przedstawia.

– Wstań. – Głos siostry Agnieszki z monotonnego i nużącego stał się ostry i surowy.

Zgodnie z poleceniem, Kacper wstał. Kątem oka dostrzegł Przemka, który właśnie się obudził. Chłopiec szybkim ruchem starł ze swojej ławki kałużę śliny i spojrzał na niego nieprzytomnym wzrokiem.

Surowe spojrzenie siostry Agnieszki niemal fizycznie go zgniatało. Kobieta spojrzała na dłoń, w której trzymał ołówek.

– Nie dość, że ośmieszasz kobietę, która powinna być dla ciebie jak matka, to jeszcze nie stosujesz się do obowiązujących tu zasad.

– J... j... – zaczął Kacper, lecz żadne słowo nie mogło przejść przez jego ściśnięte strachem gardło. Został przyłapany na gorącym uczynku i nie było żadnego wytłumaczenia, które mogłoby go uratować.

– Idziemy – powiedziała siostra Agnieszka, po czym z ogromną siłą chwyciła go za przegub i szarpnęła.

Wychodząc z sali, zdążył uchwycić przerażone twarze wszystkich dzieci. Na ułamek sekundy spotkał się spojrzeniem z

Adrianem. Chłopiec pokręcił głową, a jego wzrok zdawał się mówić: „masz przewalone”.

Wyszli na korytarz. Kacper, który jak na swój wiek był dość wysoki i miał długie nogi, nie był w stanie nadążyć za siostrą Agnieszką, bezlitośnie ciągnącą go za sobą. W pewnym momencie musiał truchtać. Najgorsze były jednak schody. Kobieta pokonywała po trzy na raz, w ogóle nie zwracając na niego uwagi. Dopiero, gdy wyrznął, boleśnie objając sobie kolana, obrzuciła go nienawistnym spojrzeniem.

– Nie wygłupiaj się. Kara cię nie ominie – syknęła przez zęby.

Nim zdążył się zorientować, byli już na trzecim piętrze. W tym momencie wiele by dał, aby cofnąć czas. Wystarczyłoby mu zaledwie dziesięć minut, a wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej. Zignorowałyby obraz ośmieszanej karykatury siostry Ezechieli, który pojawił się w jego głowie, i nie miałby teraz takich problemów.

Stanęli przed wielkimi drzwiami, które w całości pokryte były płaskorzeźbami przedstawiającymi wizerunki świętych. Podobnie jak w przypadku wiszących na ścianach obrazów, twarze z drzwi również miały srogie wyrazy, co tylko potęgowało odczuwany przez Kacpra strach.

Siostra Agnieszka zastukała trzykrotnie. W tej samej chwili mocniej ścisnęła przegub chłopca. Nie chciał tego robić, ale ból był zbyt mocny. Syknął.

– Nie zgrywaj cierpiącego – powiedziała nawet na niego nie patrząc.

Zza drzwi usłyszał powoli zbliżające się kroki. Marzył teraz o tym, żeby siostra Ezechiela potknęła się i przyrznęła w coś głową. Może wtedy zapomniałaby kim jest, a jemu udałoby się jakoś uniknąć kary.

Niestety jego prośby nie zostały przez nikogo wysłuchane. Rozległ się szcęk klucza w zamku i po chwili w drzwiach

stanęła wysoka postać siostry Ezechieli. Jej spojrzenie najpierw padło na Kacpra. Chłopiec mógłby przysiąc na własne życie, że w jej oczach pojawił się morderczy błysk.

Po krótkiej chwili spojrzała pytająco na siostrę Agnieszkę.

– Co zrobił?

– To. – Młodsza kobieta wręczyła jej zeszyt Kacpra. – W dodatku rysunek wykonał lewą ręką.

Siostra Ezechiela otworzyła zeszyt na ostatniej stronie, jakby wyczuła, gdzie znajduje się rysunek. Jej brwi podjechały aż pod sam welon.

– No... – mruknęła pod nosem. – Porozmawiamy sobie, chłopcze. – Spojrzała na siostrę Agnieszkę. – Rozumiem, że zrobił to na twojej lekcji. – To było bardziej stwierdzenie niż pytanie. Ona wiedziała. Wiedziała wszystko, nawet jak nikt nic nie powiedział.

– Tak – odparła krótko młodsza siostra. – Dobrze się z tym krył, bo nawet nie zorientowałam się, kiedy zaczął.

– Możesz być pewna, że nie zrobi tego drugi raz. – Stara zakonnica uśmiechnęła się w wyjątkowo nieprzyjemny sposób.

Uścisk na jego przegubie ustąpił. Zamiast tego, chłopiec poczuł szponiastą dłoń siostry Ezechieli, która wbiła palce zaraz pod jego obojczyk. Ponownie syknął z bólu.

– Dziękuję ci. – Głos starszej siostry dobiegał jakby zza szyby. – Wracaj do klasy dokończyć zajęcia. Ja natomiast popracuję z Kacprem nad jego wychowaniem.

Siostra Agnieszka skinęła głową i ruszyła w drogę powrotną. Gdy tylko zniknęła za zakrętem korytarza, Kacper został brutalnie wepchnięty do wnętrza gabinetu. Stracił przy tym równowagę i skończył na podłodze. Obite na schodach kolana zawyły takim bólem, jakby ktoś nawbijał w nie szpilek. Usłyszał potężny huk zatrzaskiwanych drzwi.

– Siadaj – powiedziała siostra Ezechiela. Jej głos był niezwykle spokojny, co wprawiło chłopca w jeszcze większe

przerażenie. Już wolałby, żeby krzyczała. Byłoby to o wiele łatwiejsze do zniesienia.

Próbując nie okazywać bólu, wstał i niezdarnie wgramolił się na duże drewniane krzesło.

W gabinecie panował półmrok. Jedynymi źródłami światła w pomieszczeniu były okno, za którym rozciągał się zimowy krajobraz, oraz stojąca w kącie pojedyncza lampa, roztaczająca żółtawą poświatę. Całe wnętrze było urządzone w starym stylu.

Siostra Ezechiela spojrzała na niego badawczo. Z jej twarzy nie dało się odczytać jakichkolwiek emocji. Kobieta mogła być równie dobrze zdenerwowana, smutna, jak i rozbawiona.

W gabinecie było słycać tylko tykanie starego wahadłowego zegara oraz szum szalejącego za oknem wiatru. Ta przedłużająca się cisza wprawiała Kacpra w coraz większy strach, który szybko przerodził się w panikę. Nie wiedział, czego bał się bardziej; tego, że siostra Ezechiela zacznie się na niego wydzierać i rzucać różnymi przedmiotami, czy tego, że nie odezwie się ani słowem i będzie musiał siedzieć tu nie wiadomo ile.

– Co, chciałbyś sobie już stąd pójść? – Stara zakonnica wydawała się czytać mu w myślach.

Kacper nie wiedział, co powiedzieć. Na to pytanie nie było dobrej odpowiedzi. Twierdząca z pewnością doprowadziłaby ją do szału. Zaprzeczenie zaś byłoby tak ordynarnym kłamstwem, że najprawdopodobniej efekt byłyby ten sam.

Na szczęście siostra Ezechiela najwyraźniej nie oczekiwała odpowiedzi. Zamiast ponaglić Kacpra, otworzyła jego zeszyt na ostatniej stronie. Przez dłuższy czas wpatrywała się w obrazek, jakby wnikliwie badała każdą linię i każdy cień.

– Masz rękę do rysowania – przyznała z czymś, co w normalnej sytuacji można by było odebrać jako niemały podziw.

Kacper po raz kolejny nie wiedział, co ma powiedzieć. Na pewno nie mógł podziękować za komplement. Postanowił zatem znowu zachować milczenie.

– Z tego, co powiedziała siostra Agnieszka, to rysowałeś lewą ręką – stwierdziła. – To prawda?

– T... t... tak – mruknął chłopiec.

– Coś ci mówiłam na ten temat.

– W... wiem. – Kacper wbił wzrok w blat biurka. Czuł, że zakonnica świdruje go wzrokiem, który niemal wwierca się w jego czaszkę.

– Nie stosujesz się do zasad – stwierdziła po chwili, po czym zaczęła kartkować zeszyt. – Widzę, że wydarłeś kilka stron – dodała jeszcze. – Po co?

– Miałem tam kilka notatek, które przepisałem starannie. – Kłamstwo przyszło mu bardzo łatwo. Nie mógł się przyznać do tego, że na tych kartkach znajdowały się inne rysunki. Lekcje języka polskiego były dla niego przede wszystkim rozwijaniem plastycznych umiejętności.

Szelest kartek nagle ustał. Siostra Ezechiela dotarła do notatek.

– Bazgrzesz jak kura pazurem – mruknęła. – Dlaczego?

– Ponieważ jestem lewo...

– Praworęczny, chciałeś powiedzieć. – Spojrzała na niego lodowatym wzrokiem. – Jesteś praworęczny. Choć tutaj chyba pisałeś lewą ręką. – Pokazała mu jedną ze stron, na której koślawe zygzakowate litery były zastąpione przez ładne i kształtne znaki łączące się w wyrazy i całe zdania.

– T... tak – odburknął Kacper.

– Dlaczego?

W głowie chłopca rozpętała się prawdziwa burza. W tej chwili strach odleciał gdzieś daleko. Na jego miejscu pojawiła się natomiast niewysłowiona złość. Chciał wykrzyknąć tej starej babie, jak głupie jest zmuszanie osoby leworęcznej do

posługiwania się prawą – w jego przypadku nieudolną – ręką. To, że był mańkutem, nie czyniło go w żaden sposób gorszym człowiekiem.

– Niewygodnie pisze mi się prawą ręką – oznajmił, próbując stłumić gniew.

– Doprawdy? – Siostra Ezechiela uniosła z zaskoczeniem brew.

– Tak. – Tym razem w głosie chłopca słychać było pewność.

– Jakoś nikt poza tobą nie ma z tym problemów.

– Jak od małego był tego uczony to nie ma – odparował Kacper, zanim zdążył ugryźć się w język.

Zakonnica nie odpowiedziała, co go bardzo zdziwiło. Sam w swoim głosie słyszał wyraźną opryskliwość. Próbował się opanować, co przychodziło mu bardzo ciężko. Każde spojrzenie na kobietę siedzącą naprzeciwko powodowało kolejne fale złości.

– Widzę, że piszesz skrótami – oznajmiła po krótkiej chwili milczenia. – Pewnie niewiele z nich jesteś w stanie później rozszyfrować.

Kacper po raz kolejny przemilczał temat. Akurat w tym przypadku siostra Ezechiela miała całkowitą rację. Po lekcji niemal zawsze musiał domyślać się, co jest napisane w jego własnym zeszycie. Mimo wszystko skróty były jedynym sposobem na zapisanie notatek prawą ręką.

– I widzę, że na dzisiejszej lekcji nie zapisałeś nic poza tematem... „Romantyzm w literaturze polskiej.” Może coś mi o tym opowiesz?

Kacper wytrzeszczył oczy. Nie miał bladego pojęcia, o czym głądziła siostra Agnieszka przez ostatnich kilka lekcji. Jego mózg pracował teraz na najwyższych obrotach, ale wiedział, że to na nic. Nawet jak coś usłyszał, to wiedza ta ulatniała się zanim zdążył ją w jakimkolwiek stopniu przyswoić.

– To jak, usłyszę coś od ciebie? – ponagliła siostra Ezechiela, gdy milczenie ze strony chłopca zaczęło ją wyraźnie denerwować.

– Niestety nie... – odparł Kacper. Granie na zwłokę nie miało najmniejszego sensu.

– No to ładnie. Nie dość, że nie stosujesz się do reguł tego domu, to jeszcze nie starasz się uważać na lekcjach. Ani nie słuchasz, ani nawet nie zapisujesz notatek – podsumowała siostra Ezechiela. – Zamiast tego wolisz bazgrać po zeszytach, który dostałeś ode mnie do celów EDUKACYJNYCH. – Na ostatnie słowo położyła szczególny nacisk.

Kacper nie wiedział, co odpowiedzieć. Siostra Ezechiela miała tu całkowitą rację. Był zły na siebie.

– Przepraszam – burknął pod nosem.

– Słucham? – Siostra przyłożyła otwartą dłoń do ucha. – Coś słabo cię słychać, a ja mam już swoje lata.

– Przepraszam – powtórzył głośniej.

– Teraz lepiej. – Zakonnica rozparła się wygodniej. – Przeprosiny to tylko puste słowo, które w przypadku was, dzieci, znaczy tyle samo, co każde inne słowo. Czyli wiesz ile?

– Nie.

– Tyle co nic. – Kobieta umilkła na moment. Na jej pomarszczonej twarzy pojawił się wyraz zamyślenia. – Wy nie wiecie, co to żal i wstyd. Robicie masę głupot, nie zastanawiając się nawet nad konsekwencjami. Dzieje się tak do momentu, w którym nie spotka was kara. Wtedy uczycie się rozumu i każde wasze „przepraszam” nabiera jakiegoś sensu.

Kacper tępo wpatrywał się w siostrę Ezechiele. Jak przypuszczał, same przeprosiny jej nie wystarczyły. Musiał ponieść karę, obojętnie jak prawdziwa byłaby jego skrucha.

– Skoro już masz taką rękę do rysunków, zwłaszcza tak ohydnych jak ten, to narysuj teraz to samo, ale prawą ręką. Ma



to wyglądać identycznie. Co do kreski. – Zakonnica po raz kolejny uśmiechnęła się w swój drapieźny sposób.

– Ale...

– Nie ma żadnych „ale” – przerwała mu. – Albo to narysujesz prawą ręką w taki sam sposób, albo już nie strzeli ci do głowy używanie lewej ręki. Czekam. – Rzuciła mu zeszyt.

Kacper spojrzał na rysunek, który wyszedł spod jego ręki jakieś pół godziny wcześniej. Wiedział, że nie jest w stanie odrysować tego co do kreski i to jeszcze prawą ręką. Nie był w stanie napisać nią okrągłego „o”, nie wspominając już o narysowaniu skomplikowanego kształtu. Teraz mógł jedynie wierzyć, że nie pójdzie mu tak źle.

Przyłożył ołówek do kartki. Linia, która wyszła spod jego prawej ręki była krzywa i poszarpana. Nie był również w stanie zrobić cienia, choć zazwyczaj przychodziło mu to zupełnie naturalnie. Sylwetka, jaką narysował, pomimo wszelkich starań, w ogóle nie przypominała oryginału.

Gdy doszedł do rysowania pryszczu, siostra Ezechiela wyrwała mu zeszyt. Kartkę przecięła gruba krecha ołówka. Zeszyt wylądował w kącie.

– Widzę, że słabiutko ci to idzie – powiedziała. Jej głos nadal był spokojny i opanowany. W oczach jednak widać było ogromną złość. Otworzyła jedną z szuflad biurka. Wyciągnęła z niej długą drewnianą linijkę. Przez chwilę przyglądała jej się. Kącik jej ust zadrgał, jak w słabej imitacji uśmiechu.

Kacper jednak nie podzielał jej uczuć. Nie przypuszczał, że owa linijka będzie służyła do tego, aby rysował proste linie.

– Wystaw rękę.

Chłopiec z ociąganiem położył na blacie prawą dłoń.

– Nie, nie. – Ezechiela skrzywiła usta w dziwnym grymasie.  
– Lewą. I to szybko.

Tego obawiał się najbardziej. Nie mógł jednak zrobić nic, jak tylko posłuchać. Gdy tylko lewa ręka spoczęła na blacie,

linijka spadła na nią z potężnym impetem. Rozległo się nieprzyjemne klaśnięcie, a ból, jaki temu towarzyszył, sięgnął aż do łokcia. Kacper syknął.

– Co, boli? – Nie czekając na odpowiedź, siostra Ezechiela ponownie się zamachnęła uderzając w to samo miejsce.

Kacper wrzasnął i zabrał rękę. Spojrzał na dłoń. Widniała na niej bordowa pręga, która widocznie pulsowała. Żyły w tym miejscu nabrzmiały jak na mięśniach kulturysty.

– Dawaj tą łapę, gówniarzu! – krzyknęła siostra Ezechiela. – Jeszcze z tobą nie skończyłam.

Chłopiec, hamując instynkt samozachowawczy, ponownie położył lewą dłoń na blacie biurka. Zdążył przelotnie spojrzeć na znieawidzoną zakonnicę. Jej oczy rzucały błyskawice, a wargi były rozchylone, ukazując wybrakowane uzębienie. Zmarszczki niemalże się wygładziły, a żyły na szyi i czole pulsowały. Wyglądała jak wściekły pies.

Świst-plask!

Świst-plask!

Świst-plask!

Linijka trzaskała w dłoń chłopca, wywołując coraz silniejszy ból. Zapłakany Kacper za każdym razem chował rękę, lecz wtedy linijka sięgała jego policzka. Dostał tak dwa razy. Za drugim poczuł coś mokrego, co powoli ściekało po piekącej twarzy. Sięgnąwszy tam ręką, spostrzegł krew. Ból dłoni jednak szybko odciągnął jego uwagę od tej rany.

Przez panikę przebiła się jedna myśl.

**UCIEKAJ!**

Chłopiec szybko wstał z krzesła i nim siostra Ezechiela zdążyła ponownie go uderzyć, rzucił się w stronę drzwi.

Już prawie wyczuwał pod palcami chłód klamki, gdy nagle poczuł silny ból w potylicy. W gabinecie zrobiło się ciemno. Pojawiły się setki gwiazdek, które migotały i z zawrotną

prędkością zaczęły wirować. Zrobiło mu się niedobrze i omal nie wymiotował. Z daleka dobiegł go głos siostry Ezechieli.

– Nawet tego nie próbuj, szczeniaku.

Usłyszał szcęk zamka i odgłos wyciąganego klucza. Jedyne droga ucieczki została zamknięta.

– Wstawaj.

Kacper zaczął się gramolić. Ledwie udało mu się osiągnąć pozycję siedzącą, jak jego głowa zawyła niesamowitym bólem, a świat zawirował jeszcze szybciej. Z powrotem opadł na podłogę bez sił.

Nie miał pojęcia, ile tak leżał. Gdy wreszcie wstał, w jego uszach dzwoniło, a głowa dawała o sobie znać poprzez tępy pulsujący ból. Za oknem było znacznie ciemniej. Po przejściu kilku chwiejnych kroków, nastąpił na coś twardego. Spojrzał na podłogę i zobaczył skorupy starej doniczki. Dotarło do niego, że właśnie tym dostał w głowę.

Siostra Ezechiela siedziała zwrócona do niego plecami. Wpatrywała się w zamieć, która szalała na zewnątrz. Pobliskie drzewa były ledwo dostrzegalne zza wirującego białego puchu.

– Usiądź – odezwała się bezbarwnym tonem.

Kacper postąpił jeden niepewny krok. Jego nogi były jak z waty i tylko za sprawą jakiegoś cudu udało mu się utrzymać równowagę. Spojrzał na swoją lewą dłoń. Cała jej powierzchnia była jednym wielkim krwiakiem. Sine pręgi, niczym tatuaż, pokrywały również całe jego przedramię. Nie czuł jednak bólu, ponieważ w większości skupiał się on na głowie. Wiedział, że nie będzie w stanie poruszyć ręką przez najbliższe kilka dni. Na twarzy czuł zaschniętą skorupę. Nim przypomniał sobie, czym ta skorupa jest i skąd się wzięła, minęło kilkadziesiąt sekund. Był osłabiony i marzył tylko o tym, żeby w końcu stąd wyjść, legnąć do łóżka, zasnąć i najlepiej już nigdy nie musieć się budzić.

Nogi same poniosły go w stronę krzesła. Osunął się na nie ciężko. Impet, z jakim to zrobił, wywołał kolejną falę mdłości, lecz i tym razem udało mu się powstrzymać przed zwróceniem zawartości żołądka na biurko siostry Ezechieli.

Zakonnica odwróciła się. Spojrzała na niego przenikliwie. W jej oczach ponownie gościł spokój, choć jej lewa powieka nieznacznie drgała.

– Co zrobiłeś źle? – zapytała.

– Nie uważałem na lekcji – odparł Kacper drżącym głosem.

– I? – Zakonnica uniosła pytająco brew.

– Zdarzało mi się pisać lewą ręką.

– I?

– Narysowałem rysunek, który siostrę ośmiesza.

– Ładnie. Widzę, że jakoś wbiłam ci to do głowy.

– Dosłownie. – Kacper nie zdał sobie sprawy z tego, że powiedział to na głos. Miało to zostać tylko w jego myślach, lecz skołowany umysł zadziałał na jego niekorzyść.

– Co powiedziałaś?! – ryknęła siostra Ezechiela.

– N... nic. – Chłopiec poczuł bolesny skurcz strachu.

Zakonnica wstała. Chwyciła linijkę i z całej siły zamachnęła się. Kacper nie zdążył zrobić uniku. Drewniany przyrząd trafił w zraniony wcześniej policzek. Siła, jaka temu towarzyszyła, była tak duża, że linijka z suchym trzaskiem złamała się na pół.

Nim do chłopca zdążył dotrzeć ból, runął nieprzytomny na podłogę.

\* \* \*

Gdy obudził się w gabinecie, było już zupełnie ciemno. Powoli wstał i rozejrzał się. Z początku ciężko mu było cokolwiek dostrzec. Przez chwilę wystraszył się, że stracił wzrok, jednak gdy jego oczy przyzwyczyły się do ciemności, zaczął zauważać zarysy mebli. Odetchnął z ulgą.

Dotarło do niego, że nadal jest w gabinecie siostry Ezechieli, lecz jej samej tu nie było. To dało mu kolejną szansę na ucieczkę. Zapominając o bólu ruszył do drzwi. Te jednak okazały się zamknięte.

– Cholera – mruknął zachrypniętym głosem.

Rozejrzał się po gabinecie.

– Szuflada. Musi być w niej klucz – powiedział sam do siebie, po czym ruszył w kierunku biurka. Po drodze spojrzął na zegar, który wskazywał godzinę osiemnastą. Już wiedział, dlaczego zakonnica zniknęła. Właśnie zaczęła się kolacja. Oznaczało to, że ma maksymalnie pół godziny na ucieczkę z tego miejsca.

Wszystkie szuflady były pozamykane. Rozejrzał się po blacie biurka w poszukiwaniu niewielkiego kluczyka, który pozwoliłby mu je otworzyć. Był pewien, że kobieta ma zapasowy klucz do gabinetu i wiedział, że na pewno znajduje się on w którejś z szuflad. Czasu miał jednak bardzo mało.

Na biurku go nie znalazł. Przejrzał także dwie szafki, które nie były zamknięte na klucz. Tam też go nie było. Wychodziło na to, że siostra Ezechiela wszystkie klucze trzymała przy sobie.

Chwycił się za bolącą głowę i jęknął z bezradności. Czuł się jak zamknięty w klatce. Jedyna myśl, jaka przychodziła mu do głowy to próba ucieczki przez okno.

Chłopiec wyrzwał przez oszronioną szybę. Na zewnątrz panowała zawierucha, ale nie to było najgorsze. Gabinet siostry Ezechieli znajdował się na trzecim piętrze. Upadek z tej wysokości mógłby zakończyć się w najlepszym wypadku połamanymi nogami, a w najgorszym nawet śmiercią.

Przez chwilę zastanawiał się nad plusami i minusami takiego rozwiązania. Strach przed siostrą Ezechielą wziął jednak nad nim górę i nie tracąc czasu, otworzył okno. W jego twarz uderzył mroźny powiew, który niósł ze sobą setki drobnych płatków śniegu. Wreszcie uśmiechnęło się do niego

szczęście. Obok znajdowała się rynna, która prowadziła na spadzisty daszek ganku. Pod gankiem natomiast piętrzyła się spora górka śniegu, który zapewni mu miękkie lądowanie. Pozostało tylko dotrzeć na dół, nie łamiąc sobie przy tym ani jednej kości.

Ostatni raz spojrzął na zegar. Minęło już dziesięć minut. Czas ubywał zdecydowanie zbyt szybko. Nie było nad czym się zastanawiać. Do wyboru miał zejście albo pozostanie tu i przygotowanie się na kolejną turę bicia.

Kacper, drżąc z zimna i przerażenia, wspiął się na parapet. Patrząc w dół z tej perspektywy, wydało mu się, że znajduje się dwukrotnie wyżej. Odległość dzieląca go od rynny również sprawiała wrażenie znacznie większej.

– Nie dam rady – powiedział sam do siebie.

Nagle zaczął sobie wszystko przypominać. Bicie po rękach, uderzenie doniczką w głowę i suchy trzask łamanej na jego twarzy linijki. To go ostatecznie przekonało.

Kacper wyciągnął rękę w kierunku rynny. Okazało się, że jest bliżej, niż przypuszczał. Objęty paniką umysł spletał mu figla, w zły sposób interpretując obraz. Jego ręka spoczęła na lodowatej rynnie. Chwył był mocny i pewny. Chłopiec oparł prawą nogę na wystającym łączeniu elementów rynny. Nacisnął na nie, prosząc jakąkolwiek opatrność, aby rynna to wytrzymała.

Wziął trzy głębokie wdechy, po czym przeniósł cały ciężar ciała na prawą stronę i z parapetu przeszedł na rynnę. Teraz nie miał drogi odwrotu. Powrót na parapet prawdopodobnie zakończyłby się upadkiem z trzeciego piętra.

Rozpoczął mozolną drogę na dół. Jego dłonie zaczęły szybko odmarzać, a to z kolei sprawiło, że całe przedsięwzięcie stało się jeszcze trudniejsze. Szczególne kłopoty miał z lewą ręką, która była cała poobijana, a palec wskazujący dziwnie

wygięty. Prawdopodobnie został wybity, lecz teraz nie mógł nic z tym zrobić. Liczyło się tylko to, żeby dotrzeć cało na ziemię.

Powoli, centymetr po centymetrze, zsuwał się na dół. Na jego szczęście, rynna składała się ze stosunkowo krótkich elementów, dzięki czemu jego stopy cały czas miały oparcie na łączeniach.

Był już w połowie drogi, kiedy zaczął tracić czucie w dłoniach.

– Cholera – jęknął. Poczł macki przerażenia, które zacisnęły się na jego gardle, odbierając mu oddech.

*Uspokój się, uspokój się, uspokój się.*

Trzy głębokie oddechy sprawiły, że ucisk macek zaczął słabnąć. Wiedząc, że musi zrobić coś, aby jego dłonie odzyskały czucie, ścisnął rynnę kolanami. Gdy poczuł się pewnie, oderwał ręce od zmarzniętej rury i zaczął je zacierać. Po chwili krążenie wróciło do normy i na powrót mógł swobodnie zginać prawie wszystkie palce.

Minął drugie piętro. Teraz od daszku dzieliły go zaledwie jakieś dwa metry. Mógłby nawet na niego zeskoczyć, ale nie chciał narobić hałasu, a poza tym nie miał pewności, czy stara konstrukcja w ogóle by to wytrzymała.

Wyciągnął nogę w celu namacania kolejnego łączenia fragmentów rynny. Gdy już je wyczuł, oparł się na nim i przeniósł ciężar ciała.

Nagle rynna pękła z głośnym trzaskiem. Kacper stracił oparcie i runął w dół. Upadł plecami na daszek ganku, robiąc przy tym jeszcze więcej hałasu. Całe powietrze z jego płuc zostało dosłownie wyciśnięte, a on przez kilka przerażających sekund nie był w stanie wziąć wdechu. Poczł, że zsuwa się po spadzistości daszku. Runął na zlodowaciały śnieg tuż obok góry, w której miał zamiar zakończyć swoje zejście. Przy tym upadku obił sobie boleśnie biodro.

Dopiero po wylądowaniu na twardej skorupie jego płuca odzyskały zdolność swobodnego oddychania. Sycząc z bólu, powoli wstał. Może nie tak to sobie zaplanował, ale najważniejsze było to, że przeżył i jest w stanie kontynuować ucieczkę.

Już miał zrobić pierwszy krok, gdy na śniegu rozlała się żółta poświata. Ktoś w środku musiał usłyszeć hałas, jakiego narobił. Serce Kacpra wskoczyło na podwójne obroty. Ponownie pojawiła się panika. Zdawał sobie sprawę, że jak go złapią, to siostra Ezechiela nie skończy na okładaniu go linijką po rękach. Wolał nawet nie myśleć, co ta bez wątpienia szalona kobieta by mu zrobiła, gdyby któraś z sióstr przyprowadziła do niej chłopca, którego niespełna pół godziny wcześniej zamknęła na klucz w swoim gabinecie.

Kierowany instynktem samozachowawczym, Kacper czmychnął za górę śniegu. To było jedyne miejsce, w którym mógł się schować i liczyć na to, że nie zostanie zauważony.

Usłyszał odgłos otwieranego okna, po którym jego uszu dobiegły głosy dwóch kobiet. Jedną z nich była siostra Agnieszka.

– Coś walnęło o ganek – powiedziała.

– Faktycznie – przyznał drugi głos – z jednej strony daszku nie ma śniegu, jakby coś się po nim zsunęło.

Nastąpiła chwila milczenia. Kacper telepał się jak alkoholik podczas ataku delirium. Przyczyną tych drgawek nie był jednak mróz. To był strach w najczystszej i najokrutniejszej formie. Nie miał pojęcia czy siostry umilkły, bo się nad czymś zastanawiają, czy może zobaczyły ślady, które z pewnością pozostawił po sobie w śniegu. Przez cały czas wstrzymywał oddech, aby nie zdradzić swojego położenia kłębem pary, która na pewno zostałaby zauważona.

– Pewnie z dachu spadła czapa – stwierdziła siostra Agnieszka, przerywając kilkusekundowe milczenie, które dla



Kacpra wydawało się trwać znacznie dłużej.

– Może i masz rację – przyznał drugi głos.

Usłyszał skrzypienie zamykanego okna. Po chwili żółta poświata zgasła. Chłopiec trwał w bezruchu jeszcze przez jakiś czas, próbując opanować oddech i drgawki. Gdy udało mu się to osiągnąć, wyrzwał ukradkiem zza góry śniegu. Po całej stronie budynku nie świeciło się w ani jednym oknie.

Nie miał pojęcia, ile zajęło mu schodzenie, ale i tak musiał założyć, że ma niewiele czasu. Był pewien, że jak tylko siostra Ezechiela wróci do swojego gabinetu, to podniesie alarm. Do tego momentu musi być już w lesie.

Pierwsze, co zrobił po opuszczeniu bezpiecznej kryjówki, to zatarcie śladów, których narobił przy upadku. Gdy już był pewien, że nie został ani jeden odcisk stopy, udał się w długą wędrówkę do lasu.

Początkowo szacował, że bezpieczna zasłona drzew znajduje się jakieś czterysta metrów dalej. W rzeczywistości jednak odległość ta wydawała się dwu, albo nawet trzykrotnie większa. Zapadał się po kolana w sypkim puchu, którego przez ostatnie dni zdążyło się zebrać bardzo dużo. Każdy ślad, jaki zostawiał, od razu zasypywał. Wszelkie nierówności po ukrytych odciskach niemal natychmiast przykrywała warstwa śniegu, który padał coraz intensywniej.

Wydawało mu się, że idzie tak godzinami. Czuł spływający po plecach pot, jego trampki już dawno przemokły, a spodnie wcale nie chroniły przed zimnem i wilgocią. Drżał na całym ciele, lecz nadal brnął do przodu, nie zapominając o maskowaniu śladów.

Gdy wreszcie stanął na skraju gęstego lasu, z uciechą stwierdził, że zacieranie śladów już nie ma najmniejszego sensu. Potężne sosny i inne iglaki rosły tu tak gęsto, że śniegu było niewiele.

Po raz ostatni spojrział na Dom Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia. Uśmiechnął się, widząc, że w gabinecie siostry Ezechieli właśnie zapaliło się światło. Wiele by dał, żeby zobaczyć teraz minę tej starej jędzy.

Nagle przypomniał sobie scenę z jakiegoś filmu, który kiedyś oglądał w kinie. Wiedział, że ten gest jest obraźliwy i że teraz jest najlepszy czas, aby go użyć.

Ujrzawszy głowę siostry Ezechieli w oknie gabinetu wyciągnął rękę i wystawił środkowy palec. Wiedział, że zakonnica go nie widzi, gdyż był daleko, pod osłoną drzew, a dookoła panowała ciemność. Zrobił to jednak tylko dla własnej satysfakcji.

Nie zwlekając ani chwili ruszył przed siebie. Wtedy nie zdawał sobie sprawy z tego, że wróci tu wcześniej, niż się spodziewa.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY WIĘCEJ CIEM

Robert wsiadł do samochodu, uruchomił koguta i z piskiem opon ruszył do domu swojej zmarłej siostry. Jeszcze nie zdążyło do niego dotrzeć to, co się wydarzyło.

Jego siostra została zamordowana. Ta, którą za dzieciaka nazywał siksą, bachorem i do której czasami wstyd mu było się przyznać przy ko legach z klasy. To było w podstawówce i wczesnych klasach szkoły średniej. Później wszystko uległo zmianie i stał się obrońcą swojej młodszej siostrzyczki.

Przypomniął mu się dzień, w którym wykorzystał swoje umiejętności nabyte na treningach boksu oraz aikido, za co omal nie wyleciał ze szkoły.

Jeden z chłopców z klasy jego siostry obrał ją sobie za ofiarę. Wyzywał ją, szantażował, a czasami nawet bił. Robert nie wiedział, ile to trwało, ponieważ Kasia bała się do tego przyznać. Uważała, że przeczeka do końca roku szkolnego, a później przeniesie się do innej szkoły.

Wszystko wyszło na jaw, gdy pewnego razu podbił jej oko. Robert, idąc do szkoły na drugi dzień, powtarzał sobie w myślach, że go tylko nastraszy. Da mu w gębę na tyle, żeby odczepił się od jego siostry, ale też nie aż tak, żeby poleciała krew. W rezultacie jednak krew poleciała, i to jak z zarzynanej świni, niosąc ze sobą kilka wybitych zębów. Chłopak miał również złamane żebro i wybite trzy palce.

Robert był pewien, że po tym wszystkim może zmienić plany na przyszłość. Już wtedy chciał iść do policji, a później zrobić licencję detektywa. Mając w papierach pobicie, mógł o tym zapomnieć. Nie był jednak o to zły. Wręcz przeciwnie, spranie ryja temu skurwielowi przyniosło mu ogromną satysfakcję, a wdzięczność jego siostry rekompensowała wszystkie konsekwencje.

Robertowi jednak się poszczęściło. Pobity chłopak przyznał się do wszystkiego, stwierdzając, że należało mu się. Dodał, że zrobiłby to samo, gdyby ktoś w ten sposób traktował jego młodszą siostrę. Udało mu się wybłagać rodziców, aby nie wnosili sprawy do sądu. Po tym wszystkim przeprosił zarówno pokrzywdzoną dziewczynę, jak i jej brata. Jedyne nieprzyjemności, jakie miał Robert, polegały na odwiedzaniu szkolnego psychologa dwa razy w tygodniu. Nie mógł także niczego wywinąć. Jeszcze jedna bójka oznaczałaby wydalenie ze szkoły, czego wolał uniknąć.

Teraz pruł na sygnale sto czterdzieści kilometrów na godzinę, posługując się buspasem (jak dobrze, że tu był), wymijając ogromny korek, który ciągnął się przez jakieś dwa kilometry.

Krzysztof nie mógł z nim jechać. Musiał zostać w domu Edwarda Morawskiego, lecz spisał sobie adres i obiecał, że dołączy, jak tylko będzie mógł. Zapowiadała się długa i okropna noc.

Udało mu się ominąć centrum szerokim łukiem, dzięki czemu zaoszczędził ponad pół godziny i całe tony nerwów. Dom Kasi był coraz bliżej. Z każdym pokonanym kilometrem jej śmierć zaczęła do niego docierać coraz dobitniej.

Zapiekły go oczy. Na sekundę zacisnął powieki, po czym spojrzął w lusterko wsteczne. Jego policzki błyszczały od łez, które niknęły w kilkudniowym zaroście. Nie miał pojęcia, kiedy zaczął płakać.

Puścił kierownicę i wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów.

– Kurwa, ostatni – mruknął. Jego głos wydał mu się nienaturalnie wysoki, a do tego drżał. Zawsze był twardym jak skała facetem, który bez mrugnięcia okiem potrafił strzelić komuś w łeb lub, zakuwając w kajdanki szczególnie niebezpiecznego przestępcę, „przez przypadek” wybić mu bark,

co robił bardzo często w przypadku pedofilów i gwałcicieli. Kiedyś szef biura zwrócił mu na to uwagę, lecz gdy ich spojrzenia się spotkały, uniósł ręce z miną pod tytułem: „no dobra, rób to, co uważasz za stosowne. Ja się nie wtrącam”.

Teraz ten twardziel gdzieś zniknął. Spod niego zaś wyszedł człowiek nagi, bezbronny i załamany. Nie miał pojęcia, w jaki sposób powie o tym rodzicom. Przypuszczał, że pierwszą osobą z rodziny, która się o tym dowiedziała, był właśnie on. Prawdopodobnie jeszcze nikt do nich nie zadzwonił, zostawiając to parszywe zadanie właśnie Robertowi. Z drugiej strony może to nawet lepiej, jeżeli dowiedzą się o tym od niego, a nie od obcej osoby.

Przejechał na czerwonym świetle, po czym skręcił w prawo i wjechał w jednokierunkową uliczkę. Na jej końcu ujrzał kilkanaście, jak nie kilkadziesiąt mrugających kogutów. Wzdłuż chodnika stały radiowozy policyjne oraz dwie karetki, choć sanitariusze nie mieli tutaj zbyt wiele do roboty. Wiedział, że zaraz jedna z karetek odjedzie w miejsce, gdzie bardziej się przyda, a druga poczeka na ciała upchnięte w czarne foliowe worki.

Dookoła stał tłum gapiów – nieodzowny element każdego zajścia, w którym komuś stała się krzywda. Z daleka widział, jak napierają na ogradzającą miejsce zbrodni taśmę. Gapie zawsze go denerwowali, lecz w tym przypadku nie czuł żadnych emocji związanych z tymi ludźmi.

Mimowolnie zdjął nogę z gazu. Nie chciał tam jechać. Nie chciał wchodzić do domu Kasi, z którą przez ostatnie kilka miesięcy praktycznie nie utrzymywał kontaktu. Czuł się winny, że praca była aż tak ważna i zajmująca, iż nie miał czasu nawet do niej zadzwonić i zapytać, jak się ma.

*Musieli się w coś wpakować – pomyślał.*

Może mieli długi? Może jej mąż, którego Robert zawsze uznawał za ostatniego kretyna, pożyczył pieniądze od

niewłaściwych ludzi i spóźnił się ze splatą? A może z jakiejś przyczyny zakręcili się w nieciekawym otoczeniu? Te wszystkie pytania odbijały się od ścian jego czaszki z głośnym echem.

Przyspieszył. Wiedział, że odpowiedź na wszystkie jego pytania znajduje się jakieś trzydzieści metrów dalej. Jedyne, co mógł teraz uczynić, to postarać się, żeby jak najszybciej złapano zabójcę. Tylko to mógł zrobić dla swojej siostry.

Nim zdążył otworzyć drzwi, do jego samochodu podeszło kilku funkcjonariuszy. W tamtej chwili w ogóle nie słyszał, co do niego mówią. Ruszył przed siebie w stronę otwartych na oścież drzwi.

Czuł się, jakby grał w filmie, który puszczono w zwolnionym tempie. Jego nogi były cięższe niż ołów, przez co poruszał się, jakby brodził zapadnięty po pas w bagnie. Każdy krok wydawał się być coraz mniejszy i trudniejszy do wykonania. Drzwi natomiast wcale się nie przybliżały. Wręcz przeciwnie, wydawało mu się, że im szybciej próbuje do nich dotrzeć, tym pręcej uciekają. Wszystkie twarze były nienaturalnie wykrzywione i rozmyte. Słowa, które docierały do jego uszu, przypominały spowolniony niezrozumiały ryk, przywodzący na myśl wokalistę dość słabej deathmetalowej kapeli.

Całokształt był groteskowy – z jednej strony bał się tego, co zaraz zobaczy, a z drugiej miał ochotę odrzucić głowę w tył i ryknąć śmiechem.

Po wielu godzinach – przynajmniej tak mu się wydawało – chłodne zimowe powietrze ustąpiło miejsca dusznemu i ciężkiemu. Czuć było charakterystyczny zapach, który rozpoznał praktycznie od razu. Śmierć. Lekka, słodkawa woń, w której dało się wyczuć niejasną metaliczną nutę. Zapach ten nigdy nie był taki sam. Raz był znikomy i ledwo wyczuwalny, a raz niemal odurzał. Tym razem był to zdecydowanie drugi

rodzaj, co świadczyło o tym, że nie będzie to miły widok. Robert już wiedział, że z pewnością nie zostali zastrzeleni.

Napotkał kolejnego policjanta. Facet coś do niego mówił, lecz jego głos zdawał się być na granicy słyszalności.

– Gdzie? – wpadł mu w słowo.

Policjant na moment zaniemówił i spojrzał na Roberta, wytrzeszczając oczy. Po chwili jednak wyciągnął rękę i bez słowa wskazał w lewą stronę.

– Dzięki – mruknął detektyw, po czym udał się we wskazanym kierunku.

Widok, jaki tam zastał, wprowadził go w osłupienie. Cała podłoga była zboczona krwią. Zawartość wszystkich szafek leżała porozrzucana dookoła. Kawałki talerzy tworzyły smętne wysepki na ogromnym oceanie krwi. Kuchnia wyglądała jak rzeźnia po całym dniu intensywnego uboju.

Brodząc we krwi, zbliżył się do ekipy techników. Wtem stanął przed nim mężczyzna, który na oko mógł dobiegać do pięćdziesiątki.

– Dobrze, że udało się panu tak szybko tu dotrzeć – oznajmił.

– Z kim mam przyjemność? – zapytał Robert nieobecny głosem.

– Mirosław Adamczyk – przedstawił się mężczyzna. – To ja do pana dzwoniłem.

– Jasne – burknął detektyw. – Chcę ich zobaczyć.

– To dość zły pomy...

– W dupie mam, co o tym sądzisz. – Robert minął Adamczyka, który stanął jak wryty.

Wszedł między techników. Tu było jeszcze więcej krwi, a jej ostra woń przyprawiała o mdłości.

W końcu ich zobaczył. Martwe twarze, wykrzywione nieopisanym bólem, i oczy, z których na zawsze uleciała iskra życia.

Nagle ugięły się pod nim nogi. Poczuł, że leci na spotkanie z zakrwawioną podłogą, lecz wtedy jakieś silne ręce chwyciły go i pomogły zachować pozycję pionową. Mruknął w eter krótkie „dziękuję” i ponownie spojrzął na Kasię.

Na całej jej twarzy znajdowało się pełno rozległych krwiałaków. Podobne były także na rękach i szyi. Zupełnie, jakby ktoś chciał ją dusić, lecz ona zaciekle próbowała się bronić. Czarny siniec pod okiem i rozcięty łuk brwiowy świadczyły o silnym uderzeniu. Była naga, a całe jej ciało od szyi aż po krocze zostało rozcięte jak przy sekcji zwłok, z tą różnicą, że zamiast klasycznego cięcia w kształt litery „Y”, była to poszarpana, krzywa rana. Z rozcięcia wypłynęły trzewia, a żebra sterczały, wyzywająco skierowane w stronę sufitu, jakby wygrażając schowanemu w niebie Bogu, że jeszcze popamięta, iż do tego dopuścił.

Takie samo rozcięcie widniało na ciele Pawła. W jego przypadku doszło również do brutalnej kastracji. Mężczyzna miał wetknięte swoje narządy w usta. Po raz pierwszy i ostatni Robertowi zrobiło się szkoda tego człowieka. Uczucie to jednak zniknęło szybciej, niż się pojawiło.

Oko detektywa wychwyciło pewną różnicę. Jego analityczny umysł bardzo szybko powiązał fakty. Sekundę później już szedł w stronę trupa Pawła z zamiarem wbicia mu butem do gardła jego własnych jaj.

Po raz kolejny złapały go silne ręce.

– Puść mnie, skurwielu! – ryknął. Miał ochotę rozszarpać każdego, kto ma czelność stanąć mu na drodze. Był jak byk rozjuszony czerwoną płachtą.

Nagle przed jego oczami zrobiło się ciemno. Coś sprawiło, że cały smutek i złość odeszły. Słyszał niewyraźne głosy, które wymieniały uwagi na sobie tylko znane tematy. Nie miał jednak pojęcia, o czym w ogóle rozmawiają, i wcale go to nie interesowało. Wiedział tylko tyle, że wśród nich jest jedna



kobieta. Resztę spowijała błoga zasłona nieświadomości. Była to dobra zasłona. To dzięki niej był spokojny i nie chciał jej tracić.

– Hej. – Głos, który rozległ się tuż za jego uchem, był mu znany. Postanowił go jednak zignorować. Było mu dobrze w takim stanie, w jakim się znajdował, i nie miał najmniejszego zamiaru tego zmieniać.

– Wstawaj. – Po tych słowach Robert poczuł dwa klepnięcia w policzek.

Jego oczy otworzyły się wbrew woli. Przez chwilę obraz był rozmyty, lecz szybko zaczął nabierać ostrości. Wraz z nią powrócił koszmar, w którym się znajdował.

Robert zdał sobie sprawę z tego, że leży. Szybko usiadł z zamiarem wstania. Świat zawirował.

– Powoli.

Teraz detektyw wreszcie rozpoznał, do kogo należy głos.

– Szybko się uwinąłeś.

– Zostawiłem techników z szefem i przyjechałem najszybciej, jak się dało – oznajmił Krzysztof.

– Doszli do czegoś?

– Nie. Wszędzie ćmy i ani śladu po naszym jasnowidzu, ale to teraz nieistotne.

Robert mruknął coś w odpowiedzi i rozejrzał się. Znajdowali się w salonie. Zza otwartych drzwi błyskały lampy aparatów. Technicy uwieczniali na fotografiach całe okropieństwo tego, co się tu stało.

– Masz papierosa? – zapytał Robert.

– Jasne – odparł Krzysztof.

– Co ja bym bez ciebie zrobił... – Młodszy detektyw drżącą ręką odpalił papierosa. Przez dłuższą chwilę milczał, starając się uspokoić swoje galopujące myśli.

Dookoła uwijali się technicy. W tej chwili zasięg zbierania dowodów wyszedł poza samo miejsce zbrodni.

– Może wyjdziemy się przewietrzyć? – zaproponował Krzysztof.

– No. – Robert wstał, zachwiało nim, lecz udało mu się utrzymać równowagę.

Chłodne powietrze było jak balsam. Dopiero teraz zaczął się w miarę uspokajać i powoli godzić z tym, do czego doszło.

– Ten skurwysyn ją bił – powiedział bardziej do siebie, niż do towarzysza.

– Też to zauważyłem – odparł starszy detektyw.

– Jak ja mogłem tego nie zauważyć? Przecież to pewnie trwało nie od dziś.

– Tego nie możemy być pewni...

– Ale wiemy, jak postępują tacy faceci. Nigdy nie zaczynają szybko i z hukiem. Najpierw zbyt mocny klaps, później wbijanie palców w przegub, a po tym bicie, szarpanie, przypalanie papierosami i groźby. To zazwyczaj trwa latami, a zastraszona kobieta nie ma na tyle odwagi, aby wydać swojego męża.

Krzysztof nie odpowiedział. Zdawał sobie sprawę z tego, że jego młodszy kolega ma rację, a on sam na siłę próbuje go uspokoić.

– Może gdybym przyjeżdżał raz w tygodniu to bym coś zauważył.

– Pewnie tak – przyznał Krzysztof. – Ale nie możesz obwiniać siebie za jej śmierć.

– Ale za to, że przez ostatnie miesiące była regularnie bita, mam pełne prawo być na siebie wściekły! Jeszcze Mateusz pewnie to wszystko słyszał, albo nawet widział! Kurwa mać!

– Uspokój się.

– Bo co?! – ryknął jeszcze głośniej.

Robert kopnął z całej siły w jeden z drewnianych słupków podtrzymujących poręcz. Drewniany element złamał się z suchym trzaskiem. W powietrze uleciał pył z drobnymi drzazgami oraz zapach nadpróchniałego drewna.

Zrobiło mu się lepiej. Odpalił kolejnego papierosa i wrócił do Krzysztofa.

– Poniosło mnie.

– Wcale ci się nie dziwię. Sam nie wiem, jakbym się zachował na twoim miejscu – odparł Krzysztof.

– Obyś nigdy nie musiał przez coś takiego przechodzić.

– Teraz najważniejsze, żeby złapać mordercę.

– Ta... – Robert zamilkł na moment. – Widziałeś, w jakim stanie są ciała?

– Tak... Nawet nie wiem jak to określić.

– No właśnie. – Robert usiadł na najwyższym stopniu schodów. – Aż nie chce się wierzyć, że zrobił to człowiek.

– Ano... – Krzysztof usiadł obok młodszego kolegi. – Złapiemy go.

W tym momencie z domu wyszedł Mirosław Adamczyk. Spojrzał na Roberta z mieszaniną niechęci i współczucia.

– Zakończyliśmy zbieranie dowodów.

– To doskonale. – Krzysztof wstał. – Znaleźliście coś konkretnego?

– Wejdźmy do środka.

Wchodząc do domu, Robert poczuł lekkie zawroty głowy.

Przeszli do salonu, gdzie na ławie zgromadzone były wszystkie materiały dowodowe. Stos strunowych toreb i torebek był znacznie większy niż zazwyczaj. To był jedyny plus w tym wszystkim. Większa ilość dowodów mogła oznaczać więcej miejsc, w których morderca popełnił błąd. A im więcej błędów, tym większe prawdopodobieństwo, że zostanie złapany w krótkim czasie.

Stanęli dookoła ławy niczym chirurdzy nad stołem operacyjnym.

– Mamy tu dużo włosów, skrawków ubrań i zakrwawionych przedmiotów – oznajmił Adamczyk.

– A narzędzie zbrodni? – zapytał Robert.

– Tu pojawia się problem – odparł nadkomisarz. – Przeszukaliśmy cały dom od piwnicy po strych i nie znaleźliśmy ani jednego zakrwawionego noża czy innego ostrego przedmiotu, który mógłby być teoretycznie narzędziem zbrodni. Wygląda na to, że morderca zabrał je ze sobą.

– A noże z kuchni? – zapytał Krzysztof.

– Tu mamy kolejną dziwną sytuację.

– To znaczy? – Robert uniósł pytająco brew.

– W całym domu nie ma ani jednego noża. – Adamczyk wzruszył bezradnie ramionami.

– Co?

– Też mnie to zastanawia. Tym bardziej, że są łyżki, widelce i inne sprzęty kuchenne.

– W coś on gra... – Robert zmrużył oczy w zastanowieniu. – Chyba kojarzę jednego gościa, który tak robił, ale on siedzi już jakieś dziesięć lat.

– Naśladownictwo?

– Niewykluczone. Musimy to spr... – W tym momencie uwagę Roberta przykuła jedna z toreb, która leżała na samym brzegu ławy.

Poczuł, jak opada z niego cała siła. Nogi stały się jak z waty. Czas ponownie zwolnił swój bieg, a torba, po którą wyciągnął rękę, zdawała się oddalać.

– Co to jest? – zapytał unosząc woreczek, w którym znajdowały się dwie tłuste ćmy.

– Znaleźliśmy to w pokoju pańskiego siostrzeńca – odparł Adamczyk. – Zasadniczo nie wiem, po co technicy uznali martwe ćmy za dowód rzeczowy.

– Gdzie je dokładnie znaleźli?

– Nie mam pojęcia, ale zaraz... – Mężczyzna rozejrzał się dookoła, szukając wzrokiem konkretnej osoby.

Robert spojrział Krzysztofowi prosto w oczy. Nawet nie musiał nic mówić.

– Daniel! – krzyknął Adamczyk.  
– Tak? – Do grupki mężczyzn podszedł długowłosego technik.  
– Po cholere braliście śmieci z pokoju dzieciaka?  
– Jakie śmieci? – zapytał technik. Na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia.

*Więc nic o tym nie wiesz* – pomyślał Robert. Widać było, że technik po raz pierwszy zobaczył worek z śmieci, którymi Adamczyk zaczął wymachiwać mu przed nosem.

– Uspokój się – powiedział do Adamczyka, nim ten zaczął się rozkręcać. – Owszem, w pokoju były śmieci.

– Gdzie dokładnie? – zapytał ponownie Robert.

– Pod łóżkiem. Było tam też pełno kurzu, jakaś zabawka i strona ze świerszczyka – odparł technik. – Choć jestem stuprocentowo pewny, że nikt tego nie zapakował. To zwykłe śmieci, więc pominęliśmy je. I jestem też pewny, że nie kładłem tego worka tutaj, a to ja przyniosłem wszystkie materiały z góry.

– Rozumiem. – Robert zerknął jeszcze raz na woreczek. – Było tego więcej?

– Nie, tylko te dwie.

– Dziękuję.

– Nie ma sprawy. – Po tych słowach technik wrócił do przerwanych obowiązków.

Jeszcze przez chwilę rozmawiali z Adamczykiem. Po zapewnieniach z jego strony, że będzie stale informował o przebiegu śledztwa, detektywi opuścili dom.

Przez drogę do biura nie zamienili ani słowa.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY W LESIE

Las spowijał gęsty mrok. Dookoła panowała całkowita cisza, w której każdy suchy trzask pękającej gałązki zdawał się rozdzierać bębrenki na strzępy.

Z początku adrenalina dawała mu siłę i chroniła przed zimnem. Kacper ubrany był tylko w bluzę, sztruksowe spodnie i buty, które zupełnie nie nadawały się do chodzenia o tej porze roku.

Adrenalina, która do tej pory buzowała w jego ciele, teraz zaczęła drastycznie opadać. Czuł przeszywający chłód, który wściekle kąsał jego spocony kark. Miał również trudności z poruszaniem palcami, zarówno u rąk, jak i u stóp. W mdłym blasku księżyca, który przeciskał się przez korony drzew, chłopiec ujrzał, że jego dłonie wyraźnie zsiniały. Próbował ogrzewać je wydychanym powietrzem, ale na niewiele się to zdawało. W tej chwili marzył o ciepłym ubraniu, lecz jedyne miejsce, gdzie mógł takowe znaleźć, było za jego plecami i nie miał zamiaru tam wracać.

Szedł przed siebie, nie zastanawiając się nad dokładnym celem. Miał nadzieję, że idąc w tę stronę, dotrze w końcu do ulicy. Tam spróbowałby złapać stopa. Wiedział, że może to być niebezpieczne, ale nie miał nic do stracenia.

Uznał, że spróbuje wrócić do Krakowa. Gdy uda mu się to zrobić, postara się dotrzeć na komisariat policji i opowiedzieć o wszystkim, co go spotkało w Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia. Wydawało mu się, że ten plan będzie dobry. Po tym trafi do innego domu, w którym na pewno będzie mu dużo lepiej.

Nagle jego rozważania zostały przerwane przez wystający korzeń, który skryty w cieniu tylko czekał na kogoś nieostrożnego. Przemarznięte ręce nie zdążyły na czas

zareagować, przez co chłopiec wyróżnął na twarz. Poczuł ból w górnej wardze, po którym pojawił się nieprzyjemny posmak. Szybko wstał i otrzepał przemoczone spodnie. Wierzchem dłoni pomacał usta i syknął. Na palcach zauważył krew.

Kacper ruszył dalej, obiecując sobie w myślach, że będzie bardziej ostrożny.

Wrócił do przerwanych rozważań. Zaczął sobie wyobrażać siostrę Ezechiełę w kajdankach. Widział bezsilność i strach w jej oczach. Widok ten dodawał mu jeszcze więcej motywacji do dalszej wędrówki, lecz jego ciało nie pałało takim entuzjazmem. Drżenie z zimna stało się tak silne, że zaczęło utrudniać mu poruszanie się. Szedł teraz krokiem zombie ze starych horrorów średniej klasy. Chwilę później zataczał się już jak pijak, z trudem utrzymując pozycję stojącą. Pojawił się również duszący kaszel, który zmuszał go do coraz częstszych postojów.

Załamionymi oczami rozejrzał się dookoła. Stał na szczycie wzniesienia, które ostro opadało w dół, gdzie od tafli lodu odbijał się mdły księżycowy blask.

Resztkami zdrowego rozsądku zaczął analizować swoje szanse na zrealizowanie zamierzonego celu. Nie wiedział, jak daleko jeszcze ma iść, zanim trafi na drogę, o ile takowa w ogóle istnieje. W stanie skrajnego wyziębienia dalsza wędrówka w głąb lasu oznaczała pewną śmierć. Kiedyś czytał o hipotermii i wiedział, że prawdopodobnie za kilka minut przestanie odczuwać zimno. Od tego momentu jego szanse z każdą chwilą będą drastycznie maleć.

To była jedna z jego ostatnich trzeźwych myśli.

– M-m-m-m... – Wziął głęboki wdech, co nieco uspokoiło drżenie. – M-m-muszszyć w-w-wra-aacać – powiedział sam do siebie.

Powoli, niczym starzec pozbawiony drewnianej laski, zaczął się odwracać. W tym momencie poślizgnął się na cienkiej warstewce zamrożonego śniegu.

Nie miał najmniejszych szans na reakcję. Wydał zduszony okrzyk, po czym runął w dół zbocza. Świat wywrócił się do góry nogami. Ułamek sekundy później ponownie wskoczył na swoje miejsce, by przy kolejnym mrugnięciu oka znów znaleźć się na głowie.

Każdy pokonany w ten sposób metr powodował bolesne obicia i zadrapania. Ponownie poczuł w ustach krew, a do jego gardła wpadł jakiś niewielki twardy przedmiot, którym omal się nie zachłusnął.

Staczając się w zawrotnym tempie, Kacper wypluł swój ząb. Jego usta momentalnie wypełniła mieszanina piachu, przymarzniętej ściółki, śniegu i krwi. Próbował rękami i nogami spowolnić to bezlitosne wirowanie, ale każda próba kończyła się wybitym palcem.

W pewnej chwili chłopiec wpadł na drzewo, co wywołało potworny ból w prawym boku. Krzyknął wysokim dziecięcym głosem, który wypłoszył śpiące w koronach pobliskich drzew ptactwo. Krakanie wron i kawek, wirowanie, ból oraz pojawiający się i znikający księżyc doprowadziły go na sam dół zbocza.

Przed oczami widział gwiazdy. Nie były to jednak gwiazdki, które pojawiają się po uderzeniu w głowę. Te były prawdziwe. Leżał na zamarzniętym jeziorze, wpatrując się w nocne zimowe niebo. Setki gwiazd zdobiły je niczym świeczki urodzinowy tort jakiegoś bardzo wiekowego człowieka.

Widząc gwiazdy, zaczął wyobrażać sobie światy, które każda z nich ogrzewała. Zdawał sobie sprawę z tego, że połowa gwiazd, na które teraz patrzy mogła zgasnąć na długo zanim się urodził. Było jednak wiele innych, które miały jakieś planety, a te prawdopodobnie swoje księżyce lub pierścienie. Niewykluczone było, że na jednej z takich planet ktoś właśnie wpatruje się w niebo, na którym to Słońce jest jednym z wielu



punkcików, i zastanawia się nad tym samym. To zawsze fascynowało Kacpra.

Szum w głowie i irracjonalny jak na sytuację zachwyty, jaki wywołało nocne niebo, zupełnie uspiły uwagę chłopca. Lód zaczął pękać, a towarzyszący temu odgłos przypominał drapanie widelcem o dno garnka. Kacper w ogóle tego nie usłyszał. Zachwycał się właśnie spadającą gwiazdą.

Gdy tylko ujrzał pojedynczą iskierkę rozcinającą niebo, pomyślał życzenie:

*Chcę wydostać się z lasu.*

W tym momencie rozległ się głośny trzask. Lód ustąpił, a zimne jezioro chciwie pochłonęło bezbronny chłopca. Jego marzenie właśnie się spełniało, lecz nie w taki sposób, w jaki by tego chciał.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY JAKIE POWIĄZANIA?

Robert stanął w progu swojego mieszkania. Zbliżał się świt. To była jedna z najbardziej intensywnych i zarazem nieprzyjemnych nocy w jego życiu. Po powrocie do biura musiał przejść przez papierologię związaną z przeszukaniem mieszkania Edwarda Morawskiego, a po tym wszystkim, w środku nocy, pojechać do domu rodziców i przekazać im złe wiadomości.

To była ciężka rozmowa. Rodzice chcieli znać wszystkie szczegóły i ustalenia, jakie ma policja. Chcieli też, aby zabrał ich do prosektorium, aby mogli zobaczyć ciała. Było to bardzo trudne, ale jakoś udało mu się wybić im ten pomysł z głowy. Jeżeli nie sama informacja o śmierci córki, to widok jej zmasakrowanego ciała mógłby wpędzić ich do grobu.

Umiejętnie ominął szczegóły związane z tym, jak wyglądało miejsce zbrodni. Nie chciał im opowiadać o litrach krwi, która krzepła na podłodze, ani o żebrach sterczących z rozerwanych klatek piersiowych. Nie wspomniał również o tym, że Kasia była bita przez swojego męża. Wolał, żeby nigdy się o tym nie dowiedzieli. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

Jego koszula wchłonęła potok łez matki, ojca oraz jego samego. Rozmawiając z rodzicami, pękł całkowicie. Ciężko mu było zostawiać ich samych, lecz musiał wracać do domu, aby chwilę się przespać i dotrzeć do biura przed dziesiątą.

Przestąpił przez próg i zamknął za sobą drzwi. W mieszkaniu panował półmrok. Wszystkie meble były teraz bezkształtnymi bryłami, które wzbudzały niepokój.

Zapalił światło, ściągnął płaszcz i buty, po czym udał się do salonu. Jadąc tutaj, starał się nie przysnąć za kółkiem. Teraz senność uleciała gdzieś daleko i wiedział, że złośliwie wróci dopiero w najmniej odpowiednim momencie.

Usiadł na kanapie i zaczął rozmyślać nad wszystkim, co się stało. Najbardziej zastanawiające były ćmy w trzech różnych miejscach. Edward Morawski był powiązany ze sprawą Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia, co mogło dawać nieco więcej światła na jego zagadkowe zaginięcie. Ktoś musiał się dowiedzieć o tym, że ten facet coś wiedział i miał zamiar przekazać to detektywom, dlatego też zniwelował zagrożenie.

Ale dlaczego Kasia? Co ona miała wspólnego z tą sprawą?

Logika podpowiadała, że chodzi właśnie o niego. Nie miał żony, nie miał dzieci, nie miał nikogo poza siostrą i rodzicami. Może to miało być ostrzeżeniem?

Zdawał sobie sprawę z tego, jak ryzykowna jest praca detektywa. Wiele razy słyszał groźby pod swoim adresem. Z tego, co pamiętał, groziło mu pięć osób. Cztery z nich więzienie opuszczają w worku, piąty zaś po czterech latach odsiadki postanowił zrobić światu przysługę i zakończyć swój żywot. Był pedofilem, więc Robert przypuszczał, że to nie była jego samodzielna decyzja. W tym przypadku zapewne „pomogło” mu kilku współwięźniów.

Detektyw spojrzał na barek. Naszła go ogromna ochota na Jacka Daniel’sa. Ogólnie nie przepadał za whiskey, zwłaszcza za Jackiem, ale z colą był całkiem niezły.

Spojrzał na zegarek.

– Jeden drink krzywdy mi nie robi – powiedział sam do siebie, po czym wstał i poszedł sobie nalać porządną porcję, którą po dwóch łykach miał wylać do zlewu.

Zaczął przeglądać w pamięci listę wszystkich ludzi, którzy za jego sprawą wylądowali w więzieniu. Była to pokaźna kolekcja, której nie powstydziliby się nawet detektyw widzący na horyzoncie majestatyczny monument z wyrytym napisem „emerytura”. Wiedział, że to szukanie na siłę, które nie da mu żadnych wskazówek dotyczących sprawy. Musiał jednak zająć

czymś myśli, aby nie widzieć non stop rozszarpanego ciała swojej siostry.

Zawsze był dobry w tym, co robi, dlatego ciągle dostawał „tłuste kąski”. Mówili tak o każdym zabójstwie, przy którym policja bezradnie rozkładała ręce. Robert nie był detektywem od sprawdzania, czy listonosz nie wkłada listu od samego siebie w skrzynkę pocztową żony klienta, gdy tego nie ma w domu. Takimi sprawami zajmowały się biura, gdzie „detektywi” zdobyli swoje licencje w myśl zasady „wszyscy jesteście tak samo beznadziejni, ale mam dzisiaj dobry dzień”.

Teraz jednak Robert czuł się jak detektyw od pozamałżeńskiego seksu i zaćpanych gówniarzy, których rodzice nie są w stanie upilnować. Jego analityczny umysł leżał i kwiczał prosząc o dobitcie. Był zmęczony, ale senność nie chciała nadejść. Aby pójść spać, musiałby chyba porządnie się upić, czego nie robi ze względu na pracę i ciężkie dni, jakie teraz nastąpiły.

Podniósł szklanekę z whiskey. W połowie drogi do ust spojrzał sceptycznie na ciemny płyn, po czym poszedł do kuchni i wylał drinka do zlewu. I tak miał wystarczające problemy z logicznym myśleniem. Nie musiał tego pogarszać alkoholem.

Zaczął chodzić po mieszkaniu. W jego głowie panowała zupełna pustka. Czasem pojawiała się jakaś myśl, ale gasła, nim zdążył ją przeanalizować.

Był pewien jednego: ćmy w pokoju Mateusza nie były przypadkowe. Tym bardziej, że to nie były zasuszone owady, które przeleżały tam całe wieki, za każdym razem jakimś cudem unikając odkurzacza. Można było powiedzieć, że te ćmy były jeszcze „ciepłe”. Wszystko wskazywało na to, że musiały pojawić się mniej więcej w czasie morderstw.

*Co wtedy działo się z Mateuszem?*

Robert stanął w miejscu. Zmarszczył czoło. Gest ten zawsze pojawiał się, gdy coś wzbudziło jego podejrzenia.

– Chłopak nie ucierpiał fizycznie – powiedział sam do siebie, ponawiając krążenie po salonie. – Na pewno słyszał hałasy dobiegające z dołu. Tym bardziej, że wcześniej jego ojciec prawdopodobnie znęcał się nad matką. Wtedy chłopak zapewne siedział cicho w swoim pokoju, czekając, aż burza minie.

Oczami wyobraźni zobaczył Mateusza, który leżał skulony pod kołdrą, zatykając uszy, żeby nie słyszeć wrzasków i odgłosów towarzyszących biciu. Później jednak coś się stało. Tylko co? Na pewno nie był to wkurzony sąsiad, który chciał sprawiedliwości. Gdyby tak było, to Paweł wylądowałby z obitą mordą na posterunku, a Kasia w szpitalu na obserwacji. Dlaczego zabito i ją? Musiał to być albo czysty przypadek, albo zaplanowane działanie. Intuicja podpowiadała mu, że będzie to druga opcja.

*Ćmy.*

Robert pobiegł do przedpokoju. Szybko założył płaszcz i niedbale zawiązał buty. Musiał natychmiast porozmawiać z Mateuszem. Był pewien, że chłopak wie, co zaszło w domu. Ba, musiał to widzieć na własne oczy, a może nawet w tym uczestniczyć.

Po raz kolejny nadużył przywileju posiadania koguta w samochodzie.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

### ONA

Opadał powoli jak we śnie. Dookoła było ciemno, a on leciał w stronę jeszcze gęstszej czerni. Jego uszy wypełniał jednolity szum wody. W ostatnim odruchu zdążył nabrać w płuca powietrza, lecz w tej chwili jego organizm rozpaczliwie domagał się kolejnej porcji tlenu. Mimowolnie zrobił wydech. Jego głowę otoczyły bąbelki, które natychmiast poleciały w górę, szukając ujścia, nim połamany lód ponownie zamarznie.

Nie był w stanie powstrzymać wdechu. Lodowata ciecz o smaku przypominającym rozmokłą ziemię wypełniła jego gardło i płuca. Spróbował kaszlnąć, lecz efekt był odwrotny do zamierzonego. Nabrał jeszcze więcej wody.

Zaczął rozpaczliwie wymachiwać rękami i nogami. Szamocząc się przypominał małego owada, który wpadł w starannie utkaną pajęczynę. Lepkie nitki owinęły jego bezbronne ciało, a każda próba uwolnienia się jeszcze bardziej pogarszała jego i tak już tragiczne położenie. W końcu owad, opadłszy z sił, czekał na dopełnienie swojego losu.

Podobnie było z chłopcem. Po kilku sekundach zaprzestał prób ratunku. W tej chwili żałował, że nigdy nie nauczył się pływać, choć kiedyś miał taką możliwość. Wtedy panicznie bał się wody, zupełnie jakby przewidział sposób, w jaki umrze. Nie miał teraz żadnej możliwości wydostania się, więc musiał pogodzić się z nieuniknionym.

Kacper czuł się coraz cięższy, jakby woda, którą miał w płucach, była płynnym ołowiem, zastygającym w ułamku sekundy i przyspieszającym opadanie na dno. Już wiedział, że będzie tam leżał, dopóki jakaś ekipa poszukiwawcza nie znajdzie jego ciała.

*Umrę.*

Ta myśl uderzyła go z ogromnym impetem. Przystawał odczuwać ból. Lodowate zimno zamieniało się w przyjemny chłód, który przynosił niewysłowioną ulgę. Nawet już nie próbował nabierać powietrza. Wszystko traciło sens. Życie zaczęło go opuszczać.

Zamknął oczy, dając ponieść się w bezkresną czerń.

Nagle resztki jego gasnącej świadomości zarejestrowały mocne szarpnięcie. Unosił się.

– Idę do nieba – usłyszał swój głos, lecz nie zdawał sobie sprawy z tego, że rozlega się on tylko w jego głowie.

Poczuł przeszywające zimno. Jego twarz owiał lodowaty wiatr, który wywołał gwałtowne drgawki. Ktoś zaczął miotać nim jak szmacianą lalką. Gdzieś daleko słyszał jakiś głos, ale jego wypełnione wodą uszy w ogóle nie były w stanie rozróżnić słów. Ktoś go obrócił i zaczął bić po plecach.

W jednej chwili Kacper otworzył oczy, a jego żołądek i klatka piersiowa wykonały potężny skurcz, aby pozbyć się wody. Nabrał powietrza, czując ogromną ulgę. Jego serce tłukło się jak szalone, a płuca gwałtownie nabierały i wypuszczały powietrze, jakby chciały nadrobić zaległości, których dopuściły się pod wodą.

Z początku wszystko, co widział, było rozmazane. Na szczęście chwilę później jego wzrok zaczął wracać do normy, a woda wypłynęła z uszu, dzięki czemu jego słuch również był taki, jak powinien.

Dotarło do niego, że klęczy. Był na brzegu jeziora, ale nie miał pojęcia, jak się tu znalazł. Wiedział tylko tyle, że z pewnością nie wydostał się z wody samodzielnie. Od momentu, w którym usłyszał głośny trzask pękającego lodu, jego pamięć była pełna czarnych bezkresnych dziur.

Nagle dotarło do niego, że jest obserwowany. Dookoła panowała głucha cisza, lecz chłopiec mógłby się założyć o powrót do wody, że ktoś za nim stoi.

Nie mogąc znieść tego uczucia, powoli się odwrócił. Zobaczył wysoką kobietę. Odziana była w długą białą suknię, niczym panna młoda, choć strój ten miał jakiś upiorny wydźwięk. Chłopiec nie był jednak w stanie określić, dlaczego tak jest. Jego uwagę przykuło również to, że kobieta jest bosa. Jej twarz spowijał welon, który pełen był rozdarć i dziur, jakby przez lata wisiał w szafie pełnej moli. W oczy rzucały się również sięgające poniżej pasa czarne włosy.

– To pani wyciągnęła mnie z wody – stwierdził, wskazując prawy rękaw sukni kobiety, z którego kapało.

– Tak. Miałeś dużo szczęścia, że tu byłam. – Jej głos był dość niski jak na kobietę. Miał przepiękną, głęboką barwę, która z powodzeniem mogłaby zahipnotyzować.

Kobieta podeszła do Kacpra i bezceremonialnie usiadła na śniegu. Gestem zachęciła go do tego samego. Gdy chłopiec, krzywiąc się z zimna, usiadł na śniegu, jednym ruchem ściągnęła poszarpany welon. Patrząc w jej oczy, poczuł się dziwnie. Było to coś pomiędzy strachem, zdziwieniem a miłością. Tęczówki jej oczu były czarne jak noc, przez co nie był w stanie dostrzec źrenic.

Kolejną nietypową rzeczą, na jaką zwrócił uwagę, były żółte obwódki, które otaczały tęczówki. Wydawały się płonąć oślepiającym blaskiem, lecz zniknęły, nim chłopiec zdążył się upewnić, że to, co widzi, jest prawdziwe.

Uczucie zimna zniknęło momentalnie. Kacper czuł się teraz tak, jakby zamiast przemoczonej odzieży miał na sobie ciepłą kurtkę, grube spodnie, a na stopach buty chroniące przed wilgocią i chłodem. Wydawało mu się to irracjonalne, ale był pewien, że to ciepło pochodzi od kobiety. Emanowała nim niczym rozgrzany piec, choć śnieg w miejscu, w którym siedziała, w ogóle się nie topił. Była jednocześnie ciepła i lodowata.



Przez chwilę przyglądała mu się uważnie. Chłopiec chciał odwrócić wzrok, ale mięśnie jego szyi boleśnie się skurczyły, zmuszając głowę do pozostania w jednej pozycji. Poczł ukłucie strachu.

– Wcale ci się nie dziwię – powiedziała kobieta kiwając głową ze zrozumieniem.

– Słucham?

– Nie dziwię się, że uciekłeś.

– Ale skąd pani...

– Nie nazywaj mnie panią – wpadła mu w słowo stanowczym tonem.

Chłopiec spojrzł na nią pytająco. Ta w odpowiedzi uśmiechnęła się w tak cudowny sposób, że Kacper, pomimo tego, iż jeszcze nie interesował się płcią przeciwną, po raz pierwszy w życiu poczuł ogromne pożądanie. Było to uczucie, które opadło na niego jak czarny całun, zasłaniając wszystko inne. Do jego umysłu wkradły się obrazy, na których robi z tą kobietą takie rzeczy, jakie widział kiedyś w gazetce znalezionej przez przypadek w pokoju woźnego.

Niemal natychmiast pojawiły się dyskomfort i wstyd, związane ze wzwodem. Czuł jak czerwieni się aż po uszy. Miał tylko nadzieję, że kobieta w panującej ciemności nie zauważył wzgórka na jego kroczu.

-Mów do mnie po prostu tak, jak mówisz do swoich przyjaciół, rodzeństwa, czy jak traktujesz inne dzieci z Bożego Miłosierdzia.

– Ale...

– Po prostu to zrób. – Kobieta ponownie przerwała mu w pół słowa i znów uraczyła go tym powalającym uśmiechem.

Kacper modlił się w duchu, żeby jego popęd do kobiety zniknął. To było bardzo dziwne uczucie, którego jednocześnie pragnął i panicznie się bał. Z jednej strony była ideałem, uosobieniem piękna i nieskazitelności. Z drugiej zaś, miała

pewnie ze trzydzieści lat. W oczach dwunastoletniego chłopca była zatem starą babą, która zaraz będzie na tamtym świecie. Jakaś jego cząstka odczuła, że ona chyba właśnie stamtąd pochodzi, lecz wcale go to nie odrzucało.

Chłopiec chrząknął. Miał w ustach kompletnie sucho, choć jeszcze przed kilkoma minutami wypełniała je paskudnie zimna, smakująca cmentarzem woda.

– No... dobrze – powiedział, widząc oczekiwanie w oczach dziwnej zbawczyni.

– Doskonale. – Uśmiech zniknął z twarzy kobiety, a w jej oczach pojawił się dziwny, lodowaty błysk.

*Ona wie* – pomyślał chłopiec, czując, jak jego męskość, która właśnie odkryła swoje powołanie, próbuje się wyrwać i zrobić to, do czego została stworzona, właśnie teraz i właśnie z nią.

– Opowiedz mi o tym.

– O czym? – Kacper czuł się teraz jak totalny krety. Zupełnie jakby nie rozumiał prostych pytań, choć według niego sposób, w jaki kobieta je zadawała, był niejednoznaczny.

– Opowiedz mi o tym, co spotkało cię w Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia. – Teraz w jej oczach pojawił się zachęcający wyraz.

Kacper przyciągnął kolana do klatki piersiowej. W tej pozycji było mu wygodniej i czuł się nieco pewniej, choć wzdół nadal nie chciał przejść.

– Skąd pani... – Przerwał w pół słowa, widząc pełne żalu spojrzenie kobiety – To znaczy... skąd wiesz, że stamtąd uciekłem?

– Sama tam byłam.

– Naprawdę? – Kacper wytrzeszczył oczy ze zdumienia. To wszystko było niezwykle. Najpierw uciekł szalonej zakonnicy, która biła go bez litości, po drodze praktycznie zamarznął, a na końcu niewiele brakło, żeby zakończył swoje krótkie życie na dnie jeziora, żarty przez ryby. Zapobiegła temu kobieta, która,

jak się okazało, również została wychowana w Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia. Aż ciężko było uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Drgnął, jakby coś wyrwało go z transu. Napotkał pytające spojrzenie kobiety.

– Przepraszam, chyba jeszcze nie doszedłem do siebie. – Wymyślona na poczekaniu wymówka, całkiem nieźle się sprawdziła.

– Nic się nie stało – odparła. – Zauważyłam, że jesteś bardzo poturbowany.

– Ach, tak... – Kacper od momentu wyciągnięcia z wody zupełnie zapomniał o poniesionych ranach. Teraz, jak za sprawą złego czaru, ból zaczął wracać.

– Więc jak to się stało?

– Nie opowiem ci wszystkiego dokładnie, bo to działo się bardzo szybko – rzekł chłopiec. – Na pewno obiliśmy sobie żebra jak poślizgnąłem się na górze i spadłem tutaj. – Skinął głową w stronę wzniesienia.

Nagle zamarł. Żadnego wzniesienia tam nie było. Zamiast stromego zbocza, widział jedynie brzeg jeziora, który był zupełnie płaski. Drzewa w tym miejscu rosły praktycznie przytulone jedno do drugiego. Ból w żebrach był jednak prawdziwy. Wszystkie otarcia i siniaki, jakich sobie narobił, staczając się w to miejsce, były zupełnie autentyczne i dawały o sobie znać coraz mocniejszym bólem.

Chłopiec rozejrzał się dookoła. Pozostałe brzegi wyglądały tak samo.

– Coś się stało? – zapytała kobieta, widząc panikę w oczach Kacpra.

– N-nie... n-nic się nie s-stało... Po prostu...

– Rozumiem. – W jej oczach panowała teraz pustka. Ten wyraz już gdzieś widział i z pewnością mu się nie podobał.

Kacper wstał. Jego zebra zawyły potwornym bólem, a kostka, którą musiał skrócić przy upadku nie pozwoliła mu zbyt długo ustać. Runął z powrotem do pozycji siedzącej, objając sobie kość ogonową.

– Uspokój się. – Kobieta ponownie obdarzyła go swoim zniewalającym uśmiechem, który po raz kolejny wywołał u niego erekcję. Nawet nie zorientował się, kiedy mu przeszedł ostatni wzwód. Teraz to uczucie uderzyło ze zdwojoną siłą. Czuł nieodpartą wolę rzucić się na nią i zrobić to, na co tak bardzo miał ochotę.

Wziął trzy głębokie wdechy.

*Uspokój się. Uspokój się! USPOKÓJ!!!*

Pomogło. Żądza odeszła. Wiedział, że musi teraz mówić. Musi mówić jak najwięcej, żeby zająć czymś myśli i nie dopuścić do ponownego wybuchu popędu.

– Rysowałem na lekcji – przyznał się.

– Co takiego narysowałeś?

Kacper poczuł, że ma coś w tylnej kieszeni. Nim zdążył się zorientować, wyciągnął z niej poskładaną kartkę. Pomimo tego, że był przemoczony do suchej nitki, na kartce nie było ani śladu wilgoci. Drżącymi nie tyle z zimna, co ze strachu palcami, rozłożył ją. Ze zdumieniem ujrzał rysunek, który wykonał na lekcji polskiego. Był pewien, że nie brał go ze sobą. Przed ucieczką nawet nie zastanawiał się nad zeszytem.

Dał rysunek kobiecie. Ta wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę. W końcu odrzuciła głowę w tył i parsknęła głośnym śmiechem, który rozszedł się echem po całym lesie. Śmiech brzmiał uroczo, co wywołało u Kacpra dziwne uczucie w podbrzuszu.

*Motylki* – pomyślał chłopiec, mimowolnie poddając się przyjemnemu uczuciu.

– Ten rysunek jest świetny! – W jej oczach igrały figlarne iskierki. – Dawno nie widziałam niczego tak dobrego! –

Obdarzyła go uśmiechem. Miała nieskazitelnie białe i równe zęby. Wyglądała teraz, jakby miała szesnaście lat, co ponownie rozbudziło w chłopcu wyposzczonego mężczyznę. Chciał zamknąć ją w objęciach i przytulać jak najczulej, kochać ją najbardziej jak się tylko da.

*USPOKÓJ SIĘ!!!*

– Tak... – przyznał Kacper. – Ale siostra Ezechiela niestety nie podzieliła twojego zdania.

– Pobiła cię. – To było stwierdzenie, jakby kobieta doskonale wiedziała o tym, co się stało.

– Tak...

– Przykro mi. – Jej głos i oczy wyrażały teraz ogromny smutek.

Kacper nie mógł pojąć, ile różnych uczuć okazuje ta kobieta. Smutek, radość, gniew, szaleństwo – to wszystko przewijało się jak w kalejdoskopie, i to w tak szaleńczym tempie, że można było dostać zawrotów głowy.

– Nie powinieneś był uciekać. – Teraz jej głos był karcący i pełen wyrzutu.

– Masz rację... – przyznał Kacper, choć wcale nie podzielał jej zdania. Nie rozumiał zupełnie, dlaczego przytaknął. Stało się to wbrew jego woli, jakby ktoś kierował jego językiem i zmuszał do mówienia tego, co kobieta chce usłyszeć.

– W lesie zginiesz – rzekła spokojnie, jakby rozmawiali o pogodzie.

– Wiem – ponownie przytaknął, choć teraz miało to więcej sensu. ONA miała rację i nie istniał ani jeden argument, którym można by było przynajmniej spróbować podważyć jej zdanie.

– Też kiedyś chciałam uciec – przyznała. – Też wylądowałam u niej w gabinecie. Spędziłam tam dwa dni, których nigdy nie zapomnę.

Nagle przyjemne ciepło, które dotąd roztaczała kobieta gdzieś uleciało. Mróz powrócił, a lodowaty wiatr sprawił, że

jego mokre ubranie przykleiło się do ciała.

Twarz kobiety zaczęła przechodzić przerażającą metamorfozę. Była teraz dziewczynką młodszą od niego, której całą buzię pokrywały paskudne, nabiegłe krwią sińce. Na policzku miała głębokie rozcięcie, z którego leniwie spływała strużka zmieszanej z łzami krwi. Połowa równo przyciętej nad brwiami grzywki została po prostu wyrwana. Miejsce, w którym płatek lewego ucha łączy się z twarzą, pokrywała zaschnięta krew, co świadczyło o tym, że stara zakonnica szarpała dziewczynę za ucho do momentu, w którym je naderwała. Prawe oko było nabiegłe krwią, a nos złamany przynajmniej w dwóch miejscach.

Dziewczynka ukryła twarz w dłoniach. Kacper omal nie krzyknął. Jej przedramiona wyglądały zupełnie jak u niego. W tym świetle liczne sińce przypominały tatuaże.

*Drewniana linijka, pomyślał chłopiec.*

W jeszcze gorszym stanie były palce. Nienaturalne wygięcia świadczyły o wybiciach lub złamaniach. Kciuk lewej dłoni został odgięty do tego stopnia, że niemal dotykał przegubu. Spod paznokci wypływała krew, a jeden z nich nagle odpadł, jak jesienny liść, który nie jest w stanie dłużej utrzymać się na zmarzniętej gałęzi.

Wizja nagle rozplynęła się. Przed nim ponownie siedziała nastoletnia dziewczyna. Sińce zniknęły, nos był prosty i tylko przy uchu widać było delikatną bliznę. Ku jego ogromnej uldze powróciło przyjemne ciepło.

– Jak ty...

– Nie myśl już o tym, co było. – Dziewczyna uśmiechnęła się w swój zniewalający sposób.

Kacper nie wytrzymał. Jego uczucie, z szoku i niedowierzania, nagle zmieniło się w pożądanie, którego nie był w stanie już dłużej powstrzymać.

Dziewczyna przysunęła się bliżej. Teraz przyjemne ciepło przeszło niemal w żar, który prawie parzył. Dziewczyna zamieniła się w kobietę, która wyciągnęła go z wody. Uśmiech był jeszcze bardziej kuszący, a jej dojrzałość jeszcze bardziej pociągająca.

– Chodź tu – szepnęła zachęcająco.

Nie trzeba mu było tego powtarzać. Rzucił się w jej objęcia, jakby byli parą, która spotkała się po wielu latach rozłąki. Przytulał ją, czując nieopisaną miłość. Nigdy w życiu nie czuł się tak dobrze.

– Kochasz mnie? – zapytała.

Całkowicie omamiony Kacper spojrzał jej prosto w oczy. Było w nich pełne zniecierpliwienia oczekiwanie. Wiedział, co chciała usłyszeć i chciał jej to powiedzieć, a nawet wykrzyczeć na cały świat.

– Kocham cię najmocniej, jak tylko potrafi kochać człowiek.

Jej uśmiech był niesamowity. Chłopiec nie mógł oderwać od niej wzroku. Był jak zahipnotyzowany, choć nie zdawał sobie sprawy z tego, że jest tak w rzeczywistości.

Ich usta zbliżyły się. Wyglądali teraz niczym para wyjęta w gotyckiej powieści. Noc, gwiazdy, blask księżyca i oni. Całkowicie wyalienowani i skupieni tylko na sobie; nie zwracający najmniejszej uwagi na porządek panujący w otaczającym ich świecie.

Zrobili to. Pocałunek był słodki i zdecydowanie stanowił najlepszą rzecz, jaka spotkała go w życiu. Jej język delikatnie muskał jego, co dawało ogromną rozkosz.

Chwila ta była bardzo krótka. Kacper poczuł, że coś wpada mu do gardła. Najpierw była to jedna rzecz, później pojawiła się kolejna i jeszcze jedna i jeszcze...

Nagle jego gardło wypełniły jakieś stworzenia. Czuł jak obijają się skrzydełkami o jego podniebienie, wywołując laskotanie. Chciało mu się śmiać, choć czuł paniczny strach.

Chciał przerwać pocałunek, ale nie dało się. Kobieta niemal przyssała się do niego, a on z przerażeniem odkrył, że chce pozostać w tym splocie.

Otworzył oczy i niemal natychmiast tego pożałował. Twarz najpiękniejszej kobiety, jaką kiedykolwiek widział, była teraz pokryta gnijącymi czyrakami, z których sączył się gęsty śmierdzący śluz. Lepił się do jego twarzy, co wywołało falę mdłości. Nad prawą brwią ziała ogromna dziura, która odsłaniała popękana czaszkę. Brzegi rany były całkowicie czarne, co świadczyło o tym, że proces gnilny postępował już od długiego czasu. Delikatne, jędrne i ciepłe usta stały się teraz zimne i szorstkie jak papier ścierny. W kilku miejscach brakowało ciała, jakby zostało wyrwane lub samo odpadło.

Fruwające stworzenia cały czas wlatywały do jego gardła. W jednej chwili zdał sobie sprawę z kilku rzeczy. Ta kobieta była prawdziwa, ale nigdy nie wyszła z Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia. Wizja pobitej dziewczynki również była prawdziwa, lecz ta dziewczynka nigdy nie dorosła. Zmarła w wyniku poniesionych obrażeń, co zostało zatajone. Siostra Ezechiela własnoręcznie pochowała ją gdzieś w tym lesie. Uznano ją za zaginioną jakieś dwadzieścia lat temu i od tamtego momentu nikt nie odnalazł jej ciała.

Kolejną rzeczą, jaka teraz dotarła do Kacpra, było to, że uległ całkowitej hipnozie już na zboczu wzniesienia, które tak naprawdę nigdy nie istniało. Woda była natomiast prawdziwa. Kobieta chciała wzbudzić w nim poczucie zaufania, po czym całkowicie go omamiła, a teraz robiła coś bardzo złego. Czuł to. Już przestawał być sobą. Czuł w sobie coś obcego i wiedział, że to coś wkrótce przejmie nad nim kontrolę.

W ostatnim akcie desperacji, chłopiec chciał odepchnąć kobietę. Położył ręce na jej klatce piersiowej. Poczł pełne, jędrne piersi, które w ogóle nie pasowały do rozkładającej się twarzy. Wbrew woli ścisnął je, czując coś, czego jeszcze nigdy



nie poczuł. Potężna erekcja zakończona silnym i bolesnym orgazmem, osunęła go w zapomnienie.

Padł na ziemię nieprzytomny. Z jego rozchylonych ust wygramoliła się samotna ćma, która wspięła się na czubek nosa, by zaraz odlecieć w stronę lasu.

Kobieta na powrót stała się piękna i nieskazitelna.

– Wstawaj, śpiochu – powiedziała z rozbawieniem. – Nie powinienes tu spać, bo zamarzniesz.

Kacper ocknął się. Przez chwilę nie wiedział, gdzie jest i co się z nim dzieje. Spojrzał na kobietę niewidzącym wzrokiem.

– Co się stało? – Strach i obrzydzenie gdzieś przeminęły. Czuł tylko lepką wilgoć w kroczu i słabnącą erekcję. Ból żeber i rąk zniknął. Nie miał ani jednego siniaka, a skręcona kostka jakimś sposobem wróciła do poprzedniego stanu. Był całkowicie sprawny.

Kobieta nie odpowiedziała. Obdarzyła go tylko uroczym uśmiechem, który tym razem nie wywołał u chłopca pożądania. Teraz był straszny i tajemniczy. Mrugnęła do niego.

– Będiesz ze mną już na zawsze – oznajmiła, a w jej oczach pojawiła się czułość.

– Będę – odparł Kacper, choć nie czuł niczego. Wiedział, że tak będzie i nie wzbraniał się przed tym. Nadal była piękna i był w stanie zrobić dla niej wszystko, choć jednocześnie chciałby, żeby nigdy nie wyciągała go z wody.

Zamknął na moment oczy i odetchnął głęboko. Czuł w sobie ogromną siłę i nienawiść. Były to jego dwa podstawowe narzędzia, dzięki którym robi coś wielkiego. Nie wiedział jeszcze, co to będzie, ale coś podpowiadało mu, że musi wrócić do Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia.

Otworzył oczy. ONA zniknęła. Wstał raptownie, jakby ktoś wylał na niego kubek lodowatej wody. Między drzewami zobaczył rąbek białej sukni. Pobiegł za nią.

– Spotkamy się, jak przyjdzie na to odpowiednia pora. –  
Głos ten rozległ się w głowie Kacpra.

– Spotkamy się – odpowiedział w myślach, nie zdając sobie sprawy, że również to powiedział.

Nagle poczuł się bardzo źle. Chwycił się pobliskiego drzewa i zwymiotował. Struga gęstej cieczy koloru smoły chlusnęła na śnieg i z chwilą zetknięcia się z podłożem zaczęła gwałtownie parować. Od razu poczuł się lepiej.

Wyprostował się i wtedy zdał sobie sprawę z tego, że znajduje się przed Domem Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia.

Udało mu się zejść na dół, choć wykonał to z impetem, którego nie miał w planach.

Już miał zrobić pierwszy krok, gdy na śniegu rozlała się żółta poświata. Ktoś w środku musiał usłyszeć hałas, jakiego narobił. Serce Kacpra wskoczyło na podwójne obroty. Ponownie pojawiła się panika. Zdawał sobie sprawę, że jak go złapią, to siostra Ezechiela nie skończy na okładaniu go linijką po rękach.

Wtedy dotarło do niego, kim jest i po co tu wrócił. To dobrze, że go złapią. To dobrze, że wyląduje z powrotem w gabinecie Ezechieli. Przecież o to mu właśnie chodziło.

Kierowany odruchem, położył się na śniegu i czekał, wiedząc co zaraz się stanie.

Usłyszał odgłos otwieranego okna, po którym jego uszu dobiegły głosy dwóch kobiet. Jedną z nich była siostra Agnieszka.

– Coś walnęło o ganek – powiedziała.

– Faktycznie – przyznał drugi głos. – Z jednej strony daszku nie ma śniegu, jakby coś się po nim zsunęło.

Zapadła krótka chwila pełnego napięcia milczenia, po którym nocną ciszę przeszył nienaturalnie wysoki kobiecy krzyk.

– O mój Boże! – krzyknęła siostra Agnieszka, doskonale zdając sobie sprawę, z którego okna chłopiec wypadł.

W pokoju, którego okno było otwarte, rozległy się wrzaski wzywające siostrę Ezechiełę.

– Zaraz inaczej będziesz śpiewała – mruknął Kacper.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

### KOLEJNA ĆMA

Szpitalny parking przepełniony był samochodami. Większość z nich zostało zaparkowanych niedbale na skos, co przywodziło na myśl rozrzucone przez dziecko resoraki. Zupełnie, jakby ci ludzie przyjechali tu w pośpiechu, otrzymawszy telefon, że stan ich bliskich uległ gwałtownemu pogorszeniu.

– Kurwa mać – zaklął Robert odpalając papierosa. Krążył po parkingu już dobre dziesięć minut i jak na razie nie znalazł żadnego wolnego miejsca. Miał wiele pytań do swojego siostrzeńca i liczył na to, że uda mu się coś z niego wyciągnąć.

Jakaś młoda kobieta właśnie wsiadała do swojego opla i odpaliła silnik. Nieudolnie cofała i z powrotem wracała na swoje miejsce. Albo była świeżo po zrobieniu prawa jazdy, albo sama nie wiedziała, czego chce.

Robert westchnął z rezygnacją, po czym wrzucił niedopałek do przepełnionej popielniczki.

– No wyjedź wreszcie, do cholery – mruknął pod nosem, czując, jak cienka granica jego cierpliwości zostaje przekroczona. Miał ogromną ochotę nacisnąć klakson, lecz zrezygnował z tego pomysłu, gdyż domyślił się, że w ten sposób tylko pogorszyłby sprawę.

Kobieta w jakiś telepatyczny sposób musiała usłyszeć myśl Roberta. Skończyła podchody, wycofała i pojechała w sobie znanym kierunku. Detektyw zajął jej miejsce. Ściągnął z siedzenia pasażera wielkiego misia i pudełko ulubionych ciasteczek Mateusza. Chłopak bez wątpienia przeszedł przez istny horror, dlatego też Robert nie chciał, aby ten poczuł, że jest przesłuchiwany. Najbliższe kilka dni i tak będzie dla niego męczarnią pełną tych samych pytań, powtarzanych przez kilka lub kilkanaście osób, które będą przychodziły kilka razy

dziennie ze swoimi czarnymi notesami i przenikliwymi spojrzeniami.

Jego zmęczoną twarz owiał lekki, chłodny wietrzyk. Było to przyjemne uczucie, które pozwoliło mu na moment oczyścić przeciążony umysł. Wiedział, że czeka go bardzo trudna rozmowa. Umiał wyciągać od ludzi informacje poprzez wzbudzenie zaufania i odpowiednie dobieranie słów, jednak nie miał nigdy do czynienia z dzieckiem po takich przejściach.

Wszedł do holu. Po drodze udało mu się dodzwonić na recepcję i dowiedzieć, na której sali leży jego siostrzeniec. Lekarz podobno nie był zachwycony z faktu, że Mateusz będzie miał gościa, lecz magiczne słowo „detektyw” sprawiło, że lekarz zmienił zdanie pod warunkiem, że Robert nie będzie męczył chłopca dłużej niż kwadrans.

Podbiegł do windy i wsadził stopę między zamykające się drzwi. Te rozchyliły się z powrotem, zapraszając go do ciasnej klitki, w której stał wymizerowany facet z cewnikiem przypiętym do spodni piżamy i jakaś pielęgniarka, która byłaby całkiem niezła, gdyby ważyła przynajmniej czterdzieści kilo mniej. W windzie unosił się zapach środków dezynfekujących, mdłych perfum, którymi tłusta cizia rano skropiła szyję, oraz potu, bez wątplenia pochodzącego od chorego mężczyzny. Całokształt zapachów sprawił, że detektyw miał ochotę wyjść z windy i pójść schodami.

Nacisnął guzik z numerem 10. Winda ruszyła, aby zaraz zatrzymać się na drugim piętrze. Drzwi otworzyły się i do środka wszedł mężczyzna, którego ręce pokrywały ogromne brązowe strupy. Nim drzwi windy zdążyły się zamknąć, Robert zauważył dużą tablicę z napisem „Dermatologia”.

W windzie zaczęło się robić coraz tłoczniej. Piętro wyżej wsiadła dziewczynka ze złamaną ręką. Na kolejnym do wesołej gromadki dołączył starszy mężczyzna z zaklejonym okiem i gość, który pomylił szpital z izbą wytrzeźwień.

Robert nie wytrzymał. Gdy winda zbliżała się do szóstego piętra, nacisnął przycisk otwierania drzwi. Postanowił resztę drogi pokonać schodami. Tam przynajmniej nie było tłoku i nie śmierdziało, a jedyne, co mu dokuczało, to marna wydolność płuc męczonych każdego dnia dwiema paczkami papierosów.

Gdy zdyszany wreszcie dotarł na dziesiąte piętro, musiał przystanąć i uspokoić oddech. Na jego czole perliły się kropelki potu, a serce waliło, jakby pokonał czterdziestokilometrowy maraton.

*Musisz mniej palić* – pomyślał, wiedząc, że i tak nic z tym nie zrobi.

Po kilku minutach doszedł do siebie. Oddech się uspokoił, a serce wróciło do normalnego rytmu. Detektyw starł pot z czoła, wyprostował się i podszedł do drzwi z napisem „Oddział dziecięcy”. Nacisnął dzwonek.

Po chwili usłyszał brzęczyk otwieranego automatycznie zamka. Pchnął drzwi, w których czekała na niego rudowłosa pielęgniarka. Patrząc na nią, mężczyzna odniósł wrażenie, że czasami musi być mylona z pacjentką. Chude nóżki, filigranowa postura i drobna twarz sprawiały, że wyglądała jak nastolatka.

– Dzień dobry – powitała go.

– Dzień dobry – odparł.

– Pan do kogo? – Ton głosu kobiety pasowałby bardziej do wrednej baby z urzędu, która pracuje za karę. Aż ciężko było uwierzyć, że tak urocza i drobna istota odzywa się w taki sposób.

– Do Mateusza. Sala sto dwadzieścia. Rozmawiałem z lekarzem na temat odwiedzin – odpowiedział spokojnie. – Mam na to co prawda kwadrans, ale rozumie pani... – Skinął głową na pluszaka, którego przyniósł.

– Ach tak, pan jest wujkiem, jak dobrze pamiętam? – Kobieta zeszła z tonu. Z pewnością cały oddział huczał o tym, co spotkało rodziców Mateusza.

- Zgadza się.
- Proszę iść prosto do końca korytarza. Drzwi po lewej.
- Dziękuję.

Robert ruszył korytarzem, po którym biegały pielęgniarki i przechadzały się znudzone ciągłym leżeniem w łózkach dzieci. Zza szklanych drzwi było widać młodych pacjentów, którzy są w gorszym stanie. Smutne buzie, kroplówki i łyżki sprawiły, że udzielił mu się szpitalny nastrój.

Mijając gabinet zabiegowy, jego uszu dobiegł okropny wrzask.

– Ale nie panikuj. To nie będzie bolało. Tylko lekko cię dziobnę i po krzyku – powiedziała pielęgniarka siląc się na uspokajający ton głosu. Efekt jednak był odwrotny do zamierzonego. Dzieciak rozwrzeszczał się jeszcze głośniejsze.

Detektyw dotarł do końca korytarza i spojrzał na lewo. Stał przed salą numer sto dwadzieścia.

Przez jego kręgosłup przeszedł wyjątkowo nieprzyjemny dreszcz. Już wyciągnął rękę w stronę klamki, lecz zaraz ją cofnął. Spojrzał na jedyne zajęte łóżko na sali. Spod kołdry wystawał tylko czubek głowy jego siostrzeńca.

Poczuł niepokój. W tym momencie bał się zadawać pytania. Poza tym już nie wiedział, o co ma pytać. Jadąc do szpitala, miał w głowie wstępny zarys całej rozmowy. Teraz to wszystko uleciało, jak dane ze sformatowanego dysku.

Zrobiło mu się zimno. Spojrzał na najbliższe okno. Było zamknięte, a szyby pokryły się cienką warstewką szronu. Nie miał pojęcia, dlaczego nagle poczuł taki chłód. Niemal szczerkał zębami, choć wiedział, że na pewno nie może tu panować tak niska temperatura.

Z jego ust uleciał obłoczek pary.

- Co jest, do kurwy? – zapytał samego siebie.
- Słucham?

Robert podskoczył jak oparzony. Obok stała dziewczynka, która mogła mieć na oko siedem lub osiem lat. Ubrana była w cieniutką piżamkę i wcale nie było po niej widać, żeby czuła tak dojmujący chłód, jak on. Pod pachą ścisnęła pluszową krówkę, która w niewyjaśnionych okolicznościach straciła jedno ucho. Dziewczynka obdarzyła go uśmiechem pozbawionym dwóch dolnych jedynek, jednej górnej oraz prawego górnego kła. Na gładkich dziąsłach widać już było czubki wyzymających się zębów stałych.

Chłód minął równie nagle, jak się pojawił. Robert przestał szcząkać zębami. Obłoczki pary, którą wydychał, również zniknęły. Zamrugał kilkakrotnie, jakby w ten sposób chciał się pozbyć obrazu stojącego obok dziecka. Dziewczynka była jednak prawdziwa. Patrzyła na niego, wyraźnie oczekując odpowiedzi.

– Mówiłem tylko do siebie – odrzekł zachrypniętym głosem.

– Bardzo brzydko pan mówi. – Dziewczynka patrzyła na niego karcącym wzrokiem. Detektyw już wiedział, że wyrośnie kiedyś na strasznie dociekliwego babsztyla, który będzie się czepiał o każdą pierdołę.

– Wydawało ci się. Powiedziałem...

– Mamusia mówiła, że nieładnie tak mówić, a jak się tak mówi, to język robi się czarny i odpada.

Robert wytrzeszczył oczy z niedowierzania. Czasami zaskakiwało go to, co rodzice mówią swoim dzieciom, które do pewnego etapu rozwoju są święcie przekonane, że dorośli mają rację. Gdyby faktycznie używanie wulgaryzmów prowadziło do obumarcia języka, to dziewięćdziesiąt procent ludzi byłoby niemowami, którzy zaczęliby przeklinać w języku migowym, do momentu, w którym odpadłyby im ręce.

– Wiktoria!

Dziewczynka odwróciła się. W trakcie ruchu, krówka wysunęła się spod jej pachy i bezgłośnie upadła na płytki.



– Mówiłam ci tysiące razy, żebyś nie zaczepiała obcych! Nie można cię zostawić nawet na minutę!

Matka dziewczynki utkwiała przerażone spojrzenie w Robercie, jakby szukała w jego wyglądzie jakiejś cechy pedofila.

– Nic się nie stało – odparł Robert, po czym uśmiechnął się. Miał nadzieję, że wyszedł mu pogodny uśmiech, a nie grymas dręczonego sraczką człowieka.

Chyba wyszło jednak to drugie. Kobieta spiorunowała go spojrzeniem, po czym chwyciła córkę za rękę i pociągnęła w stronę sali, na której leżała.

Robert stał przez chwilę, patrząc na sceny rozgrywające się na korytarzu. Dzieciak, który tak głośno wył, jakimś sposobem uciekł z gabinetu zabiegowego. Biegł jak oparzony przez cały korytarz, a ze zgięcia jego prawej ręki spływała krew. Za nim biegła pielęgniarka, z rodzaju tych z nadwagą, które w swojej pracy najbardziej lubią kawę i słodczyce. Sposób, w jaki się poruszała, sprawił, że Robert mimowolnie parsknął pod nosem. W końcu gnojek został złapany przez inną pielęgniarkę, która akurat wyszła z sali obok. Towarzyszyły temu niesamowity wrzask i szaleńcze wymachiwanie rękami.

Wiedział, że nie może zwlekać w nieskończoność. Stał przed drzwiami sali Mateusza już od dobrych kilku minut. Musiało to wyglądać dość dziwnie, ale na pewno nie było tak nietypowe, jak ten niewyjaśniony chłód.

– Może powinienem się przespać... – mruknął do siebie, chcąc uwierzyć, że to brak snu wywołał zwiidy.

Spojrzał przez pokrytą kropelkami wody szybę i podskoczył. Mateusz leżał na plecach i patrzył prosto na niego. To było najstraszniejsze spojrzenie, z jakim kiedykolwiek miał do czynienia. Zupełnie nieruchome i puste. Chłopiec nawet nie mrugał.

Robert nacisnął klamkę i wszedł. Miał nogi jak z ołowiu, a każdy krok był dla niego ogromnym wysiłkiem. Wydawało mu

się, że wchodzi po stromej pochylni, której kąt zwiększa się z każdym jego krokiem. Ledwie przekroczył próg sali, a już chciał odwrócić się i uciec.

Wreszcie dotarł do łóżka. Usiadł na jego brzegu i spojrzał na siostrzeńca. Jego oczy z tej odległości wyglądały zupełnie jak oczy zmarłego człowieka. Były szkliste i pozbawione basku życia. Gdyby nie to, że chłopiec głęboko oddychał, Robert zapewne pomyślałby, że nie żyje.

– Hej, młody. – Głos detektywa drżał ze strachu.

Chłopiec nie odpowiedział. Nadal wpatrywał się w niego pustym wzrokiem, a jedyna oznaka życia, jaką dał, to drgnięcie lewej brwi. Było ono jednak tak nieznaczne, że Robert nie miał pewności, czy mu się to nie przywidziało.

– Poznajesz mnie?

Dalej nic. Nawet drgnięcia powieki. Zasadniczo Robert nie wiedział, czy chłopiec śpi, czy jest na jawie.

– Zobacz, co ci przyniosłem. – Pokazał siostrzeńcowi pluszaka. Nawet u ciężko chorego dziecka w tym wieku, zabawka wywołałaby chociaż śladowe emocje.

– To nie wszystko – powiedział po chwili milczenia. – Masz może ochotę na... – Pokazał Mateuszowi paczkę jego ulubionych ciasteczek.

Tym razem udało mu się osiągnąć nieco więcej. Na widok słodczy chłopiec mrugnął. Była to co prawda pojedyncza reakcja, jednak mimo wszystko dało to Robertowi cień nadziei, że uda mu się w jakiś sposób skłonić chłopca do mówienia.

– Chcesz ciasteczko? – zapytał. – Doktor powiedział, że możesz je jeść.

Kolejne mrugnięcie i lekkie skinienie głową. Oczy jednak nadal pozostały martwe.

Drżącymi rękami otworzył paczkę słodczy. Przy tej czynności jedno z kruchych ciasteczek spadło na podłogę. Detektyw niedbale kopnął je pod niewielką szafkę na kółkach.

Chłopiec lekko rozchylił wargi. Robert pochylił się nad nim i wyciągnął drżącą dłoń, w której trzymał ciasteczko.

Nagle znów poczuł chłód, który tym razem bardzo szybko zamienił się w potworny mróz. Czuł się, jakby zamknięto go w chłodni. Do tego doszła jeszcze woń rozkładu i mokrej ziemi. Jego ciało zastygło w miejscu. Wpatrywał się w siostrzeńca, sparaliżowany do tego stopnia, że nie mógł nawet mrugnąć.

Usta chłopca rozszerzyły się jeszcze bardziej, ukazując praktycznie białe dziąsła. Zęby z początku były kurczowo zaciśnięte, lecz po upływie kolejnej chwili zaczęły się powoli rozwierać. Odgłos, jaki temu towarzyszył, przypominał tarcie o siebie dwóch nienaoliwionych metalowych powierzchni.

Robert czuł paniczny strach. Jego mózg nawoływał do ucieczki, ale ciało zupełnie nie słuchało. Czuł jak jego serce wali galopem, jakby chciało się wyrwać i dosłownie w podskokach uciec z sali.

Szczelina między zębami miała już szerokość kilku centymetrów. Widać było siny język, który drgał konwulsyjnie. Detektyw miał ochotę krzyknąć, ale paraliż nie ustępował.

Wtedy stało się coś, czego mężczyzna nigdy nie spodziewałby się zobaczyć. Na początku języka Mateusza pojawił się mały kosmaty łepiek. Przez chwilę po prostu tam był, nieruchomy, jakby sprawdzając, co się dzieje na zewnątrz.

Nagle ćma wyleciała prosto na nieruchomą twarz Roberta. W tej chwili paraliż momentalnie ustąpił. Zniknął również chłód, a jedyne, co po nim zostało, to topniejący na szybach szron.

Usta Mateusza zamknęły się z głuchym kłapnięciem. Zamrugał dwa razy, po czym zamknął oczy i zasnął z uśmiechem na ustach. Jego oddech w sekundę stał się głęboki i równomierny. To wydarzyło się tak szybko, jakby chłopiec nagle dostał ataku narkolepsji.

Robert wstał i ze strachem spojrział pod nogi. Chciał, aby to wszystko było snem lub jakimś przywidzeniem, jednak na podłodze leżała martwa ćma, której rozmiary robiły wrażenie. To z pewnością była największa z całych ton, które miał okazję widzieć przez ostatni miesiąc.

Wziął jedną z leżących na stoliku chusteczek, po czym pochylił się i z obrzydzeniem podniósł owada, który, jak na swój rozmiar, był niezwykle ciężki. Wyciągnął paczkę papierosów, wysypał jej zawartość i w ich miejsce wsadził ćmę. Miał zamiar zawieźć ją do biura w nienaruszonym stanie.

Te czynności tak go pochłoneły, że nie zorientował się, kiedy Mateusz usiadł.

– Cześć, wujku. – Głos chłopca uległ ogromnej zmianie. Nadal był głosem dziecka, ale brzmiał tak, jakby ktoś jeszcze mówił równoległe z nim.

– Cz-cześć, m-młody – odparł, czując jak w jego żołądku narasta kłująca bryła strachu.

– Dlaczego rozrzucasz ciasteczka? – Chłopiec utkwiał w swoim wujku martwe spojrzenie.

– W-w-wypadło m-mi.

– Szkoda. – Mateusz wziął misia i przytulił go. – Dziękuję.

– N-nie ma z-za co.

Robert miał ochotę w tym momencie wybiec z sali, z tego oddziału i z tego szpitala. Najchętniej opuściłby również miasto i pognął gdzieś z taką prędkością, żeby po drodze zgubić swój strach.

– Gdzie ja jestem? – zapytał Mateusz. Normalnie można by było powiedzieć, że chłopiec spojrział pytająco na swojego wujka, lecz martwe oczy temu przeczyły. Detektyw nie mógł się nadziwić, jakim cudem siostrzeniec w ogóle go dostrzega.

– W szpitalu – odparł Robert tym razem bez zajknięcia.

– Jak to?

– Stało się coś bardzo z-złego – odpowiedział detektyw.

– Coś złego?

Nagle w oczach chłopca pojawił się żółtawy blask, który początkowo obejmował tylko środek źrenicy. Po chwili zaczął gwałtownie rosnąć, aż do momentu, w którym otoczył pierścieniem tęczę. Teraz wzrok chłopca nie był już taki martwy. Znajdowała się w nim ogromna siła.

– Coś złego – powtórzył Mateusz. Jego głos ponownie uległ diametralnej zmianie. Już w ogóle nie było słycać dziecka. Najbliższe, do czego można go było porównać, to chrzęst potłuczonego szkła.

To był odruch. Mózg wreszcie przejął kontrolę nad ciałem. Robert szybkim ruchem zgarnął papierosy, które wytrząsnął z paczki i odwrócił się plecami do siostrzeńca.

Idąc w stronę drzwi usłyszał odgłos prucia. Nie musiał się odwracać, żeby wiedzieć, co jest rozdzierane. Pluszowy miś, którego kupił jakąś godzinę temu, właśnie ulegał metamorfozie, po której miała zostać z niego kupka waty i skrawków włochatego materiału.

Oddział opuścił bez słowa. Nie miał zamiaru nawet czekać na windę. Zszedł, a raczej zbiegł z dziesiątego piętra, jakby gonił go sam diabeł. Adrenalina sprawiła, że wcale się nie zmęczył i nie złapał zadyszki.

Dopiero, gdy wszedł do samochodu i jednym guzikiem zamknął wszystkie drzwi, napięcie zaczęło opadać. Drżącą dłonią odpalił papierosa i zaciągnął się głęboko. To go trochę uspokoiło.

Jego telefon zawibrował.

– Gdzie jesteś? – usłyszał głos Krzysztofa, gdy tylko odebrał.  
– Chyba z dziesięć razy próbowałem się do ciebie dodzwonić.

– Właśnie byłem w szpitalu u Mateusza – odparł – i nie mam żadnych nieodebranych połączeń – dodał ze zdziwieniem.

– Jak się czuje?

– Pogadamy jak przyjadę do biura – odparł. Był jeszcze zbyt zdenerwowany, żeby móc o tym mówić. Najpierw chciał to wszystko poskładać w całość i dopiero wtedy spróbować wytłumaczyć to w jakiś racjonalny sposób.

– Jasne. Tylko się pospiesz, bo już jedenasta.

– Co?! – Robert upuścił papierosa na podłogę. Nim zdążył go zdeptać, po samochodzie rozszedł się swąd stopionej gumy.

– To, co słyszałeś. Jest jedenasta – odparł spokojnie Krzysztof.

– Zaraz będę.

Detektyw zakończył rozmowę i spojrział na zegarek. Był w ciężkim szoku. Pamiętał, że wyjechał z domu gdzieś koło szóstej. W szpitalu był przed siódmą. Nie było szans, żeby spędził tu więcej niż godzinę. Pamiętał jak przed chwilą wchodził do szpitala. Mogło to być najwyżej pół godziny temu.

– Coś tu, kurwa, nie gra – powiedział sam do siebie, po czym odpalił kolejnego papierosa i z piskiem opon ruszył do biura.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

### ZEMSTA

Strach przed siostrą Ezechielą zniknął bez śladu. Kacper czuł, że jest kimś innym niż jeszcze kilka godzin temu. Wiedział, że nie będzie się już przed nią płaszczył z glutem przecinającym wargę i łzami w oczach.

W tej chwili widok siedzącej naprzeciwko siostry Ezechieli nie robił na nim najmniejszego wrażenia. Patrzył bez mrugnięcia prosto w jej twarz i czekał na jej pierwszy ruch.

Wyszły po niego siostra Agnieszka z dwiema innymi zakonnkami. Były przerażone tym, że „wypadł z okna”. Został dokładnie przebadany, czy niczego sobie nie złamał, porządnie nakarmiony, a na koniec siostry dały mu suche ubrania.

Próbowały go jeszcze pocieszać, ale zu pełnie nie rozumiał powodu, dla którego to robiły. Widocznie chodziło im o to, przez co przeszedł w gabinecie siostry Ezechieli. One na pewno wiedziały, co się tam działo, choć jego ciało nie nosiło nawet najmniejszych śladów, które wskazywałyby na przemoc.

Po jakimś czasie pojawiła się siostra Ezechiela i stwierdziła, że ma wrócić z nią do gabinetu, aby „zamienić jeszcze jedno słówko”. Po raz pierwszy ucieszył go jej widok.

Teraz zakonnica siedziała nieruchomo jak posąg i wpatrywała się w niego tępym, pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu wzrokiem. Wiedział, że zauważyła fakt zniknięcia siniaków i innych urazów, choć próbowała nie dawać tego po sobie poznać.

Siostra Ezechiela wstała. Podeszła do okna i przez chwilę patrzyła w stronę lasu. Na parapecie stała niewielka kałuża z roztopionego śniegu, który wleciał tu, gdy okno było otwarte na oścież.

– Co tam robiłeś? – zapytała. Ton jej głosu uległ dużej zmianie. Zamiast oziębłości biła z niego niepewność.

– Gdzie? – Kacper starał się brzmieć tak jak wcześniej, choć zauważył, że jego głos stał się niższy i głębszy. Brzmiał jak głos dorosłego mężczyzny, którym teraz się czuł. Poza tym jego sposób myślenia również się zmienił. Był bardziej spostrzegawczy, a odpowiedzi na pytania przychodziły same. Był teraz wszystkowiedzący, w taki sposób, w jaki jeszcze niedawno postrzegał dorosłych. W tym wszystkim nie pasowało tylko ciało chłopca.

– Dobrze wiesz. – Kobieta stuknęła powykręcany palcem w szybę.

– Ach tak – rzekł Kacper. – Mówisz o lesie.

Zakonnica gwałtownie się odwróciła. Poły jej habitu zatrzepotały złowieszczo, wyglądając w półmroku gabinetu niczym kruki, zrywające się znad zatrutej padliny. Po jej minie widać było, że po raz pierwszy trafił jej się na tyle chamski wychowanek, żeby miał czelność mówić do niej na „ty”.

Przez jej twarz przebiegł nagły skurcz furii, który nieudolnie próbowała zamaskować.

– Jak... – zaczęła siostra Ezechiela, lecz coś ją powstrzymało przed dokończeniem wypowiedzi. Nie czuła się pewna, będąc sam na sam z chłopcem. Jeszcze godzinę temu stłukłaby go jak kotleta, lecz teraz coś kazało jej uważać.

Kacper pytająco uniósł brew. Siostra Ezechiela wytrzymała zimne spojrzenie, lecz był to dla niej nie lada wyczyn. Z jednej strony chciała rzucić się na niego i wydrapać mu oczy, a z drugiej czuła, że z chłopcem coś się stało.

– Skąd przypuszczenie, że w ogóle byłem w lesie? – Kacper uśmiechnął się w taki sposób, jakby rozmawiał z osobą, która jest niespełna rozumu i zaczyna wygadywać głupoty.

To jeszcze bardziej zmieszało siostrę Ezechielę.

– Jesteś inny.

– Może zawsze taki byłem?



– Jeszcze godzinę temu śpiewałaś innym głosem. – Tym razem zakonnica się uśmiechnęła. Poczowała przypływ odwagi. Widok resztek jej zębów sprawił, że Kacper, nie mogąc wytrzymać, wybuchnął śmiechem. Śmiał się na całe gardło, choć nie było w tym ani cienia radości.

– Może teraz pora, żebyś ty pośpiewała? – zapytał, gdy się uspokoił.

Starsza kobieta wytrzeszczyła oczy. Ciężko jej było uwierzyć w to, co powiedział jej wychowanek. Jeszcze nigdy w życiu nikt jej tak nie zaskoczył, a już zwłaszcza dzieci, które były w tym gabinecie, aby odpokutować swoje złe uczynki. To zawsze ona rozdawała tutaj karty i każdy tańczył tak, jak ona zagrała.

Zapomniała o złych przeczuciach. Jej ego nie wytrzymało tak potężnego ciosu. Musiała się zemścić, i to tak, żeby smarkacz przeproszał ją na kolanach. Złość wzięła górę, na co Kacper tylko czekał.

– Myślę, że nie masz tu nic do gadania, gówniarzu! – krzyknęła.

– A ja myślę, że to ty nie masz nic do gadania...

– Nie jestem twoją koleżanką, żebyś się do mnie odzywał w taki sposób! – Nozdrza kobiety z każdym oddechem gwałtownie rozszerzały się i zwężały.

– Ani ja twoim kolegą. – Kacper wyszczerzył zęby.– Starucho.

Osiągnął swój cel. Twarz zakonnicy, z koloru białego, szybko przeszła w purpurę, która przy tym świetle wyglądała prawie jak czern. Jej oczy znów ciskały iskry złości. Musiała ukarać smarkacza.

– Daj rękę – syknęła przez zaciśnięte zęby.

Kacper powoli podwinął rękaw świeżego swetra i położył rękę na blacie biurka. Spojrzał wyczekująco na zakonnice. Lewy kącik jego ust drżał nieznacznie, jakby próbował powstrzymać śmiech. To sprowokowało ją jeszcze bardziej.

Złapała przynętę, wraz z nią wbijając sobie zardzewiały hak. W furii chwyciła resztki linijki, którą kilka godzin wcześniej złamała na twarzy chłopca. Jej stare mięśnie zebrały całą siłę, na jaką było je stać. To miało być potężne uderzenie, po którym skóra gówniarza rozejdzie się na boki, a z rany obficie popłynie krew. Wtedy poprawi jeszcze dwa razy, po czym wyciągnie sól egzorcyzmowaną i nasypie jej do środka tyle, że będzie piał jak kogut do momentu, w którym wypluje struny głosowe. Zetrze z jego gęby ten obleśny, pewny siebie uśmieszek, a w jego miejscu namaluje płacz, ból i wstyd.

Linijka ze świstem opadła na rękę chłopca.

W tej chwili obraz widziany przez Kacpra, nagle pociemniał. Był teraz bezcielesnym bytem, który samotnie stoi pośrodku bezkresnej mgły, za którą, gdzieś daleko, znajduje się tylko czerń i nic więcej. Szare, gęste jęzory oplatały całe jego ciało. Ich dotyk był lodowaty, lecz było w tym coś niesamowitego. Napęłniały go jakąś dziwną energią, dzięki której mógł zrobić, co tylko chciał. Mógł spełnić wszystkie swoje marzenia, każdą swoją zachciankę. Był całkowicie niezależny od ziemskich ograniczeń. Nie obowiązywały go ani prawa fizyki, ani grawitacja, ani tym bardziej ludzkie prawo, godność i moralność. Energii mógł użyć zarówno do uczynienia czegoś dobrego, jak również bardzo złego.

Nawet nie zastanawiał się nad tym, co właściwie chce zrobić. To było gdzieś głęboko w jego podświadomości i teraz właśnie wyszło na wierzch. Gdy linijka była już zaledwie kilkanaście milimetrów nad jego ręką, przez skórę wyszła niewidzialna fala energii.

Linijka zatrzymała się nagle, jakby ktoś chwycił żelaznym uściskiem siostrę Ezechiełę za nadgarstek. Kobieta stęknęła z niedowierzaniem. Przez ułamek sekundy panowała zupełna cisza, a czas wydawał się stać w miejscu.

Kacper z całej siły pchnął falę energii, zmuszając zakonnicę, aby przyrżnęła sobie resztkami linijki w głowę. Trzask łamanego drewna i okrzyk bólu wywołały na jego twarzy szeroki uśmiech. Powtórzył cios, uderzając idealnie w to samo miejsce.

Krew obficie płynęła z rozciętej skroni zakonnicy. Połowa jej pomarszczonej twarzy spływała teraz w szkarłacie. Energia brutalnie wyprostowała jej rękę, czemu towarzyszyło nieprzyjemne chrupnięcie w stawie. Palce, jeden po drugim, zaczęły się odginać. Resztki drewnianej linijki wypadły na blat. Na koniec potężna fala pchnęła kobietę w splot słoneczny. Zakonnica opadła na krzesło całym ciężarem ciała, po czym przechyliła się i razem z nim runęła na plecy.

Zapanowała cisza, którą przerywały tylko jęki i usilne próby złapania oddechu. Kacper stanął nad staruchą i spojrzał na nią z góry.

– I co, fajnie było? – zapytał z uśmiechem.

Zakonnica nie odpowiedziała. Drżała na całym ciele, przyciskając rękę do krwawiącej głowy i nadal próbując złapać oddech.

Kacper podszedł do okna i spojrzał w stronę lasu. Była tam. Stała na samym skraju gęstwiny, patrząc mu prosto w oczy. Uśmiechała się, a on poczuł radość, jaką ona teraz odczuwała. Moment ten trwał tylko krótką chwilę. Czarnowłosa piękność, za którą tak szalał, odwróciła się i zniknęła z powrotem w lesie.

Szloch siostry Ezechieli odciągnął jego uwagę od okna. Odwrócił się i spojrzał na tył jej głowy. Miał ogromną ochotę znowu wykorzystać energię, lecz wiedział, że już mu nie wolno. Ona musiała żyć.

Chęć była jednak zbyt silna. Kacper stwierdził, że jak nie fizycznej, to trochę przemocy słownej w tym przypadku nie będzie stanowiło żadnego nadużycia.

– Pytałem, czy ci się podobało, starucho – rzucił w stronę pleców zakonniczy.

– N-n-nie – odparła przez łyzy.

– No widzisz – rzekł. – Tak się składa, że zdaję sobie sprawę z tego, co czujesz. Wiesz skąd?

Odpowiedział mu szloch. Był to przyjemny odgłos, który z jednej strony wprawiał w zachwyt, lecz z drugiej szybko zaczynał się stawać uciążliwy. W pewnym momencie miał ochotę strzelić ją w gębę, ale to przyniosłoby efekt odwrotny do zamierzonego. Babsztyl zaczęłby się drzeć, a nikt więcej nie mógł się dowiedzieć o tym, co tu zaszło.

– Pytałem o coś – powiedział spokojnym tonem.

– Nie. – To, aby się nie zająknęła, kosztowało ją mnóstwo wysiłku.

– Szkoda. – Kacper westchnął, idealnie naśladowując prawdziwy smutek. – Widzę, że nic nie wyciągnęłaś z tej lekcji.

– Nie! – krzyknęła.

Przeszła do pozycji raczkującej i niczym ohydny pająk, uciekła na drugi koniec pomieszczenia. Kacper miał ochotę ryknąć śmiechem, lecz coś stanęło mu w gardle, nie dając tego zrobić.

Poczuł na początku języka lekki ciężar, który zaczął iść w stronę zębów. ONA go ostrzega. Zrozumiał to od razu. Odwrócił się i poszedł do przeciwległego kąta gabinetu. Mrowienie na języku ustąpiło. Wraz z tym pojawiła się myśl, że siostrze Ezechieli wystarczy wrażeń jak na jeden raz. Musiał to tylko jakoś zakończyć.

Podszedł powoli do kulającej się w kącie kobiety i wyciągnął dłoń. Siostra Ezechiela spojrzała na niego przekrwionymi, pełnymi strachu oczami. Kacper był jednak pewny, że spod tego strachu przebijają przebłyski nienawiści i złości.

– Tak przypuszczałem. – Kacper cofnął rękę. – Myślę, że rachunki już mamy wyrównane.

Odpowiedziała mu cisza.

*Odezwij się*, zdziro, pomyślał, czując zbliżającą się falę złości.

– Powiedzmy – powiedziała w końcu zakonnica.

– To doskonale. – Kacper uśmiechnął się. – Ja już tobie nie wejść w drogę, a ty nie wejdiesz mi.

– Jeszcze zobaczymy. – Siostra Ezechiela siliła się na władczy ton głosu, lecz strach i ból, jakie teraz czuła nie pozwoliły jej na uzyskanie pożądanego efektu.

– Jasna sprawa. Życzę dobrej nocy – odparł sarkastycznie, po czym opuścił gabinet, zamykając cicho za sobą drzwi.

Gdy tylko kroki demona ucichły, siostra Ezechiela zerwała się na równe nogi. Zrobiła to z taką sprawnością, jakby znów miała dwadzieścia lat. Podbiegła do drzwi, zamknęła je na dwa zamki, po czym padła na kolana przed krzyżem z wizerunkiem Chrystusa i modliła się do momentu, w którym niespokojny sen pochwycił ją w czarne sidła.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

### ZAGADKA ĆMY (I)

Zajechał pod biuro wyjątkowo szybko. Spodziewał się, że o tej porze korki nie pozwolą mu dotrzeć do celu w mniej niż godzinę. Wsiadł z samochodu i udał się do kiosku stojącego nieopodal starej kamienicy, która wydawała się ciągnąć w nieskończoność.

– Dzień dobry – powitał go emerytowany nauczyciel, który dorabiał sobie jako kioskarz.

– Dzień dobry.

– To co zwykle?

– Tak.

Twarz siwego mężczyzny zniknęła. Sekundę później w okienku pojawiły się dwie paczki marlboro goldów i gazeta.

– Tym razem bez gazety – rzucił Robert. Wiedział, co będzie na pierwszej stronie.

– Rozumiem – odparł nieco zdziwiony kioskarz. – Ale piszą dzisiaj o podwójnym morderstwie.

– Wiem, byłem tam – powiedział tonem pozbawionym wyrazu

– Rozumiem – powtórzył kioskarz ze zmarszczonym czołem. – Razem będzie...

– Reszty nie trzeba. – Detektyw położył na gazecie dwa dwudziestozłotowe banknoty, które naprędce wygrzebał z kieszeni, po czym życzył miłego dnia i szybko ruszył w stronę biura. Kioskarz był miłym facetem, który lubił zadawać dużo pytań. Zazwyczaj cierpliwie na nie odpowiadał, ale dziś było to nie do przejścia.

Lodowaty wiatr potoczył po chodniku foliową torebkę i kilka liści, które jeszcze uchwalały się po jesieni. Zaczynało nieprzyjemnie siąpić, a powietrze, jak zwykle o tej porze roku,

było ciężkie i przesycone trudną do zidentyfikowania wonią, która nie należała do najprzyjemniejszych.

Przed wejściem do kamienicy zapalił papierosa i pogrążył się w pustce, która teraz panowała w jego głowie. Dawno nie czuł tak ogromnego zmęczenia, jak dziś. Już wiedział, że przez cały dzień będzie towarzyszył mu kubek paskudnej kawy z automatu.

Strzelił niedopałkiem w kałużę, po czym otworzył ciężkie drewniane drzwi kamienicy. Był to jeden z lepiej wyglądających budynków przy ulicy Dietla. Widok z okna jego gabinetu rozciągał się na ruchliwą drogę, pas zieleni przecięty torami tramwajowymi oraz starą podstawówkę, która swoim wyglądem bardziej przypominała wydział jakiegoś uniwersytetu.

Przycisnął kartę wstępu do drzwi znajdujących się na drugim piętrze. Pierwsze, co zrobił, to udał się do automatu z kawą, który żartobliwie określił mianem „źródła życia”. Mijając znajomych z pracy, machinalnie odpowiadał na ich powitania. Widział po ich twarzach, że wszyscy już wiedzą o tym, że ofiarami wczorajszego morderstwa byli jego siostra i szwagier. O sprawie prawdopodobnie trąbiły już największe stacje telewizyjne w tym kraju, lecz nie obchodziło go to. Wolał poczekać do momentu, w którym dziennikarze z opuchniętymi bebechami opuszczą koryto, jakim jest ten news, i znikną gdzieś, spokojnie trawiąc i czekając na kolejną głośną sprawę.

Wszedł do biura, które dzielił z Krzysztofem.

– No wreszcie – rzucił starszy detektyw zza biurka.  
– Przepraszam. Byłem w szpitalu i wiesz...  
– Rozumiem. – Krzysztof spojrział na niego badawczo. – Nie spałeś.

– Jesteś bardzo spostrzegawczy jak na starego capa, który już powinien być na emeryturze – odparł Robert siląc się na żartobliwy ton głosu.

– Może wrócisz do domu, co? Ja poradzę sobie ze wszystkim. Sama papierkowa robota tu jest jak na razie.

– Nie ma opcji – odparł młodszy detektyw, po czym usiadł i odpalił papierosa. W tym gabinecie zakaz palenia już na dobre został zignorowany.

Krzysztof wzruszył ramionami, co oznaczało u niego coś w rodzaju: „Ok, skoro tak uważasz, to niech ci będzie”.

Robert upił trochę kawy i skrzywił się. Pierwszy łyk zawsze był najgorszy. Czarny napój z pewnością nie miał styczności z cukrem, choć to nie stanowiło największego problemu kawy ze „źródła życia”. Najgorsze było to, że kawa w smaku przypominała napar z fusów po kilkakrotnym parzeniu, w którym ktoś dla poprawy smaku rozpuścił cukierka Kopiko, co dało efekt odwrotny do zamierzonego.

Detektyw szybko upił drugi łyk. Fenomenem tej kawy było to, że przy drugim podejściu smak nie był już aż tak ohydny, po kolejnych dwóch kawa okazywała się całkiem niezła.

– Jak się miewa twój siostrzeniec? – zapytał Krzysztof.

Robert nie odpowiedział. Zamiast tego zaczął grzebać w kieszeni w poszukiwaniu paczki. Gdy poczuł prostokątny kształt, odniósł wrażenie, że przedmiot w dotyku jest nieprzyjemnie ciepły i oślizgły, a do tego powoli pulsuje. Jakby uwięziona w nim ćma próbowała wszystkich znanych sobie metod, żeby się wydostać.

Dziwne wrażenie nie trwało długo. Sekundę później nieprzyjemny w dotyku przedmiot był już tylko paczką po papierosach, w której schowany był martwy owad.

– Obwody się przegrzały?

– Hm? C-co? – Robert drgnął zaskoczony.

– Zwiesiłeś się. – Krzysztof spojrzał na papierosa sceptycznym wzrokiem, po czym z powrotem schował go do paczki.



– Ach tak, przepraszam. – Młodszy detektyw wyjął paczkę i popchnął ją w kierunku kolegi.

– Papierosy?

– Nie tym razem. – Robert skinął w kierunku paczki. – Sam zobacz, co ci będę gadał.

Krzysztof sięgnął po paczkę. Przez chwilę wpatrywał się jak urzeczony w obrazek przedstawiający zmaltretowane wieloletnim paleniem płuca. Zamrugał kilkakrotnie, jakby wyrwał się z letargu. Odłożył z powrotem paczkę na blat i odruchowo wytarł rękę w koszulę.

– Co tam jest?

– Poczuleś pulsowanie i ciepło, a paczka wydawała ci się, jakby była... hm... – Robert nie mógł znaleźć właściwego słowa.

– Żywą tkanką – dokończył za niego kolega.

– Właśnie!

– Powiesz mi, co tam jest?

– Ćma.

Słowo to zabrzmiało jak diagnoza, po której jedynym sensownym rozwiązaniem jest wyjazd nad morze, żeby tam doczekać swoich dni, przyzwyczajając się do piachu.

Wpatrywali się w pudełko jak zahipnotyzowani odczuwając przy tym mieszaną najbardziej skrajnych uczuć, które przeskakiwały z jednego do drugiego w zawrotnym tempie.

– Skąd to masz? – zapytał Krzysztof.

Robert dokładnie opowiedział cały przebieg wizyty w szpitalu. Gdy skończył, było już dobrze po południu. Przez cały ten czas, Krzysztof palił papierosa za papierosem, coraz bardziej wytrzeszczając oczy.

Po tym, jak Robert powiedział ostatnie zdanie, starszy detektyw chwycił paczkę i przechylił do góry dnem. Na blat spadła ćma. Była taka sama, jak te znalezione w Domu Dziecka

Sióstr Bożego Miłosierdzia, w domu Morawskiego oraz na miejscu wczorajszego morderstwa.

– To naprawdę wylazło z... – Krzysztof urwał, czując falę mdłości.

– Tak – odparł Robert. – Widziałem to na własne oczy.

– Co powinniśmy zrobić?

– Sam nie wiem...

Zapadła cisza. Mieli sprawę, w której bez wątpienia było coś niesamowitego. To było coś, czego nie byli w stanie nikomu przedstawić w jakiś racjonalny sposób. Zostali z tym sami.

– Wiesz, że nikt nam nie może pomóc – stwierdził Krzysztof.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę – odparł Robert. – Nie możemy nikomu tego opowiedzieć. Nikt nam w to wszystko nie uwierzy. Nawet, jakby dokładnie przebadano chłopaka, to idę o zakład, że nie znajdą ani jednego śladu, który wskazywałby na to, że w jego przełyku była ćma.

– A ty w to wierzysz?

– Wiem, co widziałem. Kwestia wiary nie ma tutaj najmniejszego znaczenia – odpowiedział młodszy detektyw.

W gabinecie po raz kolejny zaległo ciężkie milczenie. Obaj detektywi rozpaczliwie szukali pomysłu na to, co robić dalej.

– Powinniśmy dowiedzieć się czegoś o tych cholernych ćmach. One mają coś wspólnego z tą sprawą i nie chodzi tutaj tylko o ich obecność na miejscach zbrodni. Mam wrażenie, że jest w tym coś jeszcze.

– Też o tym pomyślałem – odparł Robert.

– Inną kwestią jest to, czego mamy się o nich dowiedzieć.

– Na pewno nie musimy poznawać ich budowy anatomicznej ani nawyków żywieniowych – oznajmił młodszy detektyw, siląc się na żartobliwy ton.

– Na pewno – przyznał Krzysztof. – Zacząłbym od wszelkich mitów, symboliki i innych rzeczy tego typu.

– To chyba najlepsza opcja.

– Nie tyle najlepsza, co JEDYNA, jeżeli chcemy w końcu ruszyć do przodu.

– Taaa...

Detektywi wzięli się do roboty. Robert przeszukiwał Internet. Krzysztof natomiast wybrał się do kilku bibliotek. Przyjechał po ponad godzinie, obładowany książkami, niczym student, który obudził się tydzień przed sesją z nadzieją, że jakoś uda mu się przez nią przebrnąć.

Siedzieli w biurze do późnej nocy wertując książki, przeszukując kolejne strony internetowe, a przy tym paląc ogromne ilości papierosów, zapijanych ohydną kawą z automatu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

### POWRÓT

Wszedł do swojego pokoju chwiejnym krokiem. Krystian i Adrian, którzy już leżeli w łóżkach, zerwali się na równe nogi i z wytrzeszczonymi oczami wpatrywali w niego, jakby był duchem.

– O chłopie. – Adrian zrobił dwa kroki, po czym stanął jak wryty. Na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz. – Co ci...

– Co? – Kacper wpadł mu w słowo. Nie silił się nawet na ukrywanie swojego nowego, ulepszanego głosu.

– Jesteś jakiś inny – zauważył Krystian, który miał nieco więcej odwagi. – I wyglądasz jakoś dziwnie.

– Dziwnie?

Odpowiedziała mu cisza. Po chwili Kacper uniósł jedną brew w geście oczekiwania. Czuł rozbawienie, lecz nie chciał tego okazywać. Aby osiągnąć zamierzony cel, musiał wzbudzić do siebie respekt u wszystkich dzieci w tym domu. Były one potrzebne JEJ. Może nie znali się jeszcze tak dobrze, ale Kacper zdawał sobie sprawę z tego, że jeżeli ONA czegoś chce, to musi to dostać. W razie, gdyby się tak nie stało, wpadłby w poważne kłopoty.

Skupił uwagę na dwóch chłopcach. Byli tacy bezbronni. Wiek tutaj nie grał najmniejszej roli. Może Adrian był od niego starszy, ale dzięki udoskonaleniu Kacper byłby w stanie złamać jak zapalkę tego wysokiego chłopca i wcale nie musiałby się przy tym natrudzić.

Co do Krystiana, odczuwał coś zupełnie innego. Jego wysoki głosik sprawiał, że przed oczami Kacpra pojawiał się pewien osobliwy obraz. Kurdupel przywiązany za ręce i nogi do stołu w starej rzeźni. Dookoła masa roześmianych ludzi, którzy lubują się w krzyku maltretowanego chłopca, i zakładają między sobą,

czy będzie w stanie zawyc głośniej albo kiedy zacznie wołać mamę.

Widział nad Krystianem siebie. Był ubrany w biały fartuch, uwalany krwią, fekaliami i jakąś zieloną wydzieliną. Obok niego stał stolik, na którym na czystej szmatce leżały wszelakie narzędzia. Od pęset do szczypania w genitalia, po skalpele, zębate noże i ogromne piły, które sprawdzały się zarówno przy odcinaniu palców, jak i również całych kończyn. Cóż by to było! Jakie widoki! Jakie krzyki! Istne show, któremu to on by przewodniczył, a zachwyceni ludzie z zapalczywością biliby mu brawa na stojąco i chylili z uznaniem czoła!

Mrowienie w gardle przywołało go do rzeczywistości. ONA znów go ostrzegała. Stawał się coraz większym szaleńcem w zastraszająco szybkim czasie, co jej się nie podobało. Miał być szalony i pozbawiony zahamowań, ale nie do tego stopnia.

Nie mógł jej zawieść. Tym bardziej, że nie był w stanie bez niej żyć. Gdyby ONA powiedziała mu, żeby poszedł precz, bo jednak nie jest właściwą osobą, to zwariowałaby do reszty.

Zamrugnął i lekko się uśmiechnął. W jego oczach musiało pojawić się coś z poprzedniego Kacpra, ponieważ napięcie na twarzach Krystiana i Adriana nagle ustąpiło. Odpowiedzieli mu uśmiechami, lecz jeszcze była w nich nuta niepewności. To dobrze świadczyło o jego umiejętnościach. Miał być szanowany, ale jednocześnie wszyscy musieli się go trochę bać. W ten sposób zyska nad nimi całkowitą władzę. Dzięki tej władzy, będzie mógł dokonać dzieła, które ONA mu powierzyła.

Adrian zrobił kolejne dwa kroki. Były niepewne, lecz po chwili przeszedł jeszcze kawałek. Krystian (ależ by piszczał, jakby go tak obedrzyć ze skóry!) poczłapał za nim.

– Było bardzo źle? – zapytał starszy chłopiec.

– Nie aż tak, jak się spodziewałem – odparł Kacper. Tym razem próbował nieco zamaskować swój nowy głos. Ten był

zarezerwowany tylko dla starej suki i tak miało pozostać. Przynajmniej na razie.

– Opowiesz? – zapytał Krystian. W jego głosie słychać było niepewność i strach, lecz równie wyraźnie przebijała przez to ciekawość.

– Naprawdę chcecie o tym słuchać?

Chłopcy wymienili szybkie spojrzenia. Widać po nich było, że z jednej strony są niezmiernie ciekawi, jak od kuchni wygląda wizyta w gabinecie siostry Ezechieli, lecz z drugiej zdawali sobie sprawę, że z pewnością nie jest to miły temat.

– Chcemy – odparł w końcu Adrian.

– No dobra, ale ostrzegałem – Kacper zaśmiał się w taki sposób, jak robił to wcześniej.

Chłopcy wyraźnie się rozluźnili. Wiedział, że ma ich już na haczyku. Dyndali na nim, niczym przebite dżdżownice, które zaraz wpadną do wody, aby zwabić rybę.

Dwóch na początek to całkiem nieźle. W dalszej kolejności miał zamiar zabrać się za Przemka, Basię, Mikołaja oraz Kubę. Z nimi również nie będzie miał większego problemu. Reszta polecą lawinowo. Zadanie z jednej strony bardzo proste, lecz z drugiej posiadające wiele punktów, przy których trzeba uważać. Punktami tymi były baby ubrane w czarno-białe habity, przez które wyglądały jak sroki. Według Kacpra, brakowało im tylko skrzydeł, dzioba i kloaki, żeby mogły fruwać, krakać i srać po wszystkim i wszystkich.

Zdał sobie sprawę z tego, że od dłuższego czasu milczy. Krystian (ależ by wy!) i Adrian wlepiali w niego wzrok, nie kryjąc oczekiwaniami.

– Zwiesiłem się – rzucił Kacper, udając zakłopotanie. – Trochę głowa mnie boli... rozumiecie...

Chłopcy spojrzeli na niego ze współczuciem i udawanym zrozumieniem.

– Może usiądziesz? – zaproponował Krystian, wskazując na krzesło.

– Bardzo bym chciał, ale nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł. – Kacper spuścił wzrok, wzorowo naśladowując wstyd.

– Tam też oberwałeś?

– Tja...

Przez chwilę milczał, zbierając energię. Musiał się odpowiednio przygotować, żeby być wiarygodny. Gdy poczuł przypływ energii, przeznaczył ją na właściwe cele. Będąc przygotowany mógł zacząć opowiadać. Tutaj nie musiał się zbytnio wysilać. Wystarczyło opowiedzieć wszystko, co zaszło, pomijając przy tym oczywiście, ciosy w twarz i drugą część rozmowy, w której role się odwróciły. Oficjalnie wypadł z okna i tego miał się trzymać.

Pokuśtykał w stronę swojego łóżka, ułożył poduszki w stosik, na który nałożył jeszcze kołdrę. Siadając, syknął z udawanego bólu.

– Siostra Agnieszka przyprowadziła mnie do tej... tej... – zamilkł na chwilę. – Wiecie, do kogo.

– Wiemy...

– No... – Krótka pauza. – Starucha zobaczyła rysunek i kazała wystawić rękę, po której okładała mnie dużą drewnianą linijką. Tłukła do momentu, w którym linijka nie trzasnęła na pół. Wtedy była mniejszymi kawałkami.

Aby potwierdzić to, co mówi, Kacper podciągnął lewy rękaw. Całe jego przedramię było niemalże czarne. Gdzieś w skórze widoczne były paskudne pęknięcia, z których sączył się bladoróżowy płyn. Część siniaków powoli zaczęła się zażółcać. To wszystko wyglądało jak tatuaże, przez które właściciel chciał pokazać, ile bólu musiał znosić przez całe życie.

Adrian syknął, a Krystian niewielką piąstką zatkał usta, powstrzymując okrzyk.

– O cholera... – Zszokowany Adrian z niedowierzaniem patrzył na przedramię Kacpra.

– Mam jeszcze to. – Pokazał dłoń, której palce były powykrzywiane, niczym u osoby cierpiącej na zaawansowany artretyzm.

– Cholera... – powtórzył Adrian. – Może powinieneś z tym iść...

– Gdzie? – wpadł mu w słowo Kacper. – Do innych sióstr?

Odpowiedziało mu milczenie. Chłopcy byli wyraźnie zdruzgotani widokiem jego rąk. Haczyk pogrążał się coraz głębiej, dając mu pewność, że przynęta zadziałała tak jak powinna.

– Z tyłu głowy mam guza – oznajmił po chwili, przerywając kłopotliwe milczenie, które wisiało między nimi, niczym ciężka mgła.

– Od czego? – zapytał Krystian.

– Doniczka – odparł Kacper. – Próbowałem jej uciec, ale zanim zdążyłem dobiec do drzwi, już leżałem nieprzytomny. Jak się obudziłem, to była szarówka, a dookoła mojej głowy leżały połamane skorupy.

– O Boże. – W oczach Krystiana pojawiły się łzy.

Kacper miał ochotę ryknąć śmiechem. Widok tego małego chłopca ze świeczkami w oczach był jedną z najzabawniejszych rzeczy, którą miał okazję widzieć.

– A tak właściwie... – zaczął Adrian, lecz zaraz przerwał, jakby z opóźnieniem ugryzł się w język.

– Hm?

– Chodzi o to... – Kolejna przerwa. – Chodzi o to, co znajdowało się na tym rysunku. Powiesz nam?

– Jasne. Nieźle byście się uśmiali, jakbyście zobaczyli ten rysunek.



Chłopcy wymienili zdziwione spojrzenia.

– Na rysunku... – zaczął, aby nie dać im zbyt dużo czasu na zastanawianie się – ...była ona.

– Ezechiela? – zapytał z zainteresowaniem Krystian.

– We własnej osobie. – Kacper uśmiechnął się szerzej. – Jak tak sobie pomyślę o tym wszystkim, to uważam, że było warto. Gdybyście widzieli tylko jej minę!

– Co jej dorysowałeś?

– Raczej czego nie! – Kacper wyraźnie się ożywił. Teraz rozmawiali tak, jakby nic się nie stało. To już zupełnie uspokoiło chłopców.

Po usłyszeniu dokładnego opisu rysunku, Krystian z Adrianem dostali niepohamowanego ataku śmiechu.

– Jesteś moim dłużnikiem! – krzyknął Adrian, wycierając łzy radości. – Zrobię, co tylko zechcesz! Jesteś geniuszem!

Kacper uśmiechnął się. W tym momencie żaden z chłopców nie zauważył żółtego błysku w jego oczach.

Ich rozmowę przerwało pojawienie się jednej z sióstr, która zarządziła zgaszenie świateł i udanie się do łóżek.

Gdy już leżeli w ciemnościach, Kacper uprzedził pytanie, które właśnie miał zadać Adrian. Z mgły, w której się znajdował, wypuścił dwie wiązki cieńsze od włosa, których nie sposób byłoby dostrzec gołym okiem. Nitki pomknęły w stronę Krystiana i Adriana, sprawiając, że chłopcy natychmiast zasnęli kamiennym snem.

Leżał jeszcze przez chwilę, wpatrując się w sufit i słuchając spokojnych oddechów śpiących chłopców. Był zadowolony i ona również. Zrobił kawał roboty, jak na tak krótki czas. Jutro czekało go jeszcze więcej pracy.

Osunął się w osobliwy stan, który nie był ani snem, ani też jawą. Znajdując się w nim, lekko rozchylił usta. Resztkami świadomości poczuł mrowienie na języku. Później wszelkie uczucia odleciały.

Wolność poniosła go w stronę okna. Szpara była bardzo wąska, ale to nie stanowiło dla niego najmniejszego problemu. Przeniknął przez nią niczym duch i po chwili znajdował się na zewnątrz. Małe skrzydełka zawzięcie trzepotały, niosąc ómę przez zamieć w stronę lasu, na którego skraju czekała czarnowłosa kobieta odziana w białą suknię.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI ZAGADKA ĆMY (II)

Przez cały dzień zbierał siły. Czekало go bardzo ważne zadanie, którego nie mógł zepsuć, choć jeszcze nie miał bladego pojęcia, na czym ma ono polegać. Wiedział tylko tyle, że ONA ukarałaby go, gdyby coś poszło nie tak, a jej kary były bardzo surowe.

Wpatrywał się tępo w ścianę, ściskając w dłoni ucho pochodzące z rozszarpanego misia, którego kilka godzin temu dostał od wujka.

Nie rozumiał tego, co się z nim działo przez ostatni czas. Czuł się, jakby był zawieszony na niewidzialnej linii kilka metrów nad ziemią, a cały świat zewnętrzny postrzegał tak, jakby znajdował się za kilkoma warstwami folii. Wszystko było takie mdłe, a dźwięki wydawały się być stłumione.

Jego pamięć również nie miała się zbyt dobrze. Były w niej ogromne dziury i chłopiec nie miał żadnych pomysłów na to, po czym mogły pozostać. Przez cały czas czuł w swoim umyśle jakiś ciężar. Był on lodowaty i brutalnie wdzierał się w jego myśli. Uczucie to nie ustawało ani na moment, co było okropnie męczące.

Jego uszu dobiegł odgłos otwierających się drzwi.

– Tu mamy Mateusza. Trafił do nas wczoraj w nocy. – Męski głos, pomimo tego, że wydawał się dochodzić z bardzo daleka, był dźwięczny i wyraźny. – Jego stan określamy jako dobry. Na razie chłopiec jest w ciężkim szoku po wczorajszych wydarzeniach. – Krótka pauza. – Jest pod stałą obserwacją psychiatry, lecz jak na razie nie mamy z nim żadnego kontaktu. Czasami coś majaczy, ale jak na razie nie powiedział żadnego sensownego zdania. Są to zazwyczaj pojedyncze słowa. Najbliższe dni powinny być decydujące. Jeżeli nie będzie poprawy, przeniesiemy go na psychiatrię. Przejdźmy dalej.

Mateusz kątem oka dostrzegł plecy wysokiego mężczyzny, który ubrany był w biały fartuch. Towarzyszyło mu kilka młodszych osób, odzianych w podobne uniformy – prawdopodobnie byli to stażyści.

Zamknięto drzwi. Ponownie otoczyła go błogosławiona cisza, w której czuł się jak ryba w wodzie. Jednakże teraz wiedział, że coś jest z nim nie tak. To coś miało sprawić, że najprawdopodobniej wyląduje w wariatkowie, gdzie będzie mógł wychodzić z kolegami na pasjonujące spacerunki, ciągnąc za sobą na sznurku Reksia – jego szczoteczkę do zębów potrafiącą dawać łapę i aportować, a swoje niezadowolenie wyrażającą skowytem, który słyszy tylko on.

W sali zaczęło robić się coraz ciemniej. Zbliżał się wieczór, po którym miała nadejść kolejna niespokojna noc. Bał się zasnąć, choć jakaś część jego szczątkowej świadomości podpowiadała mu, że dzisiaj będzie musiał to zrobić. Nie spał od momentu, w którym wyprowadzono go z domu. Zazwyczaj leżał z zamkniętymi oczami, przez co osoby wchodzące do jego sali myślały, że śpi.

Przed oczami pojawił mu się widok zmasakrowanych ciał jego rodziców. Jeszcze gorsza była świadomość, że to on ich zabił. Nie miał jednak pojęcia, w jaki sposób to zrobił, ani nawet nie pamiętał, co było powodem tego.

Jedyne, co zapadło mu w pamięci, to moment, w którym ojciec, kierowany furją, rzucił się na niego z pięściami. Nim jednak zdążył dobiec, jego klatka piersiowa po prostu się otworzyła. Bluznęła struga gorącej krwi i śmierdzących fekaliów, która przeleciała przez niego, nie zostawiając najmniejszych śladów, po czym zatrzymała się na ścianie. Pamiętał nogi ojca, które spazmatycznie podrygiwały, zanim do jego mózgu na dobre dotarło, że na tej stacji wysiadka.

Jak było z jego matką, nie miał pojęcia. Wiedział, że zginęła w ten sam sposób. Przypuszczał, że najprawdopodobniej doszło

do tego w tym samym momencie, kiedy umierał ojciec.

Obrazy pojawiały się w jego głowie i znikwały z ogromną prędkością. Nim na dobre zapadła ciemność, do sali weszła pielęgniarka. Rudowłosa drobna kobieta była wyraźnie zmęczona. Miała podkrążone oczy, włosy w nieładzie, a na twarzy gdzieś uchowały się resztki makijażu, którego nie miała czasu poprawić. Pielęgniarka ułożyła mu poduszkę i życzyła dobrej nocy.

Gdy tylko kroki, wydawane przez drewniane klapki, wreszcie ucichły, Mateusz rozluźnił się. Znów był sam.

Ciemność pojawiła się nagle. Spłynęła na niego jak zastygająca smoła, nie dając najmniejszych szans na odwrót. To była potężna, niszczycielska moc, której jego zmęczony, niepotrafiący samodzielnie funkcjonować umysł nie był się w stanie oprzeć. Poczul, jak zjeżdża w dół, niczym na ogromnej kolejce górskiej. Dookoła szalały elektryczne błyski, lecz z czasem zaczęły stopniowo zanikać. Wkrótce zostali sami. On i ONA.

Był świt. Dookoła wisiała gęsta mgła, spośród której gdzieś widać było pnie brzoź. Mroźne powietrze sprawiło, że poszycie pod jego nogami delikatnie chrupało. Czuł się, jakby brodził w wodzie sięgającej kostek. Na jego ręce wystąpiła gęsia skórka, a wszystkie, nawet najdrobniejsze włoski na jego ciele, stanęły dęba, jakby przez jego ciało przeszedł prąd.

Drzewa nagle zniknęły. Znajdował się na niewielkiej polance, która kończyła się ginącym we mgle jeziorem. Niebo zasnuwały stalowoszare chmury, sprawiając, że cała sceneria wydawała się być wyprana ze wszelkich barw.

Szedł, nie zastanawiając się nawet nad tym, dokąd właściwie zmierza. Odpowiedź pojawiła się sama. Siedziała właśnie na zwalonym przed laty próchniejącym pniu. Z tej odległości postać była niewyraźna; wydawała się częścią mgły,

która przeminie wraz z porankiem, zostawiając miejsce dla dalszej części dnia.

Zdał sobie sprawę z tego, że się zatrzymał. Coś kazało mu natychmiast wykonać w tył zwrot i uciekać, nie oglądając się za siebie. Początkowo chciał podążyć za tym impulsem, lecz wtedy pojawiła się ogromna ciekawość. Nie wiedział, kim jest ta dziewczyna. Odziana była w czarną suknię, w wielu miejscach ozdobioną koronkami.

Ignorując instynkt samozachowawczy, wykonał jeden niepewny krok. Przystanął na moment, jakby jedną nogą nastąpił na taflę lodu i sprawdzał, czy wytrzyma obciążenie. Po chwili zdecydował się na kolejny krok. I jeszcze jeden, i dwa następne.

Stał teraz na środku tej tafli, nie wiedząc, że już zaczynają pojawiać się mikropęknięcia, które zaraz zaczną się ze sobą łączyć tworząc szczeliny cieńsze od włosa. W miarę rozmowy z kobietą, szczelin tych będzie coraz więcej, aż wreszcie zaczną tworzyć coraz większe pęknięcia, które z każdą sekundą będą osłabiały lód. Tafla w końcu pęknie, a rzeka krwi porwie go i swoim nurtem poniesie do samego piekła.

– Kim jesteś? – dziewczyna miała wysoki głos, który po kilku miesiącach intensywnych ćwiczeń świetnie sprawdziłby się, jako sopran.

– Jestem Kacp... – Chłopiec urwał w pół słowa. Przecież nie nazywał się Kacper, choć to imię coś mu mówiło. Nie mógł sobie jednak przypomnieć, co. Miał wrażenie, że ostatnio poznał kogoś o tym imieniu, choć nie miał całkowitej pewności, czy to była prawda, czy tylko wytwór jego zmęczonego umysłu.

– Powiesz mi jak się nazywasz, czy będziesz tak sterczał i mi przeszkadzał? – Głos dziewczyny wyrwał Mateusza z zamyślenia. Zamrugał, jakby ktoś z zaskoczenia przywalił mu w nos.

– Nazywam się Mateusz.

– Co tu robisz? – Dziewczyna dalej się nie odwracała.  
– Sam nie wiem... – Chłopiec zamilkł na moment.  
– Doprawdy? – W tonie dziewczyny pojawiła się nuta pogardy i zdziwienia.  
– No... Wydawało mi się, że idę spać, więc to pewnie jest sen.

Dziewczyna nie odpowiadała. Siedziała bez ruchu, niczym czarny posąg. Wydawało się, jakby na kogoś czekała, ale tą osobą nie miał być on.

W głowie Mateusza aż wrzało. Mignęła mu myśl, że gdyby był czajnikiem, to w tej chwili para leciałaby ze wszystkich otworów w jego głowie. Chciał uwierzyć, że to sen, ale wszystko było tak realistyczne, że nie mogło być tylko wybrykiem jego wyobraźni. Chłód, para wydobywająca się z jego ust przy każdym wydechu, wilgoć, która osadzała się na jego wyziębionym ciele. To wszystko było prawdziwe.

– Usiądź obok – powiedziała dziewczyna. Białą niczym papier dłonią poklepała pniak.

Ostrzegawcze syreny w głowie Mateusza zawyły, a przed oczami pojawił się ogromny kogut, błyskający dookoła czerwonym światłem. Niestety, wszelkie ostrzeżenia nie docierały do niego. Był jak marionetka, do której nóg przywiązane są sznurki, za które cały czas ktoś ciągnie.

Usiadł na mokrym pniu. Czuć było zapach próchniejącego drewna. Dotąd nie cierpiał tej woni, lecz teraz w jakiś sposób wydawała mu się bardzo przyjemna.

Spojrzał na profil dziewczyny. Proste czarne włosy opadały, zlewając się swoją barwą z suknią. Widać było tylko fragment bladej twarzy i prosty nos. Ciężko było wyróżnić usta. Ich kolor był praktycznie taki sam, co reszty twarzy.

Mimowolnie przeniósł wzrok na dłonie dziewczyny. Wtedy w jego gardle pojawił się zaczątek krzyku, który jednak nie wyszedł na zewnątrz.

Dziewczyna w prawej dłoni trzymała stary nóż. Jego rękojeść wykonana była z drewna, w którym artysta wyrzeźbił szczegółowe wzory. Zobaczył winorośl, która rosła w górę muru, skonstruowanego z nierównych cegieł. Reszta wzoru ginęła w zakrwawionej dłoni, która ścisnęła ów przedmiot. Ostrze noża powoli sunęło po przegubie lewej ręki robiąc głębokie nacięcie, z którego obficie wypływała krew.

Czerwień stanowiła w tym wszystkim jedyną wyróżniającą się barwę. Jej intensywność sprawiała, że można się w nią było wpatrywać przez wiele godzin, nawet nie odczuwając upływu czasu.

– Co ty robisz? – zapytał. Jego głos brzmiał bezbarwnie.

– Zabijam cię – odparła spokojnym tonem.

– Co?

– To, co słyszałeś.

Dziewczyna wreszcie zwróciła w jego kierunku swoją twarz. Była nieskazitelnie piękna. Jej duże niebieskie oczy, choć pozbawione jakiegokolwiek wyrazu, były hipnotyzujące. Ciężko było określić jej wiek. Równie dobrze mogła mieć szesnaście lat, jak i dwa razy tyle.

Mateusz poczuł ból w lewym nadgarstku. To sprawiło, że oderwał wzrok od twarzy dziewczyny. Spojrzał na rękę i krzyknął. Jego przegub był rozcięty praktycznie do kości. Z rany płynęła gęsta krew, która wydawała się krzepnąć zaraz po opuszczeniu ciała.

– Przestań! – krzyknął, po czym wstał.

Zobaczył samego siebie z góry. Siedział bez ruchu. Z daleka słyhać było jego błagalny głos, lecz na dziewczynie nie robiło to najmniejszego wrażenia. Skończyła właśnie drugie nacięcie i zabierała się do kolejnego. Wstając, w jakiś sposób opuścił swoje ciało, które teraz czekało, aż uleci z niego życie. Był niematerialnym bytem, który mógł tylko czuć strach i ból.



– Nie jesteś mi już do niczego potrzebny – powiedziała dziewczyna.

– Ale miałaś dla mnie jakieś zadanie! – Jego głos drżał. Ciało, wskutek upływu krwi, zaczynało wyraźnie słabnąć.

– Swoje zadanie już wykonałeś – odparła bezbarwnym tonem.

– Ale mówiłaś, że mam do zrobienia coś jeszcze!

– Właśnie to robisz. – Krótka pauza. – I wiedz, że nie pójdzie to na marne. Twoja śmierć przyczyni się do innej śmierci, która też jest potrzebna.

– Do czego?!

– To już w żaden sposób nie będzie ciebie dotyczyło, więc nie kłopotz się tym. Rozluźnij się, to pójdzie szybciej.

Wrócił do ciała. Było to jak wyjście z ciepłego pomieszczenia na siarczysty mróz. W jego głowie pojawił się ból, który miał mu towarzyszyć do końca. Wzrok stał się niewyraźny, wszystko było rozmyte i bezkształtne.

Ostatkiem sił spojrzał na swoją dłoń. Nacięć było już kilka albo kilkanaście. Nie miał pojęcia, które z nich są prawdziwe, ponieważ obraz zaczął mu się rozdawać. Krew ściekała na spróchniały pniak, który pił ją łapczywie, jakby to miało sprawić, że z powrotem zapanuje korzenie, a na wiosnę pojawią się młode listki.

Oddalał się. Dziewczyna i dziwny świat, w którym przyszło mu umierać, zaczynały maleć i znikać z jego zasięgu. Widział teraz szpitalną salę.

– Może to był sen – wychrypiał do siebie z nadzieją, choć wiedział, że tak nie jest. Świat dziewczyny co prawda zniknął, ale osłabienie i ból pozostały na swoim miejscu.

Ostatkiem sił spojrzał na swoją poraną rękę. Krew płynęła już wolno. Biała pościel zmieniła się w czerwoną.

Zamknął oczy czując błogość i ciepło. Świat wirował, a on zaczął odczuwać euforię. Był szczęśliwy. Przed jego oczami

rozciągała się kolorowa kraina. Barwy były intensywne i różnorodne, niczym na animowanym filmie Disneya.

Niestety, kraina nie dała mu się nacieszyć swoim pięknem. Nagle poczuł jak spada. Kolejka górską pokonała najwyższe wzniesienie i po raz kolejny, a zarazem ostatni, miała zjechać w dół, gdzie nie było już niczego.

Nastąpiła ciemność i cisza.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY TAJEMNICA SIOSTRY EZECHIELI

Dochodziła godzina dwudziesta druga. Nie wiedział dokładnie, ile czasu spędzili już nad szukaniem nietypowych materiałów na temat ciem. Było to niczym szukanie igły w stogu siana. Ciągłe trafiali albo na tematy dotyczące budowy i zwyczajów tych owadów, albo na durne wpisy z internetowych forów.

Drobne literki na monitorze zaczęły się rozdawać. Od nadmiernej ilości kawy i papierosów zaczęło go nieprzyjemnie łupać w głowie. Czuł się, jakby miał kaca.

– Masz coś? – zapytał Krzysztof.

– C-co?

– Pytałem, czy coś masz. – Detektyw zdjął okulary i czubkami palców potarł kąciki zmęczonych oczu.

– Nic nie mam. – Robert wstał i przeciągnął się. – Non stop trafiam na jakieś głupoty, napisane przez nastoletnich gówniarzy żeby postraszyć innych. A ty?

– Od momentu skończenia studiów chyba nigdy nie miałem okazji przewalić takiej ilości książek.

– Dało to coś?

– Niby coś mam – odparł starszy detektyw, po czym zaczął przewalać książki i papiery. Znalazł niewielką karteczkę i wręczył ją koledze.

Robert rozprostował zwitek wymiętego papieru. Na nim, nabazgrana koślawym pismem, widniała krótka notatka. Na początku współpracy miał ogromne problemy z rozczytywaniem hieroglifów, jakimi posługiwał się Krzysztof. Potrzebował wielu miesięcy, zanim nauczył się płynnie czytać po swoim koledze.

*Ćma od stuleci kojarzona jest jako zły omen, który zwiastuje nadejście tragicznych wydarzeń. Utożsamiana była także z kobietą w czerni, która nocą nachodziła ludzi, aby zabierać ich dusze. W dawnych czasach wiele ludów (m.in. Słowianie) wierzyło, że ćma była symbolem zabłąkanych dusz, które nie mogą zaznać spokoju i tułają się po świecie żywych w poszukiwaniu drogi do krainy umarłych.*

Po przeczytaniu krótkiego tekstu, Robert jeszcze przez jakiś czas wlepił wzrok w kartkę. Z jednej strony czuł niepokój, z drugiej jednak nie był skłonny do uwierzenia w te bzdury. Symbolika w żaden sposób nie była im w stanie pomóc.

– Symbolika dość ciekawa i już kiedyś o niej słyszałem – odparł wreszcie, nie mogąc znieść wyczekiwania w spojrzeniu Krzysztofa.

– Ale masz jakieś „ale”. – To było stwierdzenie.

– Tja... – Młodszy detektyw przez chwilę milczał. – To symbolika słowiańska. Wiesz, że to byli ludzie, którzy wierzyli w świętość kamieni, mieli Światowida i cholera wie, co jeszcze. Nie możemy opierać się na takiej WIEDZY. – Na ostatnie słowo położył szczególny nacisk.

– A masz coś lepszego? – zapytał Krzysztof.

– Jeszcze nie.

– Więc nie odrzucaj czegoś tylko dlatego, że brzmi jak opowiadanie fantasy. Wiesz, że cała ta sprawa tak właśnie wygląda.

Robert nie odpowiedział. Zdawał sobie sprawę z tego, że w stwierdzeniu jego kolegi jest dużo prawdy.

Krzysztof odpalił papierosa i bez słowa ponownie wlepił nos w książkę. Robert spojrział w monitor. Na czarnym ekranie latały kolorowe wzorki, które po dłuższej obserwacji zaczynały stawać się hipnotyzujące.

Zamrugnął kilkakrotnie, po czym ruszył myszką. Miejsce wygaszacza zajęło forum o tematyce horroru. Po samej oprawie graficznej, która była przeżytkiem już od jakichś dziesięciu lat, widać było, że strona jest stara. Czarne tło, odwrócone krzyże i zdewastowane groby składały się na baner. Treść zawarta na stronie napisana była pokrzywioną, krwistoczerwoną czcionką.

Na samej górze pojawił się komunikat:

*Jesteś 666 osobą, która nas dzisiaj odwiedziła.*

Detektyw z zażenowaniem wywrócił oczami i już miał wyłączyć kartę, gdy nagle jego uwagę przykuło jedno słowo.

*ĆMA.*

Robert wyprostował się i szybko przebiegł tekst, nie skupiając się na jego treści. Szukał słów kluczy, które przekonają go, że ten artykuł nie będzie kolejnym sposobem na stratę czasu.

– Już tym rzy...

– Poczekaj. – Młodszy detektyw wpadł w słowo Krzysztofowi.

Jego oczy szaleńczo przelatywały po każdej linii. Wreszcie znalazł to, na co czekał.

*POD KRAKOWEM.*

*DOM DZIECKA.*

– Chyba coś mam – powiedział.

– Co to jest?

Krzysztof wrócił na samą górę strony pokazując baner i całą beznadziejną szatę graficzną. Starszy detektyw spojrzał na to sceptycznie i, nie kryjąc powątpiewania, zapytał:

– Jesteś pewny, że to dobre źródło informacji?

– Myślę, że tak – odparł Robert.

– Ale to przecież kolejny pożeracz czasu, przez który dzieciaki dostają coraz większego pierdolca.

– Może i tak, ale idę o zakład, że na tej stronie od wieków nie było ani jednego wejścia.

- Z czego to wnioskujeś?
- Po pierwsze: jej wygląd. Takich stron już nie ma. Dzisiejszy Internet wygląda zupełnie inaczej.
- A po drugie?
- Po drugie... – zaczął Robert – po drugie to znalazłem ją za setną stroną propozycji podrzuconych przez Google. Gdyby to było uczęszczane miejsce, znalazłbym ją najpóźniej na dziesiątej stronie.
- Nie rozumiem co to wszystko ma do tego, że na tej stronie będą jakieś wartościowe informacje – odparł Krzysztof z zastanowieniem.
- Intuicja.
- Robert wlepił oczy w monitor. Po chwili namysłu Krzysztof poszedł w jego ślady.

*Ćma uważana jest za symbol śmierci i ogólnie pojętego zła. Zadałeś sobie kiedyś pytanie, dlaczego tak jest?*

*Ćmy mogą wydawać się straszne. Mało ludzi docenia ich piękno oraz tajemniczość, która wynika z tego, że zazwyczaj są aktywne nocą. Chciałbym opisać historię, która wydarzyła się naprawdę, a dowiedziałem się o niej dzięki studiom historycznym i dostępowi do pewnej książki, która znajduje się w uczelnianej bibliotece. Ta książka jest nieopisanym skarbem, o którym wie niewiele osób...*

*Wydarzenie, którym chcę się z Wami dziś podzielić, miało miejsce pod Krakowem w Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia...*

Detektywi, jak na komendę oderwali wzrok od monitora i spojrzeli po sobie. Krzysztof zbladł, natomiast na twarzy Roberta widać było chłodny dystans.

Wrócili do czytania.

*Dom dziecka od lat prowadzony jest przez siostry zakonne, które obrały sobie za cel wyedukowanie oraz wychowanie dzieci, które miały ciężki start. To wszystko brzmi wspaniale, aczkolwiek kryje się za tym coś, czego nikt z Was nie spodziewałby się usłyszeć.*

*Sprawa jakimś cudem pozostała bez echa. Siostra Ezechiela, która pełniła funkcję dyrektora Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia, nie jest aż tak dobrym człowiekiem, za jakiego powszechnie ją uważano. Miała skłonności do tyranii oraz znęcania się nad dziećmi, bez względu na wiek oraz płeć. Nierzadko zdarzało się, że kilkoro dzieci szło do łóżka bez kolacji, bo np. jadło lewą ręką, na co była strasznie uczulona.*

– Zauważyłeś, że ten ktoś pisze o siostrze Ezechieli w czasie przeszłym? – zapytał Krzysztof przerywając ciszę, jaka zaległa w gabinecie.

– Tak... To zastanawiające – przyznał Robert.  
Kontynuowali czytanie.

*Siostra Ezechiela, jako osoba chora umysłowo, często traciła panowanie nad tym, co robi.*

*W tym momencie pojawia się dziewczynka, która wiele lat temu padła ofiarą jej szalu, tracąc to, co najcenniejsze – życie. Nie trafiłem na informacje dotyczące tego, co zakonnica zrobiła kilku lub kilkunastoletniej dziewczynce, ale w tym miejscu możecie popuścić wodze wyobraźni. :)*

Robert powoli wypuścił wstrzymywane od dłuższego czasu powietrze.

– To jakiś świr – powiedział z niedowierzaniem, wlepiając wzrok w emotikonę na końcu ostatniego zdania.

– Nie da się ukryć – przyznał Krzysztof, po czym ponownie wlepił wzrok w monitor.

*Nie chcę wiedzieć, przez co ta biedna dziewczyna musiała przejść. Nieoficjalne źródła podają, że zakonnica pochowała jej ciało w środku lasu za Domem Dziecka, lecz nigdy nie udało się znaleźć żadnych dowodów, które stawiałyby ją w świetle oskarżenia. Poszukiwania jednak nic nie dawały, dlatego też po jakimś czasie przyjęto, że dziewczynka najprawdopodobniej nie żyje.*

*Po kilku miesiącach sprawa ucichła. Siostra Ezechiela odzyskała spokój i mogła dalej kontynuować znęcanie się nad swoimi podopiecznymi.*

*Sytuacja zmieniła się wiele lat później, gdy dusza zabitej dziewczynki wreszcie trafiła na kogoś, kto ją zrozumiał, a mianowicie na inne dziecko, które uciekło siostrze Ezechielii spod pięści.*

Nagle poczuli silny smród spalenizny. W pokoju zrobiło się mętnie od szarego dymu, który wydobywał się z komputera. Coś strzeliło i monitor zgasł. Wkrótce czarny ekran pokryła siatka pęknięć. Na początku były to długie rysy, biegnące po przekątnej monitora oraz z góry do dołu. Po chwili pęknięcia te zaczęły się rozgałęziać i łączyć ze sobą, tworząc symetryczną pajęczynę. Detektywi wpatrywali się w to jak zahipnotyzowani.

W gabinecie zrobiło się zimno, a światło stało się blade i mdłe.

– Co jest? – powiedzieli jednocześnie.

Ekran monitora rozleciał się na drobne kawałki. Ze środka wyleciało kilka ciem, które, niczym odrzutowce, minęły głowy detektywów o milimetry i z głuchym pacnięciem dokończyły żywota na ścianie.



Światło stało się na powrót normalne. Ze zniszczonego komputera strzeliło kilka iskier, po czym urządzenie zamilkło. W powietrzu unosił się smród spalonych kabli i nadtopionego plastiku.

Detektywi stali jak wryci, z osłupieniem patrząc na siebie. Obaj byli sparaliżowani ze strachu i nie mogli wydusić z siebie ani jednego słowa.

Panującą w gabinecie ciszę rozdarł dzwonek komórki Roberta. Mężczyzna wyciągnął telefon i spojrzał na wyświetlacz. Dzwonili ze szpitala. Poczłł niemiły ucisk w żołądku. Znów miał złe przeczucia.

Drżącym palcem przesunął po ekranie, w stronę ikonki przedstawiającej niebieską słuchawkę.

– H-halo?

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY „BOŻY” GNIEW

Jego spojrzenie wydawało się surowe i karcące. Nie widziała już tej miłości i dobroci, jaka zawsze była z oblicza Jezusa Chrystusa. Obraz przedstawiający Zbawiciela przestał być dla niej dziełem sztuki, a zaczął stawać się urzeczywistnieniem najgorszego koszmaru.

– Panie Jezu... – Zakonnica słyszała w swoim głosie strach, który niemalże graniczył z paniką. – Przepraszam za swoje grzechy... *Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa.*

Poczuła spływającą po policzku łzę. Nie mogła znieść tego spojrzenia. Obraz w jakiś irracjonalny sposób uległ zmianie. To już nie był ten Jezus Chrystus, który zbawił ludzkość przez swoją mękę na krzyżu. W jego twarzy było teraz coś zupełnie innego. Jakby nie był Jezusem, lecz przesiąkniętym złem człowiekiem, który bez litości przybijał Zbawiciela do krzyża.

Powoli wstała z klęczek i podeszła do okna. Mając za sobą obraz Zbawcy, czuła na plecach Jego świdrujące spojrzenie, które, gdyby tylko mogło, przewierciłoby ją na wylot.

Zamknęła oczy, tłumiąc napływające łzy. Czuła się poniżona i bezradna. Jej poczucie władzy zaczynało słabnąć. Siostra Ezechiela miała wrażenie, że z dziećmi zaczyna się dziać coś dziwnego.

Od konfrontacji z Kacprem minęły już cztery dni. W tym czasie sytuacja w Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia uległa diametralnej zmianie. Dzieci patrzyły na nią bez najmniejszego śladu respektu. W ich spojrzeniach nie było również strachu, który tak kochała.

Usłyszała chrobotanie. Spojrzała w dół i zobaczyła konserwatora, który odśnieżał chodnik. Rosły mężczyzna koło czterdziestki energicznie nabierał śnieg na dużą łopatę i wyrzucał go na bok.

Przez ostatnie dni non stop sypał śnieg. Siostra Ezechiela obawiała się, że niedługo mogą mieć problemy z dostawą żywności. Stara droga, która tu prowadziła była praktycznie nieprzejezdna. Żeby tu dotrzeć, konserwator musiał zaparkować swój wóz na poboczu głównej drogi i resztę dystansu pokonać pieszo, zapadając się po kolana w śniegu. W ogóle nie byli przygotowani na tak ciężką zimę, a nie zanosiło się na poprawę pogody.

Odeszła od okna i wróciła do przerwanych rozmyślań. Dzieci przestawały się jej bać. Wydawało jej się, że z dnia na dzień czują się coraz pewniej. Wszystko zaczęło się od grupki, która trzymała z Kacprem najbliższy kontakt: Krystian, Adrian, Przemek, Basia, Mikołaj i Kuba. Później to zachowanie, niczym złośliwy wirus, zaczęło przeskakiwać na pozostałe dzieci.

Nie miała pojęcia, co z tym zrobić. Najgorsze było to, że pozostałe siostry również zaczęły dostrzegać różnice w zachowaniu dzieci.

Wczoraj przyszła do niej siostra Franciszka. Kobieta, która towarzyszyła jej od kilkunastu lat. Była bardzo łagodna i na wszystko reagowała ze stoickim spokojem, dlatego niezmiernie zdziwiło ją, gdy ta niemal tu wbiegła. Była roztrzęsiona i zalana łzami. Przez szloch wyznała, że jeden z chłopców złapał ją za niestosowną część ciała. Przy tym ponoć szczyrzył zęby, choć w jego oczach w ogóle nie było radości. Ślinił się i rzekomo powiedział, że „niedługo siostrzyczka poczuje, jak to jest być prawdziwą kobietą”. Na pytanie, który to zrobił, siostra Franciszka nie chciała odpowiedzieć. Bała się.

To był jeden z wielu incydentów, choć poza słowami nie doszło do niczego więcej. Siostra Ezechiela podejrzewała, że ta sytuacja utrzyma się jeszcze przez jakiś czas. Później prawdopodobnie dzieciaki pójną o krok dalej, na co nie mogła pozwolić.

Musiała zebrać w sobie całą siłę i na powrót chwycić cały ten bajzel w żelazną garść. Przyrzekła sobie jednak, że tym razem uścisk będzie silniejszy niż kiedykolwiek.

*Jeszcze smarkacze nauczą się szacunku* – pomyślała.

Spojrzała na portret Jezusa Chrystusa. Na nieskazitelnej twarzy gościł teraz kpiący uśmieszek. Jedna brew była pytająco uniesiona do góry. Dobrze знаła tę mimikę. Była identyczna jak u Kacpra. Czyżby chłopiec w jakiś sposób mógł mieć wpływ na różne przedmioty i wizerunki uwiecznione na obrazach?

– To nie może być prawdziwe – powiedziała pewnym głosem, po czym zamknęła zmęczone oczy. Od wieczoru, w którym Kacper stał się dziwny, kobieta źle sypiała. Zauważyła również, że jej serce nierówno pracuje. Czasami tłukło się tak mocno, że całym ciałem czuła każde uderzenie. W normalnej sytuacji od razu poszłaby do lekarza, lecz wiedziała, że nie może teraz wyjść stąd nawet na godzinę. Kto wie, co by się tutaj stało, gdyby gdzieś pojechała?

Powoli otworzyła oczy i niemal natychmiast wytrzeszczyła je z niedowierzaniem. Jednocześnie poczuła, jak jej serce znowu chce się wyrwać z klatki piersiowej i w podskokach wylecieć przez okno.

Twarz Chrystusa była teraz wyszczerzona w złośliwym uśmiechu. W Jego oczach igrały figlarne iskierki. Dłoń nosząca ślad po gwoździu była teraz wyciągnięta w jej stronę, a środkowy palec wyprostowany.

Tego było za wiele. Musiała znowu wziąć Kacpra w obroty, i to jak najszybciej. Najpierw jednak musi pozbyć się wszystkich obrazków i figurek. Wszystkiego, co ma twarz, ręce, nogi i inne części ciała, którymi może wykonać jakiś obraźliwy lub dwuznaczny gest. Nie miała pojęcia, co dzieciaki są jeszcze w stanie wymyśleć, jednakże nie mogła pozwolić na tak okropną profanację.

Z niemałym trudem podsunęła pod ścianę ciężkie drewniane krzesło. Wlazała na nie i sięgnęła po obraz, mając zamiar owinąć go w szary papier pakunkowy i schować do szuflady.

Nagle spod pozłaczanych ram trysnęła krew. Nim zakonnica zdążyła krzyknąć, poczuła jak traci równowagę i spada z krzesła. Potworny ból w plecach pojawił się dopiero, gdy minęła pierwsza fala szoku.

Z lękiem spojrzała na obraz. Sylwetka Zbawiciela pozostała bez zmian. Dalej ten paskudny uśmiech, dziwne spojrzenie i wyprostowany środkowy palec. Spod ramy obrazu nadal sączyła się krew, zostawiając na ścianie rdzawą smugę.

Chciała oderwać wzrok od tego straszego widoku, jednak nie była w stanie ruszyć głową ani zamknąć oczu. Czuła się, jakby była całkowicie sparaliżowana.

Obraz zaczął drżeć. Początkowo siostra Ezechiela pomyślała, że to może być przywidzenie wywołane szokiem. Wzrok miała idealny, zwłaszcza jak na swój dość zaawansowany wiek. Dopiero gdy obraz zaczął drgać coraz szybciej, czemu towarzyszyło łomotanie o ścianę, dotarło do niej, że to nie są żadne omamy.

Krwi było coraz więcej. Stała się teraz ciemniejsza i gęstsza. Powoli spływała po ścianie, wsiąkając w wiekowy dywanik, który dostała od jednej z koleżanek, jeszcze zanim postanowiła pójść do zakonu. Dywanik, który jeszcze przed chwilą był biały i puchaty, teraz stał się brązowo-czerwony. Długie miękkie kłaki, które go tworzyły, pozlepiały się w krwawe strąki, które wyglądem przypominały ogromne skrzepy.

Obraz coraz głośniej tłukł w ścianę. Siła, z jaką to robił, sprawiła, że zaczęły odpadać kawałki farby i tynku. Kobieta chciała to jakoś powstrzymać, ale nie mogła nic zrobić. Nadal była sparaliżowana, a do tego pojawił się chłód, który, jak czerw, boleśnie kąsał całe jej ciało i wżerał się aż pod skórę.

Nagle obraz dosłownie wystrzelił ze ściany. Siostra Ezechiela ledwie zauważyła, jak przelatuje nad jej głową, gdy za plecami usłyszała trzask pękającego drewna, które napotkało przeszkodę w postaci ściany.

Jej oczy niemal wyszły z orbit. W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą wisiał obraz znajdował się teraz napis, bez wątpienia wykonany krwią. To było jedno słowo, lecz miało w sobie ogromną moc. Nigdy w życiu nic jej tak nie uraziło.

„DZIWKKA.”

Patrzyła na litery jak zahipnotyzowana. Znała ten charakter pisma. Nieco koślawe, choć nadal duże i wyraźne literki. To był charakter pisma lewej ręki Kacpra.

W tej chwili paraliż minął. Kobieta zamknęła powieki. Jej gałki oczne wyschły, przez co czuła teraz, jakby jej twardówka miała fakturę papieru ściernego. Oddychała głęboko. Wdech – wydech, wdech – wydech. To zawsze na nią dobrze działało. Serce wróciło do normalnego rytmu.

Nie chciała otwierać oczu. Nie chciała widzieć obelgi pod swoim adresem. Liczyła na to, że zaraz po prostu obudzi się zrana zimnym potem i uświadomi sobie, że to wszystko było tylko koszmarnym snem.

Powoli otworzyła oczy i spojrzała na... wizerunek Jezusa Chrystusa. Portret wisiał na swoim miejscu, a jego spojrzenie nadal było surowe i przepełnione złem. Siostra Ezechiela otworzyła usta. W jej gardle zaczął rodzić się krzyk. Nim jednak zdążyła wdać z siebie jakikolwiek odgłos, zerwała się na równe nogi i wybiegła z gabinetu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY ARTYKUŁ

Nie miał pojęcia, jakim cudem potrafi pisać na komputerze. W młodości zapisał sporo stronnic na maszynie do pisania, ale to były bardzo zamierzchłe czasy. Zasadniczo to nigdy nie znalazł się na obsłudze komputera, lecz teraz szło mu to całkiem niezle.

Był środek nocy. Zazwyczaj o tej porze spał jak kamień, lecz tej nocy coś zdarło go z łóżka. Z początku pomyślał, że to może potrzeba honorowego oddania moczu, jak to nazywał. Miał już swoje lata, a jednym z ich uroków były problemy z prostatą. Minął jednak łazienkę i przyszedł tutaj.

Jak przez mgłę pamiętał moment, w którym wyszedł z łóżka. Czuł się jakby do jego nóg przywiązano niewidzialne linki, którymi ktoś pociągał w różne strony. Wstał z taką łatwością, jakby znów miał dwadzieścia kilka lat, i udał się na dół. Tak był przy tym rozkojarzony, że nawet nie zdążył założyć kapci. Na szczęście nie obudził Marii, która spała jak kamień. Śmierć córki była dla nich ogromnym szokiem. Maria nie spała przez ponad dobę i dopiero kilka godzin temu wreszcie udało jej się zasnąć.

Drzwi łazienki były na końcu krótkiego korytarzyka. On jednak w niego nie wszedł. Udał się na prawo, do pokoju Kasi. Ściana pokryta była plakatami Green Day, których ich córka ubóstwiała będąc rozwrzeszczaną nastolatką. Pamiętał jej krzyk radości, kiedy na siedemnaste urodziny dostała bilet na ich koncert. Do dziś nie mógł nadziwić się, dlaczego te bilety były tak drogie. Kilku szarpidrutów z gitarami, którzy grali bez ładu i składu, a cena jak za filharmonię!

Cicho zamknął za sobą drzwi i podszedł do laptopa. Komputer był podłączony do prądu, co go zdziwiło. Zawsze pilnowali, aby wszystkie niepotrzebne urządzenia były wypięte z gniazdek. To była strata prądu, która zabierała kolejne cenne

złotówki z ich beznadziejnych emerytur. Po chwili jednak przestał o tym myśleć. Nie miało to już żadnego znaczenia.

Usiadł przy biurku i otworzył laptopa. Komputer uruchomił się automatycznie. Mężczyzna bez mrugnięcia okiem wpatrywał się w monitor, czekając aż w końcu zobaczy pulpit pełen śmiesznych znaczków.

*Jak to się nazywało? A... ikony.*

Wreszcie na ekranie pojawiła się tapeta przedstawiająca nocną panoramę Oslo. Kasia kochała Norwegię. Chciała tam wyjechać zaraz po skończeniu studiów, ale musiała wtedy trafić na Pawła, co skłoniło ją do pozostania w kraju.

Zięć od początku mu się nie podobał. Będąc wtedy człowiekiem dobiegającym sześćdziesiątki, znał się na ludziach jak mało kto. Wiedział, że najgorszy skurwiel może kryć się pod grubym pancerzem z garnituru, pozornej moralności i drogiego zegarka, podczas gdy wytatuowany punk, którego ludzie omijają szerokim łukiem będzie człowiekiem, o którym mówi się „do rany przyłóż”. Paweł zdecydowanie był tym pierwszym, choć jego zachowanie niczego nie zdradzało.

Pewnego dnia zobaczył sińce na nadgarstkach córki i wiedział, że coś jest nie tak. Mówiła wtedy, że zapisała się na kurs aikido, czy czegoś w tym stylu. Nie wierzył jej. Po wychowaniu dwójki dzieci, wiedziało się, które kiedy kłamie. Poza tym Kasia nienawidziła sportów walki. Zawsze narzekała, kiedy przy butelce ciemnego piwa oglądał galę bokserską. Mówiła wtedy, że nie rozumie, co może być ciekawego w patrzeniu na dwóch spoconych, nabuzowanych testosteronem facetów, którzy przez dwanaście (lub mniej) rund piorą się po pyskach. Nie pamiętał, co jej wtedy odpowiedział.

Drgnął. Rozejrzał się nieprzytomnym wzrokiem po pokoju, jakby ktoś właśnie obudził go z drzemki. Ponownie wlepił wzrok w monitor. W prawym dolnym rogu pojawił się



komunikat, w którym program antywirusowy domagał się przedłużenia licencji. Nie to go jednak interesowało.

Najechał kursorem na ikonkę Firefoksa i dwukrotnie w nią kliknął. Po krótkiej chwili przeglądarka otworzyła się, ukazując jego oczom czarną stronę z czerwonymi napisami.

Nagle kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Szybko odwrócił głowę w tamtą stronę. Ujrzał siedzącą na ścianie ogromną ćmę. Obecność owada w domu kończyła się zwykle tym, że mężczyzna ściągał kapcia, po czym z delikwenta zostawała bezkształtna papka. Tym razem jednak nie miał pod ręką niczego, czym mógłby to zrobić, a poza tym z jakiegoś nieuzasadnionego powodu nawet nie chciał zabijać ćmy. Niech sobie pożyje, później ją wypuści.

Odwrócił się z powrotem do monitora i zobaczył coś innego. Okno przypominało wyglądem edytor tekstu. Całe było zapisane dziwnymi znakami, pełnymi ostrych nawiasów, płotków i pochyłych kresek. Jego szczególną uwagę przykuło miejsce, w którym na zielono zaznaczony był rząd, składający się z liter „x”. W pewnym momencie iksy przerywały dwa słowa:

*PISZ TUTAJ.*

Z początku nie miał pojęcia, co ma napisać. Zaznaczył polecenie z literkami „x” i nacisnął klawisz delete. Znaczkę zniknęły.

Przez chwilę siedział bez ruchu, trzymając palce jakiś centymetr nad klawiaturą. Wyglądał jak pianista, który właśnie usiadł przed fortepianem i już miał zagrać pierwszy dźwięk, gdy nagle zdał sobie sprawę z tego, że zapomniał nut.

Polecenie „pisz tutaj” wydawało się oczywiste. Nie miał jednak bladego pojęcia, co właściwie ma pisać.

Nagle doznał olśnienia. W jego głowie pojawił się cały tekst, który wystarczyło tylko przepisać. Treść była jasna i przejrzysta, co do kropki i co do przecinka. Zaczął pisać.

*Ćma uważana jest za symbol śmierci i ogólnie pojętego zła. Jednak zadałeś sobie kiedyś pytanie, dlaczego tak jest?*

Po tym zdaniu starszy mężczyzna spojrział na ścianę. Ćma nadal tam siedziała. Jej kosmate skrzydełka były złożone, ukazując ciekawy wzór.

– Interesujące... – powiedział sam do siebie zachrypniętym głosem, po czym wrócił do przerwanej czynności.

*Ćmy mogą wydawać się straszne. Mało ludzi docenia ich piękno oraz tajemniczość, która wynika z tego, że zazwyczaj są aktywne nocą. Chciałbym opisać historię, która wydarzyła się naprawdę, a dowiedziałem się o niej dzięki studiom historycznym i dostępowi do pewnej książki, która znajduje się w uczelnianej bibliotece. Ta książka jest nieopisanym skarbem, o którym wie niewiele osób...*

Po tym zdaniu pojawił się kolejny przebłysk świadomości. Dotarło do niego to, że historia, którą właśnie opisuje, nie jest czymś, co już zostało napisane. Studia i tajemnicza książka były tu fikcją literacką. On to tworzył, ale po co i dla kogo?

Ukradkiem zerknął na ćmę, jakby chciał sprawdzić, czy nadal tam jest. Była. Z powrotem wlepił oczy w monitor i ze sprawnością osoby, która od lat pracuje przy komputerze, wrócił do pisania.

*Wydarzenie, którym chcę się z Wami dziś podzielić, miało miejsce pod Krakowem w Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia...*

Wytrzeszczył oczy z niedowierzaniem.

– Zaraz, zaraz... – powiedział sam do siebie, lecz coś nie dało mu dokończyć. Myśl, która pojawiła się w jego głowie,

została brutalnie wyparta przez kolejne litery, które składały się na słowa.

*Dom dziecka od lat prowadzony jest przez siostry zakonne, które obrały sobie za cel wyedukowanie oraz wychowanie dzieci, którym było ciężko.*

Na moment przerwał pisanie.

– To nie ma być tak – szepnął do siebie, po czym usunął ostatnie trzy słowa. Wyteżył umysł w poszukiwaniu odpowiednich słów. Tekst, który był w jego głowie, niemal natychmiast podpowiedział mu, co ma pisać. Mężczyzna wrócił do przerwanej czynności. Pisał bardzo szybko, a przy tym w ogóle nie musiał patrzeć na klawiaturę. Jego palce znały położenie każdej literki.

*... które miały ciężki start. To wszystko brzmi wspaniale, aczkolwiek kryje się za tym coś, czego nikt z Was nie spodziewałby się usłyszeć.*

*Sprawa jakimś cudem pozostała bez echa. Siostra Ezechiela, która pełniła funkcję dyrektora Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia, nie jest aż tak dobrym człowiekiem, za którego powszechnie ją uważano. Miała skłonności do tyranii oraz znęcania się nad dziećmi...*

Pisał bez przerwy przez bliżej nieokreślony czas. Gdy postawił ostatnią kropkę, wyprostował się w fotelu i spojrzął na swoje dzieło. Było tego dość sporo, a całość miała ręce i nogi.

– Że też nigdy nie pomyślałem o tym, żeby zostać pisarzem albo chociaż dziennikarzem... – wyszeptał sam do siebie.

Nagle jego ręka, kierowana jakąś obcą siłą, wystrzeliła w kierunku klawiatury. Palce spoczęły na klawiszach „ctrl” oraz „S”. Po ich wciśnięciu, na ekranie pojawił się zielony pasek,

który stawał się coraz większy. Gdy dobiegł do swojej granicy, zniknął, a komputer zgasł.

W pokoju zapanowała gęsta ciemność. Powietrze również stało się jakieś ciężkie i nie było to kwestią tego, że pomieszczenie od wielu dni nie było wietrzone. Mężczyzna nie przejął się tym jednak. Bardziej jego głowę zaprzętał fakt, że nie miał pojęcia, ile czasu zajęło mu pisanie. W ogóle nie spojrzał na zegarek.

Po tym, jak komputer sam się wyłączył, starszy mężczyzna na moment niemal zupełnie stracił wzrok. Dopiero, gdy jego zmęczone ostatnimi wydarzeniami oczy przyzwyczyły się do mroku, wzrok zaczął się wyostrzać. Jak na swój zaawansowany wiek, widział całkiem nieźle, czego można mu było tylko pozazdrościć.

Już nie czuł się jak marionetka. Niewidzialne linki, które przez cały ten czas czuł na swoich kończynach, zostały odwiązane. Z powrotem był sobą, co przyniosło mu niewysłowioną ulgę. Odetchnął.

Sokoli wzrok mężczyzny wychwycił jedną rzecz, która uległa zmianie. Wchodząc do pokoju Kasi, od razu zauważył, że komputer jest podłączony do gniazdka. Teraz jednak nigdzie nie było widać kabla. To było niepokojące, ponieważ w pokoju znajdował się tylko on i ćma.

Zerknął na ścianę. Ćma nadal siedziała na swoim miejscu. W bladym blasku księżycy jej ciało rzucało nienaturalnie długi cień. Z powrotem spojrzał na monitor i wtedy coś mu się przypomniało. Przecież to komputer, który Kasia upuściła jakieś siedem lat temu. Monitor powinien być strzaskany, a część klawiszy poza klawiaturą.

Czując, jak jego ciśnienie osiąga niebezpieczny poziom, przejechał palcem po ekranie monitora. Może i miał świetny wzrok, ale nie na tyle, żeby w całkowitych ciemnościach dostrzec siatkę pęknięć. Jego palec jednak wszystko poczuł.

Każde pęknięcie, rysę i ubytek. Monitor był strzaskany. Podobnie było z klawiaturą, choć to już dało się dostrzec gołym okiem. Brakowało praktycznie połowy klawiszy.

Jakim cudem pisał, skoro ten komputer nie miał prawa działać?

W pokoju zrobiło się jeszcze ciężiej. Powietrze konsystencją przypominało teraz wyjątkowo gęsty budyń. Brutalnie wdzierało się do jego płuc i tam zastygało jak galareta, ograniczając ich pojemność. Każdy kolejny oddech był coraz trudniejszy. W dodatku poczuł ból w lewym boku. Z początku było to nieznaczne klucie, które przypominało zwykły nerwoból. Po chwili jednak ból zaczął stawać się coraz silniejszy i wkrótce osiągnął taki stopień, jakby ktoś wbił mu w serce grubą igłę i zaczął nią wiercić we wszystkie strony.

Starszy mężczyzna wstał i chwiejnym krokiem podszedł do okna. Musiał zaczerpnąć świeżego, mroźnego powietrza. Sięgnął ręką w kierunku klamki. Wtedy poczuł mrowienie na grzbiecie dłoni. Przekrwionymi oczami spojrzał na ćmę.

Z każdą minutą ból przybierał na sile. Teraz to nie była już tylko igła, lecz grube wiertło, które bezlitośnie wpijało się w głąb serca, chcąc przewiercić je na wylot.

Upadł na kolana, nie mogąc zaczerpnąć powietrza. Jeszcze nigdy nie czuł, aby jego serce waliło aż tak mocno. Drgania rozchodziły się przez całe żebra, sięgając aż do kręgosłupa.

Ćma siedząca na jego dłoni nieznacznie się poruszyła. Był to jednak drugorzędny bodziec, który ledwie dotarł do mózgu, gdzie teraz wyły ostrzegawcze syreny.

Zamknął oczy i upadł. Ciemność gęstniała, a ból zaczął się oddalać.

– Ja sobie tak trochę poleżę i zaraz mi przejdzie – wychrypiał, wiedząc podświadomie, że już nigdy nie wstanie.

Ostatnim bodźcem, jaki poczuł, był potężny wybuch bólu, jakby jego serce zostało rozsadzone na setki drobnych

kawałków. Potężna fala bólu rozeszła się po całej klatce piersiowej. To wszystko trwało zaledwie kilka sekund. Później nie czuł już nic.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

# SAMOBÓJSTWO W SZPITALU

Słyszał wycie policyjnej syreny, jakby dochodziło z daleka. Samochód prowadził Krzysztof. Jechali w milczeniu, a każdy kilometr, który przybliżał ich do szpitala, zwiększał strach i niedowierzenie.

Mateusz popełnił samobójstwo. Z tego, co powiedział lekarz dyżurujący, chłopak podciął sobie żyły od nadgarstka do końca przedramienia. Aż ciężko mu było uwierzyć w to, że jego siostrzeniec był do tego zdolny w tak młodym wieku. Owszem, może rano zachowywał się dziwnie, ale nic nie wskazywało na to, że kilkanaście godzin później chłopiec będzie w stanie targnąć się na swoje życie.

Z zamyślenia wyrwał go widok szpitala, którego światła zaczęły majaczyć w oddali.

– Jesteś pewny, że chcesz tam iść? – Głos Krzysztofa również dobiegał z daleka.

– Tak. – Słyszając suchość w swoim tonie, Robert spróbował przełknąć ślinę, ale zdał sobie sprawę z tego, że jego gardło jest wyschnięte na wiór. Otworzył samochodowy schowek, gdzie zawsze trzymał awaryjną butelkę wody. Niestety zapomniał o uzupełnieniu zapasów.

Z frustracją zatrzaskał schowek.

– Z tyłu jest moja torba. Będzie tam puszka pepsi – oznajmił Krzysztof, nie odrywając wzroku od drogi. Prędkościomierz wskazywał ponad setkę, więc mężczyzna całą swoją uwagę skupiał na tym, żeby nie rozbić ich na pobliskim drzewie.

– Dzięki. – Robert sięgnął na tylne siedzenie. Pogrzebał chwilę w torbie, wyrzucając przy tym puste paczki po papierosach i „małpki” z resztkami kolorowych trunków. Wreszcie znalazł puszkę pepsi. Otworzył ją szybko i jak gąbka pochłonął połowę zawartości. Beknął i odetchnął z ulgą.

– Lepiej?

– Bez porównania. Jeszcze raz dzięki.

– Nie ma sprawy.

– Pijesz? – W tej chwili była to błaża kwestia, lecz Robert chętnie przyjął coś innego, co mogło chociaż na chwilę odwrócić jego uwagę od obecnych wydarzeń.

– A znasz kogoś, kto nie pije? – Starszy detektyw zaśmiał się nerwowo.

– Pytam poważnie.

– No... czasem mi się zdarza. – Krzysztof zdjął nogę z gazu. – A ma to jakiegokolwiek znaczenie?

– To zależy.

– Hm?

– Zależy od tego, jak często i w jakich sytuacjach pijesz.

– Wyczułeś coś ode mnie w pracy?

– No nie – przyznał młodszy detektyw.

– No właśnie. Więc żadnego problemu chyba nie ma, co? – W głosie starszego detektywa słychać było złość i zniecierpliwienie.

– Ok, to twoja sprawa – przyznał Robert – ale jak cię kiedyś wyczuję w pracy, to nie przymknę na to oka. Rozumiesz?

– Taaa... – mruknął Krzysztof, po czym ponownie przyspieszył.

Resztę drogi pokonali w całkowitym milczeniu. W końcu zajechali na szpitalny parking, który o tej porze był praktycznie pusty. Krzysztof zaparkował możliwie jak najbliżej wejścia.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Żaden z nich nie chciał wychodzić z samochodu i mierzyć się z tym, co zastaną na oddziale dziecięcym.

– Musimy – powiedział Krzysztof.

– Wiem. – Robert odpiął pas i otworzył drzwi. – No to chodźmy.



Nocne powietrze przesycone było zapachem popiołu i woni przypominającej zwiertzałe papierosy. Dookoła wisiała szara mgła, która przysłaniała ściany szpitala. Światła sączące się z okien budynku były mdłe i rozmyte.

Robert przestał myśleć o siostrzeńcu jako o członku rodziny. To była kolejna sprawa, którą musiał zbadać. Wygodniej było przyjąć, że denat, niezależnie od tego kim jest, staje się po prostu obiektem, wokół którego toczy się śledztwo i pozostaje nim aż do zakończenia sprawy.

Zdecydowanym krokiem ruszył w stronę szpitala. Krzysztof przez chwilę stał w miejscu, lecz zaraz dorównał kroku młodszemu koledze.

Winda była pusta i po drodze nikt nie wsiadł. Wchodząc na oddział dziecięcy, Robert przez chwilę poczuł nieprzyjemne klucie w brzuchu. Zaraz miał zobaczyć martwego siostrzeńca.

*Nie myśl o tym! To tylko kolejny trup. Kolejna sprawa!*

Złe myśli nie dały się jednak tak łatwo odpędzić. Po drodze do sali Mateusza detektyw zauważył rudowłosą pielęgniarkę. Zdziwił go fakt, że ta pracuje już dobrze ponad dwanaście godzin. Zmęczenie widocznie malowało się na jej twarzy. Mężczyzna przypuszczał, że gdyby teraz miała zrobić jakiemuś dziecku wkłucie, to nawet nie trafiłaby w żyłę.

Pomimo tego dostrzegł, że jest piękna. Obdarzyła go spojrzeniem, w którym ciekawość mieszała się ze zmęczeniem i współczuciem. Z pewnością wiedziała, że jest detektywem i ma teraz pod górkę. Mimo wszystko, po jednym spojrzeniu był pewny, że gdyby zaprosił ją teraz na randkę, to poszłaby bez zastanowienia. Ta myśl była irracjonalna, biorąc pod uwagę okoliczności, jednakże dzięki niej oderwał się na krótką chwilę od smutnej rzeczywistości.

Przy wejściu na salę Mateusza zgromadził się tłum ludzi. Ciekawskie pielęgniarki stawały na palcach i wytrzeszczały oczy, jak sępy, które właśnie zwietryły padlinę. Wśród tłumu

kręcili się policjanci oraz przypadkowe osoby – prawdopodobnie rodzice, którzy dostali pozwolenie na nocowanie na oddziale.

Bez słowa przecisnęli się przez tłum.

– Możecie zasłonić czymś te cholerne drzwi, żeby nikt tu się nie gapił? – To były pierwsze słowa, jakie Robert skierował do będących na sali funkcjonariuszy.

– Skombinuję jakiś parawan – odezwał się jeden z nich, po czym szybko zniknął, jakby spodziewając się awantury, w czasie której polecą głowy.

Detektywi podeszli do łóżka. Mateusz wyglądał jakby spał. Na jego twarzy malował się dziecięcy spokój, a usta były lekko wygięte. Wyglądało to tak, jakby chłopiec miał miły sen, podczas którego delikatnie się uśmiecha.

Na tym kończyły się złudzenia. Błada twarz mówiła sama za siebie. Pozostała w jego organizmie krew spłynęła w stronę pleców, na których za jakiś czas miały pojawić się plamy opadowe. Rozcięcia na ręce wydawały się stare i wyschnięte. Niemal cała kołdra pokryta była zasychającą krwią. Wszystko wskazywało na to, że chłopiec nie żył już od dłuższego czasu.

– Musiało do tego dojść dobrych kilka godzin temu – oznajmił Krzysztof.

– Ta... – przytaknął Robert, po czym pochylił się nad chłopcem i uważnie zbadał jego rękę. Rozcięcia były bardzo głębokie, co świadczyło o tym, że musiał użyć wyjątkowo ostrego narzędzia. Detektyw widział już setki samobójców. Rany po nożu czy szkle zawsze miały postrzępione brzegi, co można było dostrzec gołym okiem. W tym przypadku brzegi były równe i idealnie gładkie.

Jeszcze przez kilka chwil przyglądał się ranom. Zostały wykonane perfekcyjnie, z czym jeszcze się nigdy nie spotkał. Odstępy między nimi były równe, jakby chłopiec odmierzał je linijką.

– Mamy gdzieś narzędzie, którym to zrobił? – zapytał Robert, nie odwracając się do policjantów.

– Niestety nie – odparł jakiś głos. Po jego barwie słychać było, że należy do jakiegoś starszego mężczyzny, który zdecydowanie zbyt długo i zbyt dużo pali.

Młodszy detektyw odwrócił się i zmierzył wzrokiem policjanta, który mu odpowiedział.

– Nie rozumiem – rzekł w końcu. – Nie macie tego noża, czy, jak przypuszczam, skalpela, którym to zrobił?

– Nie. Nie ma nic. – W oczach funkcjonariusza panował stoicki spokój. Co innego można było powiedzieć o jego partnerach. Widać było, że te wyrostki dopiero otrzymały pozwolenie na broń i prawo do wykonywania zawodu. To był ich chrzest bojowy. Jeden z nich – ten, który przyniósł wreszcie parawan i postawił go przed drzwiami, uniemożliwiając gapiom dalsze przyglądanie się – zaczął zielenieć na twarzy. Detektyw tylko czekał na charakterystyczny odgłos, zakończony chluśnięciem zawartości żołądka na utrzymane w nienaganej czystości płytki.

Robert spojrział na Krzysztofa. Widać było, że jemu też się nie podoba brak narzędzia.

– Wezwać mi tu siostrę, która pełni dyżur. Natychmiast.

Na ochotnika wyrwał się policjant od parawanu. Gdy tylko zniknął za drzwiami, uszu Roberta dobiegł oczekiwany odgłos, do którego dołączyło pełne obrzydzenia jęknięcie, wydane przez jedną z pielęgniarek lub matek. Później było tylko słychać oddalające się pokasływanie. To miał być dla młodego policjanta dzień, w którym pożałuje, że poszedł do policji. Później będzie tylko gorzej, aż do momentu, w którym takie widoki staną się dla niego normalne.

Na sali panowała cisza. Młodzi policjanci przechadzali się dookoła, udając, że coś robią. W rzeczywistości jednak nie mieli pojęcia, jak podejść do sprawy. Gdyby nie obecność

detektywów, ciało chłopca byłoby już przykryte prześcieradłem i przetransportowane na sam dół, gdzie w szufladzie czekałoby na wóz z domu pogrzebowego. Zabił się to się zabił, nie ma sensu drażnić, czym i dlaczego.

Robert miał jednak inne podejście. Chciał wiedzieć, jak do tego doszło i nie chodziło tu o to, że chłopiec był członkiem jego rodziny. Sprawa mu się nie podobała ze względu na to, jak Mateusz zachowywał się rano. Detektyw wiedział, że to nie było zwykłe samobójstwo, a po jego starszym koledze widać było, że myśli tak samo.

Drzwi do sali otworzyły się. Do środka weszła rudowłosa pielęgniarka. Z bliska na jej twarzy malowało się jeszcze większe zmęczenie. Za nią stanął młody funkcjonariusz, którego twarz nadal miała zielonkawy kolor.

– Ty zaczekaj za drzwiami – odezwał się starszy policjant, który dowodził tą bandą nieudaczników.

Funkcjonariusz kiwnął głową, nie ukrywając wdzięczności. Widać po nim było, że jego żołądek ma jeszcze spore rezerwy, które przy dalszym przyglądaniu się martwemu chłopcu również skończą na podłodze.

Rudowłosa pielęgniarka próbowała nie dawać po sobie poznać, jak bardzo się boi tej rozmowy. Po jej mimice widać było również, że nie ma bladego pojęcia, w jaki sposób mogło do tego dojść.

– Pani... – Robert spojrzał na plakietkę przypiętą na wzdórku niewielkich, ale za to kształtnych piersi – ...Święta. – Detektyw na moment przerwał zastanawiając się, czy w łóżku też by była taka święta, czy może pokazałaby rogi.

*Przestań!*

Ta myśl sprawiła, że Robert zaczął się zastanawiać, czy to wszystko go nie przerasta.

*Odbija mi. Przestaję panować nad sobą – pomyślał.*

Dostrzegł oczekiwanie w oczach pielęgniarki, która wyraźnie chciała już mieć tę rozmowę za sobą. To wyrwało go z zamyślenia.

– Chciałbym się dowiedzieć, czy macie tutaj skalpele.

– Skalpele? – Kobieta popatrzyła na niego tak, jakby zapytała ją o coś, o czym nigdy w życiu nie słyszała.

– Tak, skalpele – powtórzył cierpliwie.

– Jest kilka rączek i opakowanie ostrzy. Są w gabinecie zabiegowym w jednej z zamykanych na klucz szafek, ale rzadko ich używamy i z tego co wiem, to opakowanie powinno być nienapoczęte.

– Rozumiem. A prowadzicie jakiś spis, na którego podstawie będziemy w stanie określić czy wszystko faktycznie jest na swoim miejscu?

– Tak. Ale myślę, że nie będzie takiej potrzeby. – Kobieta pogrzebała w kieszeni i po chwili wyciągnęła pęk złożony z kilkunastu niewielkich kluczyków. – To jest klucz do tej szafki – oznajmiła, pokazując jeden z nich.

– Nie ma innych egzemplarzy? – zapytał Krzysztof.

– Nie. Poza skalpelami są w niej bardzo silne leki, a takie rzeczy, zwłaszcza na oddziale dziecięcym, muszą być trzymane pod kluczem.

– A czy ktoś oprócz pani ma dostęp do tego klucza? – Robert pytająco uniósł brew.

– Tak – odparła. – Jest jeszcze jedna osoba, ale od tygodnia jest na chorobowym, dlatego praktycznie ciągle jestem na dyżurze.

– Rozumiem.

Zapadło krótkie milczenie. Robert spojrział w kierunku łóżka Mateusza.

– Rany na rękę zostały zrobione skalpelem. Chciałbym osobiście zobaczyć spis i opakowanie. Jeżeli będzie otwarte, to

chcę również przeliczyć ostrza, żeby wykluczyć zniknięcie chociażby jednego.

– Oczywiście. Proszę za mną.

Detektywi udali się za pielęgniarką do gabinetu zabiegowego. Po drodze Robert mimowolnie ocenił jej tylne wdzięki. Figura kobiety przypadła mu do gustu, a pośladki ucieszyły jego oko.

Weszli do pomieszczenia wyłożonego białymi płytkami. Ostre światło raziło ich w oczy i nadawało gabinetowi zabiegowemu niemal steryny wygląd. Znajdował się tam duży mebel, który między innymi pełnił funkcję blatu. Posiadał wiele szuflad, w których najprawdopodobniej znajdowały się zapasy igieł, wkłuc, strzykawek i rękawiczek. Zaraz obok niego stało krzesło do pobierania krwi, na którym przez te wszystkie lata wiele dzieci zdierało sobie gardła. Przy ścianie stała wyłożona zielonym papierowym ręcznikiem kozetka.

Pielęgniarka otworzyła wspomnianą szafkę. Wyciągnęła z niej rączkę do skalpela i pudełko ostrzy, które było fabrycznie owinięte folią. Następnie otworzyła w komputerze spis i zwróciła monitor w stronę detektywów.

W opakowaniu było sto ostrzy. Zgadzało się to z liczbą widniejącą w spisie.

– Jest pani pewna, że nikt przy tym nie grzebał? – zapytał Krzysztof. Na jego twarzy widać było zdziwienie. Detektyw liczył na to, że choć raz uda się szybko rozwiązać sprawę.

– Może pan sprawdzić folię na opakowaniu ostrzy. Zaręczam, że jest nietknięta.

– No dobrze... – odparł Krzysztof. Nie musiał oglądać opakowania z bliska, żeby widzieć, że nie było otwierane. – Czy są tu jakieś osoby spoza personelu?

– Tak. Obecnie na oddziale przebywa sześć takich osób. Są to rodzice, którzy chcieli zostać z chorymi dziećmi.

– Musimy ich przesłuchać.

– Rozumiem.

– Jak już jesteśmy przy osobach spoza personelu... – wtrącił Robert. – Czy wpuszczala tu pani kogoś w ciągu ostatnich... powiedzmy, czterech godzin?

– Nie, ale mogę zadzwonić do informatyków, żeby umożliwili panom przejrzenie nagrań z kamer.

– Bylibyśmy bardzo wdzięczni. – Młodszy detektyw uśmiechnął się.

Wyszli za pielęgniarką z gabinetu zabiegowego.

– Zrobimy tak – zaczął Krzysztof. – Młodym zostawimy przeglądnięcie monitoringu, bo do tego nie trzeba wielkiej filozofii. Przesłuchaniami zajmiemy się we trzech.

– Trzech? – zdziwił się Robert.

– Tak pójdzie szybciej. Weźmiemy do pomocy najstarszego z nich. Widać, że facet w swoim życiu widział wiele i będzie wiedział, o co pytać. Młodym bym nie ufał. Niech uczą się na drobnych dilerach, a nie na... – Przerwał, nie wiedząc, co dalej powiedzieć. Zabójstwie? Samobójstwie?

– Niech tak będzie – odparł Robert, nie dając po sobie poznać, że zauważył zakłopotanie na twarzy kolegi.

Detektywi wrócili na salę i podzielili się z policjantami zadaniami. Przy wejściu do sali stanęło dwóch młodych funkcjonariuszy, pilnując, aby do środka nie wszedł nikt niepowołany. Na szczęście tłumek gapiów rozszedł się w swoje strony, więc praca ta nie była wymagająca.

Reszta świeżaków została skierowana przez jedną z pielęgniarek do części technicznej szpitala. Dwaj detektywi wraz z najstarszym policjantem stali na korytarzu i wpatrywali się w grupkę rodziców, która na wezwanie rudowłosej pielęgniarki właśnie zbierała się przy wyjściu.

– Każdy z nas ma do przesłuchania po dwie osoby – powiedział Robert.

– Podejrzewacie, że ktoś pomógł chłopcu? – zapytał starszy policjant.

– Nie możemy tego wykluczyć – odparł. – Lecimy standardową procedurą. Pytać wszystkich o skalpel i obserwować zachowanie. Możliwe, że to któryś z rodziców, ale to będziemy wiedzieli dopiero po przeglądnięciu monitoringu. Do tego momentu ci ludzie nie mają prawa wystawić nosa za drzwi oddziału. O tym też informować.

– Jasne.

– No to do roboty.

Cała trójka przeprowadziła przesłuchania, które łącznie zajęły jakąś godzinę. Było to niepotrzebne strzępienie języka. Każda z przesłuchiwanym osobom dowiedziała się o wszystkim dopiero, gdy pielęgniarka, która znalazła martwego Mateusza, podniosła raban na cały oddział.

Wrócili do sali. Chwilę później pojawili się policjanci, którzy przejrzyli monitoring.

– I macie coś? – zapytał Robert.

– Tak, albo i nie – odparł rudowłosy funkcjonariusz, na którego twarzy widać było liczne blizny po trądziku.

– To znaczy? – Robert próbował nie wybuchnąć. Ludzie pokroju tego faceta wkurzali go najbardziej. Kiczowato-tajemnicze odpowiedzi, przywodzące na myśl stereotypowego glinę z serialu w stylu „CSI”, wszystkowiedzące spojrzenie i mleko pod nosem. To były najgorsze cechy, które u policjantów niestety były popularne i zostawały z nimi do końca zawodowej kariery. No... może poza mlekiem pod nosem.

– Od momentu, w którym chłopiec się tu pojawił, do sali weszło kilku lekarzy. Było to wczoraj, zaraz po tym, jak tu trafił i dzisiaj na popołudniowym obchodzie.

– Czyli odpada.

– Myślę, że ma pan rację – przyznał funkcjonariusz mądralińskim tonem głosu, który sprawił, że w Robercie



zawrzała krew. – Tym bardziej, że obchód polegał na tym, iż wszyscy przyglądali się chłopcu zza drzwi. Tylko lekarz stanął w progu, ale nie wchodził dalej. – Policjant dumnie wypiął pierś.

– No to możemy uznać, że mamy jedną możliwość wykluczoną – odparł Krzysztof, który również nie przepadał za tym typem ludzi. – Mimo wszystko i tak niech ktoś z was dowie się, kim jest ten lekarz. Jego też trzeba przesłuchać. To samo tyczy się również tego, który badał chłopca wczoraj. Może zauważyli coś niepokojącego, co jednak zignorowali.

– Oczywiście – przemądrzały policjant odwrócił się do kolegów z zamiarem wydania poleceń.

– Ty się tym zajmiesz. – Najstarszy funkcjonariusz, który do tej pory milczał, wyszedł teraz na przód.

– Ale...

– Nie ma żadnego „ale”. – Ton mężczyzny był surowy i rozkazujący.

– O-oczywiście. – Rudzielec wyszedł, nieco zbyt energicznie zamykając za sobą drzwi.

Robert napotkał spojrzenie dowodzącego. Widział w nim to samo, co właśnie czuł. Złość i zażenowanie. Polubił tego gościa.

– To pytanie do pozostałych... – powiedział. – Ktoś jeszcze wchodził do sali?

– Tak – odparł jeden z policjantów. Chłopak, co do którego ciężko było użyć określenia „mężczyzna”, zrobił krok na przód. Miał twarz nastolatka, a rękawy munduru ciasno opinały wyrobione ciężkimi treningami bicepsy.

– Słucham.

– Były jeszcze dwie pielęgniarki. Jedną z nich jest ta ruda. – Rzeczowy ton głosu był tu na plus. Zero przemądrzania się i przesadzonej pewności siebie.

– A druga? – zapytał Krzysztof.

– Druga to blondyna.– Funkcjonariusz uśmiechnął się. – Całkiem niezła babka. – Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale surowy wzrok dowódcy ostudził jego zapał.

– Jest na oddziale?

– Tak, widziałem ją.

– Świetnie. W takim razie znajdź ją i przesłuchaj – polecił dowodzący.

– Oczywiście...

– Tylko zrób to DOBRZE. – Starszy policjant położył szczególny nacisk na ostatnie słowo.

– Zrozumiałem. – Funkcjonariusz udał się w stronę drzwi.

– Poczekaj.

Mężczyzna przystanął i odwrócił się na pięcie.

– Tak?

– Ktoś jeszcze?

– Pielęgniarka, która znalazła denata – odparł bezbarwnym głosem. – Też jest na oddziale.

– Doskonale. Przesłuchaj obie. Tylko pamiętaj...

– Wiem, mam to zrobić dokładnie. – Młody policjant lekko się uśmiechnął.

– Dokładnie. Leć.

Funkcjonariusz wyszedł. Przez chwilę panowało milczenie, lecz Robert szybko je przerwał.

– Ktoś jeszcze był tu widziany w ciągu ostatniej doby?

– Tak, pan. – Policjant, który wyglądał na najbardziej obiecującego, spojrzał na Roberta.

– Tak, byłem tu rano. Miedzy szóstą a siódmą. Nie pamiętam dokładnie... – Krótka pauza. – Mateusz jest... był moim siostrzeńcem.

W sali zapadła cisza. Nie było wyrazów współczucia ani beznadziejnego gadania, że wszystko będzie dobrze. Robert to doceniał.

Podszedł jeszcze raz do łóżka. W tym momencie chłopiec już nie był kolejną zagadką do rozwiązania. To był Mateusz. Członek jego rodziny. Młody chłopiec, który miał przed sobą całe życie. Detektyw chwycił go za rękę, którą sobie pociął. Na jego dłoniach zaczęły wyrastać pierwsze włoski, które nigdy nie będą na tyle duże, żeby z chłopięcej rączki zrobiła się męska dłoń.

W pewnym momencie detektyw zauważył, że zakrwawiona dłoń jest ściśnięta w taki sposób, jakby coś w niej trzymał. Rozwarcie pokrytych zakrzepniętą krwią palców nie było takie proste. *Rigor mortis* obejmowało tę część ciała po około trzech godzinach od zgonu.

Gdy wreszcie udało mu się złamać stężenie, omal nie krzyknął. Z dłoni wypadła zgnieciona ćma.

Robert z początku nie wiedział, co ma zrobić. Policjanci nie mogli tego zobaczyć. Przyniosłoby to zbyt dużo pytań, na które nie było odpowiedzi. Rozdmuchanie tej sprawy z powrotem skierowałoby uwagę mediów na ich biuro. Od kilku dni był względny spokój i nie chciał tego psuć.

Powolnym ruchem zgarnął zmiażdżonego owada do rękawa. Robiąc to zauważył rudy włos, który leżał na pościeli w miejscu, którego nie zachlapała krew.

To przyniosło mu wyjście z tej sytuacji, choć miało być ono bardzo niesprawiedliwe.

Wziął do ręki włos i odwrócił się w stronę funkcjonariuszy oraz Krzysztofa, który przez cały czas mu się przyglądał.

– Rudy włos – oznajmił, po czym rzucił porozumiewawcze spojrzenie na dowodzącego policjantów.

– Będziemy ją przesłuchiwać, aż powie prawdę – oznajmił, po czym skinął na funkcjonariuszy i wyszli.

Zostali we dwóch.

– Co ty, kurwa, robisz? – syknął Krzysztof. – Przecież nie masz żadnych dowodów, żeby zgarnąć tą kobietę.

– Spójrz na to. – Robert wytrząsnął z rękawa martwą ćmę.

– Jasna cholera... – Starszy detektyw wytrzeszczył oczy.

– Teraz rozumiesz, dlaczego to zrobiłem?

– Tak... To odwróci uwagę policji, a media ominą nas szerokim łukiem, skupiając się tylko na nich. Przesłuchają pielęgniarkę, może posiedzi dobę, a później wypuszczą ją i po jakimś czasie gównem przyschnie. Pomysłowe.

– Dokładnie – odparł Robert. – Nikt z obecnych w szpitalu nie pomógł Mateuszowi. To coś wybija moją rodzinę i w końcu padnie kolej na mnie.

– To brzmi absurdalnie!

– Może i tak, ale to nie dzieje się przypadkowo.

– Zwróć uwagę na to, że ja też jestem w to zamieszany i o wszystkim wiem. – Krzysztof spojrział oczekująco na młodszego kolegę.

– Może i tak, ale ty masz tylko żonę, a w dodatku żałujesz, że w ogóle wziąłeś ślub.

– No... racja...

W tym momencie telefon Roberta zaczął dzwonić. Kolejne złe przecucia. Spojrział na ekran. Dzwoniła jego mama.

– Cześć, mamó. Słuchaj, nie mam teraz czasu, żeby rozm... –

Urwał w pół zdania, a jego oczy omal nie wyszły z orbit. – Tak... wyślę tam kogoś i przyjadę najszybciej, jak tylko się da.

Rozłączył się, po czym spojrział osłupiały na Krzysztofa.

– Co jest?

– Mój ojciec... Mama znalazła go martwego w pokoju Kaśki.

– O cholera...

– Powiedziała... – Głos Roberta się załamał. Oczy piekły go od napierających łez. Zamknął je na chwilę, czując złość i bezsilność. Zrobił kilka głębokich oddechów.

– Myślisz o tym samym, co ja? – Głos Krzysztofa wydawał się dobiegać z bardzo daleka.

– Tak. Jedziemy do lasu. Wyślij kogoś do domu moich rodziców. Potrzebna też będzie szybka sekcja. Najlepiej jeszcze dzisiaj.

– Jasne. – Starszy detektyw wyjął z kieszeni telefon.

– Masz latarkę?

– Nie, ale kupimy coś po drodze. – Krzysztof wybrał numer i przyłożył telefon do ucha.

Robert już miał iść w stronę drzwi, ale coś mu się przypomniało. Spojrzał na łóżko Mateusza. Nie mógł go tak zostawić. W sali było drugie łóżko, które obecnie stało puste. Podeszedł do niego, ściągnął prześcieradło i przykrył nim martwego siostrzeńca. Położył rękę na miękkim materiale, czując stygnące ramię chłopca.

– Trzymaj się, byku.

Wychodząc z oddziału dziecięcego dostrzegli funkcjonariuszy, którzy wyprowadzali rudowłosą pielęgniarkę.

– Dlaczego? Przecież nic nie zrobiłam! – Spojrzała błagalnie na Roberta.

– Jeżeli pani faktycznie nic nie zrobiła, to na posterunku wszystko się wyjaśni i jeszcze dzisiaj wróci pani do domu – odparł uspokajającym głosem.

W jego głowie pojawiła się pewna myśl: jak to całe zamieszanie się skończy, to w ramach przeprosin wyciągnie ją do jakiejś dobrej restauracji.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

### UWOLNIONA Z GROBU

Wszystko szło zgodnie z planem. Miał kontrolę nad wszystkimi dzieciakami. Był dla nich przewodnikiem, za którym skoczyliby w ogień. Teraz wszystko pójdzie z górki. Nie widział niczego, co mogłoby stanąć im na przeszkodzie. Na samą myśl o tym, co miało się wydarzyć, przez jego plecy przebiegały przyjemne ciarki.

Tej nocy mróz był rekordowy. Ponoć sięgał prawie trzydziestu stopni poniżej zera, jednakże on tego nie czuł. Był ponad wszystkim. Szedł wolnym krokiem przez las, wdychając mroźne oczyszczające powietrze. Cisza była niemal idealna. Mąciły ją nieznacznie tylko jego kroki. Każda gałązka, która pękała pod jego bosą stopą, wydawała trzask, który roznosił się echem. Nie zwracał jednak na to uwagi. W lesie nie było wilków ani innych zwierząt, które mógłby w ten sposób zwabić. Wiedział, że instynkt samozachowawczy nakazał im uciekać. Teraz był tu tylko on i drzewa, które szeptały coś między sobą przy każdym, nawet najlżejszym podmuchu wiatru.

Po raz kolejny szedł drogą, którą pokonał kilka dni temu jako przerażony i pobity chłopiec. Bezradny Kacperek zniknął na zawsze. Teraz dysponował potężną mocą, dzięki której już wkrótce dokona czegoś wielkiego. Wiedział, że nie zostanie zapamiętany i nikt nigdy nie dowie się, w jaki sposób do tego wszystkiego doszło. To wprawilo go w prawdziwą euforię. Uśmiechnął się pod nosem.

Ostatnio miał problemy z hamowaniem się. Uwielbiał wycinanie siostrom psikusów. To była część dziecka, którym fizycznie nadal pozostawał. Na wspomnienie poranka lekki uśmiech zamienił się w szeroki wyszczerz.

Dzisiaj wszyscy poznali wdzięki siostry Ezechieli. Widok dość przykry, aczkolwiek salwa śmiechu dzieci była bezcenna.

Wszyscy zobaczyli, że starucha między piersiami nie ma już krzyżyka, tylko pępek. Mało się nie zabiła o własne nogi, wylatując z jadalni, przy czym pokazała jeszcze pomarszczony tyłek. Za nią wybiegła siostra Agnieszka. U progu drzwi jej habit również zniknął. Ona wyglądała już nieco lepiej, choć i tak kijem by jej nie tknął.

To wszystko było zabawne, lecz nie sprawiało mu już takiej satysfakcji. Chciał czegoś więcej, chciał zadawać ból fizyczny. Ten umysłowy szybko się nudził i nie dawał takiej frajdy. Niestety ONA mu na to nie pozwalała. Był jej niewolnikiem i uwielbiał ten stan.

Co noc wyrывał się do lasu na długie spacerunki. Zasadniczo nie musiał już spać. Nie czuł zmęczenia ani senności, więc byłoby to tylko stratą czasu. Wolał go spędzać z NIĄ. Rozmawiali bardzo otwarcie i szczerze przez długie godziny, po czym kochali się. O świcie wracał do „domu” z głową pełną pomysłów na kolejne niesmaczne żarty, które tak bardzo bawiły tych półgłówków.

Dzieci były teraz ograniczone. Miały problemy z koncentracją i pamięcią. Gdyby rzucił pytanie, co wczoraj było na obiad, to nie usłyszałyby trafnej odpowiedzi. To była szara masa, która zostanie strawiona, dzięki czemu ONA będzie jeszcze doskonalsza. Z nocy na noc widział, jak rośnie w siłę. Stawała się coraz piękniejsza i coraz bardziej prawdziwa. Moc, jaka od niej emanowała, była piekielnie zła, co podniecało go w niej najbardziej.

Staął w miejscu, gdzie kilka dni temu znajdowało się wzniesienie, z którego stoczył się do jeziora. Wspomnienie tamtego momentu było na swój sposób przyjemne. Owszem, omal nie utonął, lecz dzięki temu spotkał JĄ. Za taką nagrodę gotów był nawet umrzeć i wiedział, że kiedyś to dla NIEJ zrobi. Zrobi to z toksycznej miłości – iluzji, w której miał jeszcze trwać przez kilka tygodni, może miesięcy. Ta miłość była jednocześnie

linią jego życia, która z każdym dniem stawała się coraz krótsza.

Skreślił w głąb lasu. Wiedział, że tej nocy nie spotka JEJ w swojej ulubionej postaci. Musiał udać się do miejsca, w którym jej fizyczne ciało odpoczywało i nabierało sił na TEN moment. Jedną noc tak wytrzyma. Wiedział, że jutro spotka go nagroda. Będzie już po wszystkim i zostaną razem. To, co nastąpi później, w ogóle go nie interesowało.

Wszedł w najgłębsze zarośla. Długie kolce wbijały się w jego dłonie i raniły twarz, ale nie przeszkadzało mu to. Ból był jednym z niewielu ludzkich bodźców, na jakie jeszcze reagował, przez co stał się przyjemny. Dzięki niemu nie czuł się jak duch, tylko jak człowiek, który został obdarzony cudownym darem.

Usiadł na niewielkim głazie, który pokryty był zielonym nalotem. Spojrzał w nocne niebo, poprzecinane siatką z gałęzi i iglaków. To tutaj. Był tego pewien, choć nigdy wcześniej tu nie był. W to miejsce przywiódł go instynkt, który kierował go zawsze tam, gdzie była ONA.

Uczucie *déjà vu* zniknęło, gdy na grzbiecie jego dłoni pojawiła się czarna ćma. Jej skrzydełka wydawały się być ciemniejsze od nocy. Owad spacerował po dłoni Kacpra, którego mózg chłonał w tym czasie obrazy i porozrywane strzępki myśli; te, niczym puzzle, element po elemencie, zaczynały tworzyć spójną całość. To był dokładny plan działania.

Tej nocy musiał wykonać pierwsze zadanie. Od tego zależało to, czy wszystko się powiedzie. Musiał zacząć kopać tutaj, zaraz obok głazu.

Rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, co pomogłoby mu w rozkopaniu zmarzniętej ziemi. Dookoła leżały tylko suche gałęzie i sterty bezużytecznych liści.

Padł na kolana i paznokciami zaczął ryć zmarzniętą glebę. W innym przypadku użyłby do tego energii, jednak nie mógł niczego uszkodzić.



Wydawało mu się, że wygrzebuje po jednym ziarenku piasku. Praca była żmudna i bolesna. Szybko zdarł sobie palce do krwi i połamał wszystkie paznokcie. Nie przeszkadzało mu to jednak. Robiąc coś dla NIEJ, w ogóle nie interesował się sobą. Ból docierał z daleka. Liczył się tylko on i dół, który pogłębiał się powoli, centymetr po centymetrze. Krew skapująca z jego palców wydawała się rozmrażać twardą jak kość ziemię, choć równie dobrze mogło to być złudzenie, które podsunął mu jego własny mózg.

Czas przestał istnieć. Kacper trwał w martwym punkcie, z uporem pokonując kolejne centymetry ziemi. Ból już nie był tym przyjemnym uczuciem, które dowodziło, że nadal jest w nim coś z człowieka. Teraz stawał się silniejszy, przez co coraz trudniej było kopać. Piasek łapczywie pił krew, której było coraz więcej.

Nagle poczuł coś twardego. Nie miał najmniejszych wątpliwości. To ONA. Poczuł jednocześnie euforię i obrzydzenie. Teraz do niego dotarło, kim ONA tak naprawdę jest. Fizycznie to był tylko szkielet kilkuletniej dziewczynki, który od lat leżał w ziemi.

Zwolnił. Euforia minęła, a na jej miejscu pozostały tylko obrzydzenie i ból. Delikatnie zgarnął piasek z wypukłości czaszki. Kość była całkowicie brązowa. To była pierwsza prawdziwa czaszka, jaką miał okazję zobaczyć i dotknąć. Do tej pory był przekonany, że kości są białe, stąd też na taki widok pojawiła się myśl, że szkielet przesiąknięty jest złem, które odcisnęło na nim piętno, niczym nikotynowy osad na płucach palacza.

ONA się niecierpliwiła. Po raz kolejny tego dnia poczuł w gardle nieprzyjemne swędzenie, jakie wywoływały delikatne nóżki ćmy. Wrócił do kopania. Wkrótce odsłonił szyję, obojczyki i żebra. Szkielet wydawał się drobniutki i kruchy, choć Kacper doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że taki nie jest. Tak

naprawdę ten szkielet był dużo twardszy niż całe jego ciało. Gdyby tak nie było, kości leżałyby tu w trudnych do zidentyfikowania kawałkach. Tymczasem ze szczęki nie wyleciał ani jeden ząb.

Znalazł to, czego szukał wewnątrz rusztowania stworzonego przez sterczące żebra. Siostra Ezechiela, chowając dziewczynkę, powiesiła jej na szyi różaniec. Taki „akt miłosierdzia” wydał mu się nadzwyczaj zabawny. Zupełnie jakby zakonnica wiedziała, że dziewczyna trafi do miejsca, w którym każdy prosi o to, żeby znaleźć się w piekle.

Chwycił różaniec w obie dłonie i jednym zdecydowanym szarpnięciem rozerwał go. Zimne kamyczki kojąco działały na jego palce. Chłód łagodził ból, którym płonęły.

Poczuł falę radości. To ONA. Cieszyła się, że jest już wolna i może dokonać zemsty. Czuł również jej podniecenie na samą myśl, do czego jutro dojdzie. Uśmiechnął się pod nosem. Lubił sprawiać jej radość, gdyż sam wtedy czuł się wspaniale.

Dół zakopał nogą, dbając o to, aby nie zrobić tego zbyt gwałtownie. Wiedział, że szkielet to tylko szkielet i wcale nie obrazi się za zasypanie piaskiem, lecz było w nim coś, co kazało chłopcu zachować ostrożność. Po chwili dół był zakopany.

Spojrzał w niebo i dopiero wtedy zdał sobie sprawę z tego, ile musiało minąć czasu. Niebo z czerni zaczęło przechodzić w odcienie szarości. Zbliżał się świt. Kacper schował zerwany różaniec do kieszeni, po czym dał się ponieść wolności.

Znów szybował nad lasem jako ćma, powoli zbliżając się do Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY ŚWIATŁO NA TRZECIM PIĘTRZE

Opuścili stację benzynową wyposażeni w dwie potężne latarki i hot dogi na wynos. Roberta zawsze zaskakiwał fakt, że są tak dobre, a przy tym po ich zjedzeniu nie trzeba przeproszać zbuntowanego żołądka.

Krzysztof odpalił samochód i powoli opuścili parking. Byli na obrzeżach miasta, gdzie o tej porze ruch był znikomy. Mimo wszystko nie pę dzili na złamanie karku. Jechali zaledwie czterdziestką, co przez ostatnie dni zdarzało im się bardzo rzadko.

Robert chrząknął, jakby chciał coś powiedzieć, lecz zaraz zmienił zdanie. Wytrząsnął z paczki pogiętego papierosa i przez chwilę przyglądał mu się, jakby był nadzwyczaj interesującym okazem rzadko występującego zwierzęcia.

– Nie wiem, co ci powiedzieć – zaczął Krzysztof.

– Co... – Robert drgnął. – Co mówiłeś?

– No... chodzi o całą tę sytuację z twoją rodziną...

– Sam nie wiem, co o tym myśleć. – Odpalił papierosa i głęboko się zaciągnął. – Moja rodzina w ciągu ostatnich dwóch dni zaczyna wymierać, a to wszystko z niewyjaśnionych powodów. Na stacji dostałem SMS-a od znajomego lekarza. Będzie sekcja, ale na pierwszy rzut oka wygląda mu to na zawał.

– Paskudny zbieg okoliczności?

– Chyba tak...

– Słyszę niepewność w twoim głosie. – Krzysztof zerknął na partnera, po czym ponownie skupił wzrok na pustej drodze.

– Bo nie jestem tego pewien na sto procent – przyznał. – Nawet jeżeli sekcja wykaże, że to faktycznie był zawał, to nigdy nie będę miał pewności, że nie stało za tym coś związanego z... cholera, sam nie wiem czym.

– Myślisz, że w pokoju, w którym zmarł twój ojciec, znajdziesz cmentarz. – To było stwierdzenie.

– Tak. Jestem przekonany, że gdzieś tam będzie i sprawdzę to natychmiast po powrocie z lasu – odparł Robert. – Jak nie masz nic przeciwko, to zajedziemy do domu mojej mamy. Możemy się tam przespać. Ja na pewno z nią zostanę. W zasadzie teraz zostałem jej tylko ja i dziesięć lat starsza siostra, która powoli zaczyna głupieć.

– Zostanę u ciebie, tylko dam znać żonie, żeby nie myślała, że poszedłem na szmaty. – Krzysztof parsknął. – Ostatnio zaczyna mnie o to podejrzewać.

– Serio? – Zmiana tematu przyniosła Robertowi niemałą ulgę.

– Ta... – Starszy detektyw wyciągnął rękę.

– Ma ku temu jakiegokolwiek racjonalne powody? – Robert oddał mu połowę swojego papierosa.

– Patrząc okiem zdrowo myślącego człowieka, to nie. Owszem, wracam do domu późną nocą, a wyjeżdżam z samego rana, aczkolwiek żyjemy razem już od wielu lat, a moja praca zawsze tak wyglądała. Po prostu chyba zaczyna jej się nudzić.

– Poradziłbym ci coś, ale wiesz, że nie jestem dobry w te klocki. Ostatnia baba wytrzymała ze mną aż pół roku, po czym zaczęła pieprzyć się z jakimś przedstawicielem handlowym, czy kim ten kutas był.

– Ale ruda pielęgniarka ci się spodobała. – Krzysztof uśmiechnął się.

– Całkiem niezła jest – przyznał młodszy detektyw, po czym otworzył kolejną paczkę i szybko zapalił. Pół papierosa nie zaspokoilo jego żadnego nikotyny organizmu.

– Wiem, że teraz nie pora na takie tematy, ale chyba lepiej się trochę oderwać od tego, co się dzieje...

– Tak, umówię się z nią.

Krzysztof zaśmiał się i wrzucił kolejny niedopałek do przepełnionej popielniczki.

– Czasami mam wrażenie, że czytasz mi w myślach – oznajmił.

– Zboczenie zawodowe. Nie miewasz tak?

– Miewam, ale coraz rzadziej. Może najwyższa pora przejść już na tę cholerną emeryturę i zacząć ledwo wiązać koniec z końcem. Mam wrażenie, że to wygodniejsze niż uganianie się za kryminalistami.

– Chyba masz rację. – Robert obserwował, jak dym leniwie leci w górę, po czym szybko ucieka w bezkresny mrok nocy przez lekko uchylone okno. – Ja sobie jeszcze poczekam na emeryturę, zakładając, że w ogóle jej dożyję.

Przez chwilę milczeli. W myślach Roberta pojawiła się rudowłosa pielęgniarka. Nie miał na tyle tupetu, żeby zadzwonić do kolegów z policji i zapytać, jak poszło przesłuchanie. Mógł tylko mieć nadzieję, że kobieta poszła już do domu, gdzie po cichu – lub nie – przeklina jego skromną osobę.

Zbliżali się do celu. W oddali majaczył zjazd do lasu. Na szczęście śniegu było tu niewiele. Powoli zbliżała się wiosna i z każdym dniem robiło się coraz cieplej.

– Trochę nami zatelepie – oznajmił Krzysztof zjeżdżając w boczną dróżkę, która rozpaczliwie krzyczała o remont.

– Jak zawsze. – Robert wyjął ze schowka niepewnie opartą puszkę pepsi i wypił ostatnie dwa łyki.

Dookoła panowała niczym niezmacona ciemność. Czerń była tak gęsta, że nawet długie światła nie były w stanie sobie z nią poradzić. Po bokach majaczyły drzewa. Młodszy detektyw odniósł wrażenie, że drzewa te, gdyby tylko mogły, najchętniej zagrodziłyby im drogę. Ich najniżej położone, gołe gałęzie z furią tłukły się o przednią szybę i boki samochodu.

Krzysztof gwałtownie zahamował.

– Kurwa, co ty robisz?

– Spójrz.

Robert zerknął w kierunku wskazywanym przez swojego partnera. W oddali majaczył Dom Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia. Normalnie w tak gęstej ciemności nie byłoby w stanie dostrzec tego budynku, lecz jego położenie zdradzało włączone światło w jednym z okien na trzecim piętrze.

– Zgaś silnik i wyłącz światła – polecił Robert.

– Co robimy?

– Jak to co? Idziemy tam. Musimy sprawdzić, czy faktycznie ktoś tam jest, czy może któryś z techników zapomniał... – Mężczyzna wytrzeszczył oczy. – Zaraz...

– Właśnie przypomniałeś sobie, że zbierano dowody przy zasilanych na akumulatory lampach? – Na twarzy Krzysztofa pojawił się ciężki do zidentyfikowania grymas.

– Tak. Przecież w tym budynku wszystkie instalacje zostały spalone. Przynajmniej tak twierdził jeden z techników, który się na tym znał.

– No właśnie – przyznał starszy detektyw. – Zwróć uwagę na to, że od tamtego czasu nikt nie miał prawa wejść do budynku. Dom jest zamknięty na cztery spusty, nie ma personelu, a jego właścicielka nie żyje. Nie mógł się tu pojawić również nikt od naprawy instalacji.

– No...

Mężczyźni wpatrywali się w żółte światło. Świeciło się tylko w jednym pomieszczeniu. Wszystkie pozostałe okna były ledwie widoczne na tle czarnego jak noc muru.

– Może jednak ktoś z naszych przeoczył lampę.

– Nie. To zupełnie inna barwa światła – odparł Robert. – Poza tym wygląda to tak, jakby świecił się żyrandol.

– W sumie...

– Zastanawiam się, czy wezwać posiłki. Ktoś musi tam być.

– Z jednej strony byłoby to całkiem rozsądne – przyznał Krzysztof. – ALE... jak masz zamiar wytłumaczyć komukolwiek to, że przyjechaliśmy tu w środku nocy? Chyba nie powiesz, że to przeczucie?

– Cholera.

Zapadła nerwowa cisza. Przez cały czas ich oczy wpatrzone były w okno na trzecim piętrze. W pewnym momencie pojawiła się tam sylwetka. Na ten widok obaj mężczyźni nieświadomie wstrzymali oddechy. Z tej odległości ciężko było ocenić, kto to może być. Nie dało się oszacować nawet wieku, czy chociażby płci. Równie dobrze mogłaby to być czarna makieta człowieka.

Nagle ciszę, jaka panowała w samochodzie, rozdarł potężny huk. Coś z ogromną siłą przywaliło w drzwi od strony kierowcy. Detektywi podskoczyli i gdyby nie pasy bezpieczeństwa, to z pewnością jeden i drugi przyrznąłby głową w sufit.

Przed maską mignęła im sylwetka średniej wielkości zwierzęcia, które kulejąc uciekło między drzewa.

– Sarna albo coś w tym stylu – powiedział Krzysztof, gdy już nieco się uspokoił.

– Takie gównno, a narobiło tyle strachu. – Robert spróbował się zaśmiać, ale wyszło z tego coś na kształt szczenięcia.

Krzysztof wymacał paczkę papierosów i drżącą ręką włożył jednego do ust. Z niemałym wysiłkiem przyłożył płomyk zapalniczki do jego koniuszka i łapczywie zaciągnął się pierwszą chmurą dymu. Widok ten przywodził na myśl człowieka, który omal się nie utopił i po wyciągnięciu z wody chce jak najszybciej nadrobić każdy oddech, który go ominął.

Zamknął na chwilę oczy i rozparł się wygodnie w fotelu. Przez chwilę siedział tak, wyraźnie próbując się uspokoić. W końcu powoli podniósł powieki i wrócił spojrzeniem do okna.

Zamarł, wytrzeszczając oczy z przerażenia.

– O cholera. – Mężczyzna nawet nie zorientował się, że upuścił papierosa na podłogę.

– Co jes... – Robert przez cały ten czas, wzrokiem pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu, wpatrywał się w drzewa, między które uciekło zwierzę. – O kurwa. – Teraz on również wytrzeszczył oczy.

W momencie, w którym ich uwagę skupiła sarna, światło na trzecim piętrze zgasło.

– Albo to jakiś cholerny zbieg okoliczności, albo celowe działanie – oznajmił Krzysztof drżącym głosem, po czym podniósł papierosa.

– Daj spokój. – Robert prychnął. – Akurat ktoś kazałby sarnie wbiec w nasz samochód. Może jej jeszcze pokryje koszty ewentualnego leczenia i zapłaci coś ekstra za poświęcenie?

– Fakt, może to brzmi absurdalnie... – zaczął Krzysztof – ... ale sam widzisz, co się ostatnio dzieje. Coraz mniej normalności. Już wolałbym, żeby wyskoczył jakiś pojebaniec z siekierą i zaczął nią walić po masce. Przynajmniej mielibyśmy do czynienia z prawdziwym człowiekiem, a nie czymś abstrakcyjnym!

Robert przez chwilę siedział w milczeniu. W końcu wyciągnął pistolet i z zastanowieniem sprawdził magazynek.

– Idziemy tam.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

### SIEROTA

– Siedział zwinięty w kłębek. Czuł się jak ostatni popapraniec. Był leżącym na trawniku kawałkiem gówna, który przez każdego omijany jest szerokim łukiem, aby przypadkiem nie ubabrał nikomu butów. To dobrze określało jego obecny stan.

– ONA go opuściła, nie zostawiając mu niczego, co od niej dostał w czasach, kiedy było dobrze. Wykorzystała go do swoich celów, a gdy odwalił za nią najgorszą robotę, ta pozbawiła go duszy. Był pustą skorupą, w tej chwili wciśniętą w kąt gabinetu, który tak dobrze pamiętał.

Nie rozumiał, dlaczego zamknęła go właśnie tutaj. To pomieszczenie jeszcze niedawno było dla niego miejscem zabaw, które pole gały na dręczeniu starej zakonnicy. Gdyby ona teraz żyła, to błagałby ją na kolanach o przebaczenie i złagodzenie kary, ze względu na wyrażoną skruchę.

Było to tylko gdybanie. Starucha zdechła i to stanowiło jedyny powód do radości.

– Kacper rozejrzał się po gabinecie siostry Ezechieli. Nie pamiętał, kiedy ONA go zamknęła. Czas wydawał się być nieskończenie długą linią, która jednocześnie jest maleńka niczym punkt. Jedyne, czego był pewny, to fakt, że nie da się otworzyć ani drzwi, ani okna. Próbował nawet wybić szybę, rzucając w nią najróżniejszymi przedmiotami, lecz szkło wydawało się niezniszczalne. Pod parapetem piętrzył się bezkształtny stos, z którego czubka wystawał krzyż. Wyglądało to jak kopiec, pod którym dane mu będzie spocząć, gdy już wreszcie umrze.

– Najgorsze w tym wszystkim było to, że chłopiec pamiętał każdą chwilę, którą z NIĄ spędził. To było tak żywe, jakby się stało zaledwie kilka godzin temu, a nie wiele dni czy tygodni.

Pamiętał, jak mógł zamieniać się w ćmę. Wtedy mógł lecieć w dowolne miejsce, kiedy tylko chciał. To było takie cudowne! Jego wyobraźnia zadziałała. Poczuł na twarzy lekki powiew mroźnego wiatru, lecz to już nie było przyjemne uczucie. Wiatr skojarzył mu się z otwieranym grobem. Był ciężki, śmierdzący i wilgotny. Pokrył jego skórę ohydną warstwą śluzu, którego nie był w stanie w żaden sposób się pozbyć.

– Chciał zapomnieć o wszystkim, co się stało, ale wspomnienia nie dawały za wygraną. Miały zostać w jego głowie i męczyć go do samego końca. Był kłębkim złożonym z płataniny porażki, desperacji oraz psychicznego i fizycznego bólu.

Stare rany dawały o sobie znać ze zdwojoną siłą. Czuł każde żebro, które pękło w noc, kiedy uciekł spod nosa siostrze Ezechieli. W tej chwili żałował, że ONA się tam pojawiła. Wolałby utonąć i mieć święty spokój.

Pomyślał o niewinnych osobach, które z jego powodu umarły. Te wszystkie dzieci, siostry i inni ludzie, których nawet dobrze nie znał. Pamiętał jakiegoś chłopca, któremu dał na moment swoją duszę, samemu rozpadając się w niebyt. Z tego wydarzenia w jego głowie pozostało wspomnienie, jak ów chłopiec używa energii, aby rozplątać brzuchy swoich rodziców. Widział paskudnie sterczące żebra i litry gorącej krwi, które zbryzgały ściany i szerokimi kałużami rozlały się po podłodze. Nie miał pojęcia, dlaczego do tego doszło. Wiedział tylko tyle, że ONA oszalała.

– Pod sam koniec spotkali się. To już nie było to samo spotkanie. ONA nie była tą olśniewającą piękną, tylko istotą o kosmatej twarzy, przegniłych zębach i mleczno-białych oczach, które w ogóle nie miały źrenic. Ot tak powiedziała, że nie jest jej już do niczego potrzebny. Zrobił wszystko, co miał zrobić, a jego nagrodą jest to, że może dalej żyć.

– Świetna nagroda. Na wspomnienie tych słów, chłopiec miał ochotę jednocześnie roześmiać się i rozplakać. Lepszą nagrodą dla niego byłaby śmierć. Niestety nie był w stanie umrzeć, a próbował już kilka razy.

Chciał się powiesić. Za pierwszym razem pasek od jego spodni, który wydawał się dość mocny, pękł jak zwykła nitka. Za drugim użył sznurka, który udało mu się znaleźć w jakiejś szafce. Sznurek wytrzymał, lecz klamka, do której był przywiązany najzwyczajniej wyskoczyła z drzwi całkowicie uniemożliwiając mu również próby wydostania się z gabinetu.

Po tych porażkach spróbował podcięcia żył. W biurku siostry Ezechieli udało mu się znaleźć wiele ostrych przedmiotów. Żaden z nich jednak nie był w stanie przeciąć skóry. Ręce chłopca, od nadgarstków aż po łokcie, pokryte były czerwonymi kreskami, lecz nie pojawiła się ani jedna kropla krwi.

– Rozejrzał się po gabinecie. Był okropnie głodny i spragniony. Już nie liczył na inną śmierć niż ta wskutek braku jedzenia i wody. ONA wiedziała, jak zawsze się tego bał.

Zanim jeszcze to wszystko się stało, Kacper miał swoje lęki, jak przystało na każde dziecko w jego wieku. Jedni bali się potworów z szafy lub spod łóżka, innych w przerażenie wprawiał Gargamel lub inne postacie z kreskówek.

W jego przypadku strach skupiał się na śmierci. Sam fakt, że kiedyś umrze, nie wprawiał go w przerażenie, gdyż wiedział, że tego nie uniknie. Panikę wywoływały jednak potencjalne sposoby, w jakie można pożegnać się z życiem. W szczególności bał się tego, że umrze zakopany żywcem lub wskutek głodu. ONA wybrała drugą opcję, aby dać mu trochę pocierpieć, zanim przyjdzie śmierć, niosąc ze sobą odpoczynek.

– Nie mógł pojąć, dlaczego mu to zrobiła. Gdyby nie jego pomoc, nadal byłaby bezkształtnym bytem, który przykuty różańcem nie może wystawić nosa poza swój grób.

– Jego uszu dobiegł jakiś odgłos. Nie miał pewności, gdzie znajduje się jego źródło, ale wydawało mu się, że najprawdopodobniej na zewnątrz. Odgłos ten rozlegał się tylko przez chwilę. Kojarzył mu się trochę z samochodem, ale szybko wykluczył tę opcję. Gdyby to był faktycznie samochód, to podjechałby na pusty plac przed budynkiem. Kto normalny zatrzymywałby się w lesie? Poza tym, patrząc na zegar, który wisiał na ścianie, chłopiec doszedł do wniosku, że jest środek nocy. Nie miał pewności, czy zegar faktycznie pokazuje prawidłową godzinę, ale już od długiego czasu było ciemno i świeciło się to dziwne światło, które nie dawało mu nawet zasnąć. Nie wiedział, skąd się ono wydobywa ani jak je zgasić. Włącznik nie pomógł, więc najprawdopodobniej była to sprawka JEJ. Jakby brak jedzenia i wody to było za mało...

– Nie miał zbyt wiele siły, ale jakimś sposobem udało mu się wstać i pokuśtykać do okna. Kosztowało go to wiele wysiłku i jeszcze więcej bólu, ale dziecięca ciekawość była w stanie wytrzymać praktycznie wszystko.

– Przycisnął nos do chłodnej szyby i wyteżył wzrok. Jedyne, co udało mu się zobaczyć, to własne odbicie. Szyba była jak czarne lustro. Mógł w niej zobaczyć najwyżej wewnątrz gabinetu siostry Ezechieli. Z rezygnacją odsunął się od okna.

– Nagle w pomieszczeniu zrobiło się całkowicie ciemno. Światło zgasło, a ogromna siła rzuciła go na przeciwległą ścianę. Poczuł ogromny ból w klatce piersiowej. Żebra, które ledwo zaczęły się zrastać, zawyły okropnym bólem. Po raz kolejny zatęsknił za swoimi dawnymi możliwościami i po raz kolejny przeklął dzień, w którym trafił na NIA.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY NIEWIDOCZNY

Drzwi wejściowe były lekko uchylone. Przez tę niewielką szparę wylewała się niczym niezmacona czern. Robert stanął przed nimi i powoli wyciągnął rękę w stronę starej i ciężkiej żeliwnej klamki. Były na niej jakieś zdobienia, ale przy tak słabym świetle nie dało się zobaczyć, co przedstawiają.

Zacisnął palce na klamce. Chłód bijący od metalu wydawał się być nieprzyjazny. Przypominało to Robertowi moment, w którym zaraz przed wejściem do sali Mateusza zrobiło się bardzo zimno. Automatycznie położył palec na spuście.

Pchnął drzwi. W nocnej ciszy rozległ się błagalny jęk, który przyprawiał o ból zębów. Spojrzał na Krzysztofa. Twarz detektywa pokrywały jeszcze głębsze zmarszczki, przez co wyglądał, jakby był przynajmniej dziesięć lat starszy.

– Jesteś pewny, że nie powinniśmy wezwać posiłków? – szepnął Krzysztof.

– Nie – odparł Robert również ledwo słyszalnym szeptem. – Nie jestem niczego pewny, ale co do posiłków, to już o tym rozmawialiśmy. Jesteśmy zdani tylko na siebie. Sami musimy tam wejść.

Ostatnie słowa młodszego detektywa zawisły w powietrzu niczym toksyczna mgła, potęgując niepokój, jaki odczuwali. Robert podniósł leżącą na posadzce latarkę. Wziął kilka głębokich oddechów i zdecydowanym krokiem przeszedł przez próg. Gdy mroczne wnętrze Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia oświetlił żółtawy blask, do przedsionka wszedł również Krzysztof.

Powietrze było tu ciężkie i przesycone zapachem, który był połączeniem spalenizny, trupa i krwi. Wydawało się, że ściany nadal odbijają echo wrzasków, jakie musiały się tu rozlegać w trakcie masakry. Wszystkie ciała (a raczej ich fragmenty)

zostały już dawno usunięte z miejsca zdarzenia, aczkolwiek nadal było tu czuć woń zaawansowanego rozkładu. Mdlący słodkawy zapach szczególnie silny był na schodach.

Stopnie przykryte były barwną, staroświecką wykładziną. Co prawda to ona pochłonęła najwięcej przykrych zapachów, lecz z drugiej strony dzięki niej mężczyźni mogli wejść na górę bez zdradzania swojej obecności.

Dostali się na pierwsze piętro. Mdła poświata, jaką dawały latarki wydawała się być pochłaniana przez wszechobecną czerń. Wkrótce oczy Roberta tak przyzwyczyły się do mroku, że gdyby wyłączył latarkę to szedłby dalej, widząc wszystko równie wyraźnie.

– Na drugim piętrze gasimy światło – szepnął młodszy detektyw. – Nie chcę, żeby ktoś, kto tam jest, dostrzegł nas jako pierwszy.

– Jasne.

Kontynuowali wspinaczkę, pilnując przy tym, aby poruszać się jak najciszej.

\* \* \*

Bezlitosny ból atakował potężnymi falami jego przemęczony mózg. Nie był pewny, ale chyba na jakiś czas stracił przytomność. Pomacał obolałą potylicę. Poczł wilgoć. Dużo wilgoci. Wiedział, że na pewno nie jest to pot.

Czuł czyjąś obecność, ale nie miał pewności, czy chodzi tu o coś bezcielesnego, czy też do budynku wszedł jakiś człowiek. W to drugie szczerze wątpił. Spędził tu już trochę czasu i nie zobaczył ani żywej duszy. Zapewne Dom Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia był teraz okryty tak złą sławą, że nikt nie chciał się tu zbliżyć na mniej niż kilometr.

Iskierka nadziei, która przed chwilą zapłonęła dając przyjemne ciepło, teraz bezpowrotnie zgasła.

Jego oczy nie mogły przyzwyczać się do mroku, jaki teraz panował w gabinecie. Widział tylko słabe światło nocy, które niechętnie wlewało się do pomieszczenia. W świetle tym dało się dostrzec krzesło, duże biurko i kilka większych przedmiotów, które były rozrzucone tu i ówdzie. Nic poza tym. Żadnej postaci. Żadnego ruchu.

Usłyszał krok. Po nim kolejny. I jeszcze jeden. Ktoś, kto tu właśnie siedł, poruszał się bardzo ostrożnie. Zupełnie, jakby spodziewał się, że może na kogoś trafić. Że może trafić na niego.

Kacper zerwał się jak oparzony i podszedł do drzwi. Ktoś tam stał. Spod drzwi wlewała się słaba żółtawa poświata. Chłopiec znalazł to światło. Otworzył usta, lecz nie zdołał wydusić narastającego w gardle krzyku. Całe jego ciało objął paraliż.

Usłyszał odgłos naciskanej klamki i ciche szcęknięcie w zamku.

\* \* \*

Trzecie piętro okazało się tak ciemne, że żaden z nich nie był w stanie dostrzec nawet czubka własnego nosa. Z tego powodu zaniechali planu Roberta, aby zgasić latarki. Bez nich nie byli w stanie poruszać się po korytarzu, nie mówiąc już o znalezieniu właściwych drzwi.

Idąc w ciszy, mijali kolejne pokoje. Krzysztof zapamiętał, że światło świeciło najprawdopodobniej w środkowym pomieszczeniu. Z tego co wiedział, musiał to być gabinet siostry Ezechieli.

W tym momencie światło latarki Roberta padło na drzwi, na których wisiała przechylona tabliczka. Zamiast godności zmarłej, na niewielkim złotym prostokątku staranną kaligrafią wyryte były dwa słowa: „STARA KURWA”. Ozdobniki przy literach składających się na tę obelgę były wręcz groteskowe.

Obaj detektywi zmarszczyli czoła. Byli tu kilkanaście razy i nie przypominali sobie, aby na tabliczce widniał taki napis. Porozumiewawcze spojrzenie wystarczyło, aby przekazali sobie nawzajem myśl: ktoś tu był i złośliwie podmienił tabliczkę. Po co? Tego prawdopodobnie nigdy się nie dowiedzą.

Robert chwycił za klamkę, jednocześnie kierując broń w stronę drzwi. Nie wiedział, czego może się tam spodziewać, więc wolał zachować ostrożność. Nie było wykluczone, że jakiś zabłąkany ćpun postanowił zrobić sobie z tego miejsca przytułek.

Nacisnął klamkę i lekko pociągnął do siebie. Klamka została mu w garści, a po drugiej stronie drzwi dał się słyszeć stłumiony metaliczny brzęk.

– Kurwa mać – syknął.

– Może wyważymy? – zaproponował Krzysztof.

– Pomysł całkiem dobry, ale nie mamy łomu.

– To zrobimy to jak za starych dobrych czasów. – Na twarzy starszego detektywa pojawił się uśmiech, który wydawał się być zupełnie nie na miejscu.

Detektywi odsunęli się pod przeciwległą ścianę. Drzwi do gabinetu wydawały się solidne, lecz nie na tyle, aby dwóch mężczyzn nie dało sobie z nimi rady. Spojrzeli na siebie porozumiewawczo, po czym jak na komendę rozpędzili się i barkami uderzyli w drzwi. Zamek ustąpił z trzaskiem, który w mrocznym korytarzu wydawał się być rozrywającym uszy hukiem.

Spojrzeli do wnętrza gabinetu siostry Ezechieli. Tutaj ciemność wydawała się być niczym czarna dziura – pochłaniała nawet najdrobniejszą wiązkę światła. Jedynym, co dało się dostrzec, był tylko słaby blask księżyca, który niechętnie wdzierał się przez okno.

\* \* \*



Słyszał szepty. Później była cisza, po której nastąpił potężny huk. Kacper stał przy oknie i z lękiem spojrział w stronę drzwi. Stały tam dwie postacie, ale było tak ciemno, że nie był w stanie dostrzec, kim są. Jedna z postaci trzymała dużą latarkę, której światło nie dochodziło nawet do połowy pomieszczenia.

Usłyszał męski głos:

– Tu nie ma nikogo. Jesteś pewny, że to było to okno?

– Na sto pięćdziesiąt procent – odparł drugi męski głos. – Może mam swoje lata, ale mam też niesamowitą pamięć do takich rzeczy.

Jeden z mężczyzn omiół wewnątrz gabinetu światłem latarki. Tym razem blask okazał się tak silny, że gdy padł na oczy Kacpra, ten jęknął z bólu. Poczuł, jakby ktoś wbił mu w gałki oczne długie szpile, które sięgnęły aż do mózgu.

– Przestańcie – zaskomlał.

Światło powędrowało dalej. Po chwili w gabinecie rozległy się kroki, jednakże nie przybliżały się do niego. Chłopiec siedział skulony pod parapetem i wytrzeszczonymi oczami patrzył, jak mężczyźni obchodzą duże biurko siostry Ezechieli, wyraźnie czegoś szukając.

Strumień światła z latarki padł na jego twarz kilkakrotnie. Raz czy dwa zatrzymał się na dłużej, ale i tak żaden z mężczyzn nie podszedł. Zdawali się w ogóle go nie dostrzegać.

– Tu nic nie ma – oznajmił głos należący do mężczyzny, który musiał być po pięćdziesiątce.

Kacper drgnął. Coś w nim pękło. Tu byli ludzie, którzy mogli mu pomóc, a on nadal siedział skulony pod parapetem i nie dawał znaku życia. Musiał coś zrobić, jeżeli zależało mu na uwolnieniu się z tego miejsca.

Wstał i podszedł do biurka.

– Ja tu jestem – oznajmił, siląc się na pewny ton głosu.

Jeden z mężczyzn drgnął.

– Słyszałeś? – zapytał.

– Co?  
– Sam nie wiem... jakieś szurnięcie albo coś w tym stylu.  
– Wydawało ci się – odparł młodszy mężczyzna. – Ja nic nie słyszałem.

Kacper jeszcze bardziej wytrzeszczył oczy. Praktycznie stał obok tych mężczyzn, a ci i tak go nie widzieli.

– Ja tu jestem! Widzicie mnie?! – powtórzył Kacper podniesionym głosem.

Żaden go nie usłyszał. Zamiast tego jeden z mężczyzn podniósł coś, co leżało na podłodze, praktycznie tuż obok jego stopy. Obejrzał to w świetle latarki, po czym mruknął coś pod nosem i odrzucił w kąt.

– Spadamy stąd?

– Tak. Nie mam pojęcia skąd wzięło się światło w tym pokoju. Może zaczyna nam siadać na łeb.

Kacper podbiegł do drzwi i stanął w nich. Zaczął krzyczeć i wymachiwać rękami.

– JESTEM TU! TO JA! KACPER! NIE WIDZICIE MNIE! GDZIE WY MACIE OCZY?!

Mężczyźni przeszli obok niego. Jeden z nich pchnął za sobą drzwi, które omal nie przytrzasnęły Kacprowi palców. Chłopiec na powrót znalazł się sam w gabinecie. Po jego policzkach spłynęły ciężkie słone łzy.

Jedynym plusem tego wszystkiego było to, że mężczyźni zostawili otwarte drzwi. Teraz mógł wyjść z pomieszczenia, które było dla niego jak więzienie.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

### NIEPROSZONY GOŚĆ

W świetlicy panowała całkowita cisza. Zazwyczaj było tu słycać gwar kilkunastu dzieci, które kłóciły się między sobą o zabawki lub bawiły się w berka. Tym razem nie było żadnych śmiechów, pisków ani wrzasków ciągniętych za warkocze dziewcząt. Czasami padały pojedyncze słowa, wypowiedane bezbarwnym tonem, przywodzącym na myśl automat. Każde z tych słów zdawało się jednak być zasysane przez ciężką atmosferę, jaka panowała w świetlicy.

Kacper zeskoczył z ostatnich kilku stopni, nie starając się nawet udawać obolałego. Sam nie wiedział, dlaczego nadal to robił. Wszystkie dzieci w tym domu nie były w stanie snuć domysłów, co, jak i dlaczego. Nikt zatem nie zwróciłby uwagi na to, że Kacper jakimś cudownym sposobem wyzdrowiał, zwłaszcza że jego ręce nadal pokryte były paskudnymi ciemnymi sińcami.

Otworzył drzwi do świetlicy i rozejrzał się. Wszyscy zwrócili głowy w jego kierunku. Omiótł twarze szukając w oczach jakiegokolwiek przebłysku świadomości. Nie znalazł go. Wszystkie spojrzenia były zupełnie puste. Uśmiechnął się w duchu na ten widok. Wykonał swoje zadanie perfekcyjnie.

W kącie świetlicy spostrzegł starą, otyłą zakonnice, która dziergała na drutach coś, co wyglądało jak wyjątkowo duża skarpeta albo wełniany kondom dla olbrzyma. Robótka uderzała w oczy różnorodnością niepasujących do siebie kolorów. To była jedna z ohydniejszych rzeczy, jakie Kacper miał okazję zobaczyć. Całkowity brak jakiegokolwiek poczucia smaku i estetyki.

Kobieta poczuła na sobie spojrzenie chłopca i zamarła. Przez chwilę siedziała bez ruchu niczym posąg. Zaraz jednak powoli podniosła głowę i przepelnionymi lękiem oczami

spojrzała na Kacpra. Na jej czoło wystąpiły ogromne krople zimnego potu, co upodobniło ją do ociekającej tłuszczem skwarki. W tym wszystkim brakowało tylko ogromnej patelni, na której mogłaby podskakiwać z głośnym trzaskiem.

Kacper obdarzył kobietę szyderczym uśmiechem.

– Wynoś się stąd – powiedział bezbarwnym głosem.

Kobieta gorliwie pokiwała głową, po czym wstała z zadziwiającą dla swojej postury gracją i zapominając o robótce, pospieszyła do drzwi. Mijając Kacpra, mruknęła pod nosem coś niezrozumiałego i szybko oddaliła się w sobie znanym kierunku.

Wszedł do świetlicy, zamykając za sobą starannie drzwi. Podszedł do kąta, gdzie przed chwilą siedziała zakonnica, i strącił niedokończoną robótkę na podłogę. Dwie kulki kolorowej wełny potoczyły się w stronę ściany. Usiadł wygodnie, dziwiąc się, jakim cudem to stare drewniane krzesło wytrzymało ciężar tej potężnej kobiety.

Jego umysł był nieskazitelnie czysty. Był jak nocna tafla jeziora. Czarne lustro, którego nie mąci nawet najlżejszy podmuch wiatru. Nie musiał już nad niczym myśleć. Teraz wszystko potoczy się automatycznie. Wystarczy jeszcze chwilę poczekać. Spojrzał nad drzwi do świetlicy, gdzie obok drewnianego krzyża wisiał stary zegar na baterie. Była godzina piętnasta. Zostały jeszcze dwie godziny.

Kacper wstał, przeciągnął się i podszedł pod drzwi. Przygotowując całe przedsięwzięcie, zatroszczył się o to, aby w pomieszczeniach, do których ONA będzie wchodziła, nie było żadnego krzyża czy wizerunku świętego. Nie zrobiłoby to na NIEJ większego wrażenia, aczkolwiek mogłoby ją nieco zdezorientować. Nie lubiła dewocjonaliów. Ostatnimi czasy on również za nimi nie przepadał, więc z przyjemnością zdejmował i łamał krzyże lub rozdzierał płótna przedstawiające

zbolełe gęby męczenników. Następnie znosił to wszystko pod drzwi gabinetu starej zakonnicy i tam zostawiał.

Przez kilka ostatnich dni siostra Ezechiela praktycznie cały czas siedziała w tej swojej dziupli i pojawiała się tylko na posiłkach, gdzie jadła mało i szybko. Cieszył go widok jej wymizerowanej twarzy. Z każdym dniem jej policzki zapadały się coraz bardziej. Wyraźnie zarysowane kości zdawały się niemal przebijać pergaminową skórę, a jej wiecznie przekrwione oczy patrzyły z niewypowiedzianym lękiem i szybko uciekały, gdy natrafiły na jego zimne spojrzenie.

PAC.

Kacper spojrzał pod nogi i zobaczył krzyż, który podświadomie zdjął ze ściany za pomocą energii. Niespiesznie schylił się i podniósł przedmiot. To było dobre określenie na to, co trzymał w dłoni. Właśnie tak postrzegał te dwie deseczki, do których przyklejona była sylwetka człowieka, uważanego przez wszystkich za Zbawiciela. Niezmiernie go to bawiło.

Jego religia opierała się tylko na tym, co prawdziwe i namacalne. ONA była prawdziwa. ONA była jego bogiem, co do którego istnienia nie miał najmniejszych wątpliwości. W końcu dostąpił łaski bycia przy NIEJ, co odczuwał każdego dnia. A co czuli ci obłąkańcy? Nic. Mieli jednak dobre wytłumaczenie każdej życiowej porażki. Każdy, kto nie osiągnął zamierzonego celu, mógł przecież powiedzieć, że „taka była wola Boga”. Dzięki wierze w ukrzyżowanego człowieka ludzie mieli wytłumaczenie tego, że śmierć nie jest końcem. Mogli przecież wierzyć, że po parszywym ziemskim życiu, czeka ich wieczność w niebie tuż obok gołodupych uskrzydłonych aniołków, którzy na trąbkach wygrywali chwalebne pieśni.

Zaśmiał się pod nosem. To były myśli niewarte uwagi.

Jego uszu dobiegł suchy trzask łamanego drewna. Spojrzał na złamany krzyż i uśmiechnął się. Rzucił resztki do najbliższego kosza na śmieci i wrócił na swoje miejsce. Przez

cały czas czuł, że wszystkie spojrzenia są w niego wlepione, lecz nie zwracał już na to uwagi.

Te dzieci nie miały żadnych uczuć ani świadomości. Mogły powiedzieć kilka słów bez ładu i składu, ale nic poza tym. Podobnie było z ich postrzeganiem rzeczywistości. Kacper mógłby teraz z powodzeniem wejść na stół i zrobić coś obrzydliwego, a ich w ogóle by to nie obeszło.

To wszystko niezmiernie go fascynowało. Z jednej strony był wokół wielu ludzi, a jednocześnie był całkowicie sam. Tylko zapach niemytych od kilku dni ciał świadczył o tym, że te posągi siedzące przy stole to tak naprawdę żywi ludzie.

Ponownie spojrzął na zegarek. Minęło zaledwie dziesięć minut. Chłopiec syknął ze złością. Czas spłatał mu bardzo nieprzyjemnego figła. Do tej pory był przekonany, że upłynęło przynajmniej pół godziny.

Teraz niezmacona tafla jego myśli została w wyraźny sposób naruszona. Musiał coś ze sobą zrobić. Przez ostatnie dni nie był w stanie wysiedzieć w miejscu na dłużej niż pięć minut. Miał tyle rzeczy do zrobienia, że często nie miał czasu, żeby zejść na śniadanie i napawać się nie tyle smakiem świeżego pieczywa, co widokiem bladych sióstr, dla których każda godzina spędzona w tym miejscu powodowała coraz większy strach. Nie mógł teraz tak po prostu siedzieć i nic nie robić przez prawie dwie godziny!

Wstał i podszedł do okna. Zbliżała się szarówka, ale jeszcze będzie musiało minąć przynajmniej pół godziny, zanim zacznie zapadać ciemność. Odwrócił się i zerknął na twarze, które bez mrugnięcia wpatrywały się w jego oblicze. Zaczynało go to już irytować.

Wyszedł ze świetlicy i udał się na trzecie piętro. Lubił przechadzać się po korytarzu, wiedząc, że siostra Ezechiela zdaje sobie sprawę z tego, że on jest za drzwiami. Dawało mu to ponurą satysfakcję, która wynikała z tego, że ta starucha czuje

się zaszczuta nawet we własnym gabinecie. Zawsze wtedy wyobrażał sobie, jak kobieta siedzi sztywno w najciemniejszym kącie pomieszczenia i ze strachu obgryza paznokcie.

Powoli wspiął się po schodach. W tym momencie nawet by nie pomyślał, że za nieco ponad miesiąc będzie zbiegał po nich z krzykiem, próbując odnaleźć dwóch mężczyzn, którzy jakimś sposobem tu się przypałowali i w ogóle go nie zobaczyli. ONA dała mu wiele nietypowych umiejętności, ale dar jasnowidzenia niestety do nich nie należał.

Stanął przed drzwiami gabinetu starej zakonnicy. Kupka zbezczeszczonych dewocjonaliów została sprzątnięta. Na podłodze widać było trochę drzazg, ale nic poza tym. Ciekawiło go, co kobieta zrobiła z tymi śmieciami. Wątpił, żeby tak po prostu wyrzuciła wizerunek papieża czy Pomazańca Bożego. Uśmiechnął się, wyobrażając sobie, jak starucha siedzi przy tym swoim olbrzymim staroświeckim biurku i skleja strzaskane krzyże. Jeśli faktycznie tak było, to musiała mieć z tym sporo roboty.

Nagle jego uwagę przykuło coś, czego się nie spodziewał. Siostra Ezechiela nie była sama w gabinecie. Rozmawiała z kimś. Słyszał niewyraźny męski głos, który z pewnością nie należał do nikogo z personelu domu. ONA dała mu możliwość rozróżniania wszelkich głosów, dlatego też zdziwił się, gdy usłyszał kogoś całkowicie obcego. Najgorsze w tym wszystkim było to, że nie był w stanie rozróżnić słów. Nie był nawet pewny, czy rozmawiają po polsku, czy w jakimś innym języku. Do tego głosy były stłumione, jakby przed drzwiami znajdowała się gruba warstwa waty, pianki lub innego materiału pochłaniającego dźwięki.

Usłyszał kroki. Były szybkie i ciężkie. Z nadzwyczajną zwinnością czmychnął za róg i bez mrugnięcia okiem obserwował, kto wyjdzie z gabinetu siostry Ezechieli.

Rozległ się szczepek przekręcanego w zamku klucza, po czym drzwi się otworzyły. Przez chwilę panowała całkowita cisza. Kacper słyszał jak jego serce tłucze się niczym młot, którym kowal z całej siły uderza w kawał rozgrzanego metalu. Przez moment chłopiec pomyślał, że odgłos ten może go zdradzić.

– Zobaczą, co da się zrobić, ale niczego nie obiecuję – męski głos był teraz wyraźny.

– Niech się ojciec postara – odparła siostra Ezechiela z drzeniem. W jej głosie wyraźnie brzmiała błagalna nuta. – Mam przecucie, że zostało nam naprawdę bardzo mało czasu.

– Rozumiem. – Krótka pauza. – Gdzie są teraz dzieci?

– W świetlicy. Zazwyczaj o tej porze bawiły się, ale od kilku dni po prostu siedzą tam w całkowitej ciszy.

– Wszystkie?

– Najprawdopodobniej tak, choć z tego, co ostatnio mówiły mi siostry, to Kacper ciągle gdzieś znika i nie można go nigdzie znaleźć. – Kobieta głośno nabrała powietrza. – Jest jak kot, który pojawia się wtedy, kiedy ma na to ochotę i zawsze kończy się to czymś złym.

– Rozumiem.

Zza drzwi wysunął się rąbek sutanny.

– Przeprowadzę egzorcyzmy nad całym domem i wszystkimi dziećmi – oznajmił ksiądz poważnym tonem. – Pobłogosławie również każdą z was. W takiej sytuacji każda osoba w tym miejscu narażona jest na ingerencję nieczystych sił.

– Doskonale. Mogę jakoś pomóc?

– Jak na razie nie ma takiej potrzeby. Najpierw chcę się rozeznać. Przejdę się po całym domu, zajrzę tu i tam, żeby wiedzieć na czym stoimy.

– Oczywiście. Wszystkie drzwi są otwarte. Może ojciec wchodzić, gdzie chce.



– Doskonale. – Ksiądz wypiął pierś jak dumny kogut, który ma do swojej dyspozycji wszystkie kury.

Kacper stał jak wryty. Spojrzał na wiszący nieopodal zegar. Do przedsięwzięcia została zaledwie godzina. Nagle czas zaczął przyspieszać, co było teraz grą na jego niekorzyść. Zerknął na odchodzącego księdza, czując, jak narasta w nim ślepa furia. Musiał go unieszkodliwić. Nie miał pojęcia na czym polegają egzorcyzmy, ale zdawał sobie sprawę z tego, że wszystko mogą popsuć. Nie mógł do tego dopuścić.

Drzwi do gabinetu siostry Ezechieli zamknęły się cicho. Gdy szcęknął zamek, Kacper wyszedł ze swojej kryjówki i niemal bezszelestnie ruszył wzdłuż korytarza. Przechodząc obok gabinetu starej zakonnicy, nie mógł się oprzeć pokusie ukarania jej. Cisnął wiązkę energii, która przedostała się pod drzwiami. Wkrótce jego uszu dobiegł wysoki jęk kobiety, która nagle poczuła potworny ból głowy, jakby jej czaszkę zaraz miało coś rozsadzić. Po tym nastąpiło głuchoe łupnięcie, świadczące o tym, że po raz kolejny w ciągu ostatnich kilku dni wyrznęła razem z krzesłem.

Ruszył dalej. Nie było czasu na znęcanie się nad Ezechielą. Na nią jeszcze miała przyjść kolej. Teraz najważniejsze było pozbycie się klechy.

Szedł, starając się nie wydawać nawet najcichszych odgłosów. Nie mógł dać się złapać, bo wtedy cały plan zakończyłby się porażką. ONA nie dałaby mu szansy na naprawienie błędu. Umierałby długo i w niesamowitym bólu, każdym skrawkiem swojego ciała czując JEJ złość.

Odpędził na bok wszystkie myśli, całkowicie skupiając się na swoim celu. Już słyszał wolne kroki księdza. Mężczyzna otworzył jakieś drzwi i na chwilę wszystko ucichło. Był w pomieszczeniu sanitarnym. Kacper przez chwilę miał ochotę parsknąć śmiechem. Zastanawiało go, po co ksiądz w ogóle tam zagląda. Może uważał, że spotka opętaną miotłę, która zacznie

tłuc go po głowie albo, co gorsza, odwróci się i będzie chciała wbić mu się w... miejsce, w którym szanowne plecy zamieniają się w część ciała umożliwiającą człowiekowi wygodne siedzenie.

Ksiądz wyszedł z pomieszczenia sanitarnego i ruszył dalej. Zaczął przy tym pogwizdywać wesołą melodyjkę, która kojarzyła się Kacprowi z jakąś bajką, ale nie mógł sobie przypomnieć którą.

Gdy mężczyzna zniknął za zakrętem korytarza, Kacper ruszył dalej. Nie miał konkretnego planu działania. Miał unieszkodliwić księdza, ale nie wiedział, jak to zrobić. Energia nie dawała mu możliwości odbierania życia. ONA wiedziała, że prędzej czy później spróbowałyby kogoś zabić, więc z jakiegoś powodu temu zapobiegła.

Zatrzymał się, widząc, jak ksiądz wchodzi do męskiej toalety.

– A tam znajdziesz zaczarowane gówno – mruknął pod nosem.

Poczuł silne swędzenie w kostce. Było gorsze niż to po ukąszeniu komara. Szybko zdał sobie sprawę z tego, że jest to znak od NIEJ. Podpowiadała mu, co ma zrobić.

Zauważył sznurówkę. Miał na nogach trampki, które sięgały za kostkę. Sznurówka wydawała się dość wytrzymała i długa. Wyciągnął ją z buta i szybkim krokiem ruszył w stronę toalety.

Powoli otworzył drzwi i wszedł do przedsionka, w którym znajdowało się kilka zlewów. Dalej były drzwi, a za nimi kabiny z toaletami i kilka pisuarów dla tych, którzy już do nich sięgali.

Oparł się plecami o ścianę przy wyjściu z kabin. Czekał. Ksiądz wydawał się mieć nieskończenie pojemny pęcherz. Sikał z dobrą minutę, jakby robił to pierwszy raz od dłuższego czasu.

Kacper poczuł, jak jego ręce zaczynają się pocić. Dla pewności owinął sobie sznurówki wokół dłoni. Miał tylko jedną

próbę i zmarnowanie jej z powodu spoconych rąk byłoby niezwykle głupie.

Wreszcie usłyszał odgłos spuszczonej wody. Ksiądz wrócił do wygwizdywania tylko sobie znanej melodii, która Kacprowi nadal kojarzyła się z jakąś kreskówką. Teraz ten dźwięk stał się irytujący. Chłopiec chciał go jak najszybciej stłumić. Czuł, jak buzuje w nim złość. Jego głowa stała się nieprzyjemnie ciężka.

Drzwi od toalet otworzyły się z przeciągłym jęknięciem. Kacper poczuł nagły przypływ adrenaliny, podniecenia i energii. Jego zmysły uległy wyostrzeniu. Serce przyspieszyło, pompując gorącą krew do szalejącego mózgu. Nogi naprężyły się do skoku, a mięśnie stały się twarde jak kamień.

Gdy mężczyzna go tylko wyminął, Kacper bezgłośnie skoczył i zarzucił sznurówkę na jego szyję. Widział to wszystko jak na filmie puszczone w zwolnionym tempie. Sznurówka przecięła łukiem powietrze z ledwie słyszalnym świstami. Chłopiec był pewny, że musnęła czubek nosa księdza, lecz ułamek sekundy później znalazła się na szyi. Teraz wystarczyło użyć całej siły, na jaką było go stać, i wytrzymać przez chwilę bez zwalniania uścisku.

Ksiądz nie zdążył zareagować. Najpierw zaczął wymachiwać rękami, jakby już odczuwał nadchodzące spazmy, po czym sięgnął do zaciskającej się z nadludzką siłą sznurówki. Pod wpływem szoku, z jego płuc uleciało całe powietrze. Rozpaczliwie próbował złapać oddech, lecz jego ściśnięte gardło nie chciało przepuścić choćby mililitra powietrza. Każda próba zrobienia wdechu powodowała jeszcze silniejsze zaciskanie.

Po upływie kilku chwil mężczyzna osunął się na kolana. Z jego sutanny posypały się guziki, które, podskakując jak pchły, rozpierzchły się po kątach pomieszczenia.

Kacper nie zwalniał ucisku. Jego układ nerwowy szalał. Pod wpływem nagłego skurczu jego suche wargi wykrzywiły się w groteskowym uśmiechu, który odsłaniał drapieżny wyszczerz.

Czuł, jak ksiądz słabnie. Może nie był osobą, która miała zabijać, ale w tym przypadku ONA nawet nie próbowała go powstrzymać. To było zabójstwo w dobrej wierze, bez którego cały ich plan spaliłby na panewce.

Ksiądz upadł. Kacper jeszcze przez chwilę ścisnął jego gardło. Dopiero, gdy zyskał pewność, że mężczyzna już nie żyje, puścił sznurówkę. Dopiero teraz poczuł ból w dłoniach. Spojrzał na nie i zauważył sino-bordowe pręgi w miejscu, gdzie sznurówki wpiły się w jego ciało. Kilkakrotnie zacisnął i rozprostował palce, po czym zatarł ręce. Ból był dość silny, ale nie niwelował zadowolenia i dumy, jakie teraz odczuwał.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, że klęczy na plecach martwego mężczyzny. Szybko wstał i otrzepał nogawki, z taką miną, jakby ubrudził je czymś wyjątkowo obrzydliwym.

Rozejrzał się, szukając miejsca, które nada się na ukrycie ciała. Nie chciał, aby zwłoki zostały odkryte zbyt wcześnie. Panika nie była tu potrzebna. Przynajmniej do momentu, w którym pojawi się tu ONA.

Chwycił księdza za nogę i pociągnął. Dopiero teraz poczuł ogromne zmęczenie. Zdał sobie sprawę z tego, ile wysiłku to wszystko go kosztowało. Jego ręce drżały, a w mięśniach wydzielaly się nadmierne ilości kwasu mlekowego. Mimo wszystko, odsunął ból na dalszy plan. Energia nieco osłabła, ale na tyle, na ile było to możliwe, wykorzystał ją do zaciągnięcia ciała księdza do jednej z toalet. Usadził zmarłego na muszli. W ten sposób, gdy ktoś tu wejdzie i otworzy tę kabinę, spieszy się, odruchowo przeprosi i szybko wyjdzie z łazienki, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, że natknął się na trupa.

Zadowolony z roboty, którą wykonał, podszedł do umywalki i opłukał twarz zimną wodą. Przyniosło mu to ulgę i pozwoliło zapanować nad szalejącymi myślami.

Wyszedł na korytarz i wolnym krokiem udał się na dół. Spojrzawszy na najbliższym napotkany zegar, z radością zauważył,

że ONA będzie w świetlicy za dosłownie kilka minut. Schodząc z drugiego piętra przyspieszył kroku, a ostatnie kilka metrów pokonał niemal biegiem.

Drżącą dłonią dotknął klamki. Sam nie wiedział, dlaczego jego dłoń aż tak się telepie. Czy to zmęczenie? Podniecenie? A może jedno i drugie?

Usłyszał wyraźny trzepot skrzydełek i wtedy nacisnął klamkę. Pchnął drzwi w idealnym momencie. ONA już tu była. Czerń jej sukni intensywnością przewyższała nawet bezgwiezdną noc. Podobnie było z idealnymi włosami. Stała na środku świetlicy i patrzyła na niego. JEJ uśmiech sprawił, że znów był jak nowo narodzony i pomimo mrozu, jaki nagle zapanował w pomieszczeniu, Kacper poczuł, że robi mu się gorąco.

Przeszedł przez próg, nawet nie fatygując się, żeby zamykać za sobą drzwi. Zdecydowanym krokiem ruszył JEJ na spotkanie.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI NIEOCZEKIWANE SPOTKANIE

Wyjście z budynku Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia przyniosło im ogromną ulgę. Haust lodowatego powietrza był dla nich jak pierwszy oddech po długim przebywaniu pod wodą.

Poczuł się wolni. Będąc w środku nie czuł przytłoczenia, lecz w miarę zbliżania się do wyjścia odnieśli wrażenie, jakby ściany zaczęły sunąć ku sobie, wprowadzając ich w stan klaustrofobii. Kilka metrów od drzwi wyjściowych zaczęli się bać, że budynek nie będzie chciał ich wypuścić. Teraz ten strach wydawał się całkowicie irracjonalny, lecz w tamtym momencie był prawdziwy.

Gdy mężczyźni wreszcie dopadli do drzwi, wystrzelili z budynku niczym pociski. Robert omal nie wywalił się na śliskim błocie. Szybkim krokiem udali się do samochodu, nie zamieniając przy tym ani słowa. W bezkresnej nocy słychać było tylko ich przyspieszone oddechy.

Dopiero po wejściu do samochodu i zamknięciu wszystkich drzwi poczuł się względnie bezpieczni.

– Co to było? – Pierwszy odezwał się Robert. Sapał, jakby dopiero ukończył ultra maraton.

– Coś, co najwyraźniej nie było zachwycone z naszej obecności – odparł Krzysztof. – Ewentualnie mógł to też być wytwór naszej wyobraźni. Wydaje mi się, że przez ostatnie wydarzenia możemy być podatni na takie rzeczy – dodał po chwili.

– Może masz rację. – Młodszy detektyw odpalił papierosa i z ulgą wypuścił dym. Papieros smakował mu jak nigdy dotąd. Wróciło mu trzeźwe myślenie i powoli zaczął się uspokajać.

– Aczkolwiek faktycznie czułem się jak w ciasnej windzie. – Krzysztof również zapalił. – A można by było pomyśleć, że

problemów powinniśmy się spodziewać na górze.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, wypełniając wnętrze samochodu coraz gęstszą zasłoną dymu. Gdyby teraz spojrzeli na drzwi Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia, z pewnością krzyknęliby z przerażenia i na pełnym gazie opuścili to miejsce. Drzwi, które jeden z detektywów odruchowo zamknął, były teraz otwarte na oścież. Zaraz zatrzasnęły się z hukiem, którego jednak żaden z nich nie usłyszał, gdyż w tym momencie Krzysztof dostał ataku kaszlu.

– Cholera – wysapał z trudem, gdy już udało mu się złapać oddech.

– Trzeba kiedyś rzucić to dziadostwo – odparł Robert, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że sam nie rzuci, dopóki coś w jego organizmie nie zacznie poważnie szwankować.

Krzysztof spojrział z rezygnacją na wypalonego do połowy papierosa, po czym otworzył okno po stronie kierowcy i pstryknął niedopałkiem. Żaden z nich nie usłyszał krzyku chłopca, którego rozżarzony pet trafił w bosą stopę, powodując bolesne oparzenie.

– Spieprzajmy stąd – oznajmił starszy detektyw. – Nie podoba mi się tutaj.

– Mieliśmy zajrzeć do lasu – przypomniał Robert.

– Owszem, ale nie zrobimy tego teraz. – Krzysztof obrzucił partnera miażdżącym spojrzeniem. – To miejsce jest cholernie dziwne i nie czuję się tutaj bezpieczny nawet z naładowaną splotką. Wrócimy tu rano i obiecuję ci, że będziemy przeszukiwać ten pieprzony las choćby do wieczora. Wszystko, byle nie robić tego w nocy.

Robert nie odpowiedział. Przez chwilę analizował słowa kolegi, jakby w poszukiwaniu wszystkich za i przeciw.

– No dobra – powiedział po chwili. – Masz rację, spadajmy stąd.

Starszy detektyw mruknął coś w odpowiedzi, po czym powoli ruszył i zatoczył kółko na podwórku. Przy tym manewrze minął chłopca, którego nie widział, o zaledwie kilka centymetrów. Chłopiec wykrzykiwał coś do nich ze łzami w oczach, a do tego szaleńczo wymachiwał rękami. Po raz kolejny jego starania poszły na marne.

Jechali powoli, słuchając radia. Leciała standardowa muzyka, która równie dobrze potrafiła wpadać do ucha i bawić, jak i doprowadzać do szału. Po tym, jak skończył się utwór jakiejś super sławnej gwiazdy, o której żaden z nich nigdy nie słyszał, przyszła pora na informacje. Gadali na standardowe tematy, dotyczące polityki, beznadziejnej sytuacji lekarzy i nauczycieli oraz o kolejnych wypadkach z udziałem pijanych kierowców.

– Na koniec mamy przykrą wiadomość – rozległ się głos spikerki. – Dzisiejszej nocy, w szpita... – W tym momencie audycja ucichła.

– Nie chcę tego słuchać – oznajmił Robert, trzymając palce na gałce potencjometru głośności.

– Rozumiem. Możemy jechać w ciszy albo przełączyć na coś innego.

– Chyba wolę zostać przy ciszy.

– Jasne.

Wokół nich roztaczał się gęsty las. Droga w tym miejscu w ogóle nie była oświetlona. Mrok łapczywie pożerał długie światła, a do tego dookoła zaczęła podnosić się gęsta mgła, co dodatkowo utrudniało widoczność.

Jechali w zupełnej ciszy. Nie musieli dzielić się swoimi spostrzeżeniami odnośnie Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia, gdyż odczuwali ten sam niepokój. Chcieli być jak najdalej od tego miejsca, lecz coś sprawiało, że noga Krzysztofa nie dociskała więcej gazu, a Robert go nie ponaglał. Zupełnie



jakby mężczyźni domyślali się, że pula niespodzianek na tę noc nie została jeszcze wyczerpana.

Starszy detektyw wyciągnął z kieszeni na piersi pogniecioną paczkę. Puścił na chwilę kierownicę i wygrzebał z niej złamanego na pół papierosa.

– Masz fajkę? – zapytał. – To mój ostatni – dodał pokazując złamanego papierosa.

– Jasne, trzymaj.– Robert wyciągnął w jego kierunku paczkę.

Jasny płomień staroświeckiej benzynowej zapalniczki na chwilę rozświetlił wnętrze samochodu. Starszy detektyw zaciągnął się głęboko i wypuścił dym nosem. Wchodzili właśnie w zakręt, za którym las zaczął stawać się coraz rzadszy na rzecz domków i niewielkich zakładów wytwórczych.

Nagle Krzysztof kątem oka dostrzegł jakiś ruch po lewej. Nim zdążył zorientować się co to, przed maskę wybiegł człowiek.

– Kurwa mać! – Krzyk detektywa przebił się przez ostry pisk hamulców.

Krzysztof nie miał szans na wyhamowanie. Mężczyzna odbił się od maski i wylądował w krzakach po drugiej stronie ulicy.

Detektywi spojrzeli po sobie, po czym jednocześnie otworzyli drzwi. Robert zgarnął apteczkę z nadzieją, że będzie jeszcze co zbierać. Jednostajny pomruk silnika przypominał warkot psa, który właśnie kogoś zagryzł.

– Weź latarkę – rzucił Krzysztof.

Na krzaki padł snop jasnego światła. Widać było duże wgniecenie w miejscu, w które wpadł potrącony człowiek, lecz ciało gdzieś zniknęło. Wyglądało to tak, jakby z chwilą dotknięcia ziemi mężczyzna rozpląnął się w powietrzu.

– Nie ma go? – zdziwił się Krzysztof. – Przecież dostał na tyle mocno, że nie powinien się ruszyć z tego miejsca.

– Widocznie się ruszył – odparł Robert, po czym zszedł do rowu i zaczął przedzierać się przez zarośla.

Nawet nie zorientował się, w którym momencie wyciągnął broń. Nie podobało mu się, że człowiek, który wpadł pod samochód, nagle zapadł się pod ziemię. Nigdzie nie było widać żadnych śladów, które wskazywałyby na to, że w ogóle tu był. W głowie Roberta zawyła ostrzegawcza syrena.

*Może to coś z domu dziecka?*

Nagle jego uszu dobiegł głośny szelest, a po nim szybkie kroki, które zaraz przeszły w bieg.

– STÓJ! – krzyknął Robert, po czym pobiegł za oddalającym się człowiekiem.

Wielokrotnie w swojej zawodowej karierze musiał gonić ludzi. Nigdy jednak nikogo nie gonił w środku lasu, i to jeszcze w nocy. Kilka godzin później w jego głowie miała pojawić się myśl, że taka leśna gonitwa powinna znaleźć się w programie nauczania przyszłych policjantów. To były zdecydowanie najtrudniejsze warunki.

Światło latarki co jakiś czas ukazywało plecy uciekiniera, które po chwili znikwały w gąszczu krzaków, gałęzi i pni drzew.

– STÓJ! – krzyknął po raz kolejny, co również nie przyniosło zamierzonego rezultatu.

Biegł ile sił, choć jego płuca nie nadążały z pochłanianiem tlenu. Mrok, jaki roztaczał się dookoła, zaczął z każdą chwilą stawać się coraz gęstszy i coraz bardziej nieprzenikniony.

– Nie mamy złych zamiarów! Człowieku, wpadłeś nam pod samochód, chcemy sprawdzić, czy wszystko z tobą w porządku! – krzyknął Krzysztof, którego świszczący oddech wtórował ciężkiemu sapaniu Roberta. Młodszy detektyw dopiero teraz zauważył, że jego kolega cały czas dotrzymywał mu kroku.

Nagle usłyszeli pojedyncze przekleństwo, pląsnięcie charakterystyczne dla upadku w mokre liście i ciche jęknięcie.

Znalezienie uciekiniera nie zajęło im zbyt wiele czasu. Człowiek leżał twarzą do ziemi, ale po samej fryzurze i ubiorze dało się wywnioskować, że musiał się błąkać po lesie już od dłuższego czasu.

– Nic ci nie jest? – Krzysztof zrobił dwa ostrożne kroki w kierunku leżącego.

Mężczyzna nagle poderwał się jak oparzony i krzyknął. W tym momencie do jego krzyku dołączyły również okrzyki Roberta i Krzysztofa, którzy z niedowierzaniem spojrzeli w wymizerowaną twarz Edwarda Morawskiego.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY CO SIĘ STAŁO Z DZIEĆMI?

W świetlicy panowała całkowita cisza. Kobieta spojrzała po dzieciach, które, napotykaając JEJ wzrok, z pokorą lub ze strachem pochylały głowy.

– Doskonale – odezwała się dźwięcznym tonem, z którego nie dało się wyłapać żadnych emocji. Głos wydawał się być sterylny, a zadowolenie można było wywnioskować tylko ze słowa, którego użyła.

Kacper uśmiechnął się. Lubił sprawiać JEJ radość.

– Co z księdzem? – zapytała, przenosząc spojrzenie na Kacpra.

– Postarałem się, żeby nam nie przeszkodził – odparł, siląc się na spokojny ton głosu. W rzeczywistości aż płonął w środku.

– Widzę, że zrobiłeś to bardzo skutecznie.

– O tak... skuteczniej się nie da. – Usta chłopca wygięły się w dziwnym grymasie.

– Doskonale – powtórzyła, po czym ponownie spojrzała na dzieci. – Są gotowe. Mogę zaczynać.

Na te słowa dzieci drgnęły. Na niektórych twarzach na ułamek sekundy pojawił się wyraz zrozumienia, pomieszany ze strachem i rozpaczą.

Kobieta jednym ruchem zrzuciła z siebie suknię, pod którą nie miała nic. Kacper nie po raz pierwszy zachwycił się jej ciałem. Było po prostu idealne. Kształtne piersi, idealne uda i proporcjonalne względem reszty ciała pośladki. To wszystko wyglądało tak, jakby zostało stworzone przez obdarzonego wybitnym talentem rzeźbiarza. Każdy włoszek na jej ciele wydawał się być w idealnym miejscu i pod odpowiednim kątem. Jeżeli prawdziwe piękno istniało naprawdę, a nie tylko w świecie iluzji, to jego uosobieniem była właśnie ONA. Poczul natychmiastową erekcję, która bardzo szybko stała się bolesna.

Sylwetka kobiety zastygła w bezruchu. Teraz faktycznie wyglądała jak rzeźba wybitnego artysty. Kacper wlepił w NIA wzrok, nie mogąc nacieszyć się swoim szczęściem. On JA miał, a te wszystkie widoki i dużo, dużo więcej, były zarezerwowane tylko dla niego. Niejeden facet byłby w stanie oddać wszystko, co ma, aby być na jego miejscu.

Nagle kobieta zaczęła się zmieniać, ukazując swoje drugie oblicze. To prawdziwe. Jej doskonałe ciało okryte gładką i jędrną skórą zaczęło pękać. Z początku pęknięcia były niewielkie, zaledwie na włos i nie sposób było ich dostrzec gołym okiem. Kacper bardziej wiedział o nich i w jakiś irracjonalny sposób fizycznie je wyczuwał, niż je faktycznie widział. Wkrótce jednak smutna prawda zakuła go w oczy. Pęknięcia zaczęły się nagle poszerzać i wydłużać. Ich brzegi były porozrywane, a pod spodem pulsowało coś czarnego, co wyglądało jak balon, z którego ktoś co chwilę spuszcza trochę powietrza, aby zaraz z powrotem go dopompować.

Dzieci patrzyły na NIA jak urzeczone. Proces destrukcji tak pięknego ciała wydawał się pochłaniać je i fascynować. Fioletowa śmierdząca ciecz, która zaczęła wyciekać z pęknięć, była dla nich jak uzależniający narkotyk. Piękne ciało stało się szarą spękaną masą, która tylko kształtem przypominała człowieka. Kacper stał bez ruchu, czując, że erekcja nagle minęła.

Człekokształtny stwór wyszczerzył długie i ostre jak igły zęby, po czym powoli rozłożył ręce w geście zaproszenia. Wszystkie dzieci zerwały się z krzeseł jak na komendę. Pchały się do NIEJ niczym w święta pod pełną prezentów choinkę. Przepychanki kończyły się często bójkami, z których korzystali inni. Tymczasem ONA chwyciła każde dziecko i igłowatymi zębami wgryzała się w głowę, niemal natychmiast pozbawiając życia. Najgorsze w tym wszystkim było to, że pozostałe dzieci, widząc, jaki los spotkał poprzedników, leciały do NIEJ z jeszcze

większym zapalem. Byli bandą oszalałych samobójców, którzy jak najszybciej chcieli się pozbyć upiornego balastu, jakim dla nich było życie.

Kacper poczuł chwilowe wyrzuty sumienia. Przez twardą skorupę zaczął przebijać się pierwiastek jego dawnego człowieczeństwa. Widział, jak Przemek pada bez życia u stóp potwora, którego palce pozrastały się w bezkształtną formę. Za nim upadli Kuba, Basia, Krystian...

Odwrócił wzrok, dzięki czemu uwięziony w nim stary Kacper zamilkł i z powrotem spadł do najgłębszych czeluści jego zepsutej duszy.

Podłoga spłynęła szkarłatem, który wylewał się z rozłupanych czaszek. W tej krwawej rzece pływały pojedyncze fragmenty mózgow i niewielkie kawałki kości. Widok był upiorny, jednakże w irracjonalny sposób sprawił, że Kacper całkowicie odzyskał spokój.

Teraz nie patrzył na dzieci jak na osoby, z którymi przez krótki czas wspólnie się wychowywał. To były narzędzia, które przyczynią się do czegoś wielkiego, i tylko to się teraz liczyło. Proces powstawania dzieła wyglądał tak, a nie inaczej i nie było tu miejsca na żadne sentymenty. Zrugął się w myślach za to, że przez chwilę dał się ponieść ludzkiej słabości, którą wszyscy ładnie określają moralnością. Miał tylko nadzieję, że ONA w żaden sposób nie odczytała jego myśli. Szczerze w to wątpił, zważywszy na to, że w tej chwili miała bardzo dużo roboty.

Zobaczył Adriana, na którego policzkach z podekscytowania wykwitły ciemne rumieńce. Nastolatek stanął przed NIA i z oczami jak pięciozłotówki czekał aż ONA zrobi z nim to samo. Sekundę później padł martwy obok innych, których ciężko już było rozpoznać. Na jego zakrwawionej twarzy malował się wyraz błogiej radości.

Kacper spojrzał pod nogi i odruchowo zrobił kilka kroków do tyłu. Krwawa rzeka rozlała swoje niespokojne wody już na

całą świetlicę.

Zostało jeszcze czworo dzieci. Bili się między sobą, tak jakby ONA powiedziała, że na tej karuzeli zostało ostatnie wolne miejsce. Jakiś chłopiec wybił młodszej dziewczynce dwie górne jedyńki, po czym potraktował kopniakiem nacierającego na niego innego chłopca. Po chwili już biegł do NIEJ z niewysłowioną radością na twarzy. Po drodze przeskoczył podstawioną nogę i wskoczył JEJ w objęcia. Sekundę później w sali rozległ się wyjątkowo paskudny trzask pękającej czaszki i ciche westchnienie, wraz z którym z jego płuc uleciał ostatni oddech.

Kacper patrzył na to ze spokojem i niemalym rozbawieniem. Zaskakiwał go efekt, jaki udało mu się uzyskać. Te wszystkie głowy, które pękły pod JEJ zębami, były zupełnie puste. Mózg był tam chyba tylko umownie. Z oczami też musiało się coś stać i pewnie stojąc w kolejce po śmierć, dzieci widziały zupełnie inne obrazy.

Padło ostatnie ciało. Był to jakiś chłopiec, z którym Kacper nie miał okazji bardziej się zapoznać. Gdyby ktoś zapytał go teraz o jego imię, to raczej nie byłby w stanie udzielić trafnej odpowiedzi.

W świetlicy zapanowała zupełna cisza. Kacper nie słyszał nawet własnego oddechu. Nie miał pojęcia, co stanie się dalej. Nie spodziewał się, aby ONA czekała teraz na jego kolej. Z tego, co mówiła, to był częścią jej planu, ale na pewno nie w takim znaczeniu.

Spojrzała na niego pustymi oczodołami i wyszczerzyła zęby. Kacper poczuł jak jego serce zaczyna przyspieszać. Pojawił się niepokój, który w ułamku sekundy zamienił się w panikę. W jego głowie pojawiła się myśl:

*TO KONIEC.*

Nogi nie wytrzymały ciężaru jego ciała. Osunął się na kolana, czując, że zaraz rozpłacze się jak małe dziecko. Część

jego świadomości krzyczała, aby wstawał i biegł przed siebie, nawet się nie oglądając. Najprawdopodobniej właśnie tak by uczynił, gdyby nie druga część, która kazała pozostawać mu przy NIEJ do samego końca i poddać się JEJ woli. Ta część była oczywiście silniejsza. Sprawiała, że strach minął, a w jego miejscu pojawiły się spokój i radosne oczekiwanie.

Stwór wykonał w jego kierunku kilka chwiejnych kroków, po czym stanął w miejscu, wybierając do tego wyjątkowo pokraczną pozę.

Czas się zatrzymał. Kacper czekał, oswojony z myślą, że zaraz straci życie. Perspektywa ta stała się tak oczywista, że chłopiec nawet nie miał nadziei na to, że uda mu się wyjść z tego cało. Jedyne, czego się bał, to ból. ONA zabijała praktycznie w ciągu sekundy, jednak musiał temu towarzyszyć potworny ból. Kacper obawiał się, że ta sekunda cierpienia będzie się przedłużała tak samo, jak to nerwowe oczekiwanie.

Mijały kolejne męczące minuty. ONA ciągle stała w miejscu i przesywała go swoim potwornym spojrzeniem. Kacper czuł, jak jego wiotkie nogi zaczynają się trząść. Miał wrażenie, jakby ktoś przyczepił mu olbrzymie szczudła. Nie umiając na nich chodzić, mógł ratować się przed upadkiem tylko poprzez stanie w miejscu. Wiedział, że gdyby spróbował teraz zrobić choć jeden krok, to runąłby na podłogę i nie mógłby wstać. Nie umarłby z godnością, lecz w poniżeniu, leżąc i skomląc niczym bezdomny pies.

Nagle znów poczuł najzwyczajniejszy ludzki strach. Sprawilo to, że zdrowy rozsądek wrócił na swoje miejsce. Odruchowo cofnął się o kilka kroków, nie spuszczając wzroku z pokracznej rzeźby. Czuł, że zaraz coś się stanie.

Nagle ONA zaczęła się zapadać w głąb skorupy, którą ciężko było nazwać ciałem. W ułamku sekundy wysoka postać całkowicie zniknęła, a na jej miejscu pojawiły się tysiące ciem. Owady te materializowały się również z ciał dzieci i z rzeki



krwi, którą spłynęła cała świetlica. Po chwili w pomieszczeniu zrobiło się całkowicie ciemno. To ćmy przesłoniły staroświeckie żyrandole.

Kacper po omacku ruszył w stronę drzwi. Po drodze zawadził o jakieś krzesło, co wywołało potężny ból w małym palcu. Zaklął głośno, wiedząc, że trzepot niezliczonych skrzydełek zagłuszył jego słowa.

Dopadł drzwi, lecz klamka nie chciała ustąpić. Wydawało mu się, że wchodząc tutaj zostawił je otwarte. Teraz wyglądało na to, że ktoś zamknął je na klucz.

Opuściła go nadzieja na niezauważone zniknięcie. Nie wiedząc, co dalej zrobić, oparł się plecami o drzwi i czekał.

Coś się działo. Początkowo ćmy latały w zupełnym chaosie. Co chwilę jedna wpadała na drugą, co często kończyło ich szaleńczy lot. Po jakimś czasie owady zaczęły się synchronizować, tworząc lej przypominający tornado.

Chłopiec nie miał pojęcia, ile czasu mogło minąć. Wpatrywał się w owady jak urzeczony, nie mogąc oderwać od nich wzroku nawet na moment. Głowę wypełniał mu jednostajny szum, który w pewien sposób działał uspokajająco. Jego powieki zaczęły stawać się coraz cięższe. Kilka razy przyłapał się na tym, że prawie zasnął. Przez cały ten czas nie odrywał wzroku od ciem.

Kształt leja zaczął się zmieniać. Najpierw owady zbiły się w ciasną gromadę, co sprawiło, że zjawisko stało się niższe i węższe. Rój ciem w pewien sposób przypominał mu sylwetkę człowieka. Jak się okazało kilka chwil później, chłopiec wcale nie dał się ponieść wyobraźni. W formacji owadów zaczęły wypiętrzać się kształty łudzaco podobne do ludzkiej głowy oraz kończyn.

Nagle wszystko stanęło w miejscu. Ćmy zdawały się unosić, jakby znalazły się w stanie nieważkości. Ich kosmate skrzydełka

były rozłożone, lecz owady nawet nie próbowały nimi trzepotać.

W świetlicy stało się zupełnie ciemno. Kacper oderwał na chwilę wzrok od dziwnego widowiska i spojrzał na sufit. Żarówki nadal były na swoim miejscu i wydawało mu się, że świecą. Ich blask został jednak przez coś przysłonięty.

Z powrotem spojrzał na kształt podobny do ludzkiego ciała i ze zdumienia wytrzeszczył oczy. Cmy zaczęły obrastać delikatną skórą, na której nie było najmniejszej skazy. ONA wracała. Czuł to. Wiedział również, że to już nie jest ta sama istota co wcześniej. Była zdecydowanie silniejsza i bardziej okrutna. To pogłębiło jego fascynację.

Czekał z niecierpliwością, patrząc, jak głowa obrasta gęstymi czarnymi włosami. Proces ten wyglądał jak na przyspieszonym filmie. Przypomniała mu się reklama jakiegoś produktu, na której w ciągu kilku sekund z gołej ziemi wyrasta bujna trawa. Właśnie w taki sposób na JEJ głowie pojawiły się piękne włosy. Oczy – z początku mlecznobiałe – zyskały teraz intensywny błękitny odcień. Mógłby wpatrywać się w nie bez końca, zapominając o wszystkim, co go otaczało.

Wpatrywał się w JEJ nagość, czując ogromne pożądanie. Znów był dorosłym mężczyzną, który wie, do czego został stworzony. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że nadal podpira drzwi, jakby w ten sposób chciał je zabarykadować. Na nogach jak z waty postąpił kilka chwiejnych kroków, starając się przy tym nie upaść.

Nagle stanął jak wryty. Na JEJ twarzy, która początkowo nie zdradzała żadnych uczuć, pojawił się teraz wyraz czystej nienawiści i żądzy zemsty. Uczucia te były tak silne, że Kacper odruchowo cofnął się pod drzwi.

– Przepuść mnie – powiedziała, po czym wyciągnęła dłoń w stronę klamki. Chłopiec nawet nie zdążył się zorientować, kiedy jej ciało okryła idealnie dopasowana czarna suknia.

Drzwi do świetlicy otworzyły się. Kobieta pewnym krokiem opuściła pomieszczenie. Kacper, nie zwlekając ani chwili, udał się za NIĄ.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

### NOWY TROP

Edward Morawski siedział w milczeniu. Z kącika jego ust smętnie zwisał papieros. Z wyrazu twarzy mężczyzny ciężko było wyczytać jakiegokolwiek uczucia. Był zupełnie pusty.

Siedzieli w domu Roberta, gdyż uznali to miejsce za najlepsze. Nagłe odnalezienie Morawskiego stałoby się tak głośne, że nie mogliby opędzić się od dziennikarzy, nie mówiąc już o szefie biura, który chciałby znać wszystkie szczegóły, łącznie z tym, jakie majtki włożyli na siebie i czy umyli rano zęby. Ani Robert, ani Krzysztof, nie mieli ochoty na odpowiadanie na tysiące niewygodnych pytań.

Robert wstał i podszedł do barku. Spojrzał sceptycznie na butelkę Jima Beama, kalkulując wszystkie za i przeciw. Po chwili chwycił butelkę i położył na szklanym stoliku.

– Częstować się – oznajmił, stawiając obok butelki trzy ciężkie szklanki z rżniętego szkła.

Krzysztof z wdzięcznością chwycił butelkę i nalał sobie na przysłowiowe dwa palce. Następnie wskazał szyjką na Edwarda.

– Chyba ci się przyda coś mocniejszego – oznajmił. – Wyglądasz, jakbyś miał zaraz wyzionąć ducha.

Morawski nic nie powiedział. Nie wykonał również żadnego gestu. Krzysztof uznał milczenie za zgodę i nalał mężczyźnie nieco więcej trunku.

– Ty też chcesz? – zapytał Roberta.

– Nie, zadowolę się wodą – odparł młodszy detektyw, po czym odpalił papierosa i usiadł naprzeciwko Morawskiego. Przez chwilę lustrował go badawczym wzrokiem, próbując cokolwiek wyczytać z jego kamiennej twarzy.

W pokoju panowało milczenie. Detektywi spodziewali się, że Morawski sam zacznie mówić. Nic jednak na to nie

wskazywało. Papieros w jego ustach zgasł, ledwie doszedłszy do połowy. Mężczyzna całkowicie stracił zainteresowanie tym, co dzieje się dookoła niego. Na jego twarzy widniało kilka wyjątkowo paskudnych zadrapań, które powstały w wyniku zderzenia z samochodem detektywów, lecz zdawał się nie zwracać na to uwagi.

– Chyba masz nam coś do wyjaśnienia – odezwał się w końcu Robert.

– Dlaczego miałbym wam cokolwiek mówić? – odparł Morawski zachrypniętym głosem. – To, co wam powiem, i tak uznacie za stek bzdur, więc szkoda strzępić język.

– Dlaczego masz nam cokolwiek mówić... – Robert zmrużył oko przed wpadającą do niego smuzką dymu. – Myślę, że znajdzie się kilka dość konkretnych powodów, dla których zaczniesz gadać.

Młodszy detektyw wyjął z ust wypalonego do połowy papierosa i zgniótł go w pustej jeszcze popielniczce.

– No dobra. Zacznę wymieniać. – Wstał i zaczął krążyć po pokoju. – Po pierwsze, utrudniasz śledztwo. Byliśmy umówieni na konkretny dzień i godzinę. Wyraziłeś zgodę na to, żeby odpowiedzieć nam na kilka pytań, a mimo tego nie dałeś znaku życia. Byliśmy w twoim mieszkaniu i widok, jaki tam zastaliśmy, wyraźnie wskazywał na to, że ktoś cię zabił. Jak się na szczęście okazuje, daliśmy się nabrać. – Krótka pauza. – Za utrudnianie śledztwa na pewno sąd znalazłby odpowiedni paragraf. W najlepszym wypadku skończyłoby się na krótkim wyroku, może nawet w zawiasach, choć nie sądzę.

– Musiałem... – zaczął Morawski.

– Po drugie – Robert wpadł mu w słowo ostrym tonem – przyjrzelśmy się twojej... hm... działalności. Udało się znaleźć kilka osób, które potwierdzą, że dorabiasz na boku, wróżąc z fusów czy z czegoś tam. Wiemy, że nie odprowadzasz od tego podatku i działalność ta nie jest zarejestrowana. Trwa to już

dość długo, więc myślę, że urząd skarbowy zainteresowałby się tobą. Oszustwo podatkowe to też przestępstwo. Płaciłbyś skarbowce ciężkie pieniądze do usranej śmierci.

W pokoju zapadła cisza. Morawski wlepił wzrok w swoje splecione dłonie. Do tego przybrał skuloną pozycję, przez którą przypominał ucznia przyłapanego na paleniu papierosów za szkołą.

– Mam wymieniać dalej, czy się dogadamy? – Robert pytająco uniósł brew. – Nie masz zbyt wiele czasu na zastanawianie się, więc radzę się pospieszyć.

Przez chwilę Morawski nie odpowiadał. Wydawało się, jakby rozważał, czy warto się kłócić z detektywami, czy też odpuścić. W końcu jednak doszedł do wniosku, że dłuższe milczenie nie ma sensu. Znalazł się w pułapce, z której nie było żadnej drogi ucieczki.

– No dobra – odezwał się w końcu drżącym głosem – Dogadamy się tylko jeśli moje sprawy zostaną między nami.

– Chodzi o oszustwa podatkowe? – zapytał Robert.

– Tak, głównie o to.

Detektyw zaśmiał się, choć nie było w tym ani cienia radości.

– Powiedzmy, że zostanie to między nami, zwłaszcza że z mojej strony to był bluff, a ty i tak się do tego przyznałeś – odparł po chwili.

– Co? – Morawski wytrzeszczył oczy.

– Znam się na ludziach. – Teraz w uśmiechu detektywa pojawiła się odrobina radości. – Jesteś gościem, który wita ludzi z uśmiechem i pod krawatem, bo śmierzdzą mu pieniędzmi. Gdy odbębniasz swoje, wracasz do drugiej, tym razem prawdziwej osobowości. Jesteś zwykłym oszustem i złodziejem, a do tego lubisz pieniądze. To, że będziesz próbował unikać podatków, było bardziej niż oczywiste, więc zastawiłem na ciebie pułapkę, a ty w nią wpadłeś.

Morawski po raz kolejny opuścił głowę i zaczął przyglądać się swoim dłoniom, jakby nagle znalazł na nich coś wyjątkowo ciekawego.

– Nie interesuje nas to, co komu wróżysz i ile w tym jest ściemy. – Do rozmowy włączył się Krzysztof. – Chcemy wiedzieć, co widziałeś w Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia i co robiłeś w tym lesie. Myślę, że nie znalazłeś się tam przez przypadek.

– Wy pewnie też nie – odparł Morawski zaczepnym tonem.

– Ciebie niech lepiej nie interesuje to, co my robiliśmy w lesie. Poza tym to my tu jesteśmy od zadawania pytań – odparł Robert ostrym tonem, po czym spojrzał oczekująco na swojego rozmówcę.

– No dobra... Wiem, kto za tym wszystkim stoi – powiedział Morawski. Spojrzał na szklanę whiskey, która przed nim stała. Na jego czole pojawiła się głęboka zmarszczka, świadcząca o tym, że mężczyzna walczy z samym sobą. Po raz pierwszy od dłuższego czasu miał alkohol na wyciągnięcie ręki, lecz coś powstrzymywało go przed jego wypiciem.

– Napij się, jak ma ci być łatwiej – zaproponował Krzysztof.

– Nie. Od momentu ucieczki z domu nie miałem w ustach ani kropli alkoholu. Pewnie w trakcie przeszukania moich skromnych czterech ścian zauważyliście, że jestem moczymordą.

Detektywi odpowiedzieli na te słowa milczeniem. Morawski spojrzał jeszcze raz na szklanę, po czym zdecydowanym ruchem odsunął ją od siebie. Silna wola zdobyła gola, zyskując jednopunktową przewagę nad nałogiem.

– Kto za tym stoi? – zapytał Robert, który zaczynał się już niecierpliwić. Wyjął z paczki kolejnego papierosa i nerwowo kręcił nim w palcach.

– Siostra Ezechiela.

Słowa Morawskiego zawisły nad trójką mężczyzn niczym ciężka chmura. W pokoju nagle zrobiło się duszno, a światło stało się mętne.

– Co? – Krzysztof przejechał dłonią po pokrytym siwą szczecina policzku. – Ona zginęła razem z pozostałymi siostrami.

– Nieprawda. Ona żyje.

– Masz na to jakikolwiek dowód?

– Widziałem to w domu dziecka. – Mężczyzna wziął głęboki oddech.

– Zaraz, zaraz. – Robert odpalił papierosa i ponownie usiadł naprzeciwko Morawskiego – Widziałem wyniki badań DNA. Jedyne duże fragment jej ciała, jaki udało nam się znaleźć, to ręka. Reszta pewnie wymieszała się w tej sieczce, która leżała na podłodze. Mam niezbity dowód na to, że Ezechiela jest tak samo martwa jak John Lennon albo Elvis Presley. Nie wmówisz mi, że przez twoje wymysły mamy porzucić to, co zostało potwierdzone.

– Nie każe wam wierzyć w to, co mówię. Zresztą wiedziałem, że ta rozmowa nie będzie miała sensu.

– Chciałem dać ci szansę. – Robert powoli wypuścił dym, nie spuszczać wzroku z rozmówcy. – Wychodzi na to, że jednak się nie dogadamy.

– Dogadamy, jeżeli tylko przestaniecie myśleć zwykłymi kategoriami.

– Zwykłymi kategoriami? – zdziwił się Krzysztof. – To chyba normalne, że skoro mamy NIEZBITE dowody, świadczące o czyjejs śmierci, to nie doszukujemy się w tym drugiego dna.

Morawski poruszył się niespokojnie.

– Może jednak czasami warto poszukać.

– Jesteś cholernie uparty – powiedział Robert. – Wysłuchamy cię, ale jeżeli to będzie strata czasu, to



samodzielnie odwiozę cię na posterunek. Ciekawy jestem, ile cierpliwości do ciebie będzie miała policja.

Mężczyzna westchnął. Wytrzymał spojrzenie detektywa bez ani jednego mrugnięcia.

– No dobra. Słuchamy, co masz do powiedzenia.

– Dziękuję. – Morawski nawet nie próbował zamaskować sarkastycznego tonu. – Jak już mówiłem, siostra Ezechiela żyje. Co do ręki, którą znaleźliście, to macie całkowitą rację. To ręka tej kobiety, aczkolwiek bez tej części ciała da się żyć. Dowód na to, że ona żyje i ma się nie najgorzej, znajdziecie jakieś trzydzieści kilometrów stąd. Ukryła się na wsi w zrujnowanym domu po swoich rodzicach i nie wystawia za drzwi nawet czubka nosa. Jeżeli mi nie wierzycie, to mogę was do niej zaprowadzić i zobaczycie ją na własne oczy.

Po tych słowach zapadła cisza. Przez cały czas detektywi wpatrywali się w twarz swojego rozmówcy, czekając aż pojawi się na niej wyraz zagubienia lub niepewności. Po setkach godzin spędzonych w pokoju przesłuchań ich oczy były wyczulone na typowe oznaki kłamstwa. Minęły kolejne sekundy, a Morawski nadal pozostawał spokojny i opanowany. Nawet nie drgnęła mu powieka.

– Powiedzmy, że mówisz prawdę.

– Mówię pr...

– To dlaczego do tej pory nie pojawiła się w domu dziecka? Dlaczego nie zgłosiła się na policję czy chociażby do szpitala? Urwana ręka to nie zadrapanie, które wystarczy tylko przemyć.

– Bo sama w tym wszystkim ma swój udział. Widocznie wolała się wykrwawić niż dać wsadzić do pudła na resztę życia.

– O czym ty mówisz? – zdziwił się Robert. – Za co ta zakonnica mogłaby pójść do więzienia? – W jego głosie słychać było dobrze udawane zdziwienie. Rzucił szybkie spojrzenie w stronę Krzysztofa. Z wyrazu twarzy starszego detektywa było wyraźne oczekiwanie.

Mężczyzna nie odpowiedział od razu. Wydawał się nad czymś zastanawiać.

– Prawdopodobnie niewiele wiecie o życiu siostry Ezechieli – powiedział wreszcie, przerywając tym samym nieprzyjemnie przedłużającą się ciszę.

– Wiemy tyle, ile potrzebujemy: nie była karana ani nie miała rodziny. Nie ma również mowy o żadnych osobach, które życzyłyby jej źle – odparł Robert.

– I tu jesteście w błędzie, bo tych osób jest na pęczki. Pewnie w niejednym domu świętowano z powodu jej domniemanej śmierci.

– Skąd to wiesz?

Morawski powoli wstał. Towarzyszyło temu nieprzyjemne chrupnięcie w kolanach.

– Ta kobieta od lat znęcała się nad swoimi podopiecznymi. Może nie nad wszystkimi w sposób fizyczny, ale każde pokolenie, które miało pecha wychowywać się w Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia, w mniejszym lub większym stopniu odczuło agresję ze strony tej kobiety.

– To ciekawe – powiedział Krzysztof. – Prowadziła dom dziecka od kilkadziesiąt lat. Gdyby coś takiego faktycznie miało miejsce, to już dawno wyszłoby na światło dzienne i zdążyło zostać zapomniane.

– Jesteś tego taki pewien? – Morawski spojrzał z góry na starszego detektywa. Pewność siebie, jaka biła z jego oczu, sprawiła, że Krzysztof zaczął rozważać, czy nie wprowadza samego siebie w błąd.

Morawski wrócił na swoje miejsce i ostrożnie usiadł. Tej czynności również towarzyszył głośny protest stawów.

– Jeżeli znajdę się w jakimś miejscu, to jestem w stanie zobaczyć wiele rzeczy, które przeciętnemu człowiekowi nawet nie przeszłyby przez myśl. Na przykład to mieszkanie. – Spojrzał na Roberta. – Jestem tu zaledwie kilkanaście minut, a

już wiem, że kupiłeś je jakieś cztery lata temu za trzysta tysięcy. Remont udało ci się zrobić po znajomości, bo twój świętej pamięci ojciec miał znajomego, który prowadził firmę remontową. Ta z kolei splajtowała niecały rok temu. W ramach ciekawostki dodam, że ostatni raz kobieta przekroczyła próg tego mieszkania niecałe pół roku temu.

Robert wytrzeszczył oczy i nieświadomie rozdziawił usta. Siedział tak bez ruchu, wpatrując się w Morawskiego, jakby zobaczył prawdziwą zjawę.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – zapytał po chwili zachrypniętym głosem.

Morawski popukał się palcem w czoło.

– Jedni nazywają to trzecim okiem, inni darem, a jeszcze inni opowiadaniem bajek. Ja utrzymuję, że to talent, którym ktoś postanowił mnie obdarzyć jeszcze przed narodzinami.

Po słowach Morawskiego zapadła długa cisza. Robert zorientował się, że wciąż ma otwarte usta. Zamknął je, czemu towarzyszyło ciche kłapanie.

– Wracając do tematu. Jak widzicie, nie jestem krętaczem. Faktycznie mam jakiś dar, który pozwala mi widzieć bardzo dużo. Dlatego też po wejściu do Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia zobaczyłem setki obrazów przedstawiających znęcanie się nad dziećmi. Jedne były echami wydarzeń sprzed wielu lat, inne zaś były świeże, ledwie sprzed kilku dni.

– Co jeszcze zobaczyłeś?

– To, co wydarzyło się w tym miejscu, jest ciężkie do pojęcia. Siostra Ezechiela nie jest dobroduszną zakonnicą, której przyświeca piękny cel. Owszem, prowadząc dom dziecka, chciała prawdopodobnie odkupić jakieś winy z przeszłości. O nich niestety nie wiem. Może jakbym zobaczył ją całą i zdrową, to dowiedziałbym się nieco więcej, ale niestety nie miałem takiej okazji.

Przez cały ten czas mózg Roberta działał na pełnych obrotach. Mając dodatkowe informacje, zaczął powoli dopasowywać elementy układanki.

– Wygląda mi to na zemstę – powiedział odpalając papierosa.

– Bo to jest zemsta, ale nie w dosłownym znaczeniu – odparł Morawski.

– To znaczy?

– Myślisz, że to dawny wychowanek postanowił odegrać się na koszmarze swojego dzieciństwa.

– No tak.

– Tego nie był w stanie zrobić żaden człowiek. Siostra Ezechiela zadarła z kimś, a raczej z czymś, co na pewno nie jest ludzkie. Mam co do tego pewne przypuszczenia, ale nie jestem ich pewien, więc na razie nie będę gdybał. Widziałem za to obraz, w którym dookoła leje się krew i latają fragmenty ludzkich ciał, ale nie widziałem tam sprawcy. Był tylko jakiś bezkształtny cień i głos, który brzmiał jak zwielokrotnione, nakładające się na siebie echo. Niestety nie dało się z tego wychwycić żadnych zrozumiałych słów. Nawet nie mam pojęcia, w jakim języku mógł ten ktoś mówić. – Morawski przełknął głośno ślinę. – Wiem tylko jedno. To coś ma wpływ również na nas i wie, że jesteśmy zainteresowani domem dziecka.

Ostatnie słowa zdawały odbijać się od ścian i wracać do uszu detektywów, za każdym razem coraz głośniejsze.

– Co to może być? – zapytał Krzysztof.

– Tego niestety też nie wiem – odparł Morawski. – Od momentu, w którym zobaczyłem, co się stało w domu dziecka, ciągle byłem otępiały i czułem się, jakby coś ścisnęło mój umysł. Miałem problemy z racjonalnym myśleniem i nadawałem się tylko do chłania i zamawiania gównianego jedzenia, którego zresztą nie byłem w stanie później zjeść.

– Zastanawiałaś się, skąd to mogło się wziąć?

– Tak. Z początku byłem niemal przekonany, że ktoś dosypał mi czegoś do jedzenia albo do wina.

Robert wychwycił wahanie w głosie Morawskiego. Pochylił się w jego stronę i spojrzał mu prosto w oczy.

– Ale?

– Nie mam pojęcia... – Mężczyzna wzruszył ramionami. – W wieczór, w którym umówiliśmy się na rozmowę, miałem naprawdę dziwne zwidy. I to nie było spowodowane przez alkohol. To wszystko było zbyt rzeczywiste, a poza tym w trakcie halucynacji, czy jak to nazwać, byłem całkowicie trzeźwy.

– Rozumiem.

– Wtedy stwierdziłem, że muszę uciec. Najpierw chciałem się gdzieś ukryć i trochę odpocząć od tego wszystkiego. Później miałem zamiar zacząć poszukiwania i znaleźć Ezechiełę. Chciałem od niej wszystko wyciągnąć.

Detektywi milczeli. W trakcie tej ciszy obaj analizowali wszystko, co usłyszeli od Morawskiego. W głowie Krzysztofa pojawiło się pytanie, które obaj od początku chcieli zadać, lecz jakimś cudem kompletnie wyleciało im ono z głów.

– Dlaczego upozorowałaś własną śmierć? Chciałaś nas zmylić?

Na twarzy Morawskiego pojawił się zupełnie nowy wyraz. Mężczyzna wyraźnie próbował cofnąć się pamięcią w czasie aż do tamtego wieczora.

– Ciężko stwierdzić – odezwał się w końcu. – Wiem, że mogłem to zrobić w bardziej normalny sposób. Mogłem wyłączyć telefon, zostawić go na stole w kuchni i iść przed siebie.

– To przynajmniej nie zapędziłoby nas w kozi róg i nie zmarnowało tyle czasu – rzekł Robert.

– To był dziwny wieczór. Siedziałem na kanapie i piłem wino. Pamiętam jeszcze, że zamówiłem jakieś paskudne jedzenie, które nie mogło mi nawet przejść przez gardło, ale mniejsza o to. – Morawski zamilkł na chwilę. – W pewnym momencie pojawiło się żółte światło i chyba ćmy. Na pewno była też jakaś postać, która mówiła coś o karze. Przez cały czas miałem zakodowane w głowie, że nie mogę wam nic powiedzieć, bo spotka mnie coś bardzo złego. Umawiając się na rozmowę z wami, podpisałem wyrok na samego siebie. Pamiętam też, że było strasznie zimno.– Na samo wspomnienie mężczyzna zadrżał. – Nigdy aż tak nie zmarzłem.

Robert przez cały czas czujnie obserwował Morawskiego. W jego zachowaniu nie było niczego, co mogłoby świadczyć o tym, że zmyśla.

– Co było później?

– Chyba wpadłem w histerię, choć nie jestem do końca pewny. Wizja minęła i wszystko pozornie wróciło do normy. Ale nic już nie było tak jak wcześniej. Nie wiem, ile było w tym mojej woli, a ile nie. Poszedłem do łazienki i urwał mi się film. Ocknąłem się, podcinając sobie żyły w wannie pełnej gorącej wody. Wtedy dotarło do mnie, co robię. Na szczęście nie było jeszcze za późno.

– I wtedy uciekłeś – dodał Krzysztof.

– Tak. Uznałem, że to jedyna rozsądna rzecz, jaką mogę zrobić. Nie miałem nawet planu. Po prostu ubrałem się w to, co mam teraz na sobie i opuściłem dom w taki sposób, żeby nikt nie był w stanie mnie znaleźć. – Morawski zamilkł na moment. – Zależało mi głównie na tym, żeby nie dopadło mnie to coś. Wiem, że cudem udało mi się przeżyć, a drugiej szansy mogłem już nie mieć. Nie miałem czasu na zastanawianie.

Po tych słowach przez dłuższy czas nikt się nie odzywał. Robert rozparł się wygodnie na swoim krześle, uważnie

przyglądając się Morawskiemu. Na jego twarzy malował się stoicki spokój.

– Przez ostatnie dni u nas też działo się bardzo dużo dziwnych rzeczy – odezwał się wreszcie. – W większości są to zabójstwa i jedno samobójstwo.

– Mogę wiedzieć coś więcej na ten temat?

Detektywi spojrzeli na siebie. Robert kiwnął głową.

– Zacznę od początku... – rzekł Krzysztof, po czym pokrótce opowiedział wszystkie wydarzenia z kilku ubiegłych dni.

Po ostatnich słowach detektywa w pokoju na powrót zapanowała cisza. Morawski siedział bez ruchu, a jego czoło przecinała głęboka bruzda. Wziął wdech, jakby już miał coś powiedzieć, lecz zaraz zrezygnował i wrócił do swoich myśli. Miał teraz ogromną ochotę na drinka. Wyobraził sobie szklanekę cierpkiego bursztynowego trunku z podwójnym lodem. W tej samej chwili poczuł uporczywe pieczenie w gardle, jakby przez cały dzień nie wypił ani łyka wody. Czuł się wyschnięty na wiór.

*Tylko jedna szklaneczka* – pomyślał niemal z rozpaczą. Z każdą chwilą czuł się coraz gorzej. Zaczęła uciekać z niego cała energia, a myśli skupiły się wokół barku Roberta. Wiedział, że na jednej szklaneczce by się nie skończyło. Już po pierwszym łyku whiskey zapragnąłby się sponiewierać do tego stopnia, żeby osiągnąć poziom podłogi.

Potrząsnął głową, aby odpędzić uporczywe myśli.

– Wszystko w porządku?

– C-co?

– Pytałem, czy wszystko w porządku? – powtórzył Krzysztof.

– T-tak. Przepraszam, zamyśliłem się.

– Jasne.

Robert wstał, przeciągnął się i zrobił kilka kroków, aby rozprostować zastane nogi. Z zamyśleniem na twarzy odpalił

papierosa i przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w ulatujący pod sufit dym.

– Co o tym myślisz?

Morawski już miał coś odpowiedzieć, lecz nagle poczuł nieprzyjemne mrowienie w gardle. Uczucie to z sekundy na sekundę stawało się coraz silniejsze, aż w końcu stało się nie do wytrzymania.

– Mogę skorzystać z toalety? – zapytał, czując, że z jego ust zaraz wyjdzie coś paskudnego i oślizgłego.

– Jasne – odparł Robert. – Do końca korytarza i drzwi na lewo.

– Dzięki.

Droga do toalety wydawała mu się nieskończenie długa. Korytarz z każdym krokiem wydłużał się o kolejne metry, a mrowienie w gardle stawało się nie do zniesienia. Czuł się jak mityczny Syzyf, który, będąc u końca swojej męczarni, nagle cofa się do samego początku i musi wszystko zaczynać od nowa.

Gdy wreszcie dotarł do łazienki, poczuł niewysłowioną ulgę. Nawet nie zadbał o to, żeby zamknąć za sobą drzwi. Biegiem dopadł muszli i uklęknął przed nią tak, jak robił to już setki razy w swoim życiu.

Uszu detektywów dobiegł odgłos ostrego wymiotowania, przerywany pojedynczymi kaszlnięciami i wiązką przekleństw.

– Iść do niego? – zapytał Krzysztof.

– Da sobie radę – odparł Robert. – Co o tym myślisz?

– Nie wydaje mi się, żeby kłamał.– Starszy detektyw zamyślił się. – Zastanawia mnie tylko, dlaczego nie szukał u nas pomocy, tylko działał na własną rękę.

– Mnie to nie dziwi – powiedział Robert. – To było praktycznie na samym początku tego zamieszania. Gdyby wtedy do nas przyszedł i zaczął nam wygadywać takie bzdury, to pewnie załatwilibyśmy mu obserwację w wariatkowie albo



starali się przy każdej możliwej okazji utrudniać mu prowadzenie własnego śledztwa.

– Niby racja – przyznał Krzysztof.

Usłyszeli odgłos spuszczonej wody. Po chwili Morawski wrócił. Był blady na twarzy, ale nie zanosilo się na to, aby miał zamiar powtarzać przegląd tygodnia.

– Wody?

– Poproszę. – Morawski usiadł na swoim krześle i potarł skronie. – To chyba z nerwów.

– Każdy odreagowuje na swój sposób – powiedział Krzysztof, stawiając przed mężczyzną szklanke chłodnej wody. – Masz jakieś racjonalne wytłumaczenie tego, co się tu dzieje?

– Racjonalne? – zdziwił się Morawski. – Tutaj nic nie jest racjonalne. Owszem, widzę różne rzeczy, których nie widzą przeciętni ludzie, ale do tej pory uważałem, że mój talent to coś w rodzaju ulepszonej intuicji, która tworzy w mojej głowie gotowe obrazy. Nie jestem w stanie uwierzyć, że to, co widziałem, jest prawdziwe. Może w końcu zważyłbym winę na swój alkoholizm, ale po tym, co mi powiedzieliście, to ta opcja całkowicie odpada.

– W takim razie musimy szybko jechać do siostry Ezechieli – oznajmił Krzysztof. – Jeżeli faktycznie ona zadarła z czymś, co było w stanie pozbawić życia wszystkie siostry w domu dziecka, sprawić, że dzieci zniknęły bez śladu i w niecałe dwa dni wybić prawie całą rodzinę Roberta, to mamy niewiele czasu.

– Pojedziemy tam jutro z samego rana – zarządził młodszy detektyw.

– Jasne.

– Mam jeszcze jedno pytanie – powiedział Morawski.

– Jakie? – Robert pytająco uniósł brew.

– Skoro już sobie wszystko wyjaśniliśmy, to chciałbym wiedzieć, co robiliście w tym lesie w środku nocy.

Przez twarz Roberta przebiegł ledwo zauważalny skurcz.

– Po śmierci mojego siostrzeńca i ojca stwierdziliśmy, że w tym lesie coś jest – odparł młodszy detektyw.

– Chodzi wam o rzekomą dziewczynę zabitą przez siostrę Ezechiełę, której dusza domaga się zemsty?

– Skąd o tym wiesz? – zapytał ze zdziwieniem Krzysztof. – Też widziałeś ten artykuł na forum?

– Nie, trafiłem na to zupełnie przypadkowo. To najprawdopodobniej wymysł dzieciaków. Owszem, niewykluczone, że ta kobieta mogła przyczynić się do śmierci kogoś z wychowanków, ale nie wydaje mi się, aby faktycznie pochowała to dziecko w lesie. To raczej straszna historyjka, którą podchmielone dzieciaki opowiadają sobie, gdy siedzą po ciemku.

– Ten wpis był dość stary – odparł Robert.

– Młodzieżowe legendy przetrwają dłużej niż piramidy – powiedział Morawski nie kryjąc rozbawienia.

– Czyli uważasz, że to jest bujda?

– Najprawdopodobniej tak, choć nie mówię, że nie ma w tym ziarna prawdy. W tej sprawie chyba już nic mnie nie zdziwi. Rozumiem, że chcieliście sprawdzić, czy aby nie chodzi o jakiegoś ducha, który na was poluje, jakkolwiek to brzmi.

– Coś w tym stylu.

– To raczej zły trop, ale jeżeli uda nam się jutro porozmawiać z siostrą Ezechiełą, to na pewno o to zapytamy.

Robert zaczął się przechadzać po pokoju. Spojrzał na zegarek. Dochodziła już trzecia nad ranem.

– Myślę, że plany na jutro mamy już gotowe – oznajmił.

– Raczej tak – odparł Krzysztof.

– W takim razie zostawiam was tutaj. Muszę w końcu pojechać do matki. Widzimy się tutaj rano o dziewiątej.

– Jasne.

– A, i jeszcze jedno. Wykombinuj sobie na jutro zwolnienie lekarskie. Rano zadzwonię do szefa i opowiem o tym, co się

dzisiaj stało. Na pewno nie będzie kręcił nosem jak poproszę o dzień wolnego. Jutro działamy całkowicie na własną rękę.

– Nie ma problemu.

Robert skinął głową, po czym wyszedł.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

### DROGA NA DNO

Żółta poświata zalewała wszystko. Pomimo tego, że był na zewnątrz, to paskudne światło nie dawało mu spokoju. Był środek nocy, a on wszystko widział na żółto. Był już tak blisko! Gdyby tylko miał lepszy refleks, to może udałoby mu się wskoczyć na samochód i odjechać razem z mężczyznami. Co prawda żaden z nich go nie dostrzegął, aczkolwiek to nie miało już żadnego znaczenia. Teraz dla Kacpra najważniejsze było to, żeby się stąd ulotnić.

Siedział pod drzewem, nawet nie odczuwając zimna. Jedyne, co teraz czuł, to wilgoć w spodniach. Po ciemku nie zauważył, gdzie siada. Pech chciał, że trafił na kałużę. Cóż, ostatnimi czasy jego życie było pasmem nieszczęść, przy których wpadnięcie dupą w kałużę było błahostką.

W powietrzu czuć było jeszcze smród spalin, które wypluła rura wydechowa odjeżdżającego samochodu. Już był pewny, że uda mu się uwolnić od NIEJ. Pomimo tego, że była teraz gdzieś daleko, on i tak nie był w stanie działać samodzielnie. Nie rozumiał także, z jakiego powodu jest niewidzialny. Energia, którą jeszcze nie tak dawno posiadał, opuściła jego ciało, sprawiając, że znów stał się bezbronnym dzieckiem.

Zamknął oczy i cofnął się w czasie. Znów był w świetlicy. Ona w swojej demonicznej formie przegryzała czaszki wszystkim dzieciom, które ustawiały się w kolejce po śmierć.

Znów zobaczył puste oczodoły, które wydawały się widzieć wszystko, a nawet więcej. Wyszczrzyła zęby, co wywołało u niego paniczny strach.

Z tego, co pamiętał, chwila ta trwała bardzo krótko. Ale czy na pewno tak było? Może jego umysł stworzył barierę ochronną w postaci fikcyjnego wspomnienia? Czuł, że ta bariera istnieje. Po chwili udało mu się ją zobaczyć. Był to wysoki mur z

potężnych kamiennych bloków, przypominających te, z których całe wieki temu budowano piramidy.

Musiał jakoś pokonać ten mur. Ściana ciągnęła się od horyzontu po horyzont, a wysokością sięgała aż do chmur. To była bariera nie do pokonania. Wiedział, że teraz nie ma na to siły.

Postanowił pójść wstecz i tam poszukać sposobu na poznanie prawdy.

\* \* \*

ONA tu była. Kacper stał tuż obok, czując bużującą w nim energię i czekając, aż cała zabawa wreszcie się zacznie. Zabicie księdza i widok śmierci tych pustych dzieciaków były satysfakcjonujące, ale wisienka na torcie jeszcze się nie pojawiła. Jak na razie znajdowała się na trzecim piętrze w przytulnym zaciszu swojego gabinetu. Pewnie wlepiała starcze ślepią w wizerunek Jezusa, jeśli jeszcze miała odwagę powiesić ten portret na ścianie. Szczerze w to wątpił. Widział ją, jak klęczy na podłodze ze wzrokiem skierowanym w sufit i prosi Boga o zbawienie dla niej i całego Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia.

Zbawienie czekało tutaj, na dole.

Mieli czas. Oni go nie odczuwali. Godziny były czymś, co ludzie wymyślili sobie aby nie pogubić się we własnym życiu i natłoku bezsensownych obowiązków. Godziny miały też inną funkcję. Dzięki nim szef mógł wywalić spóźnialskiego pracownika, a mąż opieprzyć żonę za to, że od ponad godziny okupuje łazienkę, szykując się jak szczur na otwarcie kanału, podczas gdy on czuje potężne parcie.

Cieszył się z tego, że czas już nie istnieje. Dzięki temu życie było znacznie łatwiejsze. Jedyne podział składał się tylko z dnia i nocy. Obie te pory miały swoje plusy i minusy, aczkolwiek

wolał noc. Była bardziej skryta, tajemnicza i intymna. Poza tym kochał widok księżyca i gwiazd, zwłaszcza w zimowej scenerii.

Spojrzał na NIA. Piękna twarz nadal miała morderczy wyraz, ale w tym przypadku powiedzenie „złość piękności szkodzi” było całkowicie mylne. ONA nawet w tym stanie była niezwykle piękna. Jej urodzie nic nie było w stanie zaszkodzić. Tylko ONA sama mogła ją zepsuć, o czym zdążył się już niejednokrotnie przekonać.

Usłyszał jakiś ruch. To ta tłusta krowa, którą przegonił ze świetlicy.

– Kim pani jest? – zakonnica nie kryła zdziwienia. – Kto panią tu wpuścił?

– Ten uroczy dżentelmen – odparła ONA.

– Kacper, wyraźnie powiedziane jest, że nie wolno wpuszczać obcych.

Usłyszał swój śmiech. Wydawało mu się, jakby ten odgłos dochodził z daleka. Poczul przypływ energii, który kazał mu zrobić psikusa. Nie czuł ostrzegawczego mrowienia w gardle, więc zrobił to, na co miał ochotę.

Zakonnica, jedną ręką zasłaniając obwisłe piersi, a drugą owłosione krocze, wybiegła z korytarza, robiąc przy tym mnóstwo hałasu.

ONA spojrzała na niego.

– Nie wiem, co ty masz z rozbieraniem sióstr. Mam być zazdrosna? – Jej czysty głos sprawił, że poczuł ciepło w dole brzucha.

– Nigdy w życiu! – krzyknął. – Nie masz i nie będziesz miała żadnej konkurencji! A siostry lubię traktować w ten sposób, bo śmiesznie uciekają. – Wyszczrzył zęby w dziecięcym uśmiechu. ONA odpowiedziała tym samym. Pomimo tego, że na pierwszy rzut oka wyglądała na kobietę dobiegającą trzydziestki, z tym wyrazem twarzy miała z piętnaście lat mniej.

Z daleka słyhać było wrzaski rozebranej zakonnicy. Kacper wiedział, że ona jest pierwszym klockiem domino, który spowoduje zamieszanie.

Stało się tak, jak przewidział. Wkrótce słyhać było już kilka głosów. Niebawem wszystkie się tu zleżą, a wtedy będzie prawdziwa zabawa!

Jeszcze raz spojrział na NIA. Miała skupiony wyraz twarzy i bez mrugnięcia okiem wpatrywała się w korytarz przed sobą. Czekala. Była jak lew, który z ukrycia obserwuje przechodzącą zwierzynę, wybierając wśród wielu sztuk tę jedną, która będzie idealnym łupem. Chodziło tu o siostrę Ezechielę. To głównie dla niej to wszystko zostało przygotowane, choć Kacper doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że zginą wszystkie. Gdy ONA wpadała w szal, nie miała litości dla nikogo. Nie miał pojęcia, jakim cudem jeszcze żyje, aczkolwiek niezmiernie cieszył się z tego faktu.

Głosy zaczęły się przybliżać. Wkrótce zaczęły wtórować im pospieszne kroki drewniaków.

Kacper poczuł przyjemny dreszcz, który przebiegł mu wzdłuż całego kręgosłupa.

– Nie wychylaj się – usłyszał JEJ głos. – Ty będziesz obserwatorem. Odwaliłeś kawał dobrej roboty, ale reszta zostaje dla mnie.

– Dobrze – odparł słuźalczo. – Jakbyś jednak chciała, żebym coś jeszcze zrobił, to tylko powiedz.

– Na pewno nie będę potrzebowała pomocy. – Sposób, w jaki wypowiedziała to zdanie, był jednoznaczny. Miał się nie wtrącać i tyle. Z NIA nie było kompromisów nawet w rozmowie.

Z głosów nadchodzących zakonnicy, dało się już wychwycić pojedyncze słowa. Kobiety mówiły coś o herezji, satanizmie i demonach. Kacper w ogóle nie zwracał na to uwagi. Nie interesowało go, co te baby mają do powiedzenia na jego temat.

I tak ich rozmowa miała być ostatnią w ich życiach, więc niech sobie gadają, o czym tylko chcą.

Przy przeciwnej ścianie pojawiły się dwie zakonnice. Za nimi kolejne dwie i jeszcze trzy. Rozmowy ucichły. Kobiety wpatrywały się w NIĄ z pustymi wyrazami twarzy. Kacper znał ten widok. Z zakonnkami działo się teraz coś podobnego, co z dziećmi. Tylko dlaczego? Nie widział powodu, żeby okazywać jakąkolwiek litość tym kobietom. Uważał, że zasłużyły na tak samo paskudną śmierć, jak siostra Ezechiela. W końcu wiedziały o wszystkim, co ta kobieta robi, a mimo tego żadna nie odważyła się postawić w obronie dzieci. W oczach Kacpra były one tak samo bezużytecznymi śmieciami, jak ich przełożona. Gdyby tylko mógł, to zdeptałby je, patrząc z satysfakcją na ich pękające czaszki.

Poczuł mrowienie w gardle. ONA znała wszystkie jego myśli i po raz kolejny dawała mu ostrzegawczy sygnał. Zamrugał kilkakrotnie, jakby ktoś obudził go z transu, i rozejrzał się. Nawet nie zdążył zauważyć, że zebrały się już wszystkie siostry. Brakowało tylko jednej – siostry Ezechieli.

Wszystkie kobiety stały z tępych wyrazami twarzy. Ich oczy były szkliste, jakby już teraz opuszczała je iskra życia.

Dlaczego nie ma tu jeszcze Ezechieli? To pytanie tłuło się po głowie chłopca i prawdopodobnie ONA też się nad tym zastanawiała. Kacper czuł, że kobieta jest w swoim gabinecie. Wiedział też, że na pewno nie zdaje sobie sprawy z tego, co się tutaj dzieje.

Mijały kolejne minuty. Wkrótce uzbierał się z nich pierwszy kwadrans. Za nim przeleciał drugi i już rozpoczynał się kolejny.

– Idź po nią. – JEJ głos był przesycony złością i zniecierpliwieniem.

– Już idę.

– Tylko jak jej coś zrobisz...

– Nic nie zrobię. Ona jest twoja.



– Doskonale.

Chłopiec ruszył wzdłuż korytarza. Minął ustawione w rzędzie siostry, czując dojmujący chłód, jaki panował w tym miejscu. Gdy gdzieś pojawiała się ONA, temperatura zawsze spadała o kilka, czasem nawet kilkanaście stopni. Był już do tego tak przyzwyczajony, że nie zawsze to odczuwał. Siostry jednak wyglądały tak, jakby miały zaraz zamarznąć.

Minął drzwi świetlicy i dotarł do schodów. Było tu ciemniej niż zazwyczaj. Spojrzał w górę i zobaczył, że dwie z trzech żarówek roztrzaskały się na kawałki. Niewielkie odłamki szkła pokrywały dywan, czekając tylko, aż ktoś przebiegnie tędy bosą.

Wspiął się na pierwsze piętro. Tu również było strasznie zimno. Zastanawiał się, jakim cudem siostra Ezechiela jeszcze nie opuściła swojego gabinetu, żeby sprawdzić, co się dzieje. Przypuszczał, że w całym budynku jest tak zimno, a dobrze wiedział, że ta kobieta nienawidzi niskich temperatur. Zimą praktycznie nie wychodziła na zewnątrz, a gdy tylko w środku robiło się trochę chłodniej niż zazwyczaj, stawiała cały personel i elektrownię na głowie, aby temperatura wróciła do normy.

*Może zamarła?*

Drugie piętro okazało się jeszcze ciemniejsze. To było dość dziwne, ponieważ wszystkie żarówki wydawały się działać bez zarzutu. Coś jednak pochłaniało ich światło. Kacper wyobraził sobie coś na kształt odpowiednika odkurzacza, który zamiast kurzu i kłaków chciwie wciąga każdą wiązkę światła.

Zwolnił kroku. Wyraźnie słyszał każde jęknięcie schodów, które nieznacznie ugiwały się pod ciężarem jego ciała.

Z każdym krokiem stawało się coraz chłodniej. Wydobywające się z jego ust obłoczki pary wydawały się od razu zamarzać. Chłopiec zaczął drżeć na całym ciele. Czuł się, jakby znowu uciekł z gabinetu siostry Ezechieli i w samej bluzie przedzierał się przez sięgający kolan śnieg.

Dotarł na trzecie piętro, gdzie panowały zupełne ciemności. Nie miał pojęcia, gdzie może znajdować się włącznik światła. Korytarz był zupełnie pusty. Jego koniec wydawał się nieskończenie głęboką czarną czeluścią, z której nie ma drogi powrotu. Już chciał zrobić pierwszy krok, lecz coś go powstrzymało.

*Strach?*

Potrząsnął głową, aby odpędzić tę absurdalną myśl, po czym niepewnym krokiem ruszył wzdłuż korytarza. Jego nadzwyczaj czuły wzrok szybko przyzwyczał się do panującego na korytarzu mroku i bez większego problemu rejestrował mijane drzwi. Z każdym krokiem przybliżającym go do gabinetu siostry Ezechieli, Kacper czuł coraz większą euforię.

Wreszcie dotarł na miejsce. Po raz kolejny tego dnia przyłożył ucho do ciężkich drzwi gabinetu.

Cisza.

Rozejrzał się niczym przechodzień na przejściu bez sygnalizacji. Mając stuprocentową pewność, że na korytarzu nikogo nie ma, lekko nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte. Zdecydowanym ruchem pchnął je i wszedł do środka.

Zakonnica siedziała przy biurku. Jej twarz oświetlało mdłe światło niewielkiej staroświeckiej lampki z wyjątkowo paskudnym abażurem. Patrząc na niego, Kacper oczami wyobraźni widział, jak używa go zamiast papieru toaletowego. Potrząsnął lekko głową, aby wyrzucić tę myśl. Coraz częściej przyłapywał się na tym, że w najmniej odpowiednich momentach do jego zdezelowanego umysłu zakradają się całkowicie niepotrzebne i bezsensowne myśli.

Wrócił wzrokiem do twarzy siostry Ezechieli. Cienie, które na nią padały, zdawały się jeszcze bardziej pogłębiać zmarszczki. Teraz jej twarz wyglądała, jakby była poorana głębokimi pęknięciami. Oczy kobiety były jeszcze bardziej

wodniste niż zazwyczaj. Tęczówki wydawały się niemal całkowicie wypłukane z koloru.

– Czego chcesz? – Głos siostry Ezechieli był pozbawiony wyrazu. Lekko drżał, co z pewnością było spowodowane zimnem, które nie ominęło również tego pomieszczenia.

– Przeszedłem po siostrę – odparł Kacper, siląc się na równie pozbawiony uczuć ton.

– Siostrę? – Kobieta lekko się wyprostowała i zmierzyła go od stóp do głów. – Od kiedy jesteś dla mnie taki miły?

Chłopiec musiał chwilę pomyśleć, nim udzielił odpowiedzi.

– Może zrobiłem coś, czego teraz bardzo żałuję.

– Co takiego?

Udając skruszonego, spuścił głowę i wbił wzrok w czubki butów. Ton głosu siostry Ezechieli wskazywał na to, że ryba była bliska połknięcia haczyka. Teraz wystarczyło odpowiednio szarpnąć, aby haczyk znalazł stałe oparcie w jej podniebieniu i zaczął się zagłębiać.

– Nie wiem, co się ostatnio ze mną dzieje – powiedział, przybierając jeszcze smutniejszy ton głosu. Teraz brzmiał jak żałobnik, który jako jeden z niewielu szczerze współczuje komuś straty.

– Ja za to wiem, co się z tobą dzieje.

Zakonnica wstała i przez chwilę bez ruchu wpatrywała się w zgarbionego chłopca. Zdziwienie, jakie musiała teraz odczuwać, było na tyle duże, że zapomniała o zimnie i przestała drżeć. W tym czasie Kacper niemal usłyszał chrupnięcie, z jakim haczyk wbija się w jej ciało. Teraz przynęta nie miała żadnej drogi ucieczki. Wystarczyło użyć kołowrotka i zakonnica dostanie się w JEJ ręce.

Usłyszał ostrożne kroki. Jego wyostrzony węch poczuł woń starych ubrań i ciała, które od kilku dni nie miało styczności z wodą i mydłem.

– Wytlumaczyłabym ci po mojemu, gdzie popełniłeś błąd, ale obawiam się, że mogłoby się to dla ciebie skończyć bardzo źle. – W głosie kobiety słychać było dawną, trudną do opanowania agresję.

– Rozumiem.

– Mam nadzieję, że rozumiesz, bo drugi raz nie będę dla ciebie taka miła.

Kacper nie odpowiedział. Na usta cisnęło mu się bardzo dużo odpowiedzi, którymi dołączyłby oliwy do ognia, aczkolwiek nie miał na celu rozwścieczenia zakonnicy tylko nakłonienie jej, aby dobrowolnie zeszła na dół. Czuł, że ONA zaczyna się coraz bardziej niecierpliwić. Musiał szybko skończyć pogaduchy z zakonnicy i zacząć działać.

– Chcę się jeszcze do czegoś przyznać – pisnął.

– Do czego?

Jęknął, jakby miało zaraz spotkać go coś bardzo złego. Stłumił udawany szloch, aby nadać swojej wypowiedzi jeszcze więcej żałości. Wiedział, że w ten sposób siostra Ezechiela da się na wszystko nabrać.

– Bo coś się stało z księdzem.

– Z księdzem? – Kobieta wytrzeszczyła z przerażeniem oczy, po czym, nie mogąc się opanować, dopadła chłopca.

Kacper poczuł szponiaste paluchy, które z potworną siłą wbiły się w jego ramiona. Teraz przynajmniej miał zdolność ignorowania bólu, ale nie wątpił, że gdyby go normalnie odczuwał, darłby się jak obdzierany ze skóry.

– Gadaj, co mu zrobiłeś?! – ryknęła kobieta, opryskując twarz chłopca kropelkami śliny.

– Przeszedłem obok niego, a on po prostu złapał się za serce, coś powiedział i upadł. To było niedaleko drzwi wyjściowych. Próbowałem go jakoś obudzić, ale nie pomogło, więc przyszedłem do siostry.

– Jezu Chryste, i dopiero teraz o tym mówisz?! Zostań tu i ani się waż ruszyć choćby na krok! Porozmawiamy jak wrócę.

Zakonnica wybiegła z gabinetu, jakby z powrotem miała dwadzieścia kilka lat. Zamknęła za sobą drzwi na klucz.

Gdy tylko jej szybkie kroki ucichły, Kacper odrzucił głowę w tył i ryknął niskim, nienaturalnym śmiechem. Złowieszczy odgłos rozniósł się echem po wnętrzu gabinetu, sprawiając, że stare szyby zadrżały.

Nie spieszyło mu się. Wiedział, że i tak zdąży na całe widowisko. Po opanowaniu śmiechu podszedł do drzwi i chwycił za klamkę. Spodziewał się, że zamek ustąpi. Odkąd miał swój dar, takie przyziemne rzeczy, jak drzwi zamknięte na klucz, nie były dla niego żadnym ograniczeniem. Po prostu otwierał je tak, jakby nikt nie przekręcił klucza.

Tym razem jednak drzwi nie ustąpiły. Z ust Kacpra wyrwał się jęk zaskoczenia. Nie spodziewał się, że stworzona przez człowieka bariera będzie go w stanie zatrzymać.

Przez chwilę stał bez ruchu, całkowicie zdezorientowany. Zamknięte przez siostrę Ezechiele drzwi sprawiły, że poczuł się nagi i zupełnie bezbronny. Szarpnął za klamkę z całych sił, lecz ta wydawała się chodzić coraz ciężiej.

– Cholera – syknął. – Jak nie chcesz po dobroci, to będzie siłą.

Sięgnął po energię. Tym razem to nie było takie proste. Zazwyczaj energia była gdzieś w jego podświadomości i wystarczyło o niej pomyśleć. Teraz musiał skorzystać ze sztuczki, której często używał na samym początku, nim jeszcze energia stała się dla niego czymś naturalnym. Wyobraził sobie jak czerpie ze studni. Wrzucił w otchłań stare aluminiowe wiadro i czekał na plusk.

Coś było nie tak. Przez długi czas nie było niczego słychać. Zupełnie jakby wiadro jakimś cudem zatrzymało się lub nadal leciało. Nigdy nie trwało to aż tak długo.

Wreszcie jego uszu dobiegło głuche łupnięcie. Ciężko było stwierdzić, czy ten odgłos został wywołany przez uderzenie wiadra w powierzchnię wody, czy może w suche dno studni. Kacper poczuł ukłucie niepokoju.

Począł chwilę, po czym zaczął wciągać linę. W tym momencie jego skamieniałe serce przeszła strzała strachu. Wiadro było zdecydowanie zbyt lekkie. Nim zdążył je wyciągnąć, był już pewny, że jest puste. Spojrzenie było tylko formalnością.

Z początku Kacper nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Wiadro, które zawsze po wyciągnięciu ze studni spływało czarną, podobną do smoły cieczą, było teraz zupełnie puste. Na jego dnie nie było ani jednej kropli energii.

Kipiąc ze złości, Kacper cisnął wiadro w głąb studni. Po kilkunastu długich sekundach jego uszu dobiegło łupnięcie. Wiadro roztrzaskało się o suche dno.

Ostatnią deską ratunku było wyważenie drzwi. Gnany jednocześnie strachem i złością udał się na drugi koniec gabinetu. Przez chwilę stał, jakby rozważając swoje marne szanse na pokonanie solidnych i bez wątpienia wytrzymałych drzwi.

W końcu rozpędził się i całym ciałem runął na drzwi. Usłyszał trzask w klatce piersiowej, lecz nie poczuł bólu. Bodziec ten dotarł do jego mózgu dopiero po kolejnych dwóch nieudanych próbach wyważenia drzwi.

Miał już wziąć kolejny rozpęd, ale wtedy złapał się za bok i zawył z bólu. Nagle zabrakło mu sił do dalszych prób. Oparł się tylko o ścianę i, nie puszczając obolałego boku, powoli osunął do pozycji siedzącej. Czuł, że stracił coś bardzo ważnego – część siebie, bez której na powrót stał się małym bezbronnym chłopcem.

\* \* \*

Ocknął się, jakby ktoś przebudził go ze snu. Zamrugał oczami, przed którymi z początku była tylko nieprzenikniona czerń. Zdał sobie sprawę, że siedzi na czymś mokrym, a intensywny zapach wilgotnych liści i kory przypomniał mu, że jest na podwórku przed Domem Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia.

Był już tak blisko, ale ściana znowu okazała się silniejsza. A może był w błędzie? Może nie dostrzegał najslabszego punktu konstrukcji, który był na wyciągnięcie ręki?

Ponownie stanął przed murem. Teraz nie miał zamiaru po raz kolejny cofać się do tego samego miejsca. Bardzo dokładnie, cegła po cegle, zaczął przeglądać szorstką ścianę. Po jakimś czasie znalazł to, czego szukał. Jedna z cegieł naznaczona była głęboką rysą, która biegła przez całą jej długość. Pęknięcie było na tyle szerokie, że po uważnym przyjrzeniu się widać było światło, przedzierające się ze świata znajdującego się za murem.

Wyciągnął rękę w kierunku uszkodzonej cegły. Wystarczyło tylko lekkie popchnięcie.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY W DOMU

Było już bardzo późno, lecz i tak wiedział, że jego matka nie będzie spała. Zbyt wiele stało się w tak krótkim czasie, aby teraz mogła zaznać snu.

Wyrzucił niedopałek przez okno i nieco przyspieszył. Czuł, jak jego powieki zaczynają robić się coraz cięższe. Wzdrygnął się i zamrugał kilka razy. Był już blisko i nie chciał na ostatniej prostej wpakować się w drzewo.

Przez całą drogę w jego głowie panowała zupełna pustka. Ostatnie wydarzenia skatowały jego przemęczony mózg, który teraz leżał w kałuży własnej krwi i miał już dość wytwarzania coraz gorszych myśli. Każda część ciała Roberta czuła to samo. Mężczyzna miał dość wszystkiego, co działo się w jego życiu. Czuł, że z drapieżnika stał się zwierzyną – jednym z nielicznych osobników, na które można jeszcze było zapolować. Miał bardzo mało czasu.

Zajechał na podjazd. Jak przypuszczał, jego matka nie spała. Siedziała na ganku, szczelnie owinięta szlafrokiem, i paliła papierosa. Widok ten nieco go zdziwił. Nie pamiętał, aby kiedykolwiek paliła. Była raczej przeciwniczką tego nałogu i zawsze robiła mu wyrzuty, kiedy tylko poczuła od niego papierosy.

Wysiadł z samochodu i spojrzał na dom. Nie mogło jeszcze do niego dotrzeć, że to miejsce już nigdy nie będzie takie jak wcześniej. Dom w znaczeniu budynku nadal pozostanie w niezmienionej formie, lecz dom w znaczeniu więzi i rodziny właśnie się rozpadł. Zabrakło ważnych elementów, bez których ta układanka straciła swój sens.

Odetchnął i podszedł do matki. Kobieta siedziała jak posąg, nie zwracając na niego uwagi.

– Długo kazałeś na siebie czekać – powiedziała z wyrzutem.



Robert nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Bolesna prawda, która płynęła ze słów matki, była nie do podważenia.

– Przepraszam.

Słowa mężczyzny ucichły w bezkresnej czerni nocy.

– Od kiedy palisz? – Robert wypowiedział te słowa, zanim zdążył ugryźć się język.

– Znalazłam papierosy w twojej starej kurtce. Przydały się.

Głos starszej kobiety nagle się załamał. Robert delikatnie objął matkę, jakby ta była porcelanową figurką, która przy mocniejszym wstrząsie rozleci się na drobne kawałki. Czuł jak jej ciało dygocze niczym w febrze.

– N-n-nie w-wierzę... – zaszlochała – N-n-najp-p-pierw K-Kasia. T-t-teraz o-on...

Szloch zamienił się w głośny płacz. Robert sam czuł napływające łzy, ale starał się nie złamać. Nie chodziło tu tylko o to, że jego charakter nie pozwalał mu na okazywanie słabości. Płakać mu się chciało bardziej z faktu, że jego matka nie wiedziała jeszcze o śmierci Mateusza. Widząc, w jakim jest stanie, nie chciał dobijać jej wiadomością o stracie jedyne wnuka.

– J-jak to m-mogło się s-stać? – zapytała.

Robert wiedział, że jego matka oczekuje odpowiedzi. Nigdy nie zadawała pustych pytań do ogółu, dając im wolną wolę i nie czekając na konkretną odpowiedź. Ona była zupełnie innym typem człowieka. Porządnym, poukładanym, punktualnym, który wie, czego chce i nie ma zwyczaju zadawania bezsensownych pytań. Każde jej polecenie musiało zostać wykonane, a pytanie nie miało prawa pozostać bez odpowiedzi. W tonie jej głosu wyraźnie było słychać, że jest tak również teraz.

Zaczął się zastanawiać. To nie było łatwe pytanie. Można je było interpretować na wiele sposobów, a odpowiedzi były setki, jak nie tysiące, z czego każda najprawdopodobniej mylna.

Cholesterol? Tysiące papierosów, które jego ojciec wypalił przez ponad trzydzieści lat życia w nałogu? A może to, że jedyny dobrze rozwinięty mięsień w jego ciele nosił nazwę musculus corylus – mięsień piwny? A może to był zły trop i trzeba było popuścić wodze fantazji i udać się do świata ciem, które są niczym mityczny Tanatos?

Czuł, że minęło już zbyt dużo czasu. Musiał szybko udzielić odpowiedzi na to nieprzyjemne pytanie. I nie mógł tu powiedzieć „nie wiem”.

– Każdy ma swoją kartę – odezwał się zachrypniętym głosem. – Pech chciał, że karty taty i Kasi grały w tej samej drużynie.

– Ty to masz porównania. – Pomimo łamiącego się głosu, kobieta uśmiechnęła się. Otarła łzy brzegiem dłoni i spojrzała na niego nieco bardziej przytomnym wzrokiem. – Musisz odpocząć – stwierdziła.

– Chciałbym, ale nie mam na to czasu – odparł Robert, odwzajemniając uśmiech i zdając sobie jednocześnie sprawę z tego, że wyszedł mu grymas przywodzący na myśl kota, który znalazł się na pustyni i z nadmiaru możliwości nie ma pojęcia, gdzie zastawić minę.

Kobieta pokiwała głową, po czym wstała.

– Chodź do domu. Zimno tu.

Robert wstał i poszedł za matką. Brak jednej z najważniejszych osób dało się wyraźnie wyczuć zaraz po przekroczeniu progu. Dom był w pewnym sensie pusty, a powietrze zdawało się zalegać gęstą chmurą kilka centymetrów pod sufitem.

Usiedli w kuchni. Robert zerknął na popielniczkę, po czym odruchowo wyciągnął paczkę i odpalił papierosa.

– Musisz z tym skończyć – odezwała się jego matka, stawiając pełny czajnik na kuchence. – To cię w końcu zabije.

– Nie ma reguły – odparł Robert. – Równie dobrze mogę takim sposobem dożyć setki i potrąci mnie samochód prowadzony przez pijanego kierowcę. A poza tym, z tego co widziałem, to ktoś tu też popała.

Karcące spojrzenie matki sprawiło, że Robert przestał mówić. Fakt, że ona sama przed chwilą paliła, miał pozostać bez komentarza.

– Może i paliłam, ale nie palę nałogowo. Widzisz, co się stało z ojcem.

Po tych słowach odwróciła się i wyciągnęła z szafki dwa kubki. Jeden biały, z ręcznie malowanymi wzorkami, a drugi czarny, z resztkami nadruku przedstawiającego kapelę, której Robert maniakalnie słuchał, będąc nastolatkiem. Do obu kubków nasypała pokruszonych liści zielonej herbaty. Robert za każdym razem powtarzał matce, że nienawidzi tej herbaty, lecz ona i tak mu ją robiła, twierdząc, że pomoże to zminimalizować skutki palenia. Może i faktycznie coś w tym było, ale on nie zwracał na to uwagi. Napar był beznadziejny w smaku i podjeżdżał zepsutą rybą, co niemal doprowadzało go do mdłości. Wolał już dostać rozedmy, niż pić zieloną herbatę. Dzisiaj jednak musiał przełknąć zawartość kubka bez ani jednego słowa sprzeciwu.

Wypuścił nosem chmurę dymu, która uniosła się w górę i wyleciała przez rozszczelnione okno.

– Kiedyś pewnie rzucę, ale mam stresującą pracę.

– Mówisz jak ojciec – odparła. – On też zawsze powtarzał, że pali, bo praca go stresuje.

– Owszem, mówił tak, ale on był nauczycielem polskiego w podstawówce. Ja jestem detektywem. W mojej pracy na pewno jest więcej nerwów niż z kilkuletnimi dziećmi.

– Bronisz się – oznajmiła, po czym naląła do kubków wrzątku. Niemal od razu Robert poczuł charakterystyczny

zapach. Zakręciło mu się w głowie, a jego żołądek gwałtownie się skurczył.

– Masz może cukier? – zapytał.

– Chcesz dostać jeszcze cukrzycy? – zapytała z oburzeniem.

Gdyby tylko mógł, przewróciłby oczami. Nie był w domu od kilku tygodni, a już zdążył zapomnieć, że jego matka, która fanatycznie ogląda pseudomedyczne programy i czyta setki wątpliwie wiarygodnych czasopism i książek, uważa cukier za bliźniaczkę białej śmierci, czyli soli.

Przypomniało mu się, że jakiś rok temu zaczęła zamawiać butelkowaną wodę z jakiegoś uzdrowiska, bo w jednej z książek przeczytała, że zwykła woda z kranu ma strukturę, której organizm nie jest w stanie przyswoić. Nie miał pojęcia, kto napisał te bzdury, ale chętnie zakułby tego delikwenta i zamknął za oszukiwanie naiwnych ludzi.

Z zamyślenia wyrwał go widok niewielkiego pudełeczka, które matka położyła mu obok kubka. Ksylitol. Mężczyzna jęknął w duchu, przypominając sobie rewelacje żołądkowe, których dostał po ostatnim spożyciu tego brzoźowego cholerstwa. Stwierdził, że jednak odpuści słodzenie. Wolał nie być przykuty przez pół dnia do muszli klozetowej.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Robert popijał ohydłą herbatę. Łyki były dość duże, choć zawartość kubka wcale nie wydawała się zmniejszać.

– Powinnaś wyjechać na kilka dni – oznajmił wreszcie.

– Ja?

– Tak, ty.

Kobieta odłożyła swój kubek. Spojrzała na niego uważnie.

– Dlaczego miałabym wyjeżdżać, skoro teraz jest dużo załatwiania na głowie? – zapytała. – Trzeba pochować prawie połowę rodziny i ktoś musi zająć się Mateuszem.

W Robercie coś pękło. Poczul spływające po policzkach łzy, nim zdążył się opanować.

– Mateusz też nie żyje.

– Co?

– Popęłnił dziś samobójstwo.

– Jak to samobójstwo? Jak?

– Nie chcę mówić o szczegółach. Byłem w szpitalu, dlatego nie mogłem przyjechać wcześniej. Nie chciałem ci mówić o tym przez telefon...

– O Boże...

Kobieta ukryła twarz w dłoniach i po raz kolejny się rozpląkała. Robert otarł szybko wilgoć spod oczu i podszedł do matki. Nim zdołał ją względnie uspokoić, zauważył, że za oknem czerń nocy zaczyna ustępować szarości świtu.

– Możesz mi coś obiecać? – zapytał.

– Zależy co.

– Zorganizujemy pogrzeby w ciągu najbliższych dwóch dni. Po tym wyjedziesz do Marysi.

– Marysia zmarła rok temu.

– To do innej koleżanki. Na pewno jakieś jeszcze masz. Po prostu wyjedź na kilka dni z miasta. Zapłacę ci za podróż, ale nie zostawaj tu sama.

Kobieta przez chwilę milczała.

– Dlaczego tak ci zależy na tym, żebym wyjechała? – Ton jej głosu stał się podejrzliwy.

– Bo dzieje się tutaj coś bardzo złego, czego do końca nie rozumiem. Możesz to zrobić, chociażby dla mnie?

Pomarszczona twarz jego matki zastygła bez wyrazu. Dobrze znał ten widok. Kobieta już planowała. Poczul ulgę.

– No dobrze – odezwała się w końcu. – Wyjadę na kilka dni, skoro tak bardzo ci na tym zależy, ale nie wcześniej jak po pogrzebach.

– Jasne – odparł Robert. – Po pogrzebach.

Gdy kilka minut później szedł do swojego starego pokoju, aby chwilę się przespać, już miał zaplanowaną listę numerów,

pod które zadzwoni z samego rana, aby popchnąć terminy pochówków.

Padł na łóżko, nawet nie ściągając z siebie ubrań, i natychmiast zasnął.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

### MROCZNA TAJEMNICA

Położył dłoń na pękniętej cegle, czując nieprzyjemne ciepło, jakie emanowało od muru. Ściana w dotyku wydawała się żyjącym, oślizgłym organizmem, którego skurcze przywodziły na myśl napuchnięte od nadmiaru gazów jelita. Kacper wzdrygnął się mimowolnie, a jego pusty żołądek boleśnie się ścisnął.

Zaskoczyło go, że w ogóle nie musiał wkładać siły, aby wypchnąć cegłę. Kamień ustąpił pod wpływem samego dotyku, zupełnie jakby został stworzony do tego, aby przepuścić osobę, która postanowiła poszukać innej drogi pokonania skalnej bariery. Zniknął gdzieś, pozostawiając po sobie lukę, z której sączył się snop białego światła.

Ostrożnie podsunął twarz do wyrwy w murze i zobaczył samego siebie, opartego o ścianę w gabinecie siostry Ezechieli.

Zamknął oczy i już po chwili poczuł woń starych mebli.

Jego serce tłukło się galopem. ONA odebrała mu energię, aby nie mógł zobaczyć tego, co miało się stać na dole. Najprawdopodobniej przez cały czas coś knuła, lecz wysłanie go do gabinetu siostry Ezechieli było znacznie łatwiejsze. Skorzystała z okazji, a on nawet nie wyczuł, że coś może być nie tak.

Poczuł chłód, jaki panował w gabinecie. To pozwoliło mu wrócić do działania. Wiedział, że po pokonaniu muru wszystkie drzwi stoją przed nim otworem. Podobnie było z tymi. Wystarczyło tylko włożyć rękę do kieszeni i wyciągnąć stary mosiężny klucz, który teraz w niej tkwił.

Podszedł do drzwi i otworzył je. Korytarz wyglądał teraz jak wyjęty ze snu. Dookoła było całkowicie ciemno. Czerń przecinały pojedyncze blaski białego światła, które pojawiały się znikąd zupełnie tak, jakby to powietrze było

naelektryzowane i każda unosząca się w nim drobinka kurzu wywoływała wyładowanie. Słyszał również jednostajny szum, lecz nie był w stanie określić jego źródła. Dopiero, gdy wyszedł z gabinetu, na jego twarz padł grad ciem, które w popłochu odbijały się od skóry i albo wracały do lotu, albo spadały na podłogę.

Oślaniając oczy, ruszył powoli przed siebie. Ilość ciem w tym korytarzu była niewyobrażalna. Owady frunęły nieprzerwaną kaskadą. W jednym z błysków światła Kacper zdołał się rozejrzeć. Nie miał pojęcia, gdzie się dokładnie znajduje. Cały widok zasłaniały niezliczone ilości trzepoczących skrzydełek. Nie dało się dostrzec nawet ścian. Pozostawało mu tylko mozolne brnięcie do przodu.

Żałował, że nie może już używać energii. Był przekonany, że wkrótce ją odzyska, ale zastanawiało go, dlaczego ONA odebrała mu ten dar w momencie, na który tak czekał. Zaskakujące było również to, że nie czuje żadnych ostrzeżeń z jej strony. Żadnego mrowienia w gardle. Możliwe, że te wszystkie ómy były tu właśnie po to, aby uniemożliwić mu dotarcie na dół, choć szczerze w to wątpił. Raczej kryło się za tym coś zupełnie innego.

Dotarł do zakrętu. Wiedział, gdzie jest, tylko dzięki temu, że szedł sunąc palcem po ścianie, której zresztą nawet nie widział. Ostrożnie wymacał pierwszy stopień, zaraz po nim drugi, trzeci i kolejny.

Tutaj też roilo się od ciem i było jeszcze ciemniej. Ktoś stłukł żarówkę, które jeszcze tu były gdy szedł po siostrę Ezechiele. Tylko wzmożona czujność chroniła go przed bolesnym upadkiem ze schodów.

Wydawało mu się, że wędrówka na dół trwa całe godziny. Zorientował się, że jest już blisko dopiero w momencie, kiedy potok ciem zaczął się przerzedzać. Spośród słabnącego trzepotu skrzydełek dał się słyszeć monotonny pomruk.



Staął pod ścianą i lekko wychylił głowę. Widok, jaki ujrzał, jeszcze kilkanaście minut temu wprowadziłby go w zachwyt, lecz teraz wywołał falę strachu. Pomruk wydawał chór zakonnicy, które lewitowały głowami w dół kilka centymetrów nad podłogą.

Wychylił się jeszcze trochę. Wszystko rozświetlone było mdłą żółtą poświatą. ONA po raz kolejny przybrała jedną ze swoich upiornych postaci. To była zdecydowanie najgorsza forma, jaką dotąd widział.

Czaszka była praktycznie goła. Tylko miejscami dało się dostrzec niewielkie skrawki gnijącego ciała. Jedno oko było szkliste i zapadnięte, drugiego natomiast brakowało. Pusty oczodół wydawał się nieskończenie głęboką dziurą, z której dna sączyło się to samo żółte światło.

Cała sylwetka była nieco wyższa niż zazwyczaj. Suknia była ta sama, lecz wyglądała tak, jakby przez ostatnie sto lat leżała na zawilgoconym strychu. Przez liczne rozdarcia przebijały się żebra, ustawione pod najróżniejszymi kątami, jakby ktoś nieumiejętnie złożył szkielet.

Najdziwniejsze w tym wszystkim okazały się jednak włosy. Długie, czarne i nieskazitelnie piękne, stanowiły całkowite przeciwieństwo reszty postaci. ONA była teraz martwa, lecz włosy miały się całkiem nieźle. Wyglądała, jakby była wytworem niezrównoważonego psychicznie malarza, który postanowił w dobitny sposób ukazać kontrast między życiem a śmiercią.

Kacper usłyszał za sobą kroki. Odwrócił się szybko i zamarł z wytrzeszczonymi oczami. Przed nim stała siostra Ezechiela. Nie spodziewał się jej tutaj. Był przekonany, że podobnie jak pozostałe kobiety, również i ona znajduje się w pomrukującym chórze dusz u schyłku ziemskiej egzystencji.

Już miał coś powiedzieć, ale wtedy siostra Ezechiela minęła go bez słowa. Zdał sobie sprawę z tego, że kobieta

najprawdopodobniej go nie widzi. To przyniosło mu ulgę, choć i tak wolał nie ryzykować ujawniania się. Siostra Ezechiela była w końcu tylko człowiekiem. To, że go nie widziała, nie oznaczało, że ONA również będzie ślepa.

Ponownie wychylił głowę.

– Mamo, jak miło cię widzieć. – JEJ głos brzmiał jak nienaoliwione zawiasy, był piskliwy i niemal fizycznie ranił uszy.

– C-co ty t-tu r-r-robisz?

Kacper drgnął. Jeszcze nigdy w życiu nie słyszał w głosie człowieka tak ogromnego strachu.

– To nie było zbyt miłe. – Teraz JEJ głos wywoływał reakcję identyczną jak przy darciu paznokciami o szkolną tablicę.

– P-p-po pros-s-stu...

– Zapomniałaś o swojej córeczce, więc córeczka przyszła do ciebie.

Siostra Ezechiela nie odpowiedziała. Kacper zdobył się na nieco więcej odwagi i wychylił się jeszcze trochę. Stara zakonnica stała odwrócona do niego plecami. Była teraz jeszcze bardziej bezbronna niż przez wszystkie ostatnie dni. ONA górowała nad nią niczym demon, który przyszedł upomnieć się o należną duszę.

Skowyt zakonnicy wiszących głowami w dół stał się jeszcze głośniejszy. Siostra Ezechiela zaczęła szlochać.

– Myślałam, że będziesz mi miała więcej do powiedzenia po tylu latach. Już nawet sama nie pamiętam, ile to minęło czasu odkąd zabiłaś mnie w swoim gabinecie i zakopałaś w lesie jak psa. Myślałaś, że ci to odpuszczę?

Ezechiela nadal milczała.

– PYTAM SIĘ! – Słowa te zostały wykrzyczane rykiem, który ciężko było przypisać któremukolwiek z żyjących na świecie zwierząt. Taki odgłos wywołałby panikę w samym piekle. Cały

budynek wydawał się w tym momencie drzeć od fundamentów aż po kominy. Z oddali dobiegł dźwięk tłuczonego szkła.

– N-n-nie. – Głos zakonnicy balansował na granicy słyszalności.

– Błąd. Nie lubię być okłamywana.

Po tych słowach rozległ się potworny wrzask. Siostra Ezechiela padła na kolana, trzymając się za brzuch. Jej ręka wystrzeliła w górę, po czym wygięła się w nienaturalny sposób. Trzask łamanej kości był tak głośny, że Kacper sam poczuł namiastkę bólu, jaki teraz musiała czuć zakonnica. Pomimo tego nie było mu jej szkoda. Sam jeszcze dobrze pamiętał ból, jaki ta kobieta mu sprawiła. Bardziej zadziwił go fakt, że ONA jest jej córką. Z tego co wiedział, siostry zakonne nie powinny mieć dzieci, a jak już do tego dojdzie, nie mogą dalej pełnić swojej posługi. Ezechiela jednak jakimś sposobem musiała utrzymać to wszystko w tajemnicy.

Dziwiło go również to, że ONA nie wspomniała mu ani słowem, że jest córką siostry Ezechieli. Kacper doskonale wiedział, że ONA jest duszą dziewczynki, która została pochowana w lesie, ale nigdy nie próbował wnikać w to, kim ta osoba była za życia.

Krzyk nagle się urwał. Jego echo rozeszło się wzdłuż korytarza, po czym zostało wchłonięte przez rój ciem, które latały po całym budynku.

– Pewnie ciekawi cię, w jaki sposób wróciłam.

– Przez Kacpra.

– Cóż za spostrzegawczość. – JEJ śmiech był dla uszu jak długa zardzewiała igła, która powoli przebija błonę bębenkową.

– Fakt, Kacper był dla mnie nieopisaną pomocą. Początkowo chciałam, żeby tu był, ale jednak nie pozwoliłam mu wyjść z twojego gabinetu.

– Niech idzie do diabła razem z tobą – syknęła siostra Ezechiela, w której nagle pojawiły się ostatnie resztki szaleńczej

odwagi.

– A pójdzie, pójdzie – odparła ONA z uciechą. – Już ma zaklepany kocioł obok mego. W końcu zabił księdza i przyczynił się do śmierci wszystkich dzieci. No i jeszcze te siostrzyczki. One też umrą, ale jeszcze nie teraz. Za takie czyny diabeł nagradza podwójnie. – Wybuch nienaturalnego śmiechu sprawił, że gdzieś w pobliżu pękła kolejna szyba.

Do uszu Kacpra dobiegł odgłos darcia, któremu towarzyszyło intymne pojękiwanie kojarzące się z kobietą podczas orgazmu. Chłopiec spojrzał w stronę lewitujących zakonnicy. Jedna z nich była właśnie rozdierana wzdłuż. Po jej twarzy spływała parująca krew, a dziura ciągnąca się od krocza do brzucha, zaczęła ukazywać trzewia, które zaraz miały z niej wylecieć. Na twarzy kobiety widoczny był wyraz rozkoszy, jakby rozrywanie żywcem było dla niej czymś niesamowicie podniecającym.

Kacper z obrzydzeniem odwrócił głowę. Wzdrygnął się i spróbował wyrzucić z myśli ten obraz, lecz odgłosy wydawane przez rozrywaną kobietę skutecznie mu to uniemożliwiały. Po raz kolejny żałował, że wziął w tym udział. Te wszystkie dzieci i siostry nie zrobiły mu niczego złego. Winna była tylko Ezechiela, ale nie oznaczało to, że wszyscy muszą umrzeć. Niestety, maszyna śmierci rozpędziła się na dobre i chłopiec nie mógł nic na to poradzić.

Będąc pozbawionym energii, czuł wszystko tak, jak czuje normalny człowiek. Współczucie, żal, strach, obrzydzenie – to wszystko wróciło ze zdwojoną mocą i nie pozwalało mu zachować obojętności. Ludzie nie byli już pustymi istotami, którymi można poniewierać i niszczyć je na wiele wyszukanych sposobów.

Czuł się całkowicie oderwany od rzeczywistości. Nawet nie był pewny, czy to, co teraz widzi, wydarzyło się naprawdę, jest wspomnieniem, czy też może wybrykiem jego szalonej

wyobraźni. Kacper zdążył już na tyle poznać życie, że nie musiał się zbyt długo nad tym zastanawiać. Najprawdopodobniej to wszystko wydarzyło się naprawdę. Był to najgorszy i zarazem najpewniejszy ze wszystkich możliwych scenariuszy.

Ponownie spojrzął na NIA i na siostrę Ezechiele.

– Nic się nie zmieniłaś. – JEJ głos dla odmiany był teraz spokojny.

– Co masz na myśli?

– To, że nadal czerpiesz radość ze znęcania się nad słabymi. Nigdy ci się to nie znudzi, prawda?

– Każdy ma swoje słabości.

Rozległ się radosny śmiech. Z JEJ szczęki wyleciało kilka zębów, które roztrzaskały się o podłogę z nienaturalnie głośnym hukiem. Odgłosowi temu zawtórował pisk. Nie był to jednak odgłos osoby wystraszonej. Pisk przypominał bardziej nastolatkę, która próbuje się obronić przed łaskoczącym ją chłopakiem.

Kacper ponownie spojrzął na zakonnicę. Ta, która piszczała, właśnie straciła nogi. Jej usta wykrzywione były w paskudnym grymasie, który ciężko było przypisać do jakiegokolwiek ludzkiego uczucia.

Twarz umierającej kobiety zaczęła się rozmywać. Podobnie stało się z pozostałymi zakonnicami. Wszystko nagle straciło ostrość i zlało się w szarą mozaikę.

Poczuł wilgoć na policzkach i dopiero wtedy zdał sobie sprawę z tego, że płacze. Otarł szybko łzy, co przywróciło mu ostrość widzenia. Zakonnica bez nóg straciła także ręce, a jej głowa zaczęła niebezpiecznie odchylać się do tyłu.

Kacper przeniósł wzrok na zakonnicę, która pierwsza padła ofiarą JEJ tortur. Kobieta już nie pojękiwała. Całe jej ciało zostało wypatroszone jak marketowy kurczak. Została tylko pusta skorupa, na którą składały się skóra, mięśnie i kości.

– Widzisz, co przez ciebie się tutaj dzieje? – JEJ głos sprawił, że Kacper odwrócił się jak na komendę. W wyniku zdezorientowania z początku myślał, że słowa te zaadresowane są bezpośrednio do niego. Dopiero gdy zobaczył plecy siostry Ezechieli przypomniał sobie, że go tutaj nie ma. Jest niewidzialnym bytem, który wszystko obserwuje, ale nie ma żadnej ingerencji w wydarzenia. Stał się jedynym widzem najbrutalniejszego horroru wszechczasów.

Stara zakonnica milczała. Dopiero, gdy za plecami Kacpra rozległ się pełen bólu krzyk i kilkanaście głośnych chrupnięć, Ezechiela krzyknęła:

– Przestań, więdźmo!

– Więdźmo? – parsknęła ONA. – Może to nie jest aż takie mylne określenie. W końcu wyglądam jak chcę i znam trochę sztuczek.

Kolejny wrzask wgrzył się z obolałą głowę Kacpra. Złamana ręka siostry Ezechieli, wbrew jej woli, zaczęła wyginać się we wszystkie strony.

– PRZESTAŃ!

– Bo co? Znowu mnie pobijesz?

– PROSZĘ, PRZESTAŃ, NA BOGA!

– Boga tutaj nie ma. Nikt ci nie pomoże.

– ZLITUJ SIĘ!!!

Po tych słowach ręka starej zakonnicy zaczęła okręcać się wokół własnej osi. Kobieta wyła nie mogąc złapać tchu. Jej wrzaskom zaczął wtórować chór zakonnicy. Jedne erotycznie pojękiwały, inne popiskiwały, a jeszcze inne darły się, jakby ktoś żywcem obdzierał je ze skóry. Sądząc po odgłosach, rzeczywiście mogło tak być. Chłopiec wolał jednak się temu nie przyglądać. Stłumił napływające łzy i skupił się na ręce siostry Ezechieli.

Pomarszczona skóra napięła się do granic wytrzymałości. Kacper niemal słyszał, jak pęka. Chwilę później na ręce siostry

Ezechieli pojawiła się siatka pęknięć, które bardzo szybko zaczęły się powiększać i łączyć ze sobą. Wrzask kobiety był nie do zniesienia, sprawiał, że niemal rozsadzało mu głowę. Chłopiec zatkał palcami uszy, lecz niewiele to dało.

Widok ten, pomimo swojego okrucieństwa, był bardzo satysfakcjonujący. Wreszcie stało się coś, na co sobie ta kobieta zasłużyła. Jej prawa dłoń – ta, która wymierzała ciosy linijką, rzucała doniczką i bezlitośnie biła po twarzy – teraz traciła styczność z resztą ciała. Kacper widział, jak napięte mięśnie rozwalają się na kawałki, które lądują na podłodze w kałuży krwi. Ręka trzymała się teraz na splocie żył i ścięgien, które pękały niczym zbyt mocno naciągnięte struny gitary.

Nagle wszystko ustało. Siostra Ezechiela przestała krzyczeć, a odgłosy wydawane przez chór umierających zakonnic stały się jakieś odległe.

JEJ wzrok objął całe otoczenie. Przez upiorną chwilę zatrzymał się na Kacprze, który był przekonany, że go dostrzegła. Strach sparaliżował jego kończyny, przez co nie był w stanie się ruszyć, nie mówiąc już o ucieczce. Mógł tylko stać w miejscu i czekać, aż ONA zmieni swój obiekt zainteresowania lub rozerwie go jak szmacianą lalkę.

Poczuł ulgę dopiero wtedy, gdy z powrotem spojrzała na siostrę Ezechiele.

– Fajnie było?

-N-n-nie.

– No to teraz wyobraź sobie, co ja czułam, kiedy byłam ledwo przytomna, a ty ciągle mi dokładałaś.

– P-prze-pra-pra-a-szam

– Wiesz, gdzie mam twoje przeprosiny? Nie wiesz jak jest tam, gdzie byłam! Nie wyobrażasz sobie bólu, jaki mi sprawiłaś, i tego, że do momentu, w którym nie spotkałam Kacpra, ból ten towarzyszył mi każdego dnia! Każdego dnia, rozumiesz?!

– Rozu...

Rozległ się głośny trzask i krzyk siostry Ezechieli. Jej ręka wystrzeliła, upadając nieopodal Kacpra. Chłopiec spojrzał z obrzydzeniem na podrygujące paliczki. Przez chwilę miał upiorne wrażenie, że ręka zaraz stanie na palcach i niczym pająk podbiegnie do niego i skoczy mu prosto na twarz.

Po raz pierwszy zapanowała całkowita cisza. Zakonnica nieco się obróciła, dzięki czemu Kacper mógł zobaczyć coś więcej niż tylko plecy. Kobieta lewą dłonią trzymała kikut i wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Z rozerwanych żył obficie płynęła krew.

Zrobiło się jeszcze zimniej. To sprawiło, że Kacper oderwał wzrok od siostry Ezechieli i z powrotem spojrzał na NIA. Na resztkach ust widać było grymas, który prawdopodobnie był jakąś formą uśmiechu.

– Wiesz, chętnie bym cię zabiła.

– Dlaczego tego nie zrobisz od razu?

– Ja w ogóle tego nie zrobię.

Siostra Ezechiela nie odpowiedziała. Jej twarz zastygła w wyrazie zdziwienia.

– Są gorsze rzeczy od śmierci – kontynuowała ONA. – Może to być dość dziwaczne, ale zdarza się, że lepiej jest umrzeć, niż żyć dalej.

– Wcale to nie będzie dla mnie karą. Nawet jak mnie teraz zabijesz, to też nic potwornego się nie stanie. Jestem stara. Już przeżyłam to, co miałam przeżyć.

ONA odpowiedziała śmiechem. Przez chwilę nie odezwała się ani słowem.

– Ty się dopiero przekonasz, że nie przeżyłaś jeszcze wszystkiego – rzekła po chwili.

– Jak wolisz – odparła siostra Ezechiela słabym głosem. – Możesz mieć jednak pewność, że jeżeli przeżyję, to zrobię wszystko, żebyś wróciła tam, skąd przyszłaś i nie miała kolejnej możliwości wejścia do tego świata.



– Zobaczymy. Myślę, że nie będziesz w stanie ruszyć się z miejsca, w którym się ukryjesz. Poza tym mój ojciec też nie jest zachwycony w związku z tym, co się stało.

– Co? – W głosie siostry Ezechieli słychać było szczerzy szok.

– Co, myślałaś, że go nigdy nie poznam? – zapytała ONA.

Siostra Ezechiela padła na kolana. Jej trupioblada skóra wydawała się emanować niezdrowym blaskiem. Na twarzy kobiety zastygł wyraz niedowierzania.

– Skąd w ogóle wiesz...

– ...kto jest moim ojcem? – wpadła jej w słowo ONA. – No cóż. Po śmierci można dowiedzieć się wielu ciekawych rzeczy. Na przykład za życia byłam przekonana, że faktycznie jestem sierotą, którą odebrano rodzicom alkoholikom, gdy miałam zaledwie pół roku. Nawet nie przeszłoby mi przez myśl, że moją matką jest siostra zakonna, a ojcem ksiądz, którego wywalili za to, że przyłapano go na kurwach. Zresztą, z tego co mi mówił, to celowo dał się złapać. Rzekomo założył jakąś sektę i też coś o tym wiesz.

– PRZESTAŃ! – Siostra Ezechiela zdobyła się na to, żeby wstać. Na pierwszy rzut oka widać było, że kosztowało ją to mnóstwo wysiłku. Chwiała się na boki, ale udało jej się zachować wyprostowaną sylwetkę.

– Podobno też byłam waszym eksperymentem. Ty miałas być czysta, a mój ojciec pozostać przeklęty. Przynajmniej on nie był hipokrytą.

– ZAMKNIJ SIĘ! – Stara zakonnica przestała się chwiać. Głęboko osadzone w białej twarzy oczy wydawały się ciskać płomienie. – Byłam młoda i głupia. Jakbym tylko mogła cofnąć czas, to zrobiłabym z tobą to samo, tylko w taki sposób, żebyś już więcej nie wylazła spod ziemi.

Słowa siostry Ezechieli rozeszły się echem. Po resztkach JEJ twarzy przebiegł czarny cień. Gdy ostatnie odbicia echa zamarły w dalszych częściach budynku, pozostała głucha cisza,

która bez wątpienia była zapowiedzią gwałtownego wybuchu. Kacper znał JEJ temperament i wiedział, że zaraz siostra Ezechiela poniesie surową karę.

Nagle uszu chłopca dobiegły odgłosy darcia i łamania. Wszystkiemu temu towarzyszyły histeryczne wrzaski i ujadanie. Chłopiec mimowolnie odwrócił głowę. Widok, który ujrzał, miał nawiedzać go w koszmarach aż do końca życia.

Siostry zakonne, które jeszcze żyły, były właśnie rozdierane na kawałki przez ogromne psy. Zwierzęta – o ile można je było tak nazwać – miały wychudzone i wybrakowane ciała. Z licznych dziur wyciekała śmierdząca maź, a spod rzadkiej i brudnej sierści wyzywająco sterczały gołe zębra. Skóra z ich pysków zwisała gnijącymi płaciami, odsłaniając poczerwiałe pieńki zębów. Większość z nich zamiast nosów miała ziejącą czarną dziurę, z której wyciekała szara breja. Najgorsze jednak były oczy tych stworów. Powieki wydawały się być zrosnięte z policzkami. Pod grubą warstwą czarnej skóry wyraźnie było widać szalejące gałki oczne.

Brak oczu nie wydawał się być dla tych istot żadną przeszkodą. Bez najmniejszych problemów dopadały wrzeszczące kobiety i rozdierały ich ciała. Kacper zauważył, że nie zabijają po to, żeby zjeść. One zabijały dla czystej zabawy. Wypluwały odgryzione fragmenty ciał i z powrotem rzucały się na bezbronne kobiety. Wszystkiemu temu towarzyszył mdlący słodkawy odór zgnilizny oraz dużo ostrzejsza woń świeżej krwi.

Jeden z psów podbiegł do siostry Ezechieli i zaczął gryźć ją po nogach.

– Widzisz, co się przez ciebie stało?! – JEJ krzyk przedarł się przez odgłosy rzezi.

– Każ mu przestać! To boli! Dość! – wrzeszczała stara zakonnica.

– Ja też krzyczałam, że boli. – Tym razem JEJ głos był cichy i spokojny. Mimo tego nadal było go dobrze słychać.

Nagle szarpnięcie odwróciło uwagę Kacpra od tego, co się dzieje. Spojrzał w dół i zobaczył dwa upiorne psy, które gryzły jego lewą nogę. Próbował odpędzić je kopnięciem, ale odkrył, że jest całkowicie sparaliżowany. Wtedy również poczuł na sobie spojrzenie. ONA go widziała.

– Nieładnie tak podglądać.

Z początku chłopiec był pewien, że ONA powiedziała to na głos. Dopiero, gdy jego mózg z dość sporym opóźnieniem wszystko przetworzył, dotarło do niego, że głos ten rozległ się w jego głowie. ONA patrzyła wprost na niego, ale jej „usta” w ogóle się nie poruszały.

Upadł. Spojrzał na swoją nogę. Niewiele z niej zostało. Zaledwie kilka strzępów mięśni i wiszących ścięgien na ogryzionej kości. Najdziwniejsze było to, że w ogóle nie czuł bólu. Widział, jak jeden z psów zabiera się właśnie za jego prawą rękę. Jednym chapnięciem pozbawił go palców. Po drugim ugryzieniu chłopiec nie miał już całej dłoni. To wszystko wyglądało tak, jakby był w filmie.

Z powrotem skupił wzrok na siostrze Ezechieli. Pies ugryzł ją jeszcze dwa razy, po czym pobiegł w jego stronę. Było mu to jednak obojętne. Skoro jego śmierć miała być bezbolesna, to był już na nią gotów. I tak nie wyobrażał sobie życia bez ręki i nóg.

Stara zakonnica miała ogromne trudności z ustaniem. Jej oszałały z bólu wzrok w ogóle nie rejestrował tego, co się dzieje. Nie widziała również fragmentów ciał pozostałych sióstr, które teraz walały się po całym pomieszczeniu. Podłoga zaczęła przypominać rzeźnię, w której wszyscy pracownicy zwariowali i po ubiciu zwierząt zaczęli ciąć siebie nawzajem.

Ujadanie ucichło. Upiorne psy nagle zniknęły, jakby rozplynęły się w powietrzu. Kilka sióstr dogorywało w niewysłowionych męczarniach. Reszta ciał została rozszarpana

na kawałki, które, niczym klocki w pokoju dziecka, rozrzucone były dosłownie wszędzie. Kacper, pomimo tego, że nie miał kończyn i siedział w kałuży własnych wnętrzności, nadal jakimś cudem żył.

ONA nagle zaczęła rosnąć. Sięgnęła głową niemal sufitu, gdy nagle rozprysła się na miliony ciem, które zaczęły wirować w zawieszynie kropelek krwi i dziwnego czerwonego pyłu, który niczym krwawy śnieg, zaczął opadać na podłogę i kawałki stygnących ciał.

– Jeszcze będziesz prosiła o śmierć! – Głos rozległ się ze wszystkich stron, jakby to same ściany zaczęły krzyczeć.

Po chwili ómy zniknęły. W pomieszczeniu zostali tylko on i siostra Ezechiela.

Obraz zaczął się rozmywać. Kacper poczuł, jakby zapadł się w głąb swojego ciała i ułamek sekundy później z powrotem znalazł się w lesie.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

### EWA

Wrócił do domu około siódmej. Krzysztof oraz Morawski właśnie kończyli śniadanie.

– W mojej lodówce było coś jadalnego? – zapytał szczerze zdziwiony.

– Tak, i właśnie ci to zjedliśmy, więc już się nie załapiesz – odparł Krzysztof. – Reszta wylądowała w śmietniku. Chleb wyglądał, jakby miał zaraz zacząć chodzić, a na szynce chyba wynaleźli już koło.

– A wydawało mi się, że słyszałem w nocy jakieś głosy – odparł Robert z udawanym zastanowieniem.

Mężczyźni roześmiali się i wspólnie wypili kawę. Byli miło zaskoczeni dopisującym humorem. Teraz wszystko wydawało im się proste. Wystarczyło tylko odszukać siostrę Ezechielę i wymyśleć sposób na to, żeby jakoś pozbyć się czegoś, co odpowiadało za wszystkie tragiczne wydarzenia, jakie miały miejsce w ciągu ostatnich tygodni.

Młodszy detektyw przypuszczał, że jeśli Bóg naprawdę istnieje, to do pozbycia się demona wystarczy egzorcysta albo zwykły ksiądz, który odmówi kilka regulek, użyje święconej wody i zrobi znak krzyża.

Po wypiciu ostatnich łyków kawy mężczyźni wsiedli do samochodu Roberta.

– Ogarnąłeś sprawę z szefem?

– Tak – odparł Krzysztof. – W tej chwili leżę w łóżku z zapaleniem płuc i wysoką gorączką. Dzwoniłem też do znajomego lekarza, który już ma dla mnie przygotowane zwolnienie.

– To świetnie.

Młodszy detektyw odpalił silnik.

– Znasz drogę do domu Ezechieli?

– Tak, wyjedź z miasta przez Zakopiańską – odpowiedział Morawski. – Później cię dokładnie pokieruję.

O tej godzinie panował dość spory ruch. Był piątek – dzień, w którym każdy ma dość po całym tygodniu pracy i tylko odlicza czas do godziny szesnastej i pierwszego popołudniowego piwa.

Pogoda była paskudna. Nisko wiszące stalowoszare chmury przypominały gęste kłęby toksycznego dymu. Kolejny z wielu nieprzyjemnych dni, które dzieliły ponure miasto od kolorowej i cieplej wiosny.

Robert ominął szerokim łukiem centrum, dzięki czemu zaoszczędził dużo czasu, paliwa i cierpliwości. Ruszył Zakopiańską w stronę lasu Borkowskiego.

– Jakież instrukcje? – zapytał, przerywając ciszę, która panowała od dłuższego czasu.

– Wyjedź całkowicie z miasta. Dopiero na zielonym zadupiu będę musiał cię pokierować.

– Jasne.

Jechali w milczeniu przez około kwadrans. Z każdym pokonanym kilometrem w ich myślach pojawiał się coraz większy niepokój. Poranny entuzjazm zaczął się gdzieś ulatniać. Zupełnie tak, jakby opuszczając miasto, zostawili za sobą również dobry humor.

Robert wpatrywał się w drogę. Białe pasy pojawiały się i znikwały, wprowadzając go w swego rodzaju stan hipnozy. Nagle poczuł ogromną senność. Początkowo próbował się temu opierać, lecz miarowy szum silnika dopełnił efektu. Uczucie znużenia stało się tak silne, że detektyw przestał walczyć z coraz cięższymi powiekami. Dał im opaść, wiedząc, że może sobie na to pozwolić. W końcu droga biegła cały czas prosto i nie była bardzo zatłoczona.

W ostatniej chwili dotarło do niego, że właśnie jedzie prawie sto na godzinę mając do tego dwóch pasażerów.

Otworzył oczy i wcisnął guzik otwierający okno. Zimne powietrze nieco go otrzeźwiło. Spojrzał w lusterko. Morawski siedział ze zwieszoną głową. Krzysztof również spał.

Zahamował gwałtownie. Samochodem zarzuciło.

– Co jest, kur... – mruknął Krzysztof nieprzytomnym głosem.

– Dlaczego stoimy? – zapytał Morawski.

– Jesteśmy za miastem. Którędy teraz?

– W lewo i cały czas prosto. To stosunkowo pusta droga. Skręć przy piątym zjeździe.

– Jasne.

Robert ruszył we wskazanym kierunku.

– Też nagle poczułem senność – powiedział.

– Może za mało snu? – zasugerował Morawski. – Jak chodzi o mnie, to chyba to było powodem. W lesie nie spało mi się za dobrze, a ostatnią noc w większości przegadaliśmy.

– To było coś innego – odparł Robert. – Będąc niewyspanym, padasz od samego rana i przez kilka godzin nie możesz funkcjonować bez paru kaw. To nie był przyпіływ zwykłej senności. To się stało zdecydowanie zbyt szybko. Poza tym jeszcze kwadrans temu czuliśmy się dobrze.

– To co to w takim razie? – zapytał Krzysztof.

– Sam chciałbym wiedzieć.

Na szybko spadły pierwsze krople deszczu, który miał zamienić się w kilkudniową ulewę.

– Nie wydaje mi się, żeby to było jakieś niewyjaśnione zjawisko – powiedział Morawski.

– A ja uważam, że to nie była zwykła senność – odpowiedział Robert. – Nie złapałoby to nas trzech w tej samej chwili. Ja też prawie zasnąłem i gdybym w ostatniej chwili się nie ocknął, to pewnie ten samochód przypominałby teraz zgniecioną puszkę, a my bylibyśmy jej wyciekającą zawartością.

Odpowiedziała mu cisza.

– Jeżeli to faktycznie coś nadprzyrodzonego wywołało naszą senność, to widocznie nie chce, żebyśmy znaleźli siostrę Ezechiele – powiedział w końcu Krzysztof.

– No to musimy się znaleźć na miejscu zanim to coś znowu spróbuje nam przeszkodzić. – Robert zjechał w wąską dróżkę i przyspieszył.

Samochód podskakiwał na wybojach i dziurach. Każdemu podskokowi towarzyszył błagalny jęk zawieszona, które nie było przystosowane do aż tak spartańskich warunków. Już na pierwszy rzut oka było widać, że od dawna nikt tędy nie jechał. Gałęzie rosnących po obu stronach drogi drzew ocierały się o boki samochodu i wściekle biły w szyby.

Robert zwolnił, obawiając się, że zawieszenie dłużej nie zniesie takich atrakcji. W dodatku droga stawała się coraz bardziej zarośnięta, co stanowiło dodatkowe utrudnienie.

Przejechali tak jeszcze jakieś dwieście metrów, po czym Robert zahamował.

– Koniec przejażdżki – powiedział. – Dalej musimy iść pieszo.

Wysiedli z samochodu. Robert odpalił papierosa i spojrzał wzdłuż drogi, która prawie całkiem zarosła.

– Jesteś pewien, że to tutaj?

– Na sto procent – odpowiedział Morawski. – To miejsce wygląda dokładnie tak jak powinno.

– Daleko do tego domu? – zapytał Krzysztof.

– Nie. Jeszcze jakieś sto metrów.

– No to idziemy.

To było najgorsze sto metrów, jakie kiedykolwiek przyszło im pokonać. Po wejściu w gęstsze zarośla zauważyli, że resztki asfaltu przechodzą w polną drogę, która przypominała teraz bagno. Niektóre kałuże głębokością sięgały powyżej kostek, a lepkie błoto chciwie pochłaniało ich buty i nie chciało tak łatwo



oddawać. Detektywi co chwilę klęli lub wzdychali z frustracją. Tylko Morawski wydawał się być spokojny.

– Nie ma innej drogi? – Krzysztof spojrział z żalem na swoje nowe buty.

– Niestety nie. Chata jest na niewielkiej polanie. Dookoła są tylko drzewa.

– No to trudno – odparł, po czym wszedł w błoto po same kostki, czemu towarzyszyło nieprzyjemne cmoknięcie.

Szli tak przez jakiś czas, obficie się pocąc i trzęsąc z zimna. W pewnym momencie Robert nie wytrzymał.

– Kurwa, miało być sto metrów, a leziemy już ze dwadzieścia minut!

– Cierpliwości – odparł Morawski uspokajającym tonem.

Nagle gęste zarośla przeszły w rzadkie krzaki. Wkrótce odgarnęli ostatnie gałęzie i wyszli na wspomnianą przez Morawskiego polanę. W pobliżu stał mały domek, lecz jego stan pozostawiał wiele do życzenia.

W oknach nie było szyb. Zamiast nich we framugi zostały wbite szerokie deski, które miały ochronić budynek przed wizytą nieproszonych gości. Ze ścian odłaził tynk, a dach składał się z krokwi, na których miejscami uchowały się pojedyncze zszarzałe dachówki.

Uwagę mężczyzn przyciągnął wymalowany na ceglach symbol anarchii, który bez wątpienia był dziełem jakiegoś zbuntowanego punka. Na ścianach były jeszcze wypisane kreatywne wiązanki pod adresem „Grubego” i coś o „rudej suce”, lecz litery były stare i niewyraźne.

Robert spojrział sceptycznie na ruiny.

– Nie wydaje mi się, żeby ona tam była – powiedział.

– Ciii. – Morawski przyłożył palec do ust. – Spójrzcie – dodał szeptem, wskazując na wysoką trawę, która rosła dookoła.

Widać było, że niedawno ktoś tędy przechodził. Trawa była połamana i przyklapnięta.

– No dobra, sprawdźmy to – oznajmił Robert. – Ja pójde pierwszy. Krzysztof, osłaniaj mnie. Nie mamy pojęcia, czy nie jest uzbrojona.

Detektywi poszli pierwsi, starając się poruszać jak najciszej. Morawski szedł kilka kroków za nimi, nie odrywając wzroku od ruin.

W oddali rozległo się głośne krakanie, które brutalnie zakłóciło nieprzenikniętą ciszę, jaka panowała dookoła. Robert zauważył, że lufa jego broni drży. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo trzęsą mu się ręce.

Skupił wzrok na otwartych na oścież drzwiach, jakby spodziewał się, że zaraz wyskoczy stamtąd jakiś potwór.

Nagle w jednej chwili stało się kilka rzeczy. Najpierw usłyszał głośny metaliczny szczęk. Sekundę później dotarło do niego, że nie jest w stanie zrobić kolejnego kroku. Dopiero po tym pojawił się potworny ból, który ze stopy rozszedł się aż do kolana.

– KURWA! – ryknął na całe gardło.

Spojrzał w dół i zobaczył zardzewiałe żelazne szczęki, które zagłębiły się w jego stopie. Ktoś celowo zastawił w tym miejscu pułapkę.

Z jego lewej dobiegł szelest. Obrócił głowę i w ostatniej chwili udało mu się zrobić unik. Jego wzrok zdążył zarejestrować starą bezzębną kobietę, która w jednej ręce trzymała nogę od stołu z wyraźnym zamiarem trzaśnięcia go w głowę. Ubrana była w podarty i poplamiony krwią habit.

– Nie ruszaj się, bo strzele! – krzyknął Krzysztof.

Zakonnica nie usłuchała. Wyraz jej oczu przywodził na myśl spłoszonego konia. Podniosła wyżej swoją broń i wykonała kolejny zamach. Krzysztof zrobił unik, po czym szybko wstał i złapał kobietę za rękę. Ścisnął z całej siły, aż ta krzyknęła.

– Puść to!

Kobieta zaczęła się wyrywać. Na jej skroniach wystąpiły żyły, a blada dotąd twarz stała się teraz purpurowa.

– Zabierz jej to!

Morawski, który dotąd stał sparaliżowany ze strachu, teraz się ocknął. Podbiegł do szarpiącego się Krzysztofa i chwycił drewnianą nogę. Kobieta, jak na swoją mizerną posturę i zaawansowany wiek, była niezwykle silna. Musiał się trochę naszarpać, nim wreszcie udało mu się wyrwać jej broń.

– Uspokój się! – krzyknął Krzysztof.

Zakonnica zaczęła machać kikutem drugiej ręki, próbując w ten sposób bezskutecznie dosięgnąć twarzy starszego detektywa. Ten nieznacznie odchylił głowę i podkosił jej nogi. Kobieta upadła na kolana i zaczęła wykrzykiwać pojedyncze słowa, które nie miały żadnego sensu.

Chwycił ją tak, żeby nie mogła się ruszyć.

– Nosisz pas? – zapytał Morawskiego.

– Tak.

– Daj go.

We dwóch skrępowali siostrę Ezechiełę i ustawili w pozycji siedzącej. Morawski podszedł do Roberta, który teraz siedział zaciskając z bólu zęby.

– Masz apteczkę w samochodzie?

– Tak. W bagażniku.

– Pójdę po nią.

– Dzięki. – Detektyw podał mu kluczyki, po czym z wściekłością spojrzał na siostrę Ezechiełę.

Krzysztof sapał, jakby przebiegł maraton. Popatrzył z góry na starą kobietę. Siedziała bez ruchu, tępo patrząc w dal. Wyglądała tak, jakby w ogóle nie zwracała uwagi na to, że jest związana.

– Przyjechaliśmy tu zadać kilka pytań, ale widzę, że nie będzie łatwo.

Kobieta nie odpowiedziała.

– Siostra Ezechiela, jak mniemam.

Cisza.

– Mam kilka pytań dotyczących Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia.

Zakonnica drgnęła, jednak nadal nic nie mówiła.

– Doszło tam do niewyjaśnionych wydarzeń i myślę, że siostra wie coś o tym.

– Nic nie powiem. – Głos kobiety był suchy i nieprzyjemny.

– Jak nie tutaj, to możemy porozmawiać na komendzie. Dla nas to żadna różnica.

– Tam też nic nie powiem.

Krzysztof spojrzał na Roberta.

– Oczywiście, że powiesz – oznajmił młodszy detektyw stanowczym tonem. Z trudem udało mu się powstrzymać jęk bólu. Rwanie w nodze było nie do zniesienia. Czuł się tak, jakby ktoś odciął mu pół stopy, co nie było aż taką przesadą. Żelazne zęby zatrzymały się dopiero na kości.

Kobieta powoli odwróciła się w jego stronę. Jej wodniste oczy na moment spoczęły na jego stopie.

– Chcecie wiedzieć, co się stało w domu dziecka? – zapytała.

– To już wiemy. Bardziej chodzi o to, w jaki sposób do tego doszło.

– Niech Bóg ma w swojej opiece tych ludzi – odparła, po czym zaczęła coś mruczeć pod nosem. Z tego, co udało im się wyłapać, były to słowa modlitwy Ojcze Nasz.

Po chwili wrócił Morawski, ściskając pod pachą apteczkę.

Moment zdejmowania żelaznych szczęk musiał słyszeć chyba cały las. Robert wrzasnął, po czym rzucił kilka przekleństw i spojrzał na stopę. Jeszcze nigdy nie widział u siebie aż tyle krwi. Z pomocą Morawskiego udało mu się ściągnąć but i skarpetkę. Dziury w stopie przypominały ślady zębów rekina, a do tego ich brzegi były postrzępione.

– O cholera – syknął Morawski. – Paskudna rana.

– Zagoi się.

– To na pewno, ale musisz iść z tym do szpitala. Tu bandaż nie wystarczy. To trzeba zszyć i...

– Teraz interesuje mnie tylko to, żeby to opatrzyć. Później będę się martwił tym, co dalej – wpadł mu w słowo Robert.

– Jasne. Mam nadzieję, że szczepiłeś się na tężec.

– Szczepiłem.

Robert wyciągnął z apteczki wodę utlenioną i oblał nią ranę. Ból był nie do zniesienia. Z jego stopy zaczęła skapywać różowa piana.

– Zabandażuj mi to – zwrócił się do Morawskiego.

Po opatrzeniu rany poczuł się nieco lepiej. Odwrócił się do siostry Ezechieli. Kobieta nadal mamrotała coś pod nosem w ogóle nie zwracając na nich uwagi.

– Co to za demon?

Zakonnica podskoczyła jak oparzona. Spojrzała na detektywa wzrokiem pełnym przerażenia.

– To moja wina... on mnie namówił... ja jej nie zabiłam... ona sama...

– Po kolei – powiedział Robert. – Kto kogo zabił i do czego namówił?

– Ja... on mnie...

Robert zmarszczył czoło.

– Kogo siostra zabiła?

Kobieta zamarła. Wytrzeszczyła oczy, jakby nagle coś sobie przypomniała, po czym przeżegnała się.

– Boże, bądź miłościw mnie grzesznej...

– Boga proszę zostawić w niebie i skupić się na bardziej przyziemnych kwestiach – rzucił niecierpliwie.

– Zabiłam córkę – powiedziała.

Zaległa cisza. Nie było słyhać nawet szelestu muskanej wiatrem trawy. Te słowa wydawały się wstrząsnąć nie tylko trzema mężczyznami, ale również całym otoczeniem.

– Kiedy?

– Wiele lat temu. Nie pamiętam już, w którym roku. Byłam wtedy młoda – odpowiedziała.

– Proszę o tym opowiedzieć.

– To było złe dziecko. Ja też byłam zła. Dalej jestem. – Wzięła kilka nerwowych oddechów. – Ojcem był człowiek, któremu odebrano prawo posługi kapłańskiej. Wtedy sama miałam wątpliwości. Bóg wystawiał mnie na próbę, a ja najzwyczajniej dałam się zbałamucić czemuś gorszem od samego Szatana.

– To znaczy?

– Człowiek ten chciał założyć swój kościół. Podobało mi się to, bo jego zasady przeczyły tym, których w tamtym czasie sama nie uznawałam.

Kobieta zamilkła. Robert dał jej chwilę na zebranie myśli. Nie chciał, aby zakonnica znów spanikowała i przestała mówić.

– Dałam mu się omotać – zaczęła w końcu. – Powiedział mi, że trzeba wszystko zacząć od nowa. Uważał, że religia poszła w złym kierunku i tylko od nas zależy to, czy ją naprawimy, aby uchronić się przed bożym gniewem. Mieliśmy zacząć od pierwszych dzieci, Adama i Ewy. On uważał, że jest natchniony i odprawiał nad dzieckiem jakieś rytuały, zapewniając, że dzięki nim Ewa będzie wolna od grzechu, a jej potomkowie lepszymi ludźmi niż my wszyscy. Byłam naiwna i nie wiedziałam, że on zaprzedał duszę diabłu, a mnie wykorzystał tylko dlatego, że musiał zbeczczyć zakonnice.

– Co było dalej?

– Uciekłam z dzieckiem. Wtedy zaproponowano mi stanowisko dyrektora Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia. Przyjęłam je, chcąc odpokutować za swoje grzechy. Od tamtego dnia codziennie przepraszam Boga za to, czego się dopuściłam. Mam nadzieję, że odpuści mi moje winy, kiedy przyjdzie czas sądu.

– Z pewnością odpuści – powiedział Krzysztof uspokajającym głosem.

Siostra Ezechiela nieco się rozluźniła.

– To moja spowiedź – powiedziała. – Nigdy nikomu o tym nie mówiłam. Przez całe życie siedziało to we mnie i zżerało jak rak.

– Rozumiem.

– Musiałam skłamać, że znalazłam Ewę pod śmietnikiem w środku nocy. Takie rzeczy zawsze się zdarzały, więc nikt nie nabrał podejrzeń. Nawet ona o tym nie wiedziała. – Krótka pauza. – Póki była małym dzieckiem, nie sprawiała większych problemów. Dopiero gdy skończyła pięć lat, zaczęła się dziwnie zachowywać, a ja sama stałam się agresywna. Wpadałam w furję, a gdy to się działo, nie byłam sobą. Znęcałam się nad wieloma dziećmi. Ewa ciągle mnie prowokowała. Odwracała krzyże, wrzucała do toalet wizerunki świętych, darła Biblię. Chciałam ją ukarać i zupełnie straciłam kontrolę. Pochowałam ją w lesie. Wiedziałam, że coś w niej było. Do jej grobu wrzuciłam różaniec i codziennie modliłam się za nią.

Po słowach kobiety zaległa ciężka cisza. To wszystko pokrywało się z tym, co Krzysztof z Robertem przeczytali w Internecie. Wbrew temu, co mówił Morawski, to nie była najwyraźniej tylko straszna historyjka, wymyślona przez nastolatka z bujną wyobraźnią.

Siostra Ezechiela westchnęła.

– Ewa oznacza tą, która daje życie – powiedziała jakby sama do siebie. – Ona była inna. To była ta, która woli je zabierać i nie dawać nic w zamian. Matka wszystkich martwych, którym w żaden sposób nie da się pomóc.

Detektywi spojrzeli po sobie.

– Rozumiem, że to ona była w domu dziecka, kiedy to wszystko się stało.

– Tak – odparła. – W jakiś sposób opętała jednego z wychowanków, którego również źle potraktowałam... Dzięki niemu udało jej się dostać do tego świata i zdobyć dusze, których już nie wypuści. Teraz cały czas będzie zabijać. Jej apetyt rośnie z każdą kolejną ofiarą.

– Zabiła prawie całą moją rodzinę – oznajmił Robert.

Siostra Ezechiela spojrzała na niego z mieszaniną współczucia i strachu.

– Przykro mi.

– Przy wszystkich martwych są ćmy.

– Może to zabrzmieć dziwnie, ale ćmy potrafią wylapywać dusze. To nie są tylko bezużyteczne nocne motyle, za jakie je uważamy. One dostarczają jej cennej energii, dzięki której nadal może egzystować na tym świecie. Stąd jest ich tak dużo.

– Ale... – wtrącił Morawski – Ewa chciała zabrać też mnie. Nie udało jej się, a ćmy i tak były w moim domu.

– Bo były przygotowane na przechwycenie duszy – odparła zakonnica. – Jak jej nie znalazły, to pewnie padły martwe.

– Tak – potwierdził. – Podobno zasypały całe moje łóżko.

Zakonnica wpatrzyła się w swoje dłonie. Jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

– Teraz wsadzicie mnie za kratki – rzekła. Głos, którym wypowiedziała te słowa, pozbawiony był jakiegokolwiek barwy.

– Wie siostra, jak się pozbyć Ewy? – zapytał Robert.

– Wydaje mi się, że tak. Miałam tu dość sporo czasu na przemyślenia.

– Musimy spróbować. Nie mam zamiaru dopuścić do tego, żeby zabiła także moją matkę.

– Tak... – odparła, patrząc z zamyśleniem w dal. – Jestem to winna nie tylko panu, ale też wszystkim, którzy przeze mnie zginęli.



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DROGA NA TRZECIE PIĘTRO

Droga do Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia wydawała się trwać bez końca. Robert miał wrażenie, że z każdym pokonanym kilometrem dystans, jaki ich dzielił, zamiast się skracać, ulega wydłużeniu. Do tego Krzysztof jechał wyjątkowo wolno, co niezwykle irytowało młodego detektywa. Widząc na prędkościomierzu zaledwie siedemdziesiątkę, miał ochotę wypchnąć swojego partnera na tylne siedzenie i przejąć kierownicę. Pewnie tak by było, gdyby nie to, że stopa ciągle dawała o sobie znać rwącym bólem.

Spróbował poruszyć palcami, aby sprawdzić, czy je jeszcze ma. Ból był tak silny, że mężczyzna syknął.

– Przepraszam – powiedziała siostra Ezechiela głosem, w którym wyraźnie było słycać żal. – Jakbym wiedziała, że nie macie złych intencji, to jakoś bym was ostrzegła...

– Chciałbym powiedzieć, że nic się nie stało, ale boli jak jasna cholera – odparł Robert.

– Będę się modliła o to, żeby pańska noga zagoiła się szybko i bez problemów.

Robert spojrział w lusterko i napotkał jej wzrok. Nie cierpiał mówienia „będę się modlić za...”. Jedyłą osobą, która mogła tutaj coś poradzić, był lekarz, a nie jakiś wyimaginowany byt, za jaki uznawał Boga. Mimo wszystko ugryzł się w język i nie powiedział tego, co mu się cisnęło na usta.

– Na miejscu siostry sam bym pewnie zastawił sidła – odparł – i też bałbym się własnego cienia.

Dalej jechali w milczeniu. Robert wziął kilka tabletek przeciwbólowych, prosząc swój organizm, aby dobrze je przyjął. Ból doszedł już do tego momentu, w którym miał trudności z myśleniem.

Pogoda pogarszała się coraz bardziej. Strugi deszczu spływały po szybach, a wycieraczki nie nadążały za ich ścieraniem. Robert wiedział, że są już blisko i wcale nie musiał patrzeć na drogę, aby się o tym przekonać. Niemal fizycznie czuł bliskość Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia. Objawiało się to poprzez dojmujące zimno oraz narastający z każdą chwilą niepokój.

Krzysztof podniósł temperaturę w samochodzie.

– To nic nie da – rzekł Robert. – To zimno jest w nas.

– To Ewa?

– Tak.

Z tylnego siedzenia dobiegł cichy jęk.

– Co jest? – zapytał Morawski zaspanym głosem.

– Jesteśmy prawie na miejscu – odparł Robert.

Skręcili na leśną drogę. Od budynku dzieliła ich ostatnia prosta. Krzysztof zwolnił. Teraz jechali w tempie idącego człowieka. Z każdym pokonanym metrem w lesie robiło się coraz ciemniej. Gołe gałęzie drzew przypominały szpony, które, gdyby tylko chciały, zacisnęłyby się na samochodzie, bez problemu miażdżąc go i znajdujących się w środku ludzi.

Zerwał się silny wiatr, który uderzył w nich potężną chmurą pyłu i drobnych kamieni. Robert nawet nie chciał się zastanawiać, jakim cudem jest tu tyle pyłu, skoro od ponad godziny lało jak z cebra.

W oddali zobaczyli ponury budynek. Sam widok wprowadził ich w panikę. Siostra Ezechiela zaczęła się głośno modlić, a rozpaczliwy ton jej głosu przywodził na myśl osobę, która próbuje przebłagać swojego oprawcę przed zadaniem ostatecznego pchnięcia.

Krzysztof zwolnił jeszcze bardziej. W lesie panowały już zupełne ciemności. Jedyne źródła światła były reflektory samochodu oraz okno na trzecim piętrze.

– Znowu. – Robert powiedział to bardziej do siebie.

– O Boże! To w moim gabinecie! – krzyknęła przerażona siostra Ezechiela.

– Wiemy. Byliśmy tam wczoraj, ale nie znaleźliśmy niczego ani nikogo.

W samochodzie znowu zapadło milczenie. Krzysztof nadepnął pedał hamulca i spojrzął na drzwi wejściowe, które znajdowały się w odległości jakichś dwudziestu metrów.

– Zaparkuj tyłem do drzwi – powiedział Robert. – Niewykluczone, że będziemy stąd uciekać i wtedy nie będzie czasu na kombinowanie.

Krzysztof bez słowa zrobił to, co mu nakazał młodszy detektyw. Wyłączył silnik. Teraz w samochodzie było słycać tylko natarczywe bębienie deszczu oraz ich przyspieszone oddechy.

– Ona tu jest i spodziewała się naszej wizyty – oznajmiła siostra Ezechiela.

– To wspaniale! – odpowiedział Robert. Jego dziarski ton był tak zaskakujący, że pozostali wytrzeszczyli na niego oczy.

Młodszy detektyw sprawdził broń, po czym wyciągnął ze schowka niewielkie pudełko amunicji i wsadził je do kieszeni. Następnie spróbował poruszać palcami zranionej stopy. Poczł zaledwie lekkie ukłucie. Leki działały.

– Myślę, że możemy iść.

Otworzył drzwi i wysiadł. Spojrzł wyczekująco na pozostałych, których miny wyraźnie świadczyły o tym, że woleliby być w innym piekle niż to. Robert czł to samo, ale maska spokojnego człowieka pomagała mu w zapanowaniu nad swoim strachem.

Zastukał w szybę.

– No chodźcie, do cholery, bo zaraz przemoknę. Krzysztof, weź ze sobą kluczyki.

– Może zostanę w samochodzie? – zaproponował Morawski.

– Dobrze by było, jakby ktoś został za kółkiem, żeby szybko

ruszyć jak już stąd wyjdziecie.

Robert przez chwilę się zastanawiał. Widział przerażenie w oczach Morawskiego, który doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co się kryje na trzecim piętrze.

– To nie jest taki głupi pomysł – powiedział wreszcie. Skinął na Krzysztofa, który niechętnie oddał kluczyki Morawskiemu.

– Co robić jakby was nie było zbyt długo?

– Na pewno nie iść za nami – powiedział stanowczo detektyw. – Jeżeli nie będzie nas przez godzinę, ciśnij gaz do dechy, jedź do naszego biura i opowiedz wszystkim o tym, co się tu stało. Może na początku wezmą cię za durnia, ale myślę, że jak tu przyjadą, to szybko zmienią zdanie.

– Jasne – odparł Morawski. – To powodzenia.

– Przyda się.

Udali się w stronę drzwi. Strugi zimnego deszczu i gęste błoto skutecznie utrudniły im przejście tego krótkiego dystansu. Wydawało im się, że brodzą tak dobry kwadrans, choć w rzeczywistości było to zaledwie kilkanaście sekund.

Dookoła roznosił się zapach kojarzący się z grobem. Słodycz namokniętej ziemi, przesyconej wonią rozkładu, miała w sobie irracjonalny urok, który sprawiał, że była przyjemna.

Przez moment detektywi wraz z siostrą Ezechielą zapragnęli wykopać sobie groby, wskoczyć do nich i rozkoszować się tym zapachem czekając na śmierć.

Robert spojrział na broń. Czarny, idealnie wyważony rewolwer dobrze leżał w jego dłoni. Oddał z niego setki strzałów. Strzelał głównie na strzelnicy, lecz w jego karierze było sporo sytuacji, w których musiał oddać ostrzegawczy strzał lub – jeżeli to nic nie dało – strzelić komuś w rękę lub w nogę.

Czuł więź ze swoją bronią. Ona była częścią nocy, która zalegała nad lasem. Broń do niego mówiła. Odepchnął na dalszy plan wszelkie pozostałe odgłosy i skupił się na tym, co mówi rewolwer.

*Zrób to.*

Głos wydawał się metaliczny i drażniący niczym jeżdżenie widelcem po dnie garnka, lecz detektyw w ogóle się nie skrzywił. Głos rozlegał się w jego głowie i mimo tego, że drażnił, na swój sposób był również przyjemny i kuszący.

*Czemu nie* – pomyślał Robert.

– Po co masz tu dłużej żyć? Nikogo już nie masz. Jesteś niepotrzebny.

*Masz rację...*

Zobaczył jak jego dłoń powoli podnosi się. Wyglądało to jak na filmie puszczone w zwolnionym tempie. Rewolwer zbliżał się centymetr po centymetrze, aż wreszcie jego lewe oko ujrzało czarny otwór lufy. Było to jak zagłębienie do studni, na której dnie leży obiecany skarb. W tej chwili nie było go widać, lecz detektyw wiedział, że gdy naciśnie spust, nieprzenikniona czerń odsłoni to, co jest na dnie.

Poczuł pod palcem chłód spustu. W tym samym czasie pojawiła się euforia. Już widział wylatujący pocisk; zaraz pozwoli mu rozkoszować się wonią ziemi, której częścią stanie się już na zawsze.

Nagle wszystko ustało. Poczuł na nadgarstku żelazny uścisk, który wysłał do jego otumanionego mózgu impuls bólu.

Robert zdał sobie sprawę z tego, co ma zamiar zrobić i krzyknął z przerażenia. Natychmiast opuścił pistolet i spojrzał na Krzysztofa. On również ścisnął w garści broń. Jedną ręką trzymał się za czoło i cały dygotał jak w febrze.

– Co tu się stało? – zapytał.

– Nie wiem, ale to była ONA – odpowiedziała zakonnica. Na ostatnie słowo położyła szczególny nacisk, dzięki czemu Robert w jednej chwili zorientował się, co robi i dlaczego tutaj jest.

Nagle jego zdezelowany umysł został zalany wspomnieniami sprzed kilku chwil. Chciał się zabić.

*Po co masz tu dłużej żyć? Nikogo już nie masz. Jesteś niepotrzebny.*

Słowa te odbijały się w jego głowie dając zwielokrotnione echo, które było nie do zniesienia.

– Chcieliśmy się zabić – powiedział.

– Tak, i nie mamy czasu, żeby teraz nad tym myśleć. Jak się nie ruszymy, to znowu nas coś dopadnie.

Robert spojrzał uważniej na siostrę Ezechiełę. Przerazenie w jej oczach zostało wyparte przez upór. Jego wzrok na moment spoczął na jej szyi. Nawet w ciemnościach, jakie tu panowały, wyraźnie było widać płytkie rozcięcie. Ona również próbowała targnąć się na swoje życie.

Kątem oka zerknął na samochód. Morawskiego to wszystko musiało ominąć. Siedział sztywno w fotelu kierowcy i patrzył na nich z nieopisanym przerażeniem w oczach. Machnął mu ręką, lecz ten zdawał się tego nie zauważać.

Ruszyli w stronę drzwi. Ostatnią rzeczą, jaką Robert zdążył zauważyć przed wejściem do środka, było niebo nad lasem. Idealna czerń, której nic nie miało czelności zakłócić. Żadnych gwiazd, żadnych chmur, dosłownie niczego. Czerń w czerni, w której nie było ani czasu, ani przestrzeni.

Poczuł lekkie popchnięcie i ponownie wrócił do rzeczywistości. Zobaczył Krzysztofa, który coś szybko do niego mówił. Niestety ruchy warg zlewały się i ciężko było cokolwiek z nich wyczytać.

– Co mówiłeś? – zapytał nieobecny głosem.

– Miejmy to szybko za sobą. Nie podoba mi się tutaj i czuję, że jeszcze chwila i zacznę wariować.

– Starajcie się utrzymać przy zdrowych zmysłach. – Głos siostry Ezecheli był stanowczy. – Ona będzie próbowała się nas pozbyć bez brudzenia sobie rąk.

Rozejrzeli się po wnętrzu.

– Cholera, nie mam latarki – mruknął Krzysztof.

– Trudno. Weszliśmy tu raz i raz stąd wyjdziemy – powiedziała zakonnica.

– Musimy mieć jakieś światło, bo pozabijamy się na schodach.

– To poświeć telefonem.

Detektyw wyciągnął telefon i zaklął pod nosem, widząc słaby poziom baterii. Uruchomił latarkę, licząc na to, że wystarczy im na kilkanaście minut. Akurat tyle, żeby wejść na górę i znaleźć odpowiednie drzwi.

Bez słowa ruszyli w stronę schodów. Wiedzieli, że tym razem w gabinecie ktoś będzie na nich czekał. Robert i Krzysztof nie zdawali sobie sprawy z tego, czego mają się tam spodziewać. Żaden z nich nawet nie zastanawiał się nad tym, jak wygląda Ewa.

– A jak ona w ogóle...

– Ciii – syknęła siostra Ezechiela, przykładając palec do ust.

Z oddali dobiegały regularne głuchoe łupnięcia. Zatrzymali się w połowie schodów, uważnie nasłuchując. Czas między uderzeniami był równy, jakby to był metronom lub...

– Kroki? – szepnął Krzysztof.

Robert wzruszył ramionami. Łupnięcia z każdą chwilą wyraźnie się przybliżały. Pod ich wpływem drżały schody. To, co się do nich zbliżało, z pewnością nie było człowiekiem.

– Co robimy?

– Czekamy – szepnął Robert. Dla pewności ponownie sprawdził, czy w każdej komorze jego rewolweru znajduje się nabój.

Łupnięcia dobiegały z coraz bliższej odległości. W głowach detektywów i siostry Ezechieli zrodziła się jedna myśl: ucieczka. Ich nogi chciały działać wbrew woli. Krzysztof złapał się na tym, że zszedł kilka schodków niżej. Zatrzymał się i tam pozostał.

Dudnienie nagle ustało. W korytarzu zaległa ciężka cisza, zupełnie jakby zaraz miało się coś stać.

Robert dostrzegł przerażenie na twarzach Krzysztofa i siostry Ezechieli. Liczył na to, że przynajmniej zakonnica zachowa względny spokój, co pomogłoby również i jemu. Niestety strach wgryzł się we wszystkich i zapuszczał swoje korzenie coraz głębiej.

Mijały kolejne minuty. Nadal nic się nie działo. Czasami słychać było pojedyncze trzaski. Siostra Ezechiela powiedziała, że to rury, aczkolwiek sama mimowolnie podskakiwała, gdy je słyszała. Atmosfera zaszczucia była tak ciężka, że nie sposób było się jej pozbyć.

Robert spojrzął na zegarek. Stali tu już prawie od dwudziestu minut. Teraz w miejsce strachu zaczęła się wdzierać irytacja. Już dawno doszliby na górę i załatwili sprawę, gdyby nie najzwyczajniejszy strach. Może te łupnięcia również były wywołane przez rury albo starą wentylację budynku. Aż zrobiło mu się głupio, że słysząc te „kroki”, pomyślał o jakimś potworze z najgorszego koszmaru.

Skinął głową.

– Tam nic nie ma. Stanie tutaj jest bez sensu.

– Nie byłbym tego taki pewien.

Młodszy detektyw stracił cierpliwość. Nie miał ochoty na spieranie się. Zamiast tego kilkoma susami pokonał resztę schodów i stanął przed korytarzem pierwszego piętra. Jego wzrok zdążył się już przyzwyczaić do niewielkiej ilości światła.

Korytarz był pusty.

– Tu nikogo nie ma – powiedział uspokajającym tonem.

Siostra Ezechiela i Krzysztof przez chwilę stali, jakby spodziewali się, że zaraz coś wyskoczy na Roberta. Gdy jednak nic się nie stało, powoli weszli na pierwsze piętro.

– Zmarnowaliśmy dwadzieścia minut przez pieprzony strach. – Robert był teraz na tyle zdenerwowany, że przestał się



bać czegokolwiek.

Zaczęli wspinaczkę na drugie piętro. Doszli do półpiętra, gdy nagle dudnienie rozległo się ponownie. To już nie były kroki, lecz bieg czegoś ogromnego. To coś było tuż przed nimi.

Nagle z nieprzeniknionej czerni wyskoczyła człekokształtna postać o mlecznobiałej skórze, pokrytej siatką przeraźliwie grubych i czarnych jak smoła żył. Wzrostem dorównywała człowiekowi, lecz była zgarbiona i w ogóle nie posiadała rąk. Nie było widać nawet kikutów, które świadczyłyby o amputacji. Jej nienaturalnie wielkie względem reszty ciała, całkowicie czarne oczy, wyrażały najczystsza nienawiść. Usta musiały kiedyś zostać zaszyte, lecz teraz nici były w strzępach. Ich pojedyncze kawałki gdzieś zwisły z porozrywanych warg.

Istota biegła krokiem totalnie pijanego człowieka, któremu tylko siła pędu pozwala zachować względną równowagę. Nogi stwora zaplątały się o siebie. Dopiero wtedy Robert zauważył, że stopy są odwrócone o sto osiemdziesiąt stopni, a kostki porozcinane.

Istota zleciała ze schodów, zawadzając o Krzysztofa. Detektyw krzyknął i, nie mogąc dosięgnąć poręczy, wywrócił się do tyłu. Z całym impetem uderzył w schody, po czym bezwładnie sturlał się na pierwsze piętro.

– MY TU CHCEMY NA TEGO! WYNOŚ SIĘ! WYNOŚ! – Niski, pozbawiony jakiegokolwiek wyrazu głos odbił się od ścian, lecz jego właściciela już nie było widać.

– WYNOŚ SIĘ! WYNOŚ SIĘ! WYNOŚ SIĘ!

Krzyki te jeszcze przez chwilę dudniły w głowie Roberta. Poza tym wyraźnym przekazem detektyw nie miał pojęcia, o co chodziło w pierwszych słowach, lecz sposób, w jaki zostały wykrzyczane, i brak jakiegokolwiek sensu wywołały w nim potężną falę strachu.

Stali w zupełnej ciszy. Siostra Ezechiela położyła rękę na klatce piersiowej i łykała powietrze rozpaczliwymi haustami. Jej oczy zdawały się patrzeć, ale niczego nie dostrzegać. Była skrajnie przerażona.

Robert przez chwilę był w szoku, który nie pozwolił mu na normalne funkcjonowanie. Dotąd takie widoki wywoływały u niego krótkotrwały strach tylko na kinowym ekranie. To jednak nie był film, lecz prawdziwe życie. Detektyw nie miał pojęcia, dlaczego jeszcze tu jest. Dlaczego go nie posłucha i nie ucieknie? Przecież on kazał mu się wynosić.

Usłyszał jęk. Drgnął, jakby ocknął się z letargu, i spojrział na pierwsze piętro, gdzie leżał Krzysztof. Jego lewa ręka była wygięta pod tak nienaturalnym kątem, że nie mogło obyć się bez złamania. Nim do niego zszedł, nie zdawał sobie sprawy z tego, jak poważna jest sytuacja.

To było bez wątplenia najgorsze złamanie, jakie kiedykolwiek widział. Kość zdołała przebić płaszcz i wystawała teraz na dobrych kilka centymetrów. Do tego na głowie Krzysztofa widniało olbrzymie rozcięcie, z którego obficie płynęła krew. Mężczyzna miał nierówny oddech i co chwilę coś mamrotał pod nosem.

– Ezechiela! – krzyknął Robert.

Kobieta nie zareagowała. Stała u szczytu schodów i obserwowała wszystko nieprzytomnym wzrokiem.

– EZECHIELA!!!

Zakonnica podskoczyła i rozejrzała się, jakby zapomniała, gdzie się znajduje. Zaraz jednak natrafiła wzrokiem na detektywów i zbiegła.

– O Boże! – jęknęła.

– Musimy opatrzyć mu głowę i go tu zostawić – powiedział Robert.

– Ale to niebezpieczne.

– Owszem, to jest ryzykowne, ale nie aż tak, jak perspektywa zabrania go ze sobą. Cofnąć też się nie możemy, bo na pewno nas nie wypuści. Widzisz to? – Robert skinął głową w kierunku najbliższego okna.

Ezechiela spojrzała przez szybę w nicość. Na zewnątrz panowała całkowita czerń, która pochłonęła niebo, ziemię, czas i przestrzeń. Wchodząc do budynku Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia dali się zamknąć w JEJ świetle.

Robert zdjął koszulę i podarł ją na strzępy. Przyłożył prowizoryczny opatrunek do paskudnej rany na głowie Krzysztofa. Na jego rękę powyżej złamania założył swój pasek od spodni i zacisnął.

– Nic więcej nie zrobimy. To musi wystarczyć – powiedział, gdy skończył.

Powoli ruszyli dalej. Schody wydawały się teraz wyższe i bardziej strome. Również liczba stopni wyraźnie się zwiększyła.

– Dlaczego ona tak się z nami bawi? – wysapał Robert, kiedy pokonali ponad sto schodów, które dzieliły ich od drugiego piętra.

– Lubi to – odparła zakonnica. – Lubi zadawać ból fizyczny, ale też niesamowitą satysfakcję czerpie z dręczenia psychicznego. Poza tym mam wrażenie, że z jakiegoś powodu próbuje z nami grać na czas.

Robert nic na to nie powiedział. Spojrzał w głąb korytarza drugiego piętra i podskoczył. Przed nim stało dziecko. Siostra Ezechiela, która weszła zaraz za nim, krzyknęła z przerażenia.

– KACPER?!

Chłopiec nie odpowiedział. Patrzył na nich bez mrugnięcia okiem, jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dookoła niego dzieje.

– Co tu robisz? – zapytał detektyw. Jego głos tak bardzo drżał, że z trudem go rozpoznał.

– Brum, brum! – krzyknął. – Brum, brum iiiiinii ŁUP! – Chłopiec odwrócił się na pięcie i pobiegł wzdłuż korytarza, wydając przy tym odgłosy typowe dla zabawy w prowadzenie samochodu. Po kilku chwilach dotarł na koniec korytarza i zniknął im z oczu. Jeszcze przez moment było słychać „brum, brum”, lecz w końcu i ten odgłos ucichł.

Robert nie był tak wystraszony jak siostra Ezechiela. Kobieta usiadła na pierwszym schodku prowadzącym na trzecie piętro. Miała wyraźne trudności z oddychaniem.

– To ten chłopiec? – zapytał.

– Tak. – Zakonnica wstała. – Chodźmy. Im szybciej to zrobimy, tym lepiej. Chcę to już mieć za sobą.

Ruszyli na trzecie piętro. Szli powoli, zatrzymując się na każdym pokonanym stopniu i uważnie nasłuchując. Było tak ciemno, że nie widzieli czubków własnych nosów, nie mówiąc już o czymś, co mogło znajdować się kilka metrów przed nimi.

Nagle z dołu dobiegł przeraźliwy krzyk.

– Krzysztof! – krzyknął detektyw.

– To nie on – powiedziała zakonnica. – To damski głos. Wydaje mi się, że może należeć nawet do dziewczynki.

Jakby na potwierdzenie jej słów, krzyk rozległ się ponownie. Zaraz, z innego miejsca, odpowiedział mu drugi, który również należał do dziecka.

– Lepiej chodźmy dalej – zakonnica weszła na kolejny stopień. – Mam wrażenie, że te krzyki idą za nami.

Siostra Ezechiela miała rację. W momencie, gdy do końca zostało im zaledwie kilka stopni, dookoła rozległo się tupanie. Setki dziecięcych kroków nakładały się na siebie, tworząc szalony i nierówny rytm, jakby wybijany na werblu przez niezbyt wprawionego perkusistę.

– Pod ścianę – krzyknął Robert, po czym chwycił zakonnice i pociągnął ją za sobą.

Gdyby spóźnił się chociażby o sekundę, siostra Ezechiela skończyłaby podobnie jak Krzysztof. Przez miejsce, w którym przed chwilą stała, przeleciał jakiś chłopiec. Przeleciał dosłownie, gdyż zeskoczył ze schodów. Jego lot wyglądał nienaturalnie, jakby jakaś niewidzialna ręka trzymała go za kark i ciągnęła w stronę ściany. Uderzeniu towarzyszył głuchy trzask pękającego kręgosłupa.

Rozległy się dziecięcy płacz i odgłosy podobne do klaskania. Dopiero po chwili zdali sobie sprawę z tego, że to odgłosy bicia. Były to trzaśnięcia w twarz z otwartej dłoni.

Siostra Ezechiela zaczęła szlochać.

– To moja wina! To wszystko stało się przeze mnie!

Robert chwycił staruszkę za ramiona i energicznie nią potrząsnął. Obok przeleciało kolejne dziecko, którego głowa po zetknięciu z poręczą schodów niemal eksplodowała.

– Ona chce, żebyś się poddała! – krzyknął jej prosto w twarz. – Musisz teraz być silna!

Miał jeszcze coś powiedzieć, lecz nagle poczuł lekkie uderzenie w skroń. Oderwał wzrok od siostry Ezechieli i spojrzał na szczyt schodów.

Dziewczynka mogła mieć nie więcej niż osiem lat. Jej blond włosy po lewej stronie głowy uwiązane były w kucyk. Po prawej zaś widniała łysa plama, jakby ktoś chwycił kucyk, który tam był, i wydarł go z ogromną siłą. Dziewczynka była ubrana w poszarpaną różową sukienkę, na której niedbale namalowała koślawą uśmiechniętą buźkę.

To ona w niego czymś rzuciła. Na początku detektyw nie zdawał sobie sprawy z tego, że jego skroń jest mokra. Mokra od krwi, ale nie jego.

Krzyknął, widząc jak dziewczynka wkłada rękę w rozdarcie z boku sukienki. Rozległo się paskudne chrupnięcie, po czym dziewczynka wyciągnęła ociekające krwią żebro i cisnęła nim prosto w Roberta. Mężczyzna w ostatniej chwili wykonał unik,

chwycił siostrę Ezechiełę pod bok i niczym ludzki taran ruszył na dziewczynkę.

Dziecko, widząc to, uciekło, śmiejąc się w niebogłoso.

– Ja chyba zwariowałem – powiedział sam do siebie, po czym zrobił szybki unik przed jakimś chłopcem, który z pełną prędkością przywalił głową w ścianę.

– Ja chyba też – oznajmiła siostra Ezechiela.

Nie mieli pojęcia ile czasu minęło, odkąd tu przyjechali, ale wydawało im się, że wspinaczka na trzecie piętro zajęła całe wieki. Robert przez chwilę zastanawiał się nad stanem Krzysztofa. Miał nadzieję, że nie uległ on pogorszeniu.

Zrobił dwa kroki w bok, zwalniając miejsca dziecku, które robiło fikołki. Z jego gałek ocznych wystawały dwa widelce, jednak radośnie roześmiany chłopiec zdawał się w ogóle nie zwracać na to uwagi.

Dotarli do drzwi, spod których sączyło się żółte światło. Dzieci-samobójcy nagle zniknęły. Euforia śmierci gwałtownie się skończyła, a w jej miejsce pojawiła się złowroga ciężka cisza.

Robert spojrział na siostrę Ezechiełę. Kobieta przeżegnała się, po czym jedyną ręką sięgnęła klamki i zdecydowanym ruchem otworzyła drzwi.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY W GABINECIE

W pomieszczeniu panował niemiłosierny zaduch, przez co każdy wdech przychodził im z ogromnym trudem. Roberta zdziwił fakt, że wszystkie meble, które znajdowały się tu jeszcze wczoraj, teraz gdzieś poznikały.

Żółte światło nie miało żadnego źródła. Wydawało się wylewać ze ścian, podłogi i sufitu, a także być częścią ciężkiego powietrza. Za oknem rozciągała się bezkresna czerń.

Ewa stała pośrodku pokoju. Robert wytrzeszczył oczy, nie mogąc nadziwić się jej pięknu. Długie, naturalnie rude włosy, szczupła sylwetka i nieskazitelnie biała suknia, której krój uwydatniał talię i pełne piersi.

Spojrzał w duże zielone oczy i niemal zapomniał o świetle.

*Jeśli ideały istnieją naprawdę, to jesteś jednym z nich –* pomyślał.

Poczuł ból w żebrach, który rozwiął strzępki jego ostatniej myśli. Spojrzał na siostrę Ezechiele.

– Nie wierz w to, co widzisz. Ona stwarza iluzje. Tylko ja ją widzę taką, jaka jest naprawdę. Ty pewnie widzisz kobietę, której zawsze pragnąłeś.

– Brawo, mamusiu.

Ewa zrobiła dwa kroki w ich stronę. Robert, pomimo tego, co powiedziała mu zakonnica, i tak nie mógł oderwać od niej wzroku. Czuł, że coś zakrada się do jego głowy i zaczyna brutalnie ścisnąć mózg.

– Koniec zabawy, moja droga. – powiedziała siostra Ezechiela. Jej ostry ton głosu sprawił, że coś, co chciało wycisnąć mózg Roberta jak gąbkę, szybko usunęło się w cień.

Ewa roześmiała się. Detektyw, widząc jej równe białe zęby, znowu miał trudności z oderwaniem od niej zafascynowanego spojrzenia.

– Co mi chcesz zrobić? – zapytała szyderczym tonem. – Zakopiesz mnie z różańcem na szyi tak, jak już raz to zrobiłaś?

– Nie – odparła siostra Ezechiela. Surowym wzrokiem spojrzała w puste oczodoły, w których tlił się żółty blask.

Ze zdeformowanej twarzy odpadło kilka płatów poczerniałej skóry. Przegniłe i wybrakowane zęby wyszczerzyły się w czymś, co Robert widział jako piękny uśmiech na nieskazitelnej twarzy.

Zakonnica odpowiedziała uśmiechem, który był równie paskudny jak w prawdziwym obliczu jej córki.

– Dużo myślałam od naszego ostatniego spotkania – powiedziała. – I wiesz co? Jednak jest między nami bardzo dużo podobieństw. Więcej, niż mogłoby ci się wydawać.

Gnijąca twarz pozostała bez wyrazu. Tylko silniejszy błysk żółtego światła w JEJ oczach zdradził to, że słowa siostry Ezechieli wywołały u niej jakąkolwiek reakcję.

– Jakich podobieństw?

– Obie jesteśmy przekłete.

Robert zrobił dwa kroki w tył. Jego plecy napotkały barierę w postaci drzwi. Miał teraz ochotę stąd uciec. Coś mu podpowiadało, że pozostawanie tutaj może się dla niego bardzo źle skończyć.

Nagle przypomniało mu się, że przez cały czas ścisną w dłoni rewolwer. Poczuł się nieco bezpieczniej, choć domyślał się, że nie byłby w stanie strzelić do tej rudowłosej piękności. To była kobieta jego marzeń, o której śnił będąc napalonym nastolatkiem i której próbował się dopatrywać w każdej dziewczynie, z jaką się spotykał. Do tej pory nie udało mu się na nią trafić. Patrząc teraz na urzeczywistnienie swojego marzenia, doszedł do wniosku, że prędzej byłby w stanie umrzeć, niż ją zastrzelić.

Siostra Ezechiela podeszła do swojej córki. Spojrzała prosto w jej oczodoły, wiedząc już, że się nie myliła. Teraz już się jej nie



bała. Były identyczne.

– Ty obudziłaś już swojego demona – powiedziała zakonnica. – Może teraz pora na mnie?

– Ty nie jesteś... – Szorstki głos, wydobywający się z przegniłego gardła, nagle zamarł. Żółte światło na dnie oczodołów niemal zgasło. – To niemożliwe!

– Po kimś musiałaś to odziedziczyć.

Już nie była zakonnica po siedemdziesiątce. Wiedziała, że pomimo życia blisko Boga, jej miejsce i tak jest w piekle. Pod jej kotłem już rozpalono, a Lucyfer szykował powitalną ucztę.

Robert uciekł w najdalszy kąt pomieszczenia. W jednej chwili dostrzegł prawdziwe „piękno” Ewy. Mdlący smród, jaki uderzył w jego nozdrza, był nie do zniesienia. Przypominał pęknięte jelito, z którego wypływa nie do końca strawiona treść. Odwrócił się i zwymiotował na ścianę.

Siostra Ezechiela również się zmieniła. Stała się o kilka centymetrów wyższa, a jej ciało uległo znacznemu zdeformowaniu. Pod gołymi żebrami, w miejscu serca, biła czarna gruda, z której kapiała śmierdząca brązowa maź. Na niektórych kościach widoczne były resztki ciała, w których roiło się od białych glist. Twarz zachowała się najlepiej, pomimo licznych dziur, z których wpełzało robactwo.

Nagle Robert usłyszał potężny huk. Spojrzał w stronę wyważonych drzwi. W progu stał Morawski.

– Co ty tu robisz?! – krzyknął. – Wracaj do samochodu!

– O samochód to ty się nie martw. Już i tak nie będzie ci potrzebny – odparł Morawski nadzwyczaj spokojnym tonem.

Stwory, które już miały rzucić się na siebie, zamarły wpatrując się w przybysza.

– Cześć, tatusiu. Już się bałam, że nie zdążysz – odezwała się Ewa. Wyszczrzyła wybrakowane uzębienie w czymś na kształt uśmiechu.

– Co? – zapytała ze zdziwieniem siostra Ezechiela. Pomimo tego, że już nie przypominała człowieka, jej głos pozostał niemal taki sam jak wcześniej.

– To, co słyszałaś – odparł Morawski. – Widzę, że w ogóle mnie nie poznałaś.

– Bo nie dałeś się poznać. – Teraz w jej głosie było słycać coś zupełnie nowego. Coś, co nie pasowało do jej postaci: strach.

– No cóż. Musiałem jakoś pomóc córce w dostarczeniu tych wrzodów – skinął w stronę Roberta – i ciebie. Spodziewaliśmy się kłopotów z waszej strony, więc postanowiliśmy pozbyć się was zanim zrobilibyście coś, co mogłoby nam zaszkodzić.

– Zar... – zaczął Robert, lecz jego ściśnięte strachem gardło zamknęło się do średnicy słomki. Spróbował jeszcze coś z siebie wykrztusić, lecz skończyło się na kilku nieartykułowanych jękach, po czym mężczyzna zamilkł. W dodatku jego stopa nagle zaczęła dawać o sobie znać. Leki przestawały działać, zapowiadając nadchodzącą falę bólu.

– Co? – zaśmiał się Morawski. – Nie rozumiem, co do mnie mówisz, detektywie.

– J-j-jak... – Robert poczuł falę frustracji. Jego szalejący ze strachu umysł wziął górę nad językiem i zawiązał go w ciasny supeł.

– Jak to możliwe? – zapytał Morawski. – Myślałeś, że da się JEJ uciec? Będąc Edwardem Morawskim musiałem poddać się JEJ woli. Przyjąłem duszę JEJ ojca i przez cały czas nim jestem.

– K-kłamałeś.

– Każdy kłamie. Ty też kłamałeś, mówiąc mi wczoraj, że znasz się na ludziach. Jakoś twoja intuicja nie podpowiedziała ci, że większość tej rozmowy była wodzeniem was za nosy. Swoją drogą, miałem z tego niezłą frajdę. Czułem się, jakbym wróżył z fusów starej babie. Łykaliście wszystko, co wam mówiłem. Detektywi... – Ostatnie słowo wypowiedział z pogardą.

Wszechogarniający strach, który do tej pory brał nad Robertem górę, zaczął być wypierany przez złość. Nagle detektyw przypomniał sobie, że przez cały czas trzyma w dłoni broń. Teraz zacisnął na niej palce do tego stopnia, że jego paznokcie stały się całkowicie białe.

– W lesie byłem tylko po to, żeby spędzać czas z córką. Poza tym faktycznie musiałem znaleźć tę sukę, żeby jakoś was nakierować. – Wskazał głową na coś, co jeszcze przed chwilą było siostrą Ezechielą. – Obserwowałem was wczoraj, dlatego wiedziałem, kiedy wyjść na ulicę i dać się potrącić. Reszta poszła już z górki.

Po słowach Morawskiego zapanowało ciężkie milczenie. Zdawało się, że czas stanął w miejscu. Umysł Roberta wyparł resztki strachu. Teraz nie zwracał uwagi ani na siostrę Ezechiele, ani na Ewę. Liczył się tylko Morawski. Czymkolwiek był, nadal wyglądał jak człowiek.

– Dziwi mnie jedna rzecz – powiedział Robert drżącym głosem.

– Pytaj – odparł Morawski z pogodnym uśmiechem. – Odpowiem na każde twoje ostatnie pytanie. Może zabierzesz ze sobą do grobu coś wartościowego.

Złość narastała. Każde słowo wypowiedane przez Morawskiego sprawiało, że Robert czuł coraz większą chęć pociągnięcia za spust. Czuł, jak dłoń ściskająca rewolwer drży.

– Skoro rzekomo jesteś ojcem Ewy, to dlaczego nadal siedzisz w postaci tego pijaka? Nie lepiej wyjść i zacząć żyć samodzielnie we własnym ciele? Może jesteś na to za słaby, co?

Trafił w czuły punkt. Mężczyzna w jednej chwili stracił nad sobą panowanie i z dzikim rykiem rzucił się w stronę detektywa. Ten bez chwili wahania wymierzył i nacisnął spust. Potylicą Morawskiego dosłownie zniknęła. Mężczyzna przeszedł jeszcze kilka kroków, zostawiając za sobą kawałki mózgu, po czym runął na podłogę.

– NIEEEEEEEEEEEEEEE!

Robert odwrócił się w stronę, z której dobiegł krzyk i zobaczył nacierającą na niego Ewę. Poczuł jak w jego żołądku szybko narasta ciężka kula strachu.

*Umrę* – pomyślał.

Coś, co było siostrą Ezechielą, rzuciło się na Ewę, sprawiając, że ta runęła obok trupa, w którego wcielona była dusza jej ojca. Kłapnęła zębami, prawie sięgając zdrowej nogi Roberta. Detektyw szybko odskoczył.

Ewa wstała, po czym zamachnęła się na swoją matkę. Siostra Ezechiela z potężną siłą uderzyła w ścianę. Robert poczuł wyraźne drżenie pod stopami. Po chwili zakonnica wstała i z furią rzuciła się na swoją córkę. Miała nad nią wyraźną przewagę. Jej ciosy bezlitośnie spadały na Ewę, nie dając jej szans na sparowanie, unik, ani tym bardziej uderzenie. Dookoła pryskały kawałki kości i śmierdzącego mięsa.

Ewa wyraźnie słabła. Wkrótce straciła rękę, większość zeber, a obie jej nogi zostały strzaskane. Robert obserwował tę walkę z uczuciem narastającego triumfu. Właśnie ginęło coś, co przyczyniło się do śmierci praktycznie całej jego rodziny.

W gabinecie zaległa śmiertelna cisza. Ewa chwiała się na kikutach, patrząc pustymi oczodołami na swoją matkę. Żółte światło, które w nich było przez cały czas, teraz znacząco przygasło.

– Najwyższy czas umrzeć – oznajmiła przeklęta zakonnica, po czym wbiła szponiastą dłoń w pozostałości klatki piersiowej swojej córki. Zagłębiła czarne paznokcie w przegniłym sercu i z łatwością je zmiażdżyła.

Pisk, jaki się rozległ, był z pewnością najgorszym odgłosem, jaki Robert kiedykolwiek usłyszał. Wydawał się trwać przez długie godziny, aż do momentu, w którym ciało Ewy rozleciało się w bezkształtną masę kości i zgniłego mięsa. Po chwili z tych resztek pozostała tylko kałuża śmierdzącej mazi.

W gabinecie zapanowała cisza. Robert czuł niewysłowioną ulgę. Było już po wszystkim. Nie musiał się już martwić o życie swojej matki. Jednak z jakiegoś powodu nadal czuł niepokój. Z początku nie miał pojęcia, co mogło być jego źródłem, lecz po chwili dotarło to do niego i było jak kubeł zimnej wody.

Spodziewał się, że siostra Ezechiela wróci do swojej poprzedniej postaci, jednak to się nie stało. Nadal była gnijącym trupem, który stał i wpatrywał się w niego resztkami oczu.

– Zabij mnie. – Jej głos był teraz świszczący i słaby.

Przez chwilę Robert nie był w stanie uwierzyć w to, co usłyszał.

– Ale jak? – zapytał.

– Serce. Zniszcz je, zanim przestanę nad sobą panować i zacznę zabijać.

– Nie możesz wrócić do poprzedniej postaci?

– Nie. To działa tylko w jedną stronę – odparła. – Spiesz się, bo za kilka minut zapomnę o tym, że byłam człowiekiem i zacznę robić to samo, co Ewa. Jeżeli zależy ci na życiu twoim i reszty rodziny, to nie możesz się wahać. Zginęło już wystarczająco dużo niewinnych osób.

Detektyw na nogach jak z waty podszedł do siostry Ezechieli. Przez chwilę obawiał się, że straci równowagę i wpadnie prosto na jej sterczące żebra, które przebiją go na wylot.

Wyciągnął broń i wymierzył w szerniałe serce. Jego bicie uległo wyraźnemu przyspieszeniu, a ilość wydzielanej mazi znacznie wzrosła.

– Strzelaj – oznajmiła zachrypniętym głosem. – Ja już się nie zmienię. Jeżeli mnie nie zabijesz, to ja zabiję ciebie. Nie zapominaj o tym.

Nie trzeba mu było tego powtarzać po raz kolejny. Położył palec na spuście i strzelił.

## EPILOG

– A jak się czuje twój kolega?

Siedzieli w przytulnej restauracji na Starym Mieście. Wreszcie udało mu się przekonać rudowłosą pielęgniarzkę, że pójdzie z nim na kolację to naprawdę dobry pomysł. Początkowo kobieta na jego widok wpadała w szal. Na szczęście udało im się jakoś znaleźć wspólny język.

– Jutro wraca na pokład – odparł Robert. – Jakoś zdrutowali mu te kości, choć ręka już nie będzie tak sprawna jak wcześniej. Na szczęście do wypełniania papierów nie trzeba mieć wybitnej kondycji.

Kobieta wybuchła szczerym i radosnym śmiechem.

– Ludzki organizm jest w stanie poradzić sobie z wie loma rzeczami – powiedziała, gdy już się uspokoiła.

Robert uśmiechnął się. Od wydarzeń w Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia minął już ponad miesiąc. Sprawa, dzięki „znalezieniu nowych dowodów”, została wreszcie zamknięta i zamieciona pod dywan, co uspokoiło opinię publiczną.

Kolacja dobiegała końca. Robert poprosił o rachunek i piętnaście minut później już siedzieli w jego samochodzie.

– To kierunek Ruczaj? – zagadnął Robert dziarskim tonem. Nie liczył na to, że przy pierwszej randce dostanie zaproszenie „na herbatę”, ale na wszelki wypadek przygotował się na taką sposobność.

Gdy wkładał prezerwatywy do portfela, przypomniały mu się czasy szkoły średniej, kiedy w jego portfelu zazwyczaj było więcej kondomów niż pieniędzy.

– Ruczaj – odparła, po czym się uśmiechnęła.

Przez całą drogę próbował ubrać w słowa zaproszenie na kolejną randkę. Po raz kolejny czuł się jak nastolatek, który

odważny jest tylko w planowaniu, a gdy przychodzi do realizacji to zaczyna dezertować.

Nagle poczuł zimno.

– Zamknij okno jak możesz – poprosił, nie odrywając wzroku od drogi.

– Ale ono jest zamknięte.

Robert poczuł się jak rażony prądem. Obrócił głowę jak na zwolnionym filmie i spojrzał na kobietę, która siedziała obok. Piękne rude włosy, nieskazitelna cera i ta niesamowita suknia.

Krzyknął ze strachu i nacisnął pedał hamulca. Nic się nie stało. Samochód nadal pędził z prędkością ponad osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Zbliżał się do ostrego zakrętu.

Na JEJ twarzy malował się całkowity spokój. Obdarzyła go zalotnym uśmiechem, a on – co było zupełnie irracjonalne – odpowiedział jej tym samym.

– CO TY ROBISZ?! HAMUJ!

Robert podskoczył i z osłupieniem spojrzał na rudowłosą pielęgniarkę. Jego stopa cały czas spoczywała na niedziałającym pedale hamulca.

Poczuł mocny wstrząs. Wkrótce świat zaczął wirować, czemu towarzyszył odgłos rozrywanej blachy.

\* \* \*

Chłopiec, który stał na wiadukcie, uśmiechnął się pod nosem. Wykonał swoje zadanie i teraz wreszcie był wolny.

Jeszcze raz spojrzał na dymiący samochód, który wyglądem przypominał teraz zgniecioną puszkę po piwie.

– Brum, brum! – krzyknął, wiedząc, że i tak nikt go nie usłyszy. – Brum, brum iiiiiiiii ŁUP!

12.09.2017–02.04.2018

Kraków





## **BARTŁOMIEJ FITAS**

Urodzony w Stalowej Woli, obecnie mieszka w Krakowie. Wychowany na prozie J.R.R. Tolkiena, Stephen Kinga i Grahama Mastertona. Swoją przygodę z literackim horrorem rozpoczął od pisania opowiadań, które zwykle trafiały do szuflady. Gra na skrzypcach, gitarze oraz gitarze basowej. Posiadacz pięciu ptaszników i trzech szczurów. „Potępiona” jest pierwszą pełnowymiarową powieścią autora.

## SPIS TREŚCI

1. [Okładka](#)
2. [Strona tytułowa](#)
3. [Strona redakcyjna](#)
4. [Wstęp](#)
5. [Rozdział pierwszy. Nowy dom](#)
6. [Rozdział drugi. Dom Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia](#)
7. [Rozdział trzeci. Makabryczne odkrycie](#)
8. [Rozdział czwarty. Niewyjaśniona sprawa](#)
9. [Rozdział piąty. Nauczka](#)
10. [Rozdział szósty. Decyzje i ich konsekwencje](#)
11. [Rozdział siódmy. Kara](#)
12. [Rozdział ósmy. Śniadanie](#)
13. [Rozdział dziewiąty. Wsparcie](#)
14. [Rozdział dziesiąty. Mieszkanie Morawskiego](#)
15. [Rozdział jedenasty. Kacper](#)
16. [Rozdział dwunasty. Ponura rzeczywistość](#)
17. [Rozdział trzynasty. Zaginiony](#)
18. [Rozdział czternasty. Rysunek](#)
19. [Rozdział piętnasty. Więcej ciem](#)
20. [Rozdział szesnasty. W lesie](#)
21. [Rozdział siedemnasty. Jakie powiązania?](#)
22. [Rozdział osiemnasty. Ona](#)
23. [Rozdział dziewiętnasty. Kolejna ćma](#)
24. [Rozdział dwudziesty. Zemsta](#)
25. [Rozdział dwudziesty pierwszy. Zagadka ćmy \(I\)](#)
26. [Rozdział dwudziesty drugi. Powrót](#)
27. [Rozdział dwudziesty trzeci. Zagadka ćmy \(II\)](#)
28. [Rozdział dwudziesty czwarty. Tajemnica siostry Ezechieli](#)
29. [Rozdział dwudziesty piąty. „Boży” gniew](#)
30. [Rozdział dwudziesty szósty. Artykuł](#)

31. [Rozdział dwudziesty siódmy. Samobójstwo w szpitalu](#)
32. [Rozdział dwudziesty ósmy. Uwolniona z grobu](#)
33. [Rozdział dwudziesty dziewiąty. Światło na trzecim piętrze](#)
34. [Rozdział trzydziesty. Sierota](#)
35. [Rozdział trzydziesty pierwszy. Niewidoczny](#)
36. [Rozdział trzydziesty drugi. Nieproszony gość](#)
37. [Rozdział trzydziesty trzeci. Nieoczekiwane spotkanie](#)
38. [Rozdział trzydziesty czwarty. Co się stało z dziećmi?](#)
39. [Rozdział trzydziesty piąty. Nowy trop](#)
40. [Rozdział trzydziesty szósty. Droga na dno](#)
41. [Rozdział trzydziesty siódmy. W domu](#)
42. [Rozdział trzydziesty ósmy. Mroczna tajemnica](#)
43. [Rozdział trzydziesty dziewiąty. Ewa](#)
44. [Rozdział czterdziesty. Droga na trzecie piętro](#)
45. [Rozdział czterdziesty pierwszy. W gabinecie](#)
46. [Epilog](#)

Kraków.

W jednym z prowadzonych przez zakonnice domów dziecka dochodzi do morderstwa opiekunek, a w niewyjaśnionych okolicznościach znikają wszyscy wychowankowie. Z każdym kolejnym krokiem, który zbliża detektywów do wyjaśnienia sprawy, giną kolejne osoby.

W tej precedensowej historii pojawia się coraz więcej znaków zapytania. Jaką tajemnicę skrywała siostra Ezechiela? Kim jest Ewa? Dlaczego wszędzie pojawiają się ómy?

Połączenie kryminału z pełnym napięciem horrorem to cechy charakteryzujące debiutancką powieść Bartłomieja Fitasa.

Szybka akcja i cięty język sprawiają, że powieść wciąga od pierwszej strony.

Dla takiej opowieści warto zarwać niejedną noc! Czas poznać prawdę o tym, co przytrafiło się przed laty w Domu Dziecka Sióstr Bożego Miłosierdzia, ale pamiętajcie, że owa tajemnica - tajemnica "Potępionej" - sprawi, że nieraz wstrzymacie oddech i będziecie błagać o litość.

ONA patrzy, ONA pamięta, ONA nie pozwoli o sobie zapomnieć!

**OLGA KOWALSKA Z WIELKI BUK - BLOG LITERACKI**

Jeśli w trakcie czytania Potępionej zauważysz na oknie ómę, bądź czujny... Mroczna, niepokojąca, dynamiczna – to cechy debiutanckiej powieści Bartłomieja Fitasa. Polecam!”

**MAGDALENA PALUCH, GROZOWNIA**

Debiut Bartłomieja Fitasa to pełnokrwisty horror, który nie raz zaskoczy Was nieoczywistymi zwrotami akcji.

Jeśli szukacie powiewu świeżości na rynku polskiej grozy, to receptę właśnie trzymacie w rękach. Spróbujcie podjąć się rozwiązania zagadki siostry Ezechieli. Tylko czytając, zwracajcie uwagę, czy w Waszym otoczeniu nie pojawiają się ómy.

Wtedy będzie już za późno.

**ALEKSANDRA MORA ŁANISZEWSKA, FANTASTYCZNA RZEZŃIA**

DOMHORRORU.PL  
FACEBOOK.COM/DOMHORRORU  
INSTAGRAM.COM/DOMHORRORU



GROZOWNIA  
GRABARZ.NET



SZORTAL  
UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

FANI GROZY



FANTASTYCZNA  
RZEZŃIA



BRAMY  
GROZY  
PL